AUTO-BIOGRAFIA POŚMIERTNA

WITOLD GOMBROWICZ

WITOLD GOMBROWICZ

AUTOBIOGRAFIA POŚMIERTNA

WYDAWNICTWO LITERACKIE

Spis rzeczy

Karta redakcyjna

Kim jestem?

Rodzina

Matka

Miałem podwójne życie

Ojciec

Szkoła

Młodość

1918

1920

Szkoła w Polsce

Twarz epoki

Matura

Zabrałem się do szkicowania powieści

O życiu studenckim niewiele

Piłsudski – 1926

Francja 1927

Polska – lata trzydzieste

Powróciłem do pisania

Śmierć ojca

Kawiarnia

Bruno Schulz

Witkacy

Było nas trzech

Na beczce prochu

Trochę wariat, a trochę aktor

Panie i panny

Pamiętnik z okresu dojrzewania (1933)

Ferdydurke (1937)

Iwona, księżniczka Burgunda (1938)

Kodeks honorowy

Podróże mnie nie podniecają

Niepodległość

Wiedeń 1938

Argentyna

Wojna

1947

Ślub (1953)

Trans-Atlantyk (1953)

Mój stosunek do Polski

Moje obcowanie z narodem

Byłem poczwórnym cudzoziemcem

Pornografia (1960)

Borges

Sábato

Żegnaj, Argentyno

Paryż 1963

Luwr

Berlin 1964

Pogrążony w lękach

Jak Lady Macbeth

Cała Europa wyglądała mi na konia

Francja 1964

Royaumont

Czułem się młodszym

Vence

Tu się żyje formą

Przewaga abstrakcji

Genet

Nouveau Roman Français

Barthes

Sartre

Camus

Polska 1963

Kosmos (1965)

Operetka (1966)

1968 – potwór młodości

Zajrzeć za parawan

Duch i ciało

Człowiek plus człowiek

Nie traćcie drogiego czasu

Bóg stał się pistoletem...

Aby drugi człowiek mnie nie ugryzł

Dla kogo piszę?

Język

O krytyce

Dziennik

Wejdź w sferę snu

Nazywano mnie „żydowskim królem”

Dlaczego odrzucam komunizm?

Międzyludzkie

Być wieśniakiem i Polakiem (ale nie zanadto)

Nasze cechy narodowe

Młodość, piękność

Kobiety

Bóg

Wy, ateiści

Polacy

„Mój” człowiek

Ból

Ilość, ilość!

Ciało

Pisarz na wygnaniu

Ale Miłosz!

Sienkiewicz

Jakiż sex-appeal

Literatura kapcanieje

Dante

Nauka

Jestem sługą

Śmierć

Spis ilustracji

Nota edytorska

Opieka redakcyjna: MARIA ROLA
Projekt okładki i stron tytułowych: MAREK PAWŁOWSKI
Zdjęcie na okładce: © Bohdan Paczowski/FOTONOVA
Redakcja techniczna: ROBERT GĘBUŚ
Skład i łamanie: Infomarket

Copyright © Rita Gombrowicz & Institut Littéraire
All rights reserved
© Copyright for selection and composition by Włodzimierz Bolecki
© Copyright by Wydawnictwo Literackie, Kraków 2002

Wydanie trzecie

ISBN 978-83-08-06648-5

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.
ul. Długa 1, 31-147 Kraków
tel. (+48 12) 619 27 70
fax. (+48 12) 430 00 96
bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40
e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl
Księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl

Konwersja: eLitera s.c.

Kim jestem?

Powinienem może powiedzieć, kim jestem i skąd.

Jestem autorem napisanych po polsku następujących utworów: *Bakakaj* (opowiadania), *Iwona, księżniczka Burgunda* (komedia), *Ferdydurke* (powieść), *Ślub* (dramat), *Trans-Atlantyk* (powieść), *Pornografia* (powieść). Wreszcie *Dziennik* za okres 1953–1961.

Aż do 1957 r. byłem niemal nieznany. Emigrant w Argentynie.

W 1957 rząd polski, w ramach przejściowej odwilży, zezwolił na reedycję moich książek. ↓

***

Nic tak nie oszałamia mnie, nie upija, jak moje życie, ta otchłań która mnie stwarza. Popełniłem wielki błąd, nie zapisując mego życia godzina za godziną, minuta za minutą. Czyż jednak można ogarnąć ten bezmiar chwil? Przyszłość jest tajemnicą, przeszłość jest chaosem. ↓

Zimny wiatr z południa wymiótł z Buenos Aires masę gorącego i wilgotnego powietrza, dmie teraz posuwiście, wyjąc, świszcząc, brzęcząc i trzaskając szybami, wyrzucając w górę papiery a na skrzyżowaniach ulic powodując istne orgie niewidzialnych czarownic. Ten wiatr pseudo-jesienny porywa i mnie, i gna wraz ze mną – a zawsze w przeszłość – ma on przywilej wywoływania we mnie przeszłości i nieraz godzinami poddaję się mu, siedząc gdzieś na ławce. Tam, przewiany, usiłuję dokonać rzeczy nad siły a tak upragnionej – nawiązać z Witoldem Gombrowiczem do epok niepowrotnych. ↓ Nie znam ani mojego życia, ani dzieła. Wlokę za sobą przeszłość, jak mglisty ogon komety, a co do dzieła, też niewiele wiem, bardzo niewiele.

Ciemność i magia. ↓

Moje życie w Polsce było spokojne i mierne; mało ludzi wybitnych znałem i mało doświadczyłem przygód. Ale chciałbym pokazać – choć nie wiem, czy to komu na co się przyda – w jaki sposób to życie mnie

urobiło, mnie i moją literaturę. Naturalnie będą to zeznania bardzo niepełne, nieraz zatrzymujące się na samej powierzchni zdarzeń, bo nie tu miejsce na bardziej wyczerpujące analizy i brutalniejsze wywnętrznienia; ale przecież myślę, że i ta złagodzona biografia zdoła rzucić promyczek światła na rzeczywistość polską z tego okresu. ↓

Chyba tylko niewielu ludziom w kraju jestem znany z gruntownej lektury moich – trudnych dosyć i ekscentrycznych – utworów. Więcej jest takich co o mnie zasłyszeli i dla tych jestem przede wszystkim autorem „gęby" i „pupy" – pod znakiem tych dwóch potężnych mitów wszedłem do piśmiennictwa polskiego. Ale cóż to znaczy „zrobić komuś gębę" lub „przyprawić pupę"? „Zrobić gębę" to – opatrzyć człowieka inną twarzą niż jego własna, zniekształcić go... gdy, na przykład, człowieka niegłupiego traktuję jak głupca, a dobremu podsuwam intencje zbrodnicze, wówczas robię im gębę. A przyprawienie pupy jest właściwie identyczną operacją, z tą tylko różnicą, że tu idzie o traktowanie dorosłego, jak dziecka, o udziecinnienie. Otóż jak widzicie, obie te metafory są związane z aktem deformacji, której człowiek dopuszcza się na człowieku. I jeśli w naszej literaturze zająłem pewne odrębne miejsce to chyba przede wszystkim dlatego, że uwydatniłem niesłychane znaczenie formy w życiu, tyleż społecznym, co osobistym człowieka. „Człowiek człowieka stwarza" – to był mój punkt wyjściowy w psychologii. Sądzę też, że ta moja wrażliwość na formę od najwcześniejszego dzieciństwa pozwoliła mi osiągnąć potem własny styl pisarski i stworzyć gatunek, który dziś powoli zdobywa sobie obywatelstwo na szerokim świecie.

Skąd jednak wzięła mi się ta wrażliwość na formę ludzką, to jest na sposób bycia człowieka? Kiedyś, przed wojną, znakomity artysta polski, Bruno Schulz, w odczycie o mojej powieści *Ferdydurke* powiedział, że taka książka nie została wymyślona, że musiała ona być owocem wielu i ciężkich osobistych przeżyć. Schulz się nie mylił. Na swój sposób sporo się wycierpiałem, już w samym zaraniu mojej egzystencji, i o tych to mękach formowania się polskiego na razie pomówimy, aby potem zatrącić o inne tematy. ↓

Rodzina

Pochodzę z rodziny szlacheckiej, która przez jakieś czterysta lat miała posiadłości na Żmudzi, niedaleko Wilna i Kowna. Ta moja rodzina była nieco lepsza pod względem stanu posiadania, urzędów, koligacji, od przeciętnej szlachty polskiej, ale nie należała do arystokracji. Nie będąc hrabią miałem pewną ilość ciotek hrabin, ale hrabiny też nie były w najlepszym gatunku, były takie sobie.

Moja matka z domu Kotkowska. Nie jest pewne, niestety, owszem, jest raczej niepewne, pochodzenie Kotkowskich od mitycznego Ścibora. Ale, jakby nie było, Bodzechów, gniazdo ich rodzinne (gdzie część dzieciństwa spędziłem), za czasów dziadka mego, Ignacego Kotkowskiego, trzysta włók liczył przedniej ziemi sandomierskiej. Dwór czcigodny, przez Małachowskich stawiany, w parku stuletnim, po którym duch kanclerza Małachowskiego przechadzał się w noce drżące księżycową pełnią.

Babka moja, Onufrowa Gombrowiczowa, była Dąbrowska (z lepszych), urodzona z Benisławskiej (dobrze), która rodziła się z baronówny Toplickiej (dobrze), która rodziła się z Sołtanówny, córki marszałka nadwornego Sołtana i Radziwiłłówny (doskonale). Benisławscy też kilka razy z Radziwiłłami się łączyli.

Antonina i Jan Gombrowiczowie z dziećmi, rodzeństwem Witolda. Od lewej: Janusz, Irena, Jerzy. Radom, ok. 1903 r.

Prababka moja, żona Józefa Gombrowicza, marszałka upickiego, była z domu Gintowt Dziewiałtowska, bratanica szambelana Jana Gintowta, a wnuczka szambelana Joachima. Urodzona z Tekli Gombrowiczówny, starościanki (wcale nieźle).

A znów prapradziad mój, ojciec Józefa, Jan, starosta wasilański i miguciański, sędzia Trybunału Wielkiego Litewskiego, pojął Marcjannę Rajecką z Jużynt (*très bien*). Siostra jej była za Weyssenhoffem. Miś Rajecki przeto, z *Sobola i panny*, to mój kuzyn (zupełnie zadowalające).

Ojciec Jana, Michał, stolnik mozyrski, ożeniony był ze Scybutt Romanowiczówną.

Ojciec tegoż, Jan, pojął Jadwigę Sipowiczównę, urodzoną z Połubińskiej (proszę!).

A ojciec Jana, Michał Kazimierz, pojął Burbiankę z domu Burbów zacnego, już wygasłego.

Ojciec Michała Kazimierza, Jerzy, ożeniony był z Dorotą Jawoyszówną (to więc moja prapraprapraprapraprababka).

Marceli Kotkowski, pradziadek autora *Ferdydurke*

Wspomnę też o innych aliansach domu mojego z domami Białłozorów, Witold Alexandrowiczów, Wołodkowiczów („jak niegdyś Wołodkowicz, pan dumny, zuchwały…”), Puzynów, Dunin Koziczów, Zawiszów…

Dobra Lenogiry, Wysoki Dwór i Mingayłów na Litwie przez kilka wieków w posiadaniu gombrowiczowskim były. A też od niechcenia o innych majątkach napomknę, Użorty, Rady, Użubol, Poniemuń, Barkłojnie, Poremigole, które krócej były we władaniu naszym.

Jestem niesmacznym snobem! ↓

W roku 1863 car rosyjski konfiskuje memu dziadkowi, Onufremu Gombrowiczowi, jego majątki Lenogiry, Mingayłów i Wysoki Dwór, za rzekomy udział w powstaniu polskim. Dziadek przenosi się w Sandomierskie (200 km na południe od Warszawy) gdzie za resztki pieniędzy kupuje mały folwark. Jego syn, a mój ojciec, Jan, żeni się z posażną córką Ignacego Kotkowskiego, właściciela dóbr Bodzechów, i kupuje majątek Małoszyce, gdzie ja się urodziłem. ↓

My, Gombrowicze, uważaliśmy się zawsze jako „nieco lepiej” w proporcji do ziemiaństwa sandomierskiego, a to z powodu zwłaszcza rozmaitych pokrewieństw, które nam pozostały z litewskich czasów, a także dlatego, że litewska szlachta, bogatsza i od wieków osiadła na swoich majątkach, mogła poszczycić się lepszą tradycją, ściślejszą historią i znaczniejszymi urzędami. Nie jestem jednak pewny, czy sandomierska szlachta podzielała ten punkt widzenia. Ja byłem najmłodszy. Najstarszy był Janusz, potem szedł Jerzy, moja siostra Irena starsza ode mnie o dwa lata. ↓

Zakłady Żelazne w Bodzechowie, koniec XIX w.

Rzeczywiście byłem maminsynkiem tak zwanej „zacnej" rodziny – ale tutaj słowo „zacna" należy użyć bez ironii, gdyż był to dom ludzi raczej dobrotliwych i mających swoje pryncypia.

Ojciec mój był właścicielem niewielkiego majątku w Sandomierskim oraz pracował w przemyśle, za czasów mego dorastania był prezesem Centrali Złomu i członkiem kilku rad nadzorczych i zarządów, co zapewniało mu dochód znacznie większy niż z owych maleńkich Małoszyc. Moja matka była córką Ignacego Kotkowskiego, obywatela ziemskiego w Sandomierskim. Ojciec mój pochodził z Litwy – dziadkowi memu, Onufremu, rząd rosyjski skonfiskował dobra w 1863-im i to skłoniło dziadka do przeniesienia się do Królestwa, gdzie za resztkę uratowanych pieniędzy kupił wieś Jakubowice, a potem drugą, Małoszyce. ↓ ↔

Zacznę od tego, że mój dom rodzinny był – wbrew pozorom – jednym wielkim dysonansem, rozdzierającym stale moje dziecięce uszy. Wiele na to składało się przyczyn, a jedną z główniejszych była niezgodność temperamentu i charakteru pomiędzy moją matką a moim ojcem. ↓

Ignacy Kotkowski, dziadek Witolda

Matka

Moja matka ↔ odznaczała się niezwykle żywym usposobieniem i bujną wyobraźnią. Nerwowa. Egzaltowana. Niekonsekwentna. Nie umiejąca się kontrolować. Naiwna i, co gorzej, mająca o sobie jak najbardziej pomylone wyobrażenie. Ojciec nieraz ulegał jej bystrości i inteligencji, ale częściej znosił w milczeniu jej egzaltacje, z którymi rzeczywiście trudno było dać sobie rady.

Nie chciałbym za długo rozwodzić się o najbliższej rodzinie. Powiem, że – moim zdaniem – to matka wniosła w nasz dom tę głęboką rozterkę formalną, na której wyrosłem. Nie winię jej o to, gdyż miała naturę szlachetną i najlepsze intencje, a też niezmiernie była do nas przywiązana – ale mówiąc doskonale po francusku, posiadając rozmaite wiadomości, które stanowiły edukację panny ze sfery ziemiańskiej, posiadając też niewzruszone zasady moralne, pozbawiona była tego co tyle pewności siebie, naturalności i prostoty przysparza zwykłej dziewce od krów – była nie sprawdzona przez życie. Nigdy naprawdę nie zetknęła się z życiem. Oto co odbierało jej autorytet w naszych oczach i co sprawiało, że poruszała się w próżni.

W tej próżni nie wiedziała już kim jest właściwie, i zbudowała sobie osobowość zgoła fantastyczną. – Ileż pracy włożyłam w ten ogród! – mówiła oprowadzając gości po ogrodzie małoszyckim, ale my wiedzieliśmy, że to dzieło ogrodnika. – Trochę to dziwne, przyznaję, ale mam słabość do filozofii, do ścisłego myślenia, lubię poczytać sobie Spencera – mówiła w najlepszej wierze, ale my wiedzieliśmy, że tomy Spencera pozostały nie rozcięte. – Napracowałam się ciężko wychowując dzieci – ale nam było wiadomo, że główny ciężar tej pracy spadł na guwernantki.

Tak to widziała siebie jako „kobietę pracy i zasad", „spełniającą obowiązki", „systematyczną, ścisłą, umiejącą zarządzać i organizować" gdy w rzeczywistości była przeciwieństwem tego wszystkiego – fantastyczna, niezaradna, niezdolna do systematycznego wysiłku

i przyzwyczajona do rozmaitych ułatwień, których dostarcza pieniądz. Bynajmniej nie robię mojej matce zarzutu, że była taka jaka była. Miała też świetne zalety, choć w innym gatunku – dobroć, szlachetność, prawość, inteligencję – a jej słabości były trochę następstwem jej nerwów, a trochę wynikiem sztucznego życia i nie mniej sztucznego wychowania.

Antonina Gombrowiczowa, matka Witolda, 1900 r.

Ale to, że nie chciała być tym czym była, przyznać się do siebie, zemściło się na niej – gdyż my, synowie, rozpoczęliśmy z nią wojnę.

Drażniła nas. Prowokowała. I od tego chyba zaczęły się moje bolesne przygody z rozmaitymi spaczeniami polskiej formy, które działały na mnie jak łechtanie: człowiek śmieje się do rozpuku, ale przyjemne to nie jest. ↓ A moja matka była żywa, wrażliwa, obdarzona dużą wyobraźnią, leniwa, niezaradna, nerwowa (i bardzo), pełna urazów, fobii, iluzji. ↔ Ja jestem artystą po matce, a po ojcu jestem trzeźwy, spokojny, opanowany. Ale moja matka miała też jedną cechę wysoce drażniącą, należała mianowicie do osób, które nie umieją zobaczyć siebie takimi, jakimi są. Więcej: ona widziała siebie akurat na opak – i to już miało cechy prowokacji.

Antonina Kotkowska, matka Witolda, na rok przed ślubem z Janem Gombrowiczem, 1891 r.

Z natury była, jak się rzekło, leniwa i niezaradna, a że w owych proustowskich czasach służby było dużo, więc guwernantka francuska zajmowała się dziećmi, jej zaś rola sprowadzała się do wydawania zleceń kucharzowi, pokojówce, czy ogrodnikowi. Nie przeszkadzało jej to mówić, że „wszystko na mojej głowie", że „praca uszlachetnia", że „ogród w Małoszycach to moje dzieło", że „na szczęście jestem dosyć praktyczna".

„Lubię w wolnych chwilach poczytać Spencera, Fichtego” mówiła najzupełniej szczerze, choć dzieła tych filozofów, zalegające dolne półki biblioteki, świeciły nie rozciętymi stronami. ↔

była z natury	*wyobrażała sobie, że jest*
impulsywna, naiwna	opanowana, krytyczna
chimeryczna	zdyscyplinowana
o kulturze raczej salonowej	intelektualistka
anarchiczna	organizatorka
trwożliwa	odważna
łakoma	niełakoma
lubiąca wygody	ascetyczna, niezłomna.

Imponowało jej to, czym nie była. Podziwiała znakomitych lekarzy, profesorów, wielkich myślicieli i w ogóle „ludzi poważnych”. Jej ideałem był typ matrony o niezłomnych ideałach i zasadach (katolickich), oddającej się obowiązkowi, poświęcającej się dla rodziny. I z jakąż świętą naiwnością utożsamiała się z tym, co podziwiała!

To ona pchnęła mnie w absurd, który stał się później jednym z najważniejszych elementów mojej sztuki.

My, chłopcy (było nas trzech, dwaj moi bracia i ja, najmłodszy) wcześnie odkryliśmy tę idealną okazję do przekomarzania się i drażnienia. Polegało to na zaprzeczaniu, na zaprzeczaniu absolutnie wszystkiemu, co by powiedziała, i, rzecz pewna, zwłaszcza mój brat Jerzy i ja doszliśmy w tym do niebywałego zgrania. Wystarczyło aby moja matka powiedziała „słońce świeci”, a odpowiadaliśmy z największym zdziwieniem „jak to, przecież deszcz pada!”

„Co za mania mówienia głupstw!” oburzała się, ale Jerzy mówił pojednawczo „powiedzmy, że nie pada, ale mógłby padać”, a ja dodawałem po namyśle „przyjmijmy, że nie pada, ale jakby zaczęło padać, to by jednak padało”.

Witold Gombrowicz z siostrą Reną, babką Anielą Kotkowską oraz z matką, Antoniną z Kotkowskich, Bodzechów, ok. 1911 r.

Sport wciągania mojej matki w absurdalne dyskusje był jednym z pierwszych moich artystycznych (i dialektycznych) wtajemniczeń. Ona, o głębokich i namiętnych uczuciach, stojąca na straży „świętości", oraz „rodziny, tej komórki społeczeństwa" surowo potępiała rozwody, które pleniły się jak na złość w naszym środowisku. ↓

– Nowy rozwód w rodzinie! – anonsował rozgłośnie Jerzy już z przedpokoju, na co ja odpowiadałem z głębi domu:

– Co?! Nowy rozwód w rodzinie! Nie może być!

– Wyobraź sobie – krzyczał Jerzy przez cztery pokoje – spotkałem w tramwaju ciotkę Różę, która przysięgała że Ela rozchodzi się ze swoim trzecim mężem!

– Nie, nie wierzę! – krzyczałem patetycznie aby wywabić matkę z sypialnego. I rozpoczynała się dyskusja, w której podtrzymywaliśmy tezę, że rozwody są doskonałym wynalazkiem, gdyż „dzieci uzyskują podwójną ilość rodziców" oraz „doskonale się czują mając do wyboru dwa domy, zamiast jednego".

W końcu moja matka ukazywała się roztrzęsiona: – Jeśli Henrykowa jest na tyle cyniczna, to nie będzie można jej przyjmować!

– Ależ dlaczego, odpowiadaliśmy, przecież ciocia Ela już dwa razy się rozwiodła i gra ze swoimi trzema mężami w bridża, mówi że tworzą doskonałą partię. Rozwody mają jednak dużo dobrych stron, ona mówi że jej dzieciom zapewniły podwójną ilość rodziców...

Przypominam sobie też dyskusję na temat, czy pewna nasza kuzynka dobrze robi zasiadając do brydża ze swoimi trzema eks-mężami. My twierdziliśmy że to dowód wysokiej kultury.

Dyskusja o rozwodach była wieloletnia, nieustająca, rosnąca swoim ogromem. Boski absurdzie! W tej to szkole nauczyłem się heroicznego zapamiętania się w nonsensie, uroczystej zawziętości w głupstwie, celebracji nabożnej kretyństwa... o, formo! Przerażające idiotyzmy mojej sztuki, które nigdy nie przestaną mnie zachwycać, ta jej zdolność splatania głupstw w łańcuch nieubłagalnej logiki, stąd biorą w dużej mierze swój impuls.

Ale ona nie wiedziała, jak świetnym jest pedagogiem. Nic bardziej zdrowego, pouczającego, wyrabiającego charakter i rozum, od jej wad straszliwych. Ona była dla mnie szkołą wartości, do szału dręczony jej samooszukaństwem wyostrzałem w sobie poczucie *qua-litas*, jakości, co jest fundamentem wszelkiej pracy artystycznej. Sztuka jest tym właśnie: wybieraniem jakości lepszej, odrzucaniem tego co gorsze, jest oparta na najsurowszej hierarchii wartości, na ciągłym wartościowaniu. Zaczynałem rozumieć czym jest krytycyzm, chłód, dystans, niepoddawanie się kiepskim, wygodnym, złudzeniom. Bez odrobiny

litości, bez miłości, z zimną ironią prowadziłem moją grę z nią, przez wiele lat.

Ona bardzo mnie kochała.

Z niej też bierze się mój kult rzeczywistości. Mam siebie za krańcowego realistę. Jednym z naczelnych zadań mojego pisania to przedrzeć się poprzez Nierzeczywistość do Rzeczywistości. Ona była bodaj pierwszą chimerą, w którą uderzyłem. ↓

Wojna, jaką ja i moi starsi bracia toczyliśmy z moją matką, polegała przede wszystkim na systematycznym przeczeniu – cokolwiek by powiedziała. ↔

Myślę, że to wczesne ćwiczenie się w oczywistym kłamstwie i w jawnej niedorzeczności znakomicie przydało mi się w późniejszych latach, gdy przystąpiłem do pisania mych tworów.

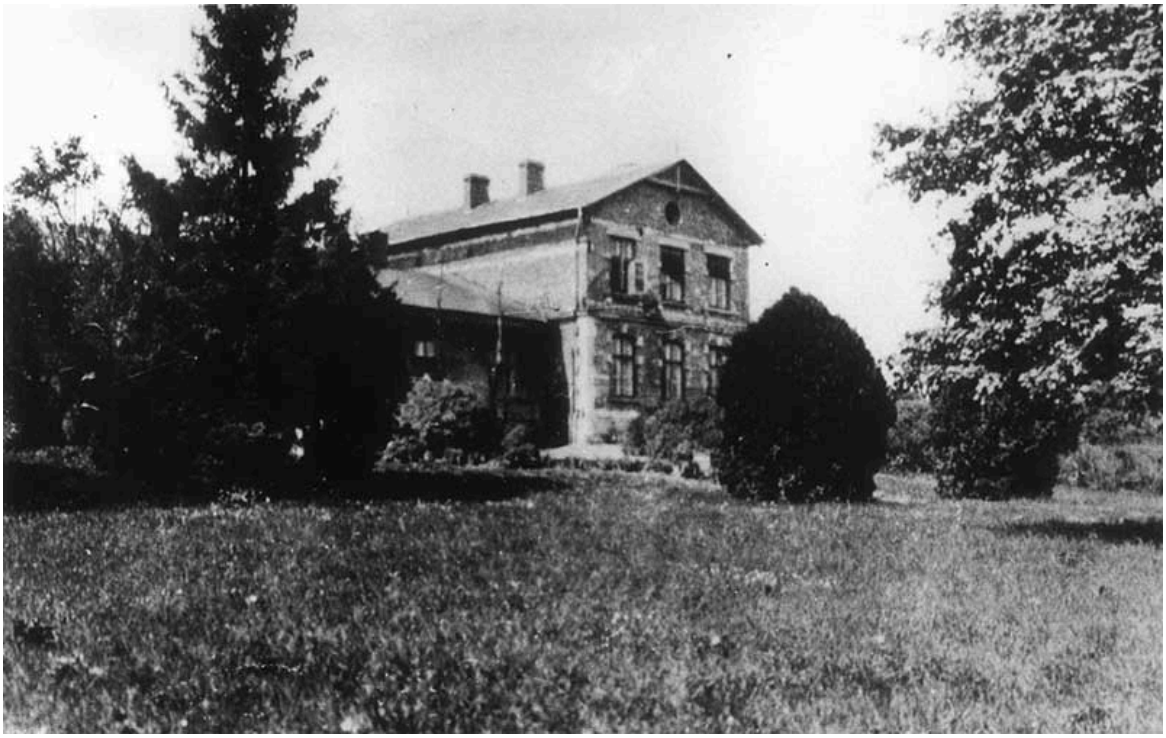

Dwór w Małoszycach od strony parku, ok. 1919 r.

Ale, zważywszy że było nas trzech – moja siostra nie brała udziału w tym sporcie – dom nasz zaczął powoli przypominać dom wariatów i tylko surowość i powaga ojca chroniła od zupełnej katastrofy. Nieustanna, oszalała polemika z matką dotyczyła wszystkich możliwych

spraw: filozoficznych, moralnych, religijnych, społecznych, rodzinnych, towarzyskich. Jeśli matka kogoś pochwaliła, to my musieliśmy ganić. Jeśli coś jej się spodobało, my nie spoczęliśmy póki nie znaleźliśmy dziur w całym. Jej niesłychana naiwność sprawiała, iż zawsze na nowo dawała się wciągać w te niesamowite dyskusje – co nas, oczywiście, za każdym razem bardziej radowało. Zabawa! Te igraszki pozwalały nam zapomnieć o głębszych, bardziej dramatycznych zadrażnieniach, kryjących się na spodzie, i bardzo ułatwiały obcowanie z matką. Stąd zapewne wziął mi się, w późniejszej mojej twórczości kult zabawy i zrozumienie dla jej ogromnego znaczenia w kulturze.

Wówczas tej zabawie przewodził mój brat, Jerzy, – natura artystyczna, urodzony komik i kpiarz, obdarzony dużym poczuciem efektu i z ogromną inwencją w zakresie rozmaitych powiedzonek – niektórymi z nich do dziś się posługuję popełniając nędzny plagiat. Byłem wtedy całkowicie pod jego wpływem. ↔

Jak widzicie była to wcale niezła szkoła dialektyki, która w podziw wprawiała naszą służącą, Anielę. – Co też ci panowie z naszą panią wyprawiają! Nie będę naturalnie bronił słuszności naszych poglądów, ale takie kpinki z zasad, może zanadto sztywnych, też nie były całkiem niezdrowe. Matka brała udział w życiu społecznym, była czas jakiś przewodniczącą Stowarzyszenia Ziemianek, instytucji nader świętobliwej, ale nacechowanej nieuleczalną górnolotnością stylu. My, naturalnie z dziką rozkoszą, sprowadzaliśmy te wzloty z nieba na ziemię, a ja nawet podsłuchiwałem za drzwiami te sesje aby zdobyć materiał do satyry. Ale to wszystko nie ograniczało się do zabawy. W głębi coraz silniej gryzło nas podejrzenie, że i my nie jesteśmy wolni od tej choroby „nierzeczywistości", którą zwalczaliśmy w matce – tak, albowiem zaczynaliśmy wyczuwać, jeśli nie rozumieć, że i my, podobnie jak ona, jesteśmy nie sprawdzeni przez życie i bez istotniejszego z nim kontaktu.

Jerzy Gombrowicz, ok. 1918 r.

Dotykam tutaj jednej z najdotkliwszych moich bolączek, która bardzo duży wywarła wpływ na mój rozwój. I nie wątpię, że na tę chorobę cierpiała w Polsce cała tak zwana klasa wyższa, z wyjątkiem tylko ostro pracujących zawodowców, jak lekarze, czy inżynierowie, których codzienny wysiłek stykał z rzeczywistością. Ale ziemiaństwo, ale zamożna burżuazja, ale spora część intelektualistów to były osoby egzystujące życiem ułatwionym, nie znające istotnej walki ani o byt, ani o jego wartości. Jakże charakterystyczne, że mój ojciec, na przykład,

tylko bardzo z rzadka i jakby przypadkiem zdawał sobie sprawę z anormalności swojej sytuacji społecznej, podczas gdy my, następne pokolenie, widzieliśmy to już o ileż ostrzej… o ileż wyraźniej… Dla mojego ojca lokaj to była rzecz jak najbardziej naturalna i rozumiejąca się sama przez się, a nawet potem gdy, demokratyzując się, zjechaliśmy z lokaja na służącą, pozwalał się obsługiwać jak gdyby to leżało w przyrodzonym porządku świata. Ojciec był jeszcze panem w sposób naturalny, z całą swobodą, i muszę przyznać, że prości ludzie chwytali tę jego naturalność instynktem i o wiele chętniej krzątali się wokół niego niż wokół nas – panów już kurczowych, usiłujących nadrabiać miną.

Matka także przyjmowała pańskość jako coś doskonale naturalnego. Moi rodzice należeli do pokolenia, które prawie nie doświadczało, w sensie społecznym, tego co Hegel nazywał „złą świadomością". Uważali, że każdy powinien żyć na tym szczeblu na jakim los go usadowił, wypełniając obowiązki które na niego spadały z tytułu przynależności do danego środowiska. Panowie powinni być dobrymi panami, a służba dobrą służbą – oto cała filozofia. Reszta to były mrzonki, wymyślone przez teoretyków.

Za to nam, młodemu pokoleniu, sprawy te wcześnie poczęły dawać się we znaki. Ale w owej wczesnej młodości mojej – od jakichś 14 do 18 lat – mniej byłem wrażliwy na aspekt moralny zagadnienia, a więcej odczuwałem związane z tą nierównością osobiste upokorzenia. Póki siedziałem w Warszawie wszystko było mniej więcej znośne. Ale gdy na wakacje wyruszałem na wieś, rozpoczynał się dramat. ↓

Miałem podwójne życie

Byłem w przyjaźni z rozmaitymi mymi rówieśnikami, synami chłopów i fornali. To stąd się wzięło, że kiedy jeszcze byłem dziesięcioletnim brzdącem Janusz zorganizował mi „gwardię" to jest oddział wiejskich chłopaków, którym komenderowałem. Naturalnie już wtedy przechodziłem okropne męki, gdy podczas odbywania musztry matka czy też guwernantka krzyczały z dala abym nie przemoczył sobie nóg i „czy ci nie chłodno?" W bezsilnej wściekłości, niemej i udręczonej, przyjmowałem ten bezwstyd babski, tak cyniczny, tak nie zdający sobie sprawy ze szkody jaką mi wyrządza. Sytuacja moja była przedziwna. Teoretycznie byłem wodzem, paniczem, istotą wyższą, powołaną do rozkazywania – w praktyce wszystkie atrybuty mej pańskości, jak buty, kurtka, szalik, guwernantka i, o zgrozo, kalosze, strącały mnie na dno upokorzenia i z ukradkowym, skrzętnie zamaskowanym, podziwem spoglądałem na bose nogi i zgrzebne koszuliny mych podwładnych. To niezmiernie silne przeżycie pozostało mi na zawsze i w późniejszym wieku wypowiedziało się w sztuce – jako satyra na pańskość, na wyższość, na dojrzałość.

Janusz, najstarszy brat pisarza, jako student SGGW, 1918 r.

Oto już wtedy, w wieku lat dziesięciu mniej więcej, odkryłem coś ohydnego: mianowicie, że my „państwo” jesteśmy zjawiskiem zupełnie groteskowym i niedorzecznym, głupim, boleśnie komicznym i nawet wstrętnym… Tak właśnie! Niewiele mnie obchodziło, czy jesteśmy wyzyskiwaczami ludu i jaka jest nasza moralność, natomiast przerażało

mnie, że tak idiotycznie wyglądamy na tle prostych ludzi. Z tego kompleksu wyleczyła mnie dopiero Ameryka. ↓

Niewątpliwie, moja matka była wytworem warunków, które, jak mówią marksiści, jej byt określały. I nic dziwnego, że poprzez nią dotarłem dość wcześnie do największej hańby mojej rodziny: nasze życie było ułatwione. Służba! Służba! To oni ścierali się z życiem, nam na półmiskach przynoszono frykasy, byliśmy konsumentami. Wydelikacenie sfery „wyższej", jej smakoszostwo, wygodnictwo, sybarytyzm, lenistwo, rzuciły mi się w oczy chyba już w okolicach dziesiątego roku życia.

Zachował mi się w pamięci i często mi powracał, taki obraz: parobek w kurtce, bez czapki, rozmawiający na deszczu z moim bratem, Januszem, który był w palcie i pod parasolem. Świetna surowość oczu, policzków, ust tego parobka pod deszczem ostro zacinającym. Piękność.

Ale może, gdyby nie „gwardia", ja nie byłbym w wieku późniejszym tak uwiązł w niższości. Ta gwardia, to byli moi rówieśnicy, synowie fornali, rodzaj wojska, któremu ja przewodziłem. Ale oni lepiej trzymali się na koniu, lepiej skakali i lepiej wyłazili na drzewa, ja, dowódca, byłem właśnie najgorszy. Proszę, taki sen z owych czasów: Małoszyce, oni na trawniku przed domem oczekują mojego pojawienia się, a ja błąkam się po domu, podchodzę do okien, po kryjomu spoglądam na nich, cofam się za firankę, przechodzę z pokoju do pokoju, zbliżam się do okien, patrzę... ale wyjść do nich nie mogę!

Były to czasy pierwszej wojny światowej, front ze cztery razy przetoczył się przez nas, tam i z powrotem, grzmoty dalekie, coraz bliższe, armat, pożary, wojska uciekające, wojska nacierające, strzelanina, trupy nad stawem – a też długie postoje oddziałów rosyjskich, austriackich, niemieckich – my, chłopcy, zabawialiśmy się zbieraniem naboi, bagnetów, pasów i ładownic. Odór brutalności wdzierał się, podniecający, choć moja pańskość chroniła mnie od bezpośredniej styczności z wojną.

Tak, nienawidziłem salonu, uwielbiałem po cichu kredens, kuchnię, stajnię, parobków i dziewki – jakimż marksistą byłem wtedy – i mój

wcześnie zbudzony erotyzm, sycony wojną, gwałtem, żołnierskim śpiewem i potem, przykuwał mnie do tych ciał od twardej roboty i brudnych. Niższość na zawsze stała się moim ideałem. Jeśli kogo uwielbiałem, to niewolnika. Ale nie wiedziałem, że uwielbiając niewolnika staję się arystokratą. ↔

Kult absurdu, rzeczywistość-nierzeczywistość, niższość-wyższość, pańskość-służba, już wtedy mną owładnęły. ↔ już wtedy miałem podwójne życie. Nie dopuszczałem nikogo do tego czegoś we mnie, co było niejasne, odrębne, i za nic nie chciało wydostać się na światło dzienne. I jeszcze: zupełnie niezdolny byłem do miłości. Miłość została mi odebrana na zawsze i od samego zarania, ale nie wiem, czy to dlatego, że nie umiałem znaleźć na nią formy, właściwego wyrazu, czy też nie miałem jej w sobie. Nie było jej, czy ją w sobie zdusiłem? A może matka mi ją zabiła? ↓

Ojciec

Mój ojciec? Piękny mężczyzna, ↓ elegancki, „rasowy” jak to się wówczas podkreślało ↓ okazały, a też poprawny, punktualny, obowiązkowy, systematyczny, o ↔ niewielkiej wrażliwości w rzeczach sztuki, katolik, ale bez przesady. ↓ Doskonały wygląd w połączeniu z umysłem ani specjalnie głębokim, ani o zbyt rozległych zainteresowaniach, ale sprawnie działającym, zapewniały ojcu te stanowiska raczej reprezentacyjne w rozmaitych radach i zarządach. ↓ Ojciec ↔ miał opinię człowieka poważnego, odpowiedzialnego i uczciwego. Kontrast pomiędzy jego poprawnym i godnym zachowaniem a pewnymi dziwactwami nas, synów, niejednemu nasuwał refleksje w rodzaju: „co by na to powiedział ojciec pański” albo, „jaka szkoda że nie wdali się w starego Gombrowicza”. ↓

Młody Jan Onufry Gombrowicz, ojciec Witolda

Mój ojciec nie był tylko obywatelem ziemskim, pracował także w przemyśle. Rozpoczął tę pracę jako dyrektor fabryki papieru w Bodzechowie, należącej do mego dziadka Kotkowskiego, a potem zajmował rozmaite stanowiska w zarządzie dużych przedsiębiorstw przemysłowych.

Tak więc w owej proustowskiej epoce, na początku stulecia, byliśmy rodziną wykorzenioną, o sytuacji społecznej niezbyt jasnej, pomiędzy

Litwą a Kongresówką, pomiędzy wsią a przemysłem, pomiędzy tzw. lepszą sferą a średnią. To tylko pierwsze z tych „pomiędzy", które w dalszym ciągu rozmnożą się wokół mnie do tego stopnia, iż prawie staną się moim miejscem zamieszkania, moją właściwą ojczyzną. ↔ (W rodzinie Kotkowskich sporo było chorób umysłowych; gdy przyjeżdżałem do mojej babki na wieś bałem się okropnie: dom duży, parterowy, przedzielony był na dwie części, w jednej mieszkała moja babka, a w drugiej jej syn, brat mojej matki, wariat nieuleczalny, który chodząc w nocy po pustych pokojach usiłował zagłuszyć strach dziwnymi rozhoworami, przetaczającymi się w pienia jakieś przedziwne, które kończyły się nieludzkim wrzaskiem; całą noc to trwało; wdychałem szaleństwo). ↓

Szkoła

Kiedy miałem lat jedenaście – było to w roku 1915-tym – nastąpiła wielka zmiana w moim życiu, rodzice oddali mnie do szkoły. Ta szkoła – gimnazjum filologiczne im. św. Stanisława Kostki – mieściło się wówczas dość obskurnie na którymś tam piętrze któregoś tam podwórka kamienicy przy ul. Brackiej, ale wkrótce miało przenieść się do przestronnego budynku na rogu Traugutta i Krakowskiego Przedmieścia.

Byłem przerażony. Grała we mnie nie tylko moja wrażliwość, ale i wiejska nieśmiałość, nieotrzaskanie się z ludźmi, właściwe synom domów ziemiańskich. I pierwsze lata były bolesne – wstąpiłem do drugiej klasy, więc byłem jednym z najmłodszych, a że temperament miałem niespokojny i przekorny więc wprędce stałem się ofiarą wszystkich korkociągów, nożyc pojedynczych i podwójnych, nelsonów oraz zwykłych kuksów i kopniaków. Przypominam sobie ze specjalnym rozrzewnieniem dwie tortury – jedna polegała na przesuwaniu grzbietu ręki po włosach jakimś diabelskim sposobem wydzierającym, zdawało się, uwłosienie – druga nie była tak bolesna, ale za to nie można było od niej się opędzić, zasadzała się na podbijaniu nogi „bocznym, na płask".

Mnie zaraz dopadło kilku okropnych drabów, którzy stali się moimi dręczycielami. I co rano, idąc do szkoły z pracowicie wypchaną teczką, wiedziałem że zanim ją rozpakuję doskoczy do mnie Braksal żeby mi założyć wierciela, a Wasiński zada mi „pod pomadę".

Antoni Wasiutyński, kolega szkolny Witolda Gombrowicza, fotografia maturalna, 1922 r.

Mimo to nie stoczyłem się do rzędu oferm – zacząłem szukać sprzymierzeńców i zabrałem się do organizowania zaczepno-odpornego bloku, co tym łatwiej mi przyszło, że w następnym roku wstąpił do szkoły Kazio Baliński, mój serdeczny przyjaciel, syn Ignacego Balińskiego, senatora i prezesa Rady Miejskiej, a brat młodszy poety Stanisława. Z Kaziem i Zazą Balińskimi, a też z Antosiem Wasiutyńskim pobieraliśmy poprzednio lekcje prywatne od nauczycielki, pani Kiersnowskiej. Gdy więc odnaleźliśmy się w szkole z Kaziem i Antosiem, od razu uformowaliśmy przymierze do którego przystąpił potem Tadzio Kępiński, najbardziej zaprzyjaźniony

z Balińskim. Ale zanim to się stało, zanim nieco zadomowiłem się w tej nieszczęsnej budzie i poznałem jej sposoby i sposobiki, przeszedłem przez wielkie męczarnie którym towarzyszył dziki chichot oprawców. ↓
To gimnazjum imienia św. Stanisława Kostki było bardzo arystokratyczne. Roiło się od Radziwiłłów, Potockich, Tyszkiewiczów, Platerów, ale nie brakowało też chłopców z niższych klas społecznych. Lepszy wygląd tych „karmazynów", jak ich nazywał kolega Adamski, oraz ich pewna elegancja od razu wpadły mi w oko – nawet wśród nas, szczeniaków, wyróżniali się czymś bardziej europejskim a nawet nie byli pozbawieni wykwintu. Arystokracja trzymała się na ogół razem i dopuszczała do swego grona co najwyżej niektórych szczęśliwców, spowinowaconych lub nie, ale w każdym razie z rodzin należących do tak zwanego towarzystwa. Odbywało się to z zadziwiającą w tak młodym wieku precyzją, drogą jakiejś selekcji naturalnej, chyba nieświadomie – ale niezłomność, nieustępliwość owego tabu arystokratycznego na tle rozwydrzonej i wrzaskliwej naszej anarchii stała się dla mnie objawieniem niepisanego prawa – z tych co tym bardziej dają się we znaki im mniej się je proklamuje. Kazio Baliński, który miał babkę hrabiankę (nie z najlepszych) a prababkę księżniczkę, poza tym ojca senatora, należał do wybrańców, którzy ewentualnie mogli być dopuszczeni; ja, mając kilka ciotek hrabin, też od biedy mógłbym „zadawać się" z Bisiem Tyszkiewiczem czy też Władkiem Potockim i towarzyszyć im, gdyśmy wracali ze szkoły do domu. Ale ani Kazio, ani ja nie zrobiliśmy w tym kierunku żadnego wysiłku. We mnie chyba już wtedy zaznaczyła się niemożność – która tyle szkody wyrządziła mi w późniejszym życiu – obcowania z osobami wyżej postawionymi. Nie było to następstwem kompleksu niższości – pochodziło raczej z tego, że już wtedy miałem pewien własny sposób bycia i dobrze się czułem tylko z tymi, którym mogłem tę formę narzucić. A arystokracja miała własny *genre*, tak określony a zarazem banalny i nieosobisty, że nie dawałem rady – tutaj musiałem się podporządkować.

Tadeusz Kępiński, kolega szkolny Witolda Gombrowicza, fotografia maturalna, 1922 r.

Przypomnę teraz poprzednie moje zwierzenia – czy pamiętacie? – o chłopakach wiejskich, o tej mojej gwardii przybocznej, której przewodziłem, podziwiając ją skrycie za to, że chodziła boso i nie używała kaloszy. Już w owym czasie zarysowały się przede mną dwa rodzaje piękności, mnie dostępnej, to jest mego chłopięcego dotyczącej wieku. Jedna – ta prosta, bosa, naturalna, druga – tych chłopców z najlepszych rodzin w kraju, niewątpliwie rasowych, już w zaraniu lat obdarzonych elegancją i nawet dystynkcją, stanowiących zamknięty klan. Co wybrać? Nie była to łatwa sprawa, gdyż natura moja, natura artysty, była jednak gdzieś na dnie instynktownie arystokratyczna – nie

zapominajcie, że artysta ma instynktowne wyczucie hierarchii, wyższości, wykwintu, że sztuka polega na bezwzględnym segregowaniu wartości i wybieraniu tego, co wyższe i lepsze, a odrzucaniu i to pogardliwym tego co pospolite i byle jakie.

Nie byłoby więc dziwne gdybym wybrał Potockich i Radziwiłłów, tak jak wybrał ich Szopen, albo Proust, albo Balzac. Ale, z drugiej strony, już wtedy dostrzegałem pewne drobne obrzydliwości… tak, pewne drobne obrzydliwości… tej arystokracji, które mnie, w moich latach czternastu, dawały do myślenia…

Na przykład… dłubanie w nosie. Tak, dłubanie w nosie. Zauważyłem, że arystokracja chętnie ten sport uprawia. Zauważyłem też, że dłubanie w nosie moich chłopaków wiejskich było jakieś niewinne i nie rażące – podczas gdy ta sama funkcja dokonywana ręką Potockich czy Wielopolskich stawała się okropnie nieprzyjemna i odstręczająca.

To potężne odkrycie jęło skłaniać mnie ku lewicy. Ale jednocześnie fala snobizmu owładnęła mną i zakłóciła na długi czas mój rozwój. ↓

Młodość

Oddano mnie do szkoły w Warszawie, katolickiej, pełnej młodych książąt i hrabiów. Snobizm dał się silnie we znaki moim braciom i mnie, było to coś poniekąd nieuniknionego w naszym światku – a jednak było to też dziwne, bo my nie byliśmy tacy głupi, by nie dojrzeć wszystkich jego śmieszności i całej nicości. Więc była to u nas jakaś mania snobizmu, czy jakaś zabawa w snobizm, i ta mitologia kiepska i ośmieszająca dobrała się do nas i nie popuszczała. Dziwne! Dziwne! Gdyż nie byliśmy snobami i, jeśli przypatrzyć się naszemu życiu, żaden z nas nie zrobił najmniejszego wysiłku w tym kierunku, Janusz był odludkiem, mieszkającym na wsi sobiepanem, Jerzy w bridża grał z kim popadło, ja o ileż za leniwy byłem i za wygodny żeby do salonów wysokich przenikać. Dziwne! Albowiem, mimo wszystko byliśmy snobami, choć, Bogiem a prawdą, nie byliśmy snobami. Formo!

Dorastałem. Trzema osobnymi torami, które żadnego połączenia ze sobą nie miały.

Stanisław Baliński, poeta i bliski znajomy Witolda

Więc naprzód ja, jako chłopiec z „dobrego domu”, grzeczny, raczej zdrowy, niebrzydki choć i niepiękny, owszem, poprawny, emablujący kuzynki, uczeń ani zły, ani dobry, trochę maminsynek, delikatny, płochliwy, a zarazem kpiarz, gadatliwy, prowokujący, w szkole często nieznośny i bity przez starszych kolegów, towarzyski, lekkomyślny, śmiały i nieśmiały, zależnie od okoliczności.

Po wtóre ja, jako ateista i jako intelektualista i ja, flirtujący już z lekka ze sztuką. Rozstanie się z Bogiem – sprawa wielkiej wagi, bo otwierająca umysł na całość świata – odbyło się we mnie gładko i niepostrzeżenie, nie wiem, jakoś tak się stało, że w piętnastym, czy

w czternastym, roku życia przestałem się zajmować Bogiem. Ale chyba i przedtem nie zajmowałem się nim zanadto. Co się tyczy intelektu, to już w szóstej klasie (15 lat) zaglądałem do Kantowskiej *Krytyki czystego rozumu*, przechowały mi się z tych czasów notatki o sądach syntetycznych *a priori*. Spencer, Kant, Schopenhauer, Nietzsche, Szekspir, Goethe, Montaigne, Pascal, Rabelais… czego szukałem w tych lekturach, to stylu, stylu zasadniczego myślenia i zasadniczego odczuwania, niezależności, swobody, szczerości i może mistrzostwa. Pożerałem styl, sposób mówienia, ton, postawę tych ludzi, jak ktoś zgłodniały. Ale tępy byłem, ociężały, jakaś wiejska niezgrabność – i szlachecka naiwność – i słowiańska rozlewność – wchodziły mi w paradę, czułem się głupio.

Po trzecie ja, anormalny, wykrzywiony, chory, degenerat – obmierzły i wyodrębniony – przemykający się chyłkiem, bokami. Gdzie szukać tej skazy sekretnej, która mnie wyrzucała ze stada ludzkiego? Choroby fizyczne? Ależ poza lekkimi podgorączkami z płuc pochodzącymi, wcale niegroźnymi i częstymi wśród chłopców w moim wieku (co zmuszało mnie do wyjeżdżania w góry na miesiąc, lub dwa) byłem dość zdrowy… cóż więc mogło być przyczyną tego rozprzężenia wewnętrznego, wskutek którego ja, chłopiec raczej roześmiany, byłem przedziwną pokraką pokumaną ze wszystkimi zniekształceniami, z całą patologią egzystencji? Byłem – i wiedziałem o tym bez najmniejszego zdziwienia i bez cienia protestu – istotą anormalną, która nigdy i wobec nikogo nie może przyznać się do siebie, skazaną na wieczyste ukrywanie się, na konspirację. Erotyczne siły pchały mnie w dół, na ulicę, w samotne i potajemne awantury z dziewkami najniższej kategorii na dalekich przedmieściach Warszawy. Nie, nie były to prostytutki, ja w tych nieudolnych przygodach szukałem właśnie zdrowia, tego czegoś elementarnego, najniższego, więc i najrzetelniejszego – cóż począć jednak, gdy i to w mych zatrutych dłoniach przemieniało się w groteskę. Powracałem z tych dzikich spacerów do mego życia „przyzwoitego" maminsynka, do mych naiwności chłopca „z porządnej rodziny". Jak to we mnie współistniało? My wówczas – ja i kilku mych przyzwoitych koleżków ze szkoły – zawiązaliśmy Klub Wycieczkowy i chadzaliśmy na wycieczki za miasto, które to wycieczki były szczytem niewinności

i przyzwoitości. Jak mogłem jednocześnie uczestniczyć w tych obu gatunkach wycieczek?

Jak to się we mnie łączyło? Ale to się nie łączyło. I żadna z tych rzeczywistości nie była istotniejsza od innych. Byłem cały w każdej z nich. I nie byłem w żadnej. Byłem „pomiędzy". I byłem aktorem.

Życie snuło się z wolna naprzód, rozlazłe, kapryśne...

Z dala od polityki i ideologii. Ja sam.

Prywatny. Potajemny. Obok.

Zakonspirowany.

1918

W tych latach wojna światowa wzbudziła we mnie nieuleczalną tęsknotę do Zachodu.

Wspominam o tym, gdyż to chyba bardzo polskie – i dziś tak żywe, jak wtedy… Jedną z najbliższych przyjaciółek mojej matki była profesorowa Mikułowska-Pomorska, której mąż był zwolennikiem państw centralnych i zajmował stanowisko ministra w rządzie Rady Regencyjnej. Pod ich wpływem, moja matka też przejawiała lekkie skłonności pro-niemieckie, co oczywiście wystarczało abyśmy – moi bracia i ja – zadeklarowali się z pasją po stronie koalicji.

Studiowałem z napięciem zmiany frontu i zaznaczałem na mapie ołówkiem każdą zdobytą wioskę gdzieś tam, w pobliżu Reims czy Amiens, z uroczystą miną – jak gdyby od tego miało zależeć wygranie wojny. Za tym frontem zaczynała się dla mnie Europa, Rosjanie i Niemcy to było jakieś drugorzędne istnienie, śmieszne, barbarzyńskie, oddzielające od tamtego – od cywilizacji. Przeczuwałem, wiedziałem, że tam jest mój świat, moja ojczyzna, moje przeznaczenie. Kiedy w roku 1918 pękła ta zapora i Zachód zaczął przeciekać, z początku kroplami, było to dla mnie równie ważne co odzyskanie niepodległości. Byłem w tłumie, witającym Paderewskiego, jadłem czekoladę „zachodnią” przywiezioną przez Amerykan, przyjaciół Janka Balińskiego, oglądałem mundury hallerczyków, widziałem z daleka samochód ambasady francuskiej…

Antonina Gombrowiczowa, matka Witolda, lata dwudzieste XX w.

W owym czasie miałem z moim bratem starszym następujący dialog, na wsi, w Małoszycach.

– Dobrze byłoby zrobić jaki chodnik, żeby nie topić się w błocie idąc na gumno albo do stajni. ↓ ↔

– Głupiś! Mrzonki! Trzeba myśleć realnie. U nas są inne warunki.

Inne warunki! Europa to dla mnie przede wszystkim były *inne warunki*. Tam nie obowiązywał ten okropny realizm, charakterystyczny dla całego Wschodu, którego tyle się nasłuchałem od rozmaitych wujów i nie wujów, realizm straszliwie uległy wobec natury, wypełniony przekonaniem, że *naprawdę* świństwo jest obowiązujące i nie dasz rady, musisz się w nim topić. Ja Francję i Anglię wyobrażałem sobie właśnie jakoś tak: jakby tam wyłaziło się z błota i odnajdywało twardy grunt pod stopami, wracała pewność i swoboda ruchów.

Później, w Ameryce, spotkałem się z taką samą dręczącą nostalgią za Europą – ludzie, którzy, wiedząc że nigdy nie będzie ich stać na

przeskoczenie Atlantyku, kupowali sobie coś europejskiego… porcelanę, mapkę Paryża lub Rzymu… i przechowywali to jak świętość. Znałem i takich co lepiej z tych mapek posiedli topografię Paryża niż rodowity paryżanin.

Jakiż wspaniały był ten rok 1918-ty! Byłem jeszcze za młody aby pojąć całą piękność finału pierwszej wojny światowej – o ileż bardziej napiętego poezją od zakończenia drugiej wojny. Było to jakieś wzruszające budzenie się do nowego życia, pełne obietnic, druzgotanie tronów monarszych i sztywnych kołnierzyków, wąsów i przesądów „honorowych", wolność ciała mieszająca się z wolnością ducha, pogrom tużurków, lakierek, wielkie rozprężanie się młodzieży witającej swój czas, wielki wiatr swobody gdy kolana kobiece ukazywały się spod spódnic… Nie upijałem się tym jak starsi ode mnie o kilka lat poeci z grupy Picadora, późniejsi Skamandryci, którzy już przygotowywali swój start, ale przecież czułem elektryczność w powietrzu. Europa! To słowo podniecało nie mniej niż słowo Polska. Europa skrwawiona ale już błyszcząca, wschodząca jak księżyc nad do niedawna „prywislanskim" krajem, nad naszą gubernią.

Nie sformułowałem tego jasno, ale czułem, że zarysowuje się w dali jakaś możliwość wyzwolenia się z brzydot polskich, które mnie męczyły.

Wsola, 1922 r. Pierwszy od prawej Witold, od lewej Aleksandra i Jerzy Gombrowiczowie

Popołudnia spędzałem wówczas u Balińskich – których dom był, jak to się mówiło, „światły", „kulturalny", obfitujący w liczne kontakty z Paryżem, Londynem, nieobcy też literaturze i sztuce. Nie miałem naturalnie dostępu do uroczystych śniadań, jakimi prezes Ignacy podejmował nuncjusza i inne osoby z korpusu dyplomatycznego, ale Staś Baliński raczył od czasu do czasu wtajemniczać nas, Kazia, Zazę i mnie, smarkaczy, w poczynania poetów Pikadora i Skamandra, którzy rozpoczynali swoją poetycką ofensywę. To było pierwsze moje zetknięcie z literaturą. Wysłuchiwałem z podziwem owych uroczystych plotek, dotyczących rozmaitych szaleństw, ekscentryczności,

prowokacji Tuwima, Lechonia, Słonimskiego, i wsłuchiwałem się w pierwsze ich wiersze nic prawie nie rozumiejąc. Przy tym wszystkim, pozostałem prowincjonalny do szpiku kości, nieśmiały, wiejski, dziki, trochę maminsynek i choć duchowo przeżywałem z wielką intensywnością budzącą się nowość polskiego życia, w praktyce nie umiałem nawiązać z nią styczności.

Myślę, że Stasiowi ani do głowy nie przyszło, iż ten nieśmiały i niewypierzony Ita (to przezwisko przywiózł mi z Japonii mój ojciec chrzestny, generał Dowbór-Muśnicki, i tak mnie wówczas nazywano) przemieni się kiedyś we wroga numer jeden Skamandra i wielu innych rzeczy, które on, Staś, cenił – nie wiedział, że żmiję hoduje na łonie. Myślę, że do dziś trudno mu uwierzyć, iż ten Gombrowicz z *Ferdydurke* i *Dziennika* jest tym samym potulnym Itą sprzed lat, nabożnie przyjmującym jego poetyckie objawienie.

Ale bo też ja wtedy nie umiałem się wypowiedzieć! Prawie z nikim! Ze starszymi, z rodzicami, z rodziną, z obcymi byłem jak sparaliżowany, jedynie z kilkoma najbliższymi towarzyszami odzyskiwałem zdolność – wcale niezłego – mówienia. I dojrzewały we mnie bunty, których nie umiałem zrozumieć ani okiełznać. Przypominam sobie pogrzeb, w którym brałem udział, pogrzeb pewnego krewnego – szli za trumną Balińscy, bardzo poprawni, i wiele innych osób – a mnie wtedy napadł demon i zacząłem zachowywać się prowokacyjnie, wsadziłem ręce w kieszenie, kopałem wszystko co mi się po drodze nasunęło, oglądałem się za kobietami, w końcu ku przerażeniu moich rodziców zacząłem głośno gawędzić z innymi nie mniej przerażonymi uczestnikami pogrzebu – w końcu, już na cmentarzu, napadł mnie śmiech niezwalczony i dusiłem się nad trumną z nieprzytomnego chichotu… ↔

Klasa V Gimnazjum Wielopolskiego, 1918 r. W rzędzie środkowym, pierwszy z lewej, (w krawacie) stoi Witold Gombrowicz

W miarę dojrzewania stawałem się coraz bardziej niebezpieczny. Moje wypracowania z polskiego były najlepsze i to mnie ratowało, bo w innych materiach byłem nieuk i leń. Pewnego razu nasz profesor, Ciepliński, zadał nam wypracowanie klasowe o Słowackim. Znudzony wiecznym kadzeniem wieszczowi, postanowiłem dla odmiany dać mu bobu. Początek, o ile pamiętam, brzmiał jak następuje: „Juliusz Słowacki, ten złodziej, który okradał Byrona i Szekspira i nic własnego nie potrafił wymyślić". Dalszy ciąg nie ustępował początkowi. Profesor Ciepliński postawił pałkę i zagroził, że prześle wypracowanie do ministerstwa, na co ja zapytałem dlaczego zmusza uczniów do hipokryzji. I, aby go zniszczyć, zadeklamowałem na całą klasę ustęp z tomiku jego, Cieplińskiego, wierszy: KSIĘŻYC LEJE NA SOSNY I WYSMUKŁE ŚWIERKI. ↓

1920

Gdy w roku 1920 (miałem szesnaście lat) bolszewicy przełamali front i doszli aż pod Warszawę, ja, przydzielony do jakiejś tam wojskowej służby pomocniczej, zamiast się rozgrzać doznałem chłodu wprost lodowatego… i to znów mnie wyrzuciło poza… na margines…

Skończyłem szkołę średnią, zdałem maturę (ledwie, ledwie, zawsze z biedą przełaziłem z klasy do klasy; ale przełaziłem). Co robić? Wstąpiłem na wydział prawny uniwersytetu warszawskiego, nie żeby prawo mnie interesowało (pogardzałem), ale żeby móc dalej ciągnąć od ojca pieniądze. ↓

Miałem lat szesnaście i ukończyłem szóstą klasę, gdy nadciągnęło dramatyczne lato 1920 roku. Te wakacje spędzałem na wsi, w Małoszycach. Stopniowo komunikaty wojenne stawały się coraz groźniejsze i w końcu zaczęły docierać nawet do mojej młodzieńczej świadomości. Bolszewicy zbliżali się. Pewnego dnia, już nie pamiętam z jakich względów, wróciliśmy do Warszawy i tam przeżyłem decydujące dni sierpniowe.

Były to ciężkie przeżycia. Z wojny światowej niewiele wspomnień wyniosłem, gdyż byłem jeszcze dzieckiem, wojnę poczułem dopiero teraz, wojnę z dodatkiem strachu przed rewolucją, i z czymś jeszcze dla mnie dotkliwszym… strachem przed służbą wojskową.

Cała młodzież zgłaszała się wówczas na ochotnika, wszyscy prawie moi koledzy chodzili już w mundurach, na ulicach pełno było afiszów z palcem wskazującym i z napisami w rodzaju „Ojczyzna cię wzywa”, a młode panienki zapytywały młodzieńców na ulicach: – Dlaczego pan jeszcze nie w wojsku?… Przypominam sobie, że to bardzo oburzało moją babkę. – Wyobraź sobie, Tosiu – mówiła do mojej matki – co za czasy, co za bezwstyd tych pannic, zaczepiać bez żenady młodych ludzi, przecież taki może jej odpowiedzieć: pani mi się nie podoba! Ale wprędce i babka przestała się przejmować tym co wypada i co nie wypada, zaczynało robić się gorąco.

Dla mnie wojsko to była zmora. Nie wojna, nie bitwa, a właśnie koszary, mundur, sierżant, musztra, cały tryb wojskowy, który był mi nienawistny i nie do zniesienia. W moich szesnastu latach zdarzało mi się myśleć z niepokojem o czekającym mnie wojsku za lat pięć – aż tu tymczasem psi figiel Historii sprawił, że panienki na ulicach nagabywały mnie już teraz: – Dlaczego kawaler nie w mundurze? Co prawda byłem najmłodszy w klasie – ale sam rozumiałem, że to wykręt. Co prawda moja matka, przerażona, potępiała rząd za „werbowanie dzieci" – ale nie łudziłem się, że to był wyraz jej egoistycznego strachu o własne dziecko. Pod jednym względem przynajmniej byłem na wysokości sytuacji: nie oszukiwałem się, nie ukrywałem przed sobą, że się boję wojska i jestem do niczego.

Cóż za upokorzenie! Tym bardziej, że nie byłem dotknięty chorobą, czy ułomnością – na pozór nic mi nie brakowało. A więc byłem tchórzem? Dzisiaj z większym spokojem odnoszę się do tego mego tchórzostwa, wiem, że natura moja powołała mnie do pewnych specjalnych zadań i rozwinęła we mnie inne cechy, nie mające z wojskiem nic wspólnego. Ale chłopak szesnastoletni nic jeszcze nie wie o sobie i nie ma dla niego zbawienia, jeśli nie jest jak wszyscy chłopcy w jego wieku. Ten rok 1920-ty uczynił ze mnie istotę „nie taką jak wszyscy", wyodrębnioną, żyjącą na marginesie społeczeństwa. Takim życiem marginesowym żyję do dzisiaj – w dalszym ciągu moich wspomnień może wyjaśnię, jak takie wyobcowanie ze społeczeństwa można pogodzić z pracą z istoty swojej społeczną, jaką jest literatura. Ten rozbrat z gromadą, z narodem, zmuszający do szukania własnych dróg i życia na własną rękę, począł się dla mnie w owym pamiętnym roku bitwy warszawskiej.

Stanowcza opozycja mojej matki przemogła wolę ojca, który domagał się abym „spełnił swój obowiązek". Zostałem przydzielony do jakiejś cywilnej instytucji – nie pamiętam, jak się nazywała – trudniącej się przesyłaniem paczek żołnierzom na froncie. Mieściła się ona w gmachu uniwersytetu i zatrudniała kilka panienek, oraz kilku chłopców, którym rodzice „nie pozwolili iść do wojska", jak mnie.

Trudno by mi było opisać ówczesny mój stan psychiczny, tak ważny przecież dla całego późniejszego rozwoju. Byłem upokorzony – byłem

też zbuntowany – te przygody pchnęły mnie w anarchię, w cynizm i po raz pierwszy zwróciłem się przeciw ojczyźnie, państwu i innym instrumentom zbiorowego nacisku na jednostkę. Byłem dość uczciwy aby nie wykpiwać się frazesami z sytuacji, której niedwuznaczność nie pozostawiała nic do życzenia. Nie miałem prawa być patriotą, skoro uchylałem się od wojska w takiej chwili. Co prawda nie mnie jednego nie puścili rodzice do wojska, sporo było szesnastolatków po rozmaitych cywilnych urzędach, ale tego rodzaju argumenty to była blaga i wolałem spojrzeć prawdzie w oczy. Ale wówczas nie umiałem jeszcze przeciwstawić gromadzie jakiejś filozofii broniącej jednostki, mogłem jedynie odpowiedzieć buntem – miałem uczucie, że jestem sam, sam, przeciwko wszystkim, że trzeba mi się zamknąć w sobie i nikomu nie dawać dostępu.

To, że młodzieńca bierze się siłą do wojska – że go się zmusza do przysięgi i że taka przymusowa przysięga jest traktowana jak dobrowolne zobowiązanie – zostaje się on na rok lub dwa niewolnikiem sierżantów i oficerów – że wymaga się od niego ślepego posłuszeństwa i ofiary z własnego życia – to wszystko może być do przełknięcia tylko dla osób, które służbę wojskową już mają poza sobą, lub dla takich, którym rutyna i zwyczaj zastąpiły bezpośrednie wyczucie rzeczywistości. ↔ Ja byłem jeszcze o sto mil od opanowania intelektualnego tych trudnych zagadnień, ale już zaczynałem rozumieć, że życie ludzkie w Polsce jest tanie. W literaturze zachodniej, przede wszystkim francuskiej, którą zaczynałem studiować, jednostka miała większą wagę. Człowiek i jego egzystencja były tam sprawą poważną, ważniejszą bodaj od losów państw i narodów. Próbowałem też zrozumieć coś niecoś z *Prolegomena do wszelkiej przyszłej metafizyki* Kanta – i tu także objawiało mi się fundamentalne znaczenie tego „ja", tak postponowanego w moim kraju rodzinnym.

Myślę, że to rok 1920-ty uczynił ze mnie to, czym pozostałem do dzisiaj – indywidualistą. A stało się tak dlatego, że nie potrafiłem sprostać moim obowiązkom względem narodu w momencie szczególnego zagrożenia świeżej naszej niepodległości. To postawiło mnie w sytuacji przymusowej – nie miałem wyboru. Patriotyzm bez gotowości poświęcenia życia za ojczyznę był dla mnie pustym słowem.

Ponieważ we mnie tej gotowości nie było, musiałem wyciągnąć konsekwencje.

Naturalnie w późniejszym rozwoju wszystkie te fermenty młodości ucywilizowały się i uładziły. Ale nie zniknęły. Niedawno pewien znakomity uczony, odznaczony Nagrodą Nobla, dziwił się po przeczytaniu jednej mojej książki, że tak mało jestem Polakiem – bo dla niego Polacy to była śmierć bohaterska na polu walki, Szopen, powstania i ruina Warszawy. Odpowiedziałem:

– Jestem Polakiem, doprowadzonym do ostateczności przez Historię. ↔

*

Jesień tego roku – 1920-go – spędziłem w Małoszycach. Szkoły były nieczynne, gdyż wszyscy prawie uczniowie klas wyższych pełnili jeszcze służbę ochotniczą w wojsku. Kiedy więc przeszły dni najgorętsze obrony Warszawy i zwycięskiej ofensywy Piłsudskiego, wysłano mnie na wieś żebym powetował sobie lato zmarnowane w mieście.

Ten kilkomiesięczny pobyt w Małoszycach zapisał się w mojej pamięci w sposób szczególnie przykry. Wiecie już, jak bardzo zdemoralizował mnie fakt, że nie zgłosiłem się na ochotnika wzorem innych moich kolegów. Wróciłem do Małoszyc upokorzony, a zarazem zbuntowany – nikogo tam nie było oprócz służby i pani Bednarczykowej, gospodyni, z którą grywałem w szachy. Rzecz dziwna: zdawałoby się, że cały ten zamęt uczuć i myśli, wywołany kryzysem wojennym i osobistą kompromitacją, powinien doprowadzić mnie do jakiejś bolesnej rozterki wewnętrznej, a tymczasem wyładował się w atakach chorobliwego snobizmu!

Mój starszy brat, Jerzy, już od dłuższego czasu opracowywał nasze archiwum rodzinne – kilka setek dokumentów, sięgających końca piętnastego wieku. Wydobył je ze skrzyni, posegregował i rozpoczął studia nad przeszłością rodziny Gombrowiczów. Ja naśladowałem go wtedy pilnie, więc i tę manię przyswoiłem sobie i wkrótce posiadłem dość szczegółową wiedzę o tych dokumentach. Pierwszym utworem

literackim mojego życia była, napisana w tych latach, monografia *„illustrissimae familiae Gombrovici”*, jak ją pretensjonalnie ochrzciłem. Pozostała w maszynopisie, zresztą nic nadzwyczajnego nie zawierała, bo Gombrowicze nigdy ponad szlachtę nie wyrośli, ale każdy szczegółik dotyczący dóbr, urzędów, czy koligacji wypełniał mnie rozkoszą i powodował jeszcze gwałtowniejsze zadzieranie nosa.

Rodzeństwo Gombrowiczów: Janusz i Jerzy z żonami i dziećmi oraz Rena i Witold, ok. 1928 r.

Jak pogodzić ten głupkowaty snobizm z innymi moimi właściwościami, które czyniły ze mnie chłopca rozgarniętego, krytycznego i o dużym poczuciu komizmu. Jak to łączyło się z moją anarchią, buntem, lekturami filozoficznymi, upodobaniem w nowoczesności? Tajemnica. Byłem jednocześnie mądry nad wiek i przeraźliwie niewypierzony, cyniczny i naiwny, europejski i prowincjonalny, nowoczesny i zacofany, wszystko to gnieździło się we

mnie powodując jaskrawe dysonanse, zgrywę, fałsz, kompromitację! ↔ Stałem się sztuczny i afektowany. Ciotki z ubolewaniem komentowały: – Ten biedny Itek! Taki zblazowany! Pozuje! Sztuczność moja wywoływała sztuczność ludzi, z którymi się stykałem. Byłem nieszczęśliwy. Nie mogłem znaleźć sobie miejsca w świecie. Wszystko wypadało mi źle, nieudolnie, wszystko mnie ośmieszało, dyskwalifikowało... ↔ Świat stawał mi się niemożliwy. Wszystko było jak złośliwa karykatura. Moja rodzina, moja „sfera" socjalna – napuszone, wypieszczone, wydelikacone. Społeczeństwo, naród, państwo – wrogowie. Wojsko – koszmar. Ideały, ideologie – frazesy. A najgorszy, najbardziej sztuczny i pretensjonalny byłem ja sam – każde słowo wypadało mi nie tak, jak chciałem, każdy gest był skażony.

Bóg jakoś mi zniknął z horyzontu – właściwie nie przestałem wierzyć, tyle tylko że wiara już mnie nie interesowała, nie myślałem o tym. Samotność moja uczyniła się wskutek tego absolutna. A jednocześnie, spacerując tak po wsi, przyglądałem się tym towarzyszom moim z lat poprzednich, wiejskim chłopakom z dawnej mojej „gwardii", którzy teraz chodzili już do roboty. Oni nie byli karykaturalni! Prości i szczerzy. Jacyś rzetelni. Każde ich słowo miało dźwięk należyty – nie mogłem zrozumieć, jak to się dzieje, że kultura, wykształcenie, wychowanie fałszują człowieka, analfabetyzm zaś daje tak pozytywne rezultaty. Aż w końcu nasunęła mi się pewna myśl. ↔ Dla człowieka zamożnego chleb już nie jest wartością, bo go ma pod dostatkiem. Żyjemy życiem ułatwionym, sztucznym. Nie potrzebujemy walczyć o byt, więc wymyślamy sobie sztuczne potrzeby. Wtedy staje się wartością papieros – albo elegancja – albo genealogia – albo charty... Ta sztuczność potrzeb powoduje sztuczność formy – dlatego jesteśmy tacy dziwaczni i tak trudno nam znaleźć ton właściwy... ↔ I ta myśl o sztuczności formy klasy wyższej miała stać się jednym z punktów wyjściowych mojej pracy pisarskiej. ↓

Szkoła w Polsce

W tych pierwszych latach marzyłem, żeby podrosnąć, żeby dostać się do klas wyższych, które wydawały się niebiańską oazą cywilizacji w porównaniu z piekłem rozwrzeszczanym, rozbieganym, doskakującym, odskakującym, w stanie nieustannego wrzenia, bez jednej chwili spokoju – a do tego brud, brzydota tych miniastych szczeniaków. *Age ingrat* – wiek niewdzięczny – tak to nazywa się po francusku. Jednym z najdziwniejszych odkryć, jakich dokonałem w moich późniejszych podróżach na Zachód, było iż ów wiek niewdzięczny przejawiał się w Niemczech, czy na przykład we Włoszech, o wiele słabiej, tamci chłopcy byli o ileż mniej pokraczni… a kiedy znalazłem się w Argentynie okazało się, że tu prawie nie ma wieku niewdzięcznego. Elegancja, wdzięk, poprawność takiego brzdąca argentyńskiego, życzliwie uśmiechniętego i ładnego, jego wyczucie formy jest naprawdę godne zazdrości.

Gdybym zajrzał do Polski na parę miesięcy ↔ to przede wszystkim dokonałbym inspekcji brzdąców aby stwierdzić, czy nastąpiła poprawa od czasów mojego dzieciństwa i byłoby to dla mnie bardziej miarodajne w ocenie postępów kultury polskiej niż cała produkcja literacka i naukowa w ciągu czterdziestu lat. Naturalnie nie należy sądzić, że ja, gorsząc się już wtedy mymi pokracznymi koleżkami, sam byłem rodzajem małego Petroniusza, nie znającego co to krosty, brudne uszy i brudne paznokcie. Na odwrót raczej, niezależnie od tych przypadłości, byłem dodatkowo dotknięty rozmaitymi innymi… były to na ogół pozy, maniery, przemądrzałości, zblazowania, pretensjonalny estetyzm, owoc, słowem, nadmiaru wyobraźni a po trosze i atmosfery domowej. Dziś łatwo mi się o tym mówi, ale wtedy było to naprawdę straszne i ja naprawdę cierpiałem – w tym otoczeniu, zapamiętałym w brzydocie, i sam będąc nie lepszy! ↓

My, Polacy, cierpimy na domiar na niezłą literaturę, dość dobrą aby zapełnić nam godziny, które przeznaczamy na lekturę, a nie dość dobrą

aby zrównoważyć powstałe wskutek tego braki znajomości wielkich światowych pisarzy, na których studiowanie już nie mamy czasu.

Obawiam się, że teraźniejsza szkoła polska niewiele się różni pod tymi względami od tamtej sprzed lat czterdziestu. ↔ Czy uczeń ma, powiedzmy, jakie takie wyobrażenie o współczesnej myśli, nie tej fachowej, ciasnej, a tej najszerszej, najgłębszej? Czy wie coś o Kancie, Schopenhauerze, Nietzschem, Heglu? Czy znane mu jest nazwisko Kierkegaarda i czy zasłyszał o egzystencjalizmie? Czy wie co to jest surrealizm? Czy znane mu są wielkie prądy duchowe, które stworzyły Europę? Czy też jego wiedza jest ograniczona Polską i względami praktycznymi?

Niestety marksizm, zamiast otworzyć uczniowi głowę na świat, jeszcze silniej ją zablokował. Lekcje materializmu dialektycznego są bardzo podobne do wykładów religii w szkołach jezuickich z osiemnastego stulecia – podaje się tę doktrynę jako jedyną i najwyższą prawdę i w ten sposób marksizm staje się żelazną kurtyną, izolującą od wszystkich innych osiągnięć Europy. Marks był człowiekiem niegłupim i dobrym Europejczykiem – póki nie spreparowali go marksiści. Prowincjonalność rosyjsko-komunistycznego myślenia, przypisującego Rosjanom wszystkie wynalazki kiedykolwiek dokonane, i nacechowanego dziecinną zarozumiałością, także musi mieć trochę wpływu na szkołę w Polsce. ↓

Matka i siostra pisarza, Rena, ok. 1920 r.

Twarz epoki

Kiedy pewne obyczaje są na wykończeniu, ulegają rodzajowi sklerozy – uchodzi z nich treść żywa, a pozostaje tylko sztywność „czystej formy" jak by powiedział Witkiewicz. Otóż mnie pasjonował ten formalizm, drażniło mnie to, ale i zachwycało artystycznie – w mojej twórczości pełno takich form umierających, kilka razy, na przykład, przewija się scena pojedynku, nie mówiąc już o innym, dworskim i arystokratycznym, ceremoniale. I te gwałtowne przemiany w powszechnym sposobie bycia coraz bardziej zwracały moją uwagę na rolę formy w życiu, na wpływ potężny gestu, miny, na nasze najbardziej wewnętrzne treści. Myślę iż odczuwałem to tak silnie dlatego, że przyszło mi wchodzić w życie w momencie, gdy umierające formy owej odchodzącej epoki miały jeszcze pewną żywotność i mogły ugryźć... ↔

Dziwne były te mastodonty z tamtego, już zamkniętego, czasu, błąkające się po tej nowej demokracji, która z każdym dniem stawała się bardziej wszechobejmująca. Ale anachronizm kołatał się tu i ówdzie aż do ostatnich lat dwudziestolecia i niekiedy wystrzelał niesamowitym dziwactwem. ↔

Jedną z najważniejszych przemian formalnych owego czasu, bogatego w zmiany, było skasowanie zarostu męskiego – nie tylko brody, ale i wąsy znikały – zmiana potężna, olbrzymia, zważywszy że brodacz i wąsacz to zupełnie inny typ człowieka, niż wygolony. Skłonny jestem sądzić, że następstwa tego wydarzenia były niezmierzone – w sztuce, w moralności, obyczajach, nawet w polityce, nawet w metafizyce, choć może nietrudne do uchwycenia. Nigdy nie zapomnę wrzasku, jaki podniosła jedna moja kuzynka na widok ojca wchodzącego do mieszkania z twarzą zupełnie ogoloną – właśnie zostawił brodę i wąsy u fryzjera, zgodnie z duchem czasu. Był to krzyk przeraźliwy kobiety, obrażonej w najgłębszej swojej wstydliwości, gdyby ojciec był goły nie narobiłaby okropniejszego krzyku – i właściwie miała rację, bo to rzeczywiście był bezwstyd pierwszej klasy ta twarz ojcowska,

dotąd zawsze ukryta w uwłosieniu, teraz po raz pierwszy wyłaniająca się skandalicznie.

Tak właśnie wyłaniała się nam, wyrostkom, twarz epoki – i mój już wtedy dosyć wyczulony smak dyktował mi jasno, że pewne czyny lub opinie były „w duchu epoki", a inne nie... i to dla tych innych było wyrokiem śmierci. ↔ Z rozkoszą ↔ jąłem oddawać się prowokacji w rozmaitych dworach i dworkach sandomiersko-radomskich. Ruch robotniczy jeszcze wtedy mnie nie interesował. Z komunizmem się nie stykałem. W socjalizm nie wierzyłem – przy pierwszym zetknięciu wydał mi się ckliwym marzycielstwem. ↓

Matura

Zbliża się matura. ↔ Byłem w sytuacji nieco kłopotliwej, gdyż od kilku lat prawie nie zaglądałem do podręczników, na lekcjach ćwiczyłem się w coraz świetniejszych podpisach, z zakrętasem lub bez, a z klasy do klasy przemycałem się psim swędem. ↔ Ale jechałem na trójczynach i choć raz tylko spadła na mnie poprawka – z łaciny – byłem uczniem kiepskim i starałem się jedynie osiągnąć minimum bez którego pod koniec roku nie można było przedostać się na wyższy szczebel nauczania.

W dniu, w którym ujawni się cała prawda o tym nauczaniu szkolnym – dzień ten jeszcze bardzo odległy – ludzkość znajdzie się w obliczu gigantycznej mistyfikacji i monstrualnego oszustwa. Wyjdzie na jaw wtedy, że nauczyciel ględzi, uczeń nie słucha; że nikt nic nie robi; że uczeń oszukuje, nauczyciel daje się oszukiwać; że gdyby ścisnąć, trzydzieści godzin intensywnej nauki starczyłyby za trzy kwartały obecnej szkoły. ↔

Witold Gombrowicz, fotografia maturalna, 1922 r.

To lato spędziłem nad Bałtykiem w Sopotach. Co miałem studiować na uniwersytecie? Nic mnie nie pociągało Bogiem a prawdą – trochę może filozofia – ale już wtedy zorientowałem się, że aby coś wiedzieć o filozofii trzeba pójść do księgarni, kupić trochę książek i poczytać nie tracąc czasu na słuchanie wykładów i seminaria. Wybrałem w rezultacie wydział najwygodniejszy i najbardziej pociągający leniów: prawo. ↔

Wprędce jednak przestałem pokazywać się na uniwersytecie. Prawo okazało się nieludzkim nudziarstwem, a koledzy też nie byli zbyt interesujący. ↓

Zabrałem się do szkicowania powieści

Pod jednym względem byłem, jak moje pokolenie… nie mogłem znaleźć „swojej” rzeczywistości. Brałem jedną książkę po drugiej do ręki i mówiłem „to nie to”. Czytałem gazety wszystkich odcieni i mówiłem „to nie to”. ↔

I w końcu, zdenerwowany, prawie zrozpaczony, nie wiedząc dokąd uciekać i w co się schronić zabrałem się do szkicowania powieści – o jakimś buchalterze – i powoli wciągnąłem się, zacząłem nad nią pracować już systematycznie.

Była to dziwna robota – trująca. Dla początkującego pisarza wszystko jest trudne – samo opowiedzenie czegoś najprostszego, na przykład że „siadła i poprosiła o szklankę wody”, gotowe stać się dla niego problemem. Ja przeto pisałem sapiąc, jęcząc w ciągłym usiłowaniu aby tę moją prozę wywindować na wysokość sztuki, gdzie by stała się wibrująca i błyszcząca. Pracowałem ciężej, niż furman czy kucharz, więc to mi oczyszczało sumienie – a jednak, mimo to, ta praca była jakaś podejrzana, jak gdyby skłamana, była wprawdzie wysilona, ciężka, a przecież nie wzbudzała szacunku… wówczas po raz pierwszy zetknąłem się ze wstydem, który towarzyszy wszelkiej robocie artystycznej, tej zwłaszcza która nie zdobyła sobie uznania i nie jest pokupna. Ten wstyd miał ciążyć nade mną przez długie, długie lata – od niedawna dopiero trochę pofolgował.

Utwór rodzący się w takich bólach był bardzo niezgrabny ↔. Dzieło spaliłem i zabrałem się z powrotem do socjologii. ↔ Pewnej nocy ↔ obudziłem się czując na nogach ciężar – domyśliłem się, że to spory pies, który czasem przedostawał się do pokojów z kuchni, wylazł na moje łóżko. Zrzuciłem go nogami i krzyknąłem „poszoł”. Pies warknął i oddalił się – ale go nie widziałem bo było ciemno.

A w tej samej chwili złapało mnie za gardło straszne podejrzenie… nie, pewność prawie, że nie był to pies, a stwór stokroć okropniejszy… Dziś widzę, że ten incydent miał dla mnie daleko idące następstwa…

dni, przeżyte w cieniu owej złowrogiej zagadki, wprowadziły mnie w nie znane dotąd okolice ducha, do których nie tak łatwo bym się dostał na zwykłej drodze. Zetknęły mnie one z Tajemnicą, z Maską, ukazały potęgę znaczeń ukrytych, wyrwały ze zwykłego osadzenia w codzienności aby wtrącić w patos, w dramat naszej prawdziwej sytuacji w świecie. Te prawie senne rewelacje objawiły mi język sybiliczny a potężny, do którego nieraz starałem się sięgać w moich późniejszych utworach artystycznych. ↓

O życiu studenckim niewiele

↔ O życiu studenckim niewiele mam do powiedzenia, bo prawie nie brałem w nim udziału. ↔ Uczyłem się tedy bardzo mało, a na uniwersytecie prawie się nie pojawiałem. ↔ Czymże więc żyłem? Grywałem z pasją w tenisa, trochę w szachy, oddawałem się lekturze, gawędziłem z przyjaciółmi… cóż za lenistwo! A jednak nie było ono tak absolutne, jakby mogło się zdawać. Ja w tych latach zdobyłem, sam nie wiem jak, intelektualną przewagę nad otoczeniem, powoli jęło się zarysowywać, że jestem od nich rozumniejszy… Jak to się stało – dzięki czemu – czy to było takie wyraźne? – jak się godziło z moim niezdarnym sposobem bycia, z mymi rozlicznymi naiwnościami? ↔ Nie należałem do środowiska artystycznego, ani do intelektualnego. Nie byłem w żadnej grupie, żadnej akcji. Byłem niby to „obywatelskim synem", ze wsi, ale nic mnie z nią nie łączyło i z biedą odróżniałem owies od pszenicy. ↓

Kiedy byłem na drugim roku prawa zabrałem się do pisania nowej powieści. ↓ Po kilkomiesięcznej pracy dobrnąłem do końca. Była to ohydna mieszanina rozmaitych wyżywań się – w zmysłowości, w brutalności, w tanich sukcesach, w podrzędnej mitologii – historia ↔ niechlujna i „podniecająca". ↔ Przebywałem wtedy w Zakopanem i zaprzyjaźniłem się z panią Szuchową, osobą inteligentną i oczytaną, która mnie ceniła i wierzyła w moje zdolności. Oddała mi maszynopis jakoś nie patrząc i powiedziała jakoś bokiem: – Niech pan to spali. Ja od razu poszedłem do mojego pokoju, wyciągnąłem z walizki pozostałe kopie, wywaliłem wszystko na śnieg za pensjonatem i podpaliłem. ↓

Piłsudski – 1926

Byłem na czwartym roku prawa kiedy Piłsudski uderzył zbrojnie w dotychczasowy porządek państwowy. Ten cały Piłsudski nie podobał mi się – może i trochę dlatego, że to był człowiek lewicy, a moje środowisko było konserwatywne i nie ufało „masonowi", jak o nim mówiono, który, co więcej, miał organizować napady na kasy pocztowe za rewolucji 1905 roku! ↔ Propaganda, którą mu robiono, przymiotniki nadęte, które mu doczepiano, cały ten język przesadny i zarazem naiwny jego zwolenników – to mnie raziło.

Nie zapominajcie, że mnie jeszcze pozostało trochę tego dobrego wychowania politycznego, które cechowało czasy odchodzące. Ludzie owych czasów wyrażali się oględniej i poważniej, kłamstwo zbyt jaskrawe, górnolotność, przesada, serwilizm były jeszcze czymś rażącym – nie jak dziś, kiedy już żaden wrzask nie jest w stanie zadziwić. Trzeba też powiedzieć, że uwielbienie piłsudczyków dla Piłsudskiego było dziecinną zabawką w porównaniu do późniejszych adoracji przed ołtarzem Hitlera, Mussoliniego czy Stalina. Piłsudczycy byli przede wszystkim żołnierzami, naprawdę zakochanymi w swoim „Dziadku"; ale często byli i romantykami, nasyconymi niezdrowym oparem polskiej tradycji i polskiej sztuki. I ten właśnie punkt był dla mnie najtrudniejszy do przełknięcia. ↔ Co mnie najbardziej raziło, już w latach późniejszych, to stosunek Piłsudskiego do swojej własnej wielkości. ↔ Otóż Marszałek, Polaków traktujący bezceremonialnie i władczo, był jednak przygnieciony Polską w historycznym wymiarze, a bardziej jeszcze swoją misją – ona mu imponowała, on był na kolanach przed tym Piłsudskim-wodzem którego nosił w sobie. ↔ Aż nadszedł dzień majowy, kiedy odezwały się armaty. ↓ Ten wstrząs majowy, od którego całe państwo zadrżało, nie zdołał wydobyć mnie z mego odosobnienia. W dalszym ciągu nie mogłem – i ta niemoc była silniejsza ode mnie – żyć polskim życiem zbiorowym, ani politycznym, ani kulturalnym. Przyglądałem się z boku, czasem z zainteresowaniem, czasem z pasją – ale wziąć udział? Nie. Nie i nie. Dlaczego? Byłem

jeszcze za młody, aby jasno zdać sobie sprawę z moich racji, ale już coś niecoś wiedziałem. ↔ Nie mogłem przekonać się do solidności tej roboty, choć przecie Polska pomajowa pod wieloma względami była zjawiskiem sympatycznym i obiecującym na przyszłość. Państwo konsolidowało się, likwidowano anachronizmy, nasz antyczny porządek sprzed wojny, szlachecki, przeradzał się stopniowo w ład demokratyczny, a klasy pracujące zyskiwały coraz większe znaczenie. Wymagać aby to państwo, niedawno urodzone na trupach trzech cesarstw, stało się z wtorku na środę wzorem nowoczesnej organizacji społecznej mógł tylko ktoś przebywający duchem na księżycu.

Nie byłem ślepy i widziałem, że jednak jakoś idziemy naprzód, mimo wszystko. Tylko że... takie to jeszcze słabe ciągle było! Słabość taiła się na dnie, nie można było przedsięwziąć nic fundamentalnego, wszystko musiało być tymczasowe, ostrożne, byle załatać, byle przeczekać, żadna inicjatywa śmiała, radykalna, nie mogła w tych warunkach się utrzymać, a ludzie wybitni, jak Piłsudski, skazani byli na nijakość. ↓

Francja 1927

Skończyłem studia prawnicze. Na ostatnim egzaminie z prawa cywilnego zdarzył mi się wypadek zdumiewający, dający się porównać tylko z wygraną wielkiego losu na loterii. Po kilku pytaniach, które jako tako przebrnąłem, profesor mi mówi: – Niech pan znajdzie ten artykuł w kodeksie. Ja kodeksu na oczy nie oglądałem, nie wiedziałem w ogóle czy tego artykułu na początku szukać, czy na końcu, myślę sobie: koniec – ale na chybił trafił otwieram. I cóż powiecie? Akurat na tym artykule otworzyłem, a książka pękata choć z cieniutkiego papieru. Profesor: – No, widzę że pan kodeks zna dobrze. Ja: – Boże! ↓

Co robić? ↔ Zapisałem się z kolei na Institut des Hautes Etudes Internationales w Paryżu. Ten pobyt w Paryżu, a potem na plażach francuskich w Pyrenées Orientales, to luka ciemna, niewiele pamiętam i myślę o tym, jakbym zaglądał do studni... nie wiem... nie wiem... nasuwają mi się luźne scenki, widoki, ale jakby mnie w tym nie było, jakbym zgubił siebie samego. Jest bardzo możliwe, że owo rozprzężenie, w którym już od dawna się znajdowałem, osiągnęło wtedy kulminantę. Jak określić ten stan? Chyba nie tyle czułem się anormalny, ile *wiedziałem* że jestem anormalny i ta świadomość utrzymywała się we mnie wbrew wszystkim oznakom mojej zdrowej przeciętności. Z pozoru najzwyklejszy młody człowiek z lekkimi tylko dziwactwami, a jednak nie mający w głębi ducha najmniejszych złudzeń, że jest jak chora owca poza stadem, na bezdrożu, i wydany wszelkiemu najdziwniejszemu kształtowi, jak owe figurki z gutaperki dające się ugniatać na wszystkie sposoby, z których można zrobić największą potworność. Wiedziałem: sam, na uboczu, osobny, dowolny, a więc rozwiązły, a więc rozpasany. I stąd dziwny wytworzył się u mnie stosunek do tego co wstrętne, odpychające, ohydne – gdyż brzydząc się tym, jak każdy, czułem się jednak jakoś temu dostępny i bodaj związany z tym; ale to uczucie wypełniało mnie jeszcze większym obrzydzeniem, do tego stopnia, iż niechętnie przyjmowałem kawałek chleba ręką podany, nie na talerzyku; tak to oscylowałem pomiędzy obrzydzeniem

a wewnętrzną zgodą na ohydę. Gdybym nie był z natury lękliwy („przezorny" mawiali ironicznie moi przyjaciele), gdybym nie bał się policji, kto wie czy bym nie zaplątał się w grubsze jakieś przestępstwo – ale bałem się. Czy nie przesadzam? A jednak coś tam musiało być, w tym francuskim okresie mego życia, głęboko skażonego, bo przecież nie jest normalne że to teraz jest dla mnie jakby za zasłoną. Nie jest wykluczone, że byłem wtedy nieco obłąkany (po matce miałem pewne dziedziczne obciążenia). ↓

Skończyłem studia i co miałem robić? Za nic nie chciałem być adwokatem, ani sędzią. Prawo już mi bokiem wyłaziło, zwłaszcza gdy ta jego subtelność i precyzja stykały się z życiem następowało jakieś *qui pro quo* z nieprawdziwego zdarzenia. ↔ Już wtedy zabrałem się po cichu do pisania opowiadań i co innego miałem w głowie. Ale już właściwie było ustalone w mojej rodzinie, że wyjadę na dalsze studia do Paryża i ja nie byłem na tyle szalony, aby się temu przeciwstawiać. Owszem, do Paryża mogłem jechać, tym bardziej, iż te studia pozwalały na dalsze odraczanie służby wojskowej, której okropnie się bałem. ↓ Jestem mistyk, gdy pochylam się nad moim życiem. ↓

Pewnej nocy wybrałem się tedy w tę pielgrzymkę do serca Europy – ja, z pozoru wieśniak, nieobyty student, prowincjonalna figura, a przecież w głębi tak bardzo z tą Europą związany. Podróż przez Niemcy i Belgię, dwie noce i dzień, nie dała mi się zbytnio we znaki, gdyż łamaną niemczyzną uwodziłem sympatyczną Gretchen, która wsiadła w Berlinie, a wysiadła w Brukseli.

Witold Gombrowicz, ok. 1927 r.

Znalazłem się w końcu, rankiem, na Gare du Nord – roześmiałem się do siebie, gdym z pędzącej taksówki ujrzał Łuk Tryumfalny – tak bardzo to już było mi znane. Dobiłem do małego hoteliku w pobliżu placu Gwiazdy i rzuciłem się na łóżko. Do diabła z Paryżem, chciało mi się spać. Dopiero pod wieczór wyszedłem i zacząłem chodzić po ulicach.

Gdybym chciał w paru słowach zamknąć mój pobyt w Paryżu, to to było przede wszystkim to – chodzenie po ulicach. Nawet nie wałęsanie się. Chodzenie. Myślę, że niewielu było takich, co mniej zobaczyli

z Paryża ode mnie... nic nie zwiedzałem, niczego nie byłem ciekawy. ↓ Co robić? Zwiedzać Paryż? Było mi nieznośne to stawanie przed kościołami z zadartą głową, pielgrzymowanie do muzeów – zaszedłem kiedyś do Luwru, pogapiłem się na kilka obrazów i jeden posąg, odetchnąłem kiedy znowu znalazłem się na ulicy, w słońcu, z dala od tej śmiertelnej ciszy i tego odoru. Co robić tedy? Chodziłem po ulicach, nie jakichś tam specjalnie charakterystycznych i nie po to żeby napawać się paryską atmosferą – chodziłem, jak ktoś kto nie ma nic do roboty i tylko od czasu do czasu coś wpadało mi w oko – głos, uśmiech, gest, perspektywa ulicy, szyld. ↓

Witold Gombrowicz w okresie pobytu w Paryżu, l. 1927–1928

Byłem też ze dwa razy na uroczystościach paryskiej Polonii – wyszedłem rozgniewany, wściekły, zły, mściwie złośliwy... to było gorsze o wiele, niż można było się spodziewać, gorsze niż cokolwiek z tego co mnie w kraju raziło... te krakowiaki, te Kościuszki, te Koperniki, te sentymenty, te mowy... to okropne wytrząsanie przed Europą naszymi „zasługami kulturalnymi”! ↓

Przyznajcie, że jak na przyszłego artystę i tak zwanego „intelektualistę” była to spora i nawet skandaliczna doza ignorancji. ↓

W tym czasie byłem rzeczywiście bardzo niechętnie usposobiony do sztuki. Pełny byłem Schopenhauera z jego antynomią życie–kontemplacja, a też i Manna u którego ten kontrast jeszcze boleśniejszy przybiera aspekt. Sztuka była dla mnie dziełem choroby, słabości, dekadencji, artyści nie podobali mi się, aby tak powiedzieć, „osobiście”, wolałem świat czynu i ludzi czynu. Te fobie musiały stać się namiętne w moim wieku – dwadzieścia parę lat – kiedy to nie rezygnuje się jeszcze z piękności. Świat artystyczny przyciągał mnie swoją wolnością i blaskiem, ale odpychał moralnie i fizycznie. Wycieczka do Luwru wcale nie była taka niewinna. Schody. Posągi. Sale. ↓ „Twarz Giocondy, jakaż piękna!” ↔ „Ale cóż nam z tego? Piękna, ale czyni okropnymi twarze swoich wielbicieli. Na obrazie – piękność, a przed obrazem – snobizm, głupota, tępy wysiłek aby coś uchwycić z tej piękności, o której się jest poinformowanym, że istnieje”. Dzisiaj widzę, do jakiego stopnia te reakcje moje są polskie – polsko-szlagońskie, polsko-wiejskie, polskie z krwi i kości. Ta moja polskość nieuleczalna, której doświadczam na każdym kroku za granicą, prawie mnie śmieszy – w takim człowieku, jak ja, tak niby to „wyzwolonym” ze wszystkich więzów. Mam we krwi polską nieufność do sztuki, zwłaszcza plastycznej. ↔ Mamy takie przysłowie „nie nos dla tabakiery, a tabakiera dla nosa”. A zatem nie człowiek dla malarstwa, a malarstwo dla człowieka. Malarstwo trzeba traktować z góry, a nie padać przed obrazem na kolana! Nie wiedziałem wtedy, że wypowiadam jedną z najważniejszych formuł całego mego późniejszego rozwoju. ↓

Myślę, że w tych wspomnieniach opisując własne kłopoty opisuję w gruncie rzeczy proces formowania się Polaka z mego pokolenia

i bardziej może na tym mi zależy niż na opowiadaniu anegdot z własnej egzystencji. ↓

Moja „przezorność” nie zdołała jednak sprawić bym nie zabrnął w złe towarzystwo, w sprawki podejrzane, związane z przemytem z Afryki do Francji i, choć nic osobiście nie miałem na sumieniu, pewnego poranku musiałem wiać widząc przyjaciół moich w opałach z policją. Powróciłem z Francji do Polski. ↓

Polska – lata trzydzieste

Polska ujrzana po dłuższym pobycie za granicą okazała się nie mniej pouczająca od Paryża – po raz pierwszy mogłem spojrzeć świeżymi oczami na rzeczy wśród których wyrosłem i które dlatego nie zwracały nigdy mojej uwagi. ↔ Zaczynałem rozumieć: na Zachodzie nie było proletariatu, przynajmniej w polskim sensie tego słowa. Byli pracownicy umysłowi i pracownicy fizyczni, ludzie bogatsi i biedniejsi, ale na ogół nędza nie dochodziła do takiego zaostrzenia aby naprawdę stwarzać oddzielny gatunek człowieka, inną „klasę". Bose dziewki na ulicach paryskich były nie do pomyślenia. ↓

Tymczasem Warszawa zmieniała wygląd... znikały kamienne bruki, owe „kocie łby" rozgłośne, dorożki konne, getry, laski, meloniki, cylindry, lakierki, sztywne gorsy koszul i w ogóle sztywność... ↔ Ja, ku niemałemu zgorszeniu mej familii i rozmaitych pociotków-szlagonów, posługiwałem się często na wsi rowerem, a w mieście prawie wyłącznie tramwajami. Mój ojciec życzliwie witał te przemiany, ubolewając tylko od czasu do czasu, że wraz z anachronizmami ulatnia się dawna przyzwoitość nie tylko manier, ale i dusz. ↔ Pokolenie, do którego należałem, było w sytuacji, która nieczęsto trafia się polskim pokoleniom... wstępowaliśmy w życie już w wolnej i niepodległej, a ta idylla miała trwać pełnych lat dwadzieścia! Na moich oczach niepodległość, z początku dość mglista i nieokreślona, nabierała stopniowo ciała i krwi. Ale nie powiem, żebym się tym specjalnie entuzjazmował, moje pokolenie przyzwyczaiło się do wolności szybko i odzyskanie niezależnego bytu państwowego stało się wkrótce tematem czysto oficjalnym rozmaitych uroczystych dyskursów. Jak określić patriotyzm mojego pokolenia? Że nie był to już romantyzm, o tym powszechnie wiadomo, ale trzeba dodać, że i sentymentu w sobie nie zawierał, ani też honoru, tego „honoru" coraz mniej modnego, coraz bardziej zalatującego komizmem. Pojawiła się wśród nas, na punkcie ojczyzny, wielka wstydliwość i chyba to nas tak odróżniało od tamtej młodzieży z czasów Żeromskiego, która lubiła szumieć sztandarami

i pióropuszami. Moi koledzy byli pod tym względem podobni do mnie – coraz trudniej im przychodziły patriotyczne wylewy w prozie, czy poezji, ich wrażliwość broniła się cynizmem, woleli dowcipkować niż deklamować. Zapewne wczesne doświadczenia wojskowe, zwłaszcza z 1920 roku także przyczyniły się niemało do tak trzeźwego nastawienia. Wchodziliśmy tedy w niepodległość nie tylko bez iluzji i z nastawieniem raczej praktycznym, ale też nie mieliśmy w ogóle języka na wyrażenie naszego przywiązania do Polski, albowiem ten który odziedziczyliśmy już się fatalnie zestarzał, a nowego, autentycznego, na miarę naszą, naszego nowego gatunku i stylu, nikt nas nie nauczył. W tym sensie byliśmy zupełnie dzicy… byliśmy niemi… A jednak wszyscy byliśmy niewątpliwie i do głębi Polakami, co okazało się gdy ta niepodległość dziwna znów utonęła w Niemcach i, potem, w komunizmie. Siebie też włączam do narodu, choć karku nie nadstawiałem i te nowe okupacje tylko z daleka, z Ameryki, oglądałem – ale przecież fakt, że pomimo długoletniego przebywania za granicą nie wynarodowiłem się, jako pisarz, też coś znaczy i świadczy o solidności moich związków z krajem rodzinnym.

Witold Gombrowicz z rodzicami, ok. 1930 r.

Ale jednocześnie, aby zrozumieć ten dziwny, jakby utajony, patriotyzm moich rówieśników, należy mieć na uwadze że to pokolenie było w ogóle w pewnym znaczeniu „nieobudzone", czyli, inaczej mówiąc, pomimo cechującej je trzeźwości oddalone od rzeczywistości. I temu może nie trzeba zanadto się dziwić, gdyż przeskok pomiędzy rokiem 1914-tym a, na przykład 20-tym, był straszliwy – przemiany szły w galopie, jedna za drugą, na wszystkich polach. A to stępiało nam wrażliwość, zwłaszcza iż przeżywaliśmy ten galop będąc jeszcze w wieku dziecinnym. Prawdopodobnie najważniejszym naszym odkryciem było, iż nic nadzwyczajnego się nie dzieje i nie ma czym zbytnio się przejmować. Polska wybuchła? Urzeczywistniły się marzenia wieszczów i niewieszczów? No i co, jest Polska i koniec. Einstein, Skamander, futuryzm, wyzwolenie kobiety, surrealizm, demokracja, Liga Narodów? No owszem, jest, co z tego? Ciągle jeszcze zdawało się nam, że jesteśmy poza historią, patrzyliśmy się na to jakby się działo na

scenie i ten teatr nas bawił, śmieszył, czasem wzruszał, ale ani na jedną chwilę nie wcielał się na dobre w życie. ↓

Podejrzewam, że w przedwojennej Polsce więcej było pozoru krzywdy i niesprawiedliwości, niż prawdziwego „socjalnego wyzysku". Na oko przepaść pomiędzy hrabią, żubrem, pankiem, fabrykantem, inteligentem a robociarzem była olbrzymia. W rzeczywistości nawet ów dziedzic, fabrykant czy hrabia często resztkami gonili, pieniędzy im brakło na najpotrzebniejsze wydatki. Pozory były jeszcze szumne i dumne – czapkowanie, tytułowanie, obsługiwanie – ale Bogiem a prawdą nikomu się nie przelewało i każdy się głowił jak by tu w swojej skali koniec z końcem związać. Zdarzało się też, że im kto większy miał majątek, tym gorzej na tym wychodził. Mnie mój mizerny inteligencki dochodzik pozwalał jednak na wyjazdy za granicę, gdy mi przyszła ochota, a rozmaici moi wujowie, obszarnicy, musieli kamieniem na miejscu siedzieć, podatków i wypłat doglądać, oraz uganiać się za pożyczkami. ↓

Powróciłem do pisania

Praca w sądzie niewiele zabierała mi czasu – w sumie ze dwa dni w tygodniu. Zapełniałem resztę tygodnia książkami, których spore ilości pożerałem na chybił trafił (metoda czy też raczej brak metody najbardziej przyczyniający się do rozwoju intelektualnego, jak się o tym w późniejszym życiu przekonałem). Ale powróciłem też do innego mojego zajęcia, które od dawna porzuciłem: do pisania.

Tym razem nie były to jednak utwory poronione w samej swojej niewydarzonej koncepcji, ale praca na trzeźwo i obliczona na konkretny rezultat. Zabrałem się do pisania utworów krótkich – opowiadań – w tej myśli, że jeśli się nie uda spalę i zacznę coś nowego. ↔ Nieraz powracam w myślach do tych pierwszych moich prac literackich, które, jak się dzisiaj okazuje, nie były wcale takie nieważne, owszem, znajdują na szerokim świecie nie byle jakich wielbicieli. Usiłuję sobie przypomnieć, do jakiego stopnia byłem wówczas świadomy tego co robię. Czy, na przykład, zdawałem sobie sprawę z nowoczesności tej prozy? Z tego, że była tak niepodobna z ducha i z formy do ówczesnej naszej literatury?

Ale bardzo trudno przychodzi mi odtworzyć dzisiaj tamtejsze moje nastroje, tym bardziej, że pisanie to praca żmudna, drobiazgowa, codzienne paranie się z utworem i że, zresztą, ja pisałem trochę na oślep, nie zastanawiając się nad ogólnym charakterem mojej wątpliwej „twórczości". Jedno sobie przypominam – że od początku nonsens, absurd bardzo mi smakowały i że z niczego nie byłem bardziej zadowolony, jak gdy pod piórem rodziła mi się scena naprawdę szalona i oderwana od (zdrowego) szablonu przeciętnej logiki, a jednak mocno osadzona we własnej swojej odrębnej logice. Tak urodziły się opowiadania ↓ Zaczynałem rozumieć moje powołanie i to mnie uspokajało... Nie chcę obciążać tych wspomnień wywodami zanadto wyrafinowanymi. Powiem z grubsza, że ukazała mi się możliwość zabiegu, który tak wielkie ma zastosowanie w sztuce – przetwarzania słabości w siłę, defektów w wartość. Jeśli nie byłem dość autentyczny

i związany z rzeczywistością, to właśnie to mogło stać się autentycznym i rzeczywistym moim dramatem. Ale póki co oddawałem się nadal fabrykacji fantastycznych opowiadań, odkładając na potem porachunki z życiem – moim i cudzym. Byłem pochłonięty wyrabianiem sobie formy, odkrywaniem moich właściwości jako stylisty, opowiadacza… Wyobraźnia! Pozwalałem jej brykać gdzie chciała – idąc w jej ślady organizowałem to co ona mi podrzucała. ↓

Śmierć ojca

W tymże roku 1933, roku wydania pierwszej mojej książki, zmarł ojciec. Już od wielu miesięcy chorował, ale pogorszenie nastąpiło nagle i przy śmierci tylko ja byłem obecny i moja matka. Bracia zjechali ze wsi dopiero następnego dnia.

Ta śmierć pozostawiła mi nieco zawstydzające wspomnienia. Gdy skonał, spróbowałem objąć matkę aby choć w ten sposób okazać moje uczucie – ale gest wypadł niezręcznie, i jak w okamgnieniu, ukazała mi się cała moja nędza: byłem niezdolny do zwykłych ludzkich odruchów, do serdeczności, czułości, byłem jak sparaliżowany formą, stylem, tym całym przeklętym sposobem bycia, który sobie urobiłem... i oto rodzonej matce nie byłem w stanie dostarczyć trochę ciepła w tym momencie! W naszej rodzinie panował dystans, byliśmy zanadto krytyczni, ironiczni, sarkastyczni, za wiele mieliśmy poczucia śmieszności, to zabijało w nas każdy żywszy odruch. Mówię o sobie i braciach, gdyż obie kobiety – siostra i matka – były raczej ofiarami tego stanu rzeczy. Ale ojciec miał litewską, skrytą naturę i jego stosunek z nami nie był bliski.

Kiedy zjawili się moi bracia i rozpoczął się skomplikowany proces pogrzebowy, makabryczna mieszanina żalów ze sprawami towarzyskimi i nawet finansowymi, tudzież z najzwyklejszym snobizmem (jakie nekrologi w „Kurierze Warszawskim"? kto wygłosi mowy?), niesmak i złość wzięły górę we mnie nad wszystkim innym. Nie miałem pretensji ani do siebie, ani do braci, że nie jesteśmy w stanie tak od razu odczuć w pełni tej śmierci. Ostatecznie nikt nie rządzi swoją uczuciowością i, zresztą, sentyment musiał znaleźć moment właściwy, bardziej poufny. Ale irytowała mnie bezsilność nasza wobec formy i jej konwencjonalnych wymagań, ta potulność z jaką przybieraliśmy żałobne miny, choć naprawdę byliśmy, w naszych czarnych garniturach, tak roztargnieni...

Jan Gombrowicz, ojciec Witolda, w Krynicy, ok. 1931 r.

Tak, na pogrzebie wtargnęły we mnie niewesołe refleksje. Nasza rodzina kończyła się… wbrew pozorom, wbrew faktowi, że moi bracia pożenili się i mieli dzieci, była to rodzina w dekadencji, niezdrowa krew Kotkowskich którą mieliśmy po matce obciążająca nas potencjałem zaburzeń psychicznych była zapewne bezpośrednią przyczyną rozstroju… Ojciec był ostatnim z Gombrowiczów, cieszącym się szacunkiem, wzbudzającym zaufanie – my, następne pokolenie, byliśmy ekscentrykami o których mówiono: jaka szkoda, że nie wdali się w starego Gombrowicza. Nie miałem złudzeń co do własnej osoby – wiedziałem, że jestem rodzajem kaleki psychicznego, dla którego normalna egzystencja jest niedostępna, który musi szukać własnej drogi. Wrażliwość, wyobraźnia, kompleksy, lęki, obsesje prześladowały mnie tym silniej, im bardziej były tajone i może dlatego tak źle było ze mną iż z pozoru wyglądałem na istotę dość zdrową i nawet zadowoloną z siebie. Ale Bogiem a prawdą nie było dla mnie prostej drogi – i wiedziałem, że jeśli nie usprawiedliwię się we własnym i innych

pojęciu jakimś dokonaniem wyższego rzędu, nie pozostanie mi nic innego jak stoczyć się na poziom zwykłego degenerata.

Były to myśli ostre, raniące, twarde, które nie tylko na tym pogrzebie mnie nawiedziły i przypisuję im wielkie znaczenie dla całego mego rozwoju. W Polsce na ogół nie zdawano sobie zupełnie sprawy ze związków sztuki i całego w ogóle świata duchowego z chorobą. Panował wśród nas na ten temat zdumiewający optymizm – artysta nie był dla Polaków „neurotykiem, który sam się leczy", jak go zdefiniował Freud, ale facetem tworzącym z nadmiaru sił żywotnych i zdrowia, za pomocą specjalnego daru bogów, zwanego „talentem", sztuka według tego poglądu nie rodziła się z choroby a ze zdrowia. Ten powierzchowny optymizm udzielał się samym artystom – ileż razy zdarzyło mi się widzieć poetów, malarzy, literatów, będących prawdziwymi okazami klinicznymi, tonących w patologii, a przekonanych święcie iż nic im nie brakuje i nawet mogą być wzorem dla innych. To iż nie robiłem sobie złudzeń i w pełni uświadamiałem sobie moje obciążenia, pozwoliło mi umieścić moje pisanie w klimacie bardziej realnym i bardziej tragicznym; ale także pozwoliło uzyskać dystans do choroby; i kto wie, czy nie dało mi właśnie bardziej zaostrzonego wyczucia zdrowia i normalności. Gdyż chory lepiej od zdrowego wie co to zdrowie – podobnie jak głodny lepiej wie co to chleb.

Po śmierci ojca ośmiopokojowe mieszkanie na Służewskiej stało się za duże dla mojej matki i siostry. Przeprowadziły się do mniejszego bardzo przyjemnego mieszkanka na Chocimskiej, skąd widać było Wilanów, ja zaś zamieszkałem obok, w tym samym domu. Mogłem więc stołować się u matki, co miało swoje dobre strony. ↓

We Wsoli, ok. 1930 r. Pierwszy z lewej siedzi Jan Gombrowicz, za nim stoi Aleksandra Gombrowiczowa, z prawej Witold, w fotelu Teresa Gombrowicz, córka Jerzego

Kawiarnia

Na Sylwestra, żegnając uchodzący rok 1934-ty, urządziłem artystyczną popijawę w mieszkaniu mojej matki na Chocimskiej – matka i siostra były wtedy na wsi, więc mogłem wyrabiać z mieszkaniem co mi się podobało. Trwająca do szóstej rano zabawa była widomym znakiem mojego solidnego usadowienia się w warszawskim światku literackim. Już nie pamiętam dobrze kto tam był, ale w każdym razie nie brakło Brezy, Mauersbergerów, Tonia Sobańskiego, był Rudnicki i bodaj Choromański, było bractwo pijaków pod przewodem Światka Karpińskiego i „Minia" czyli Janusza Minkiewicza, były rozmaite aktorki, Zdzisław Czermański, Kanarek (dziś znany malarz w Stanach)... i może Witkacy i chyba Bruno Schulz... Ja byłem pod gazem, jak wszyscy, i udawałem, że się bawię, ale to nie przeszkadzało mi stwierdzić jeszcze raz jak bardzo z natury daleki byłem tego typu uciechom. ↓

Co wieczór, w okolicach dziewiątej, wyruszałem do kawiarni – do popularnej wówczas „Ziemiańskiej", w pobliżu placu Wareckiego. Zasiadałem przy stoliku, zamawiałem „pół czarnej" i czekałem aż zbierze się grono kawiarnianych kompanów.

Kawiarnia może stać się nałogiem, jak wódka. Dla prawdziwego bywalca nie pójść do kawiarni o oznaczonej godzinie to po prostu zachorować. Ja w krótkim czasie stałem się takim maniakiem iż zawiesiłem na kołku wszystkie inne zajęcia wieczorowe, jak teatr, kino, życie towarzyskie. Trzeba dodać, że kawiarnia warszawska, kawiarnia „Ziemiańska" w szczególności, nie była jak inne kawiarnie świata – wchodziło się z ulicy w ciemność, w jakąś okropną zupę z dymu i zaduchu z której to otchłani wyzierały zdumiewające oblicza usiłujące coś wykrzyczeć i wygestykulować w powszechnym szumie. Krogulcze rysy rozmaitych „schöngeistów", czyli pięknoduchów intelektualnych, bratały się z poczciwością i okrągłością gąb wsiowskich, chłopskich,

wczoraj przybyłych z Lubelskiego, spod Lwowa, zdarzała się twarz cwana z przedmieścia a czasem wystrzelał sumiasty wąs szlagona – albowiem była to kawiarnia poetów, a poeci rodzą się wszędzie, jak robactwo.

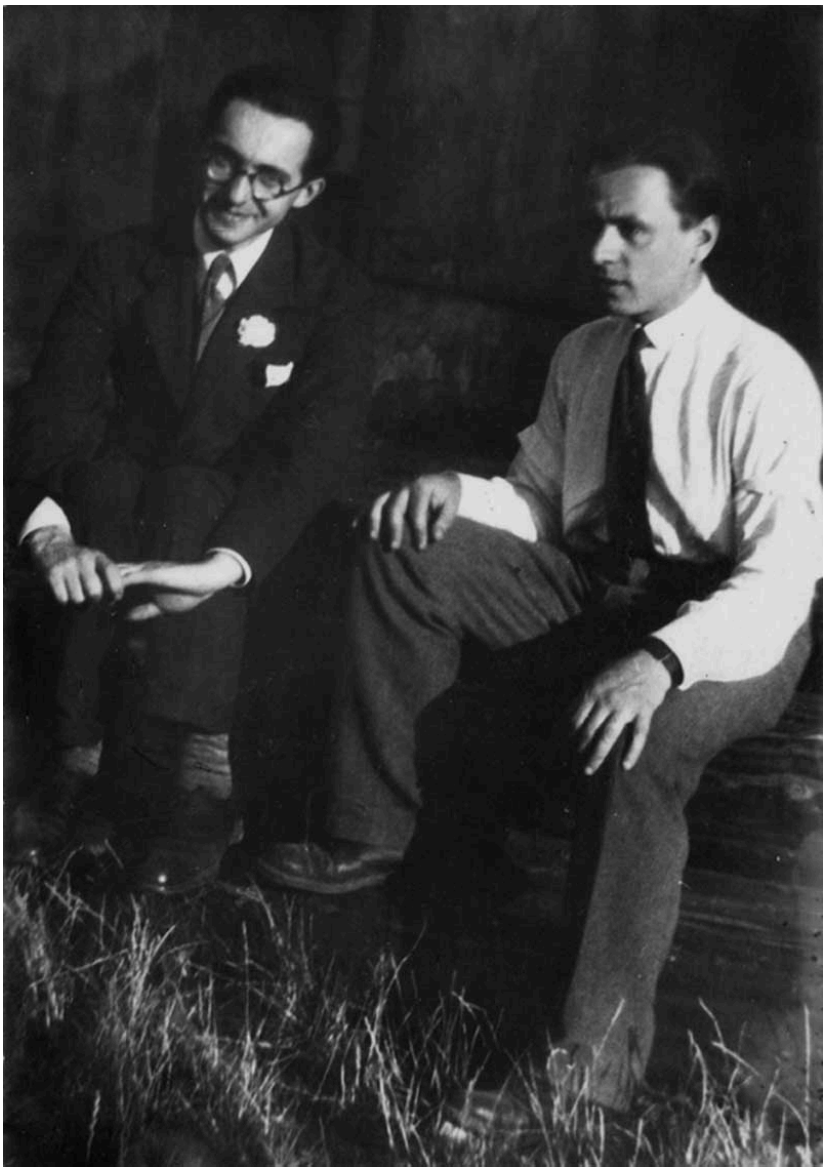

Koledzy szkolni pisarza, Kazimierz Baliński i Tadeusz Kępiński, 1932 r.

„Ziemiańska" miała swoją hierarchię, był to budynek w sensie duchowym kilkupiętrowy i nie tak łatwo było przeflancować się z niższego piętra na wyższe.

Parter stanowiła rozmaita młodzież, początkująca, jeszcze nie znana i na ogół nie mająca prawa głosu, a także inni kibice, rekrutujący się na

ogół z półinteligencji, którym braki wykształcenia i ogłady utrudniały czynny udział w sympozjonach. Coś jak chór grecki, ale niemy, ważny samą obecnością swoją – gdy kilku takich bezgłośnych smakoszy przysiadało się niemo do jakiejś grupki, oznaczało to iż przy tym stoliku dziać się będą rzeczy godne uwagi, byli to bowiem koneserzy, którym nie wymykał się żaden papier wartościowy tej giełdy literackiej. Kiedy ujawniło się, że mój stolik ma tendencję zwyżkową, od razu jęły przysuwać sobie do niego krzesła takie osoby z miną kogoś zasiadającego w pierwszych rzędach teatru – noc w noc to trwało w zupełnym milczeniu, czasem tylko któryś kaszlnął albo zachichotał.

Pierwsze piętro to byli przede wszystkim „poeci proletariatu" – nazwa ta obejmowała nie tylko piewców klasy robotniczej, ale i tych co, wywodząc się z niższych sfer społecznych, stali się czcicielami przeróżnych surrealizmów, dadaizmów i tym podobnych ultramodernizmów, którymi nadrabiali bardziej istotne prymitywizmy i zacofania. Brali udział w dyskusjach, ale nie bez trudności, gdyż najczęściej mieli tylko jednego jedynego konika do dosiadania – w rodzaju, na przykład, marksizmu, albo estetyki poetyckiej Peipera, albo psychoanalizy – a wszystkie pozostałe konie ludzkości były im zupełnie nie znane. Trzeba zresztą przyznać, że w tej sytuacji, niezbyt wygodnej, znajdowała się przygniatająca większość bywalców „Ziemiańskiej" – ignorancja tych intelektualistów była czymś niewiarygodnym, z pomieszania pojęć i lektur, z załapywanych tu i ówdzie bez składu ni ładu okrawków, ogryzków rodziła się jakaś wiedza fantastyczna, podobna tej chmurze falstaffowskiej, coraz inne przybierającej kształty.

Następne piętro stanowiły już „nazwiska" – autorzy, artyści, których akcje były notowane, choć jeszcze nie mogący pretendować do sławy. A na samym szczycie, nawet w fizycznym znaczeniu, bo na półpiętrze, wyniesiony ponad tłum, świetniał stolik Skamandrytów – Słonimski, Tuwim, Iwaszkiewicz, Wieniawa-Długoszowski i inne wielkości, przerzucające się dowcipami.

Mój sposób bycia w „Ziemiańskiej" nacechowany był nonszalancją, wyraźnie świadczącą iż nie potrzebuję „zarabiać piórem" i przyśpieszać zbyt nerwowo mojej kariery pisarskiej. Do Skamandrytów prawie nigdy

nie zaglądałem, gdyż jeszcze nie byłem z nimi na równej stopie i nie mogłem sobie z nimi pozwolić na to, czego bym pragnął. Byłem zresztą niewybredny w wyborze kompanii, właściwie było mi dosyć wszystko jedno, kto się przysiądzie, a nawet co bardziej pokraczni półinteligenci najzupełniej mi do gustu przypadali, gdyż był to element o ileż bardziej nieprzewidziany i poetyczny niż ludzie o poprawnych krawatach i uładzonych łepetynach. Z rumieńcem skromności, ale i ze słuszną dumą wyznam że wkrótce uzyskałem spory mir w „Ziemiańskiej" i nierzadko stolik mój był nawiedzany przez sporą liczbę kibiców, którzy zajmowali przy nim miejsca zanim jeszcze ja się zjawiłem – moje dowcipy, miny, powiedzonka, moja dialektyka, poetyckie wzloty, filozoficzno-psychologiczne wywody, artystyczne wypowiedzi, druzgoczące wypady lub podstępne prowokacje, wszystko to elektryzowało słuchaczy, a głównie dlatego, że było akurat przeciwieństwem tego, co na ogół w „Ziemiańskiej" było przyjęte. Nie wielbiłem poezji, nie byłem ani zanadto postępowy, ani nowoczesny, nie byłem typowym intelektualistą, ani nacjonalistą, ani katolikiem, ani komunistą, ani prawicowcem, nie czciłem ani nauki, ani sztuki, ani Marksa – kimże byłem tedy? Byłem najczęściej negacją mojego przerażonego rozmówcy, który dopiero po wielu posiedzeniach spostrzegał iż ja dyskutuję dla sportu, dla zabawy, a także z ciekawości żeby na wszelki wypadek zbadać odwrotność każdej tezy... ta przekora, która mi jeszcze z młodości pozostała, z dyskusji z moją matką, nadawała moim dialogom polot czegoś rozbawionego a zarazem naprowadzała nas czasem na tory naprawdę nieprzewidziane. Przypuszczam że ilość bzdur, nonsensów i kretyństw, wypowiedzianych przeze mnie w „Ziemiańskiej" sięga cyfr astronomicznych, a jednak przeświecał przez te szaleństwa mój naturalny zdrowy rozsądek i ta trzeźwość, ten realizm, które były we mnie tak czujne. Moja działalność w „Ziemiańskiej" przy wszystkich swoich dziwactwach miała przecież zupełnie solidne podstawy i, jak myślę, wcale taka głupia nie była.

Potrzebowałem ofiar... Byłem uszczęśliwiony gdy nawinął mi się ktoś prostoduszny a gorący, z którym mogłem igrać jak kot z myszą... I zdarzało się, że te ofiary przeistaczały się w wyznawców, nawet

w przyjaciół – stąd powstała paczka, do której w późniejszych latach należeli Stefan Otwinowski z żoną, panią Ewą, poeta Staś Piętak, Lipiński, redaktor „Szpilek" też z żoną, Jerzy Pietrkiewicz i inni. Czasem następowały krótkie spięcia, miarka się przebierała i ten i ów z trzaskiem zrywał się i odchodził, obrażony. Ale na ogół więcej śmiechu niż obraz bywało. ↓

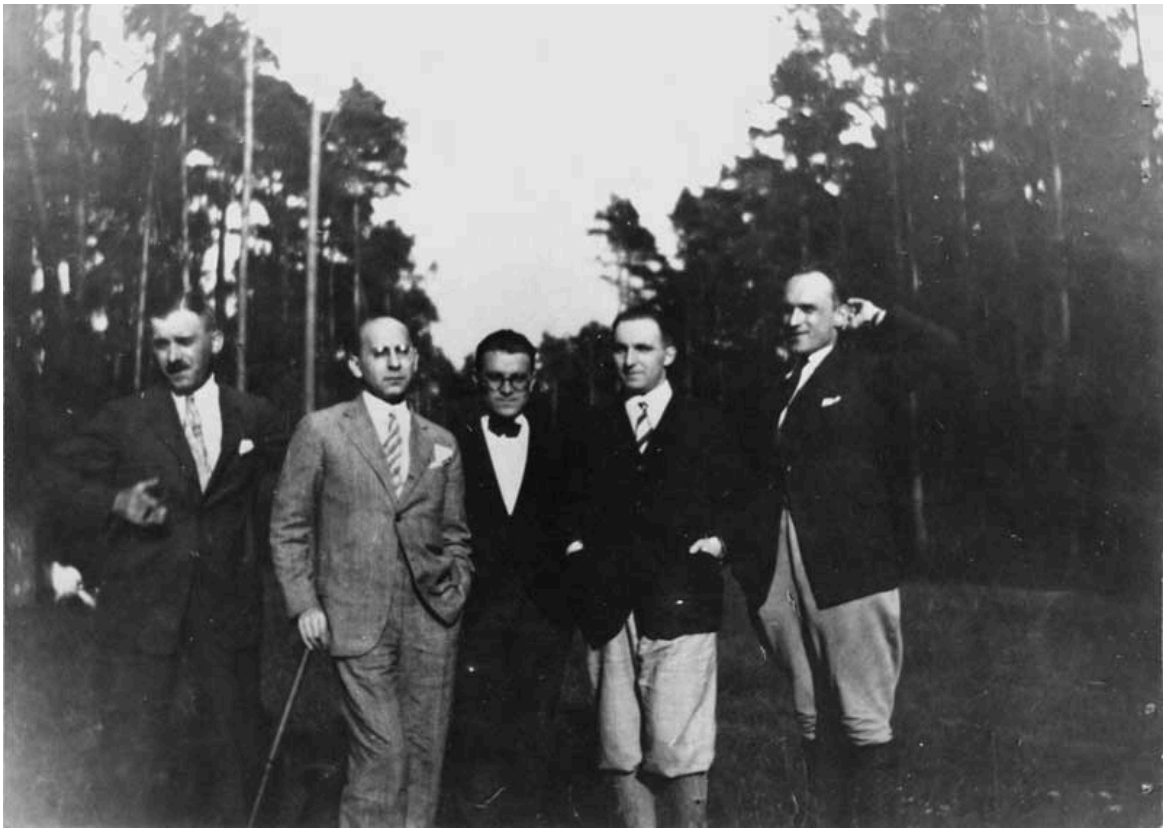

Podkowa Leśna, ok. 1928 r. Od prawej: Jarosław Iwaszkiewicz, Stanisław Baliński, Roman Jasiński (poeta), Antoni Słonimski

Bruno Schulz

Rzecz dziwna – nie mogę sobie przypomnieć, jak zapoznałem się z Brunonem Schulzem. Czy to nastąpiło na jednym z zebrań u Zofii Nałkowskiej? Nie, chyba on zatelefonował do mnie, że czytał mój *Pamiętnik z okresu dojrzewania* i chciałby ze mną pogadać.

Ale mam go w oczach, takim jak go po raz pierwszy ujrzałem: maleńki człowieczek. Maleńki i zalękniony, mówiący cichuteńko, niepozorny, spokojny, łagodny, tyle tylko że z jakimś okrucieństwem, z surowością utajoną na dnie spojrzenia, prawie dziecięcego.

Ten to człowieczek był najznakomitszym artystą ze wszystkich, jakich poznałem w Warszawie – nieporównanie znakomitszy od Kadena, Nałkowskiej, Goetla i tylu innych akademików literatury, lśniących od honorów, panoszących się w prasie i w salonach stolicy. Proza rodząca się pod jego piórem była twórcza i nieskalana, to był wśród nas artysta najbardziej europejski, mający prawo zasiadać w gronie najwyższej arystokracji intelektualnej i artystycznej Europy. Jednakże, gdy go poznałem – a było to [po] wydaniu pierwszej jego książki *Sklepy cynamonowe* – Bruno był skromnym belfrem w Drohobyczu, przybyłym na parę miesięcy do stolicy, istotą bezbronną i klepaną po ramieniu. Takim zahukanym nauczycielem z prowincji pozostał aż do tragicznej śmierci w niemieckim obozie. I obawiam się, że dziś za późno (z pewnych względów, o których za chwilę powiem) aby sztuka jego mogła narzucać się Zachodowi. A w Polsce któż go zna dzisiaj? Kilkuset poetów? Trochę pisarzy? Pozostał tym czym był, księciem podróżującym *incognito*.

Wówczas, gdy przyszedł do mnie na Służewską, jego sytuacja literacka była mimo wszystko o wiele solidniejsza od mojej. Nie przeniknął do szerszej publiczności, ale elita znała go i poważała. Ale w masochistycznej naturze Brunona tkwiła potrzeba usuwania się na drugi plan… wolał podziwiać niż być podziwiany. Po cichu i poufnie,

z dobrocią, ale jakąś dziwną, powiedziałbym „w głębi twardą” zaczął mi prawić nadzwyczajne pochwały. ↓

Potem odkryłem, nie bez rozczarowania, że Bruno nie skąpił entuzjazmu kilku innym pisarzom – nie tylko dlatego że lubił sprawiać przyjemność – w tym prowincjale żyło pragnienie luksusu, wysokich hierarchii, chwały i dumy. Jednakże ta surowość, prawie bolesna, jaką wyczuwało się może nawet nie tyle w nim, ile w jego sąsiedztwie, jakby zaczajoną w kącie, zniewalała mnie do brania bardzo na serio jego opinii o moim pisaniu. I wkrótce miałem się przekonać, że nie były to frazesy – nikt nie okazał mi tyle wielkodusznej przyjaźni i tak gorliwie mnie nie poparł.

Bruno Schulz, *Autoportret z pieskiem*, ok. 1938 r.

Taki był wstęp do licznych rozmów, prawie nigdy na tematy osobiste – Bruno przywoził z Drohobycza nienasyconą żądzę współżycia duchowego i intelektualnego, był w tym nieraz gorączkowy, męczący. On pytał i słuchał – ja wywnętrzałem się i rozprawiałem – on komentował, precyzował, docierał do sedna coraz nowe stawiając pytania. Od pierwszej chwili przybrał w stosunku do mnie postawę raczej bierną, tego kto informuje się i wypytuje... mogłoby się zdawać, doprawdy, że jest predestynowany do roli drugich skrzypiec... ale jego skupienie i natężenie, niezwykłe jakieś osadzenie w swoim losie, przeznaczeniu, demoniczna siła pasji jego rodzącej się gdzieś w sferze

seksualnej i dlatego tak tragicznej i namiętnej, czyniły jego skromne potakiwania czymś bardzo doniosłym. I wystarczało zajrzeć do jego książki, aby objawił się Schulz zgoła odmienny, a majestatyczny, o zdaniu ciężkim i wspaniałym, rozwijającym się powoli jak olśniewający ogon pawi, poeta niewyczerpany w tworzeniu metafor, niesłychanie czuły na formę, umiejący stopniować, cieniować, prowadzący tę prozę swoją ironicznie barokową jak śpiew. Niejedno z zadań artystycznych, jakie sobie stawiał, było wręcz karkołomne – a karku nie zwichnął. Wszelako w dalszym z nim obcowaniu wykryłem dwie wady, które osłabiały jego zasięg: jedna, że był zanadto poetą i tylko poetą, stąd proza jego, naładowana metaforami, sprawiała po trosze wrażenie pomyłki, chciało się odesłać go do wiersza, który był jego właściwym żywiołem. A druga, że jak wszyscy poeci polscy był zupełnie bezradny poza metaforą, nie umiał sobie dać rady ze światem i nie był w stanie go asymilować – wypracował sobie pewną formę, dosyć wąską acz bezdenną, i nie umiał pisać inaczej ani wyjść poza swoją dosyć skąpą problematykę.

Tacy ludzie zdobywają się na wielkie osiągnięcia gdy są oryginalni. Ale Bruno posuwał się śladami Kafki, z którym łączyła go krew semicka i choć w niejednym był odkrywczy, trudno nie uznać iż wizja tamtego zapłodniła i jego świat. Oto czemu nie rokuję światowego powodzenia jego rzeczom, dziś tłumaczonym na obce języki, choć wzbudzają one zachwyt niejednego znakomitego Francuza czy Anglika.

Ze mną różnił się zasadniczo w tym, że ja, równie jak on przejęty formą, dążyłem jednak do jej rozbicia i pragnąłem rozszerzenia mojej literatury aby mogła coraz więcej zjawisk obejmować – gdy on zamykał się w swojej formie jak w fortecy, lub jak w więzieniu.

Nigdy nie spotkałem kogoś mniej zawistnego, a bardziej wielkodusznie hojnego. Zawiść bywa, co tu gadać, cechą literatów – ale są inteligentni i to w wysokim stopniu cywilizuje jej ewentualne dzikości, najczęściej tak jest, że nie szkodzą, ale też żaden palcem nie ruszy żeby pomóc rywalowi w wydrapaniu się na Parnas. Wspaniała bezinteresowność Bruna wybuchnęła całym swoim blaskiem, gdy ukazało się trzecie z kolei moje dzieło, powieść *Ferdydurke*. Pierwsze jego zetknięcie z nią było niezbyt szczęśliwe. ↔

A przecież my startowaliśmy razem – i gatunek naszej twórczości czynił nas rywalami – i on był o dziesięć lat ode mnie starszy! Taka bezinteresowność nieczęsto się zdarza wśród pisarzy.

Pewnego razu zaprowadził mnie do Stanisława Ignacego Witkiewicza. Tak to Witkiewicz, Schulz i ja, trzej ludzie usiłujący wprowadzić literaturę polską na tory nowe, nareszcie zetknęliśmy się osobiście. ↓

O wiele bardziej łączyła nas opinia publiczna, niż my łączyliśmy się między sobą. Bruno i ja nie mieliśmy bliższych stosunków z Witkacym – i w gruncie rzeczy jeśli pominąć entuzjazm którym darzył mnie wielkoduszny Bruno, panował wśród nas sceptycyzm i chłód. Ja nie wierzyłem w sztukę Witkiewicza, a znowuż dla niego byłem zanadto maminsynkiem i niczego większego po mnie się nie spodziewał. Co się tyczy Brunona, to obaj z Witkacym odnosiliśmy się do jego rzeczy z pewną rezerwą i miał on w światku warszawskim o wiele gorętszych wielbicieli. ↓

Trudno mówić o przyjaźni – w dobie, kiedyśmy się przyjaźnili, byliśmy obaj jeszcze nie urodzeni. Rok 1934, 35. W Alejach Ujazdowskich. Spacerujemy. Rozmawiamy. On i ja na Służewskiej. On, Witkacy i ja. Nałkowska, on i ja. W tym filmie „przewijającym się na ekranie pamięci" widzę go, jak kogoś prawie obcego, ale i siebie widzę w ten sposób – to nie jesteśmy my, to tylko wstęp do nas, uwertura, prolog.

Chcę od razu wywalić moją nieprzyzwoitość drażniącą i w złym guście: *Bruno mnie wielbił, a ja jego nie wielbiłem.*

Pierwszy raz zjawił się u mnie, na Służewskiej, już po wydaniu *Sklepów cynamonowych* – ja wtedy byłem po *Pamiętniku z okresu dojrzewania.* Drobny, niesamowity, chimeryczny, skupiony, natężony, prawie pałający – i tak się zaczęły rozmowy, przeważnie na spacerach.

Rzecz pewna, bardzo siebie potrzebowaliśmy. Znajdowaliśmy się w próżni, nasze sytuacje literackie przeszyte były pustką, nasi admiratorzy byli czymś widmowym w rodzaju *aparent rari nantes in gurgite vasto,* obaj pętaliśmy się po literaturze polskiej niby zakrętas, ozdoba, chimera, gryf.

Bruno, po przeczytaniu pierwszej mojej książki, odkrył we mnie towarzysza. Zgłaszał się żeby znaleźć we mnie potwierdzenie, żebym ja mu dostarczył tego Zewnątrz, bez którego jego życie wewnętrzne skazane było na monolog – i mnie chciał wyrządzić tę samą przysługę. Zgłaszał się jako przyjaciel, ba (podkreślam z naciskiem) jako duch pobratymczy by rozbudować i podnieść mi ducha.

Tutaj zdarzył się „kiks", albo „zwichnięcie", wyrażając się językiem naszych utworów... jego wyciągnięta ręka nie natrafiła na moją. Nie odwzajemniłem mu tych uczuć, dałem mu z siebie okropnie mało, nic prawie, nasz związek stał się fiaskiem... ale może to właśnie było nam – sekretnie – na rękę? Może fiasko raczej, nie zaś szczęśliwa symbioza, potrzebne było jemu i mnie?

Dziś mogę mówić wyraźnie, bo umarł.

Pozwólcie więc, że jeszcze raz powtórzę z rozkoszą: jak on mnie sobą rozbudowywał, jak zasilał. W moim smętnym życiu literackim niemało świństwa doznałem, ale też spotykałem ludzi, co mnie obdarowywali ni stąd, ni zowąd, z hojnością padyszacha – nikt jednak nie był bardziej hojny od Bruna. Nigdy, ani przedtem, ani potem, nie kąpałem się w tak krystalicznej radości z powodu każdego mego artystycznego dokonania. Nikt tak gorąco mi nie przytwierdzał, tak się mną nie cieszył, nie chuchał tak na każdą myśl moją – nie dostrzegam by na przestrzeni całej naszej znajomości ten anielski Bruno w czymkolwiek mi się okazał złośliwy, doprawdy miodem mnie karmił... Wystarczy gdy wam opowiem, jak to było z *Ferdydurką*. Dałem mu ją do czytania, jeszcze nie ukończoną, w maszynopisie, i po tygodniu wręczył mi ją z powrotem, z twarzą zgaszoną. – Powinien byś raczej wrócić do twojej fantastyki z *Pamiętnika z okresu dojrzewania*, tamten gatunek bardziej ci odpowiada – powiedział z wyraźną i wielką przykrością. ↓

Zrobiło mi się zimno. Nikt poza nim nie czytał tego utworu, w który tyle pracy włożyłem. Bruno był pierwszy. Do niego miałem zaufanie. A trzeba wziąć pod uwagę, że *Ferdydurke* to było zapuszczanie się na tereny dziewicze, próba odkrywania nowych lądów, wyrąbywanie nowych ścieżek – robota, słowem, ryzykowna i nie dająca się dobrze skontrolować. Diabli wiedzą! A nuż to rzeczywiście nie było nic warte? Dwa lata wysiłku! Tyle nadziei! Byłem bliski wyrzucenia tego do śmieci.

Ale zdobyłem się na heroizm, postanowiłem pchać dalej taczkę. Po roku mniej więcej książka była już gotowa i jeden z pierwszych egzemplarzy posłałem mu do Drohobycza. Stał się cud. W ciągu jednego dnia otrzymałem wtedy od niego kilka telegramów – bo w miarę czytania biegł na pocztę żeby coraz nowymi mnie raczyć pochwałami. ↓ Wybuchnął płomieniem, który mnie, zimnego, prawie sparzył. ↓ A potem przybywszy do Warszawy, zalękniony i cichuteńki Schulz wygłosił w Związku Literatów odczyt w którym nie podnosząc specjalnie głosu zakomunikował zebranym artystom, iż wzeszło słońce gaszące wszystkie gwiazdy. Bagatela! Sala zaczęła protestować i omal nie doszło do skandalu... ↓ Wygłosił o *Ferdydurce* odczyt ↔ (potem zamieszczony w „Skamandrze"), który był jak fanfara i rozjuszył na niego wszystkich ówczesnych mandarynów.

Czyż myślicie, że nie wiem? O ileż byłoby taktowniej, gdybym w tym *suwenirze* o „zmarłym przyjacielu" nie pchał się z sobą przed niego, na pierwszy plan. Skromność!... Pośpieszam uprzedzić, że znam tę regułę w jej aspekcie zarówno towarzyskim, jak moralnym. Ale czyż nie powiedział książę Ypsilanti, że ci, co wiedzą, iż ryby nie należy jeść nożem, mogą rybę jeść nożem? To na terenie salonowym. A jeśli idzie o te tam głębsze moralności, to powiem, i zupełnie szczerze, że ja z moralnych względów nie mogę pisać inaczej, albowiem przemilczając te okoliczności sfałszowałbym całą sytuację, jaka się między nami wytworzyła – a taki grzech jest nie do wybaczenia literatowi, gdyż jego hasłem musi być maksymalne zbliżenie się do rzeczywistości. Może więc wcale nie pisać o Schulzu ze mną i o sobie z Schulzem – byłażby jednak godna zalecenia taka abdykacja? Tematy śliskie są po to, żeby uciekały przed nimi dobrze ułożone ciotki, nie zaś literatura. Przemilczeć? Ależ ten niesmak, to jakieś zmęczenie sobą, które ogarnia, gdy nawet tutaj wobec „zmarłego przyjaciela" ja muszę być ja... ależ ja muszę podjąć ryzyko niesmaku!

Jakaż była moja reakcja na wielkoduszność Schulza? Lubiłem go... tak. Wiele i życzliwie z nim ugadywałem, nieraz przyświadczałem, my w oczach ludzi byliśmy parą. Pozory! Natura moja nigdy nie pozwoliła mi podejść do niego inaczej, jak z niedowierzaniem, nie ufałem ani jemu, ani jego sztuce. Czy ja kiedy przeczytałem uczciwie, od początku

do końca, któreś z jego opowiadań? Nie – nudziły mnie. Wszystko więc, co mogłem mu powiedzieć, musiało być ostrożne, żeby on się nie połapał w pustce, która i we mnie na niego czyhała. Jak dalece się w tym nie połapywał?

Wcale siebie nie obwiniam za brak uczucia, którym odpłacałem jego uczucie. Przeciwnie – uważam za godne uznania, że nie dałem się przekupić, mnie bardzo podoba się, gdy odpowiadamy nawet lodowatym chłodem na czyjeś rozżarzone temperatury, artysta nie powinien być funkcją cudzych temperatur. Tylko że… kiedyś pisałem o nim artykulik do „Kuriera Porannego" i wtedy, przypominam sobie, bardzo się lękałem, czy aby nie powiedzą, że go chwalę, bo mnie chwali… z lęku tego urodził się artykuł nie bezpośrednio o Schulzu, a o tym, jak trzeba go czytać. Czasem tedy bywałem wobec niego wstrętnie małostkowy i to może byłoby nawet podłe, gdyby podłość mojego skąpstwa, podobnie jak szlachetność jego hojności, nie były jak gdyby pozbawione ciężaru. Nieprawdziwe. Na niby. Nierzeczywiste. W cnocie i w grzechu my, embriony, byliśmy niewinni!

Przyjaciele? Koledzy? Ileż razy wymieniano mnie razem z nim w rozmaitych literackich inwentarzach jako „polską prozę eksperymentalną". A jednak jeśli istniał w polskiej sztuce ktoś mnie przeciwny na sto procent, to był on.

Nie jestem już w stanie sobie uprzytomnić, czy w dialogu, jaki wiedliśmy za każdym przybyciem jego do Warszawy, zostało to kiedyś wyraźnie stwierdzone. Ale raz, w Alejach, przed pomnikiem Szopena, mówił, że choć nasze gatunki są spokrewnione „swoją ironią, sarkastycznym eskapizmem, grą w ciuciubabkę", to przecież „moje miejsce na mapie jest o sto mil od twojego i co więcej twój głos, żeby dotrzeć do mnie, musi się odbić o coś trzeciego, nie ma między nami bezpośredniego drutu telefonicznego".

Według mnie, tak to wyglądało: Bruno był człowiekiem, który wypierał się siebie. Ja byłem człowiekiem, który siebie szukał. On chciał zagłady. Ja chciałem urzeczywistnienia. On urodził się na niewolnika. Ja urodziłem się na pana. On chciał poniżenia. Ja chciałem być „ponad" i „powyżej". On był z rasy żydowskiej. Ja z polskiej rodziny szlacheckiej.

I on był masochistą – nieustannym, nieposkromionym – to się czuło w nim bez przerwy. Nie, ten nie nadawał się do panowania! Gnom, maleńki, olbrzymiogłowy, jakby zanadto zalękniony, aby odważyć się na istnienie, był wyrzucony z życia, przemykający się chyłkiem, na marginesie. Bruno nie przyznawał sobie prawa do egzystencji i szukał własnego unicestwienia – nie żeby marzył o samobójstwie, on tylko „dążył" do niebytu całym sobą (to właśnie czyniło go tak po heideggerowsku wrażliwym na byt). Moim zdaniem w tym dążeniu nie było żadnego poczucia winy à la Kafka, był to raczej instynkt co choremu zwierzęciu nakazuje odejść na bok, usunąć się. Był zbędny. Był dodatkowy. Możliwe, że jego masochizm inne także miał oblicza – nie wiem – ale na pewno był też hołdem, złożonym tratującym go siłom bytu.

Człowiek wyrzucony z życia… cóż pocznie? Tylko w Ducha może się schronić – i będzie to Bóg, jeśli jest wierzący, Moralność, jeśli nie będąc wierzącym jest moralny, Sztuka, jeśli piękno uwielbił… Bruno w Boga nie tyle nie wierzył, ile się nim nie interesował, a choć o dużym poczuciu moralnym we wszystkich swoich uczynkach, zupełnie nie nadawał się do moralności, pojętej jako doktryna i świadoma zasada działania. Tylko sztuka tedy… I rzeczywiście widziałem go zawsze jej oddanego, przejętego nią z żarliwością i skupieniem, jakich nigdy w nikim nie zdarzyło mi się oglądać – on, fanatyk sztuki, jej niewolnik. Wstąpił do tego klasztoru, tym rygorom się podporządkowywał, pokornie spełniał najsurowsze nakazy by osiągnąć doskonałość.

Tylko nie zdołał osiągnąć uduchowienia…

O ile mogłem poznać Bruna, wcale niełatwego, to jego masochistyczne skłonności, słusznie przez Sandauera uwypuklone, stanowią klucz do katastrofy duchowej, która mu się przytrafiła w jego ostatnim schronieniu, w sztuce. Tak, właściwa masochizmowi dialektyka bólu i rozkoszy (charakterystyczna i dla sztuki), a bardziej jeszcze pragnienie autodestrukcji, wiele mogą tutaj wyjaśnić.

Cóż się dzieje, gdy mnich, biczujący się z zapałem przed świętym obrazem, poczuje naraz, że bicz przestał być narzędziem tortury, stał się narzędziem rozkoszy? Gdyby tę sytuację konsekwentnie rozwinąć, doszlibyśmy do makabrycznego paradoksu: grzesznik, aby dostąpić

zbawienia, coraz straszliwsze wymyśla sobie tortury, ale im większy ból, tym większa frajda, tym grzech rozkoszniejszy!

Mniejsza o ból. Pomówmy o autodestrukcji. Ten święty artysta – zdarzają się tacy – mógł był, rzecz pewna, zaczerpnąć ze swoich wspaniałych osiągnięć artystycznych tyle godności i dumy, tyle ducha, że biologiczne cherlactwo stałoby się czymś mniej ważnym. Mógł zaistnieć na tym drugim biegunie, gdy życie go odpychało. Kto się poniża, będzie wywyższony – mógł tedy wzbić się. Cóż kiedy poniżenie i pokora nic go nie kosztowały, w nim ich znaczenie moralne było żadne, owszem, jemu sprawiało przyjemność wszystko, co go degradowało, strącało. Do sztuki zbliżał się, jak do jeziora, żeby w nim utonąć. Padając na kolana przed Duchem doznawał zmysłowej rozkoszy. Chciał być tylko sługą, niczym więcej. Pragnął nieistnienia.

Oto kłopoty kogoś, komu bicz smakuje!

I jeśli nazywał sztukę „zdradą", lub „fintą", to dla tej perwersji.

Z takim artystą przewrotnym ja się pokumałem. Gdy korzył się z rozkoszą i klęczał zmysłowo, mogłaż sztuka choć przez chwilę stać się narzędziem jego osobowości, czymś czym on mógłby się posługiwać dla swoich – duchowych, czy po prostu osobistych – celów? Hermes – mówi Sandauer. Nie, w moim pojęciu on niewiele miał z Hermesa, nie był wcale dobrym pośrednikiem pomiędzy duchem a materią. Wprawdzie jego perwersyjny stosunek do bytu (pytanie heideggerowskie: „dlaczego istnieje Coś, a nie raczej Nic?" mogłoby stanowić motto jego dzieła) prowadził w konsekwencji do tego, że materia stawała mu się prześwietlona duchem, a duch się ucieleśniał, ale ten proces hermesowski jest u Schulza zaprawiony żądzą „osłabienia" bytu: u niego materia jest skorumpowana, chora, lub podstępnie złośliwa, lub mistyfikująca, a świat duchowy przetwarza się w zgoła zmysłową fantasmagorię blasków i kolorów, jego racja duchowa również ulega korupcji. Istnienie zastąpić półistnieniem, lub pozorem istnienia – takie były skryte sny Bruna. Pragnął osłabić zarówno materię, jak ducha. Nieraz zdarzało mi się omawiać z nim rozmaite zagadnienia moralne, społeczne, ale poza wszystkim co mówił czaiła się bierność kogoś zaprzepaszczonego. Jako artysta tkwił bez reszty w samej materii dzieła, w jej własnej grze i kombinacjach wewnętrznych, kiedy pisał

opowiadanie nie było dlań innego prawa, poza immanentnym prawem rozwijającego się kształtu. Fałszywy asceta, zmysłowy święty, mnich lubieżny, nihilistyczny urzeczywistniacz. On o tym wiedział.

Gdy on tak poddawał się sztuce, ja chciałem być „ponad". To główna między nami sprzeczność.

Byłem, jak się rzekło, szlacheckiego, ziemiańskiego pochodzenia, a to jest obciążenie prawie równie silne i odrobinę tylko mniej tragiczne co czuć za sobą tysiąclecia banicji żydowskiej. Pierwszym utworem, jaki napisałem w wieku lat osiemnastu, była historia mojej rodziny, opracowana na podstawie naszych papierów, które obejmowały lat czterysta dostatniego życia na Żmudzi. Ziemianin – obojętne, szlachcic polski, czy farmer amerykański – będzie zawsze z nieufnością odnosił się do kultury, albowiem jego oddalenie od wielkich skupisk czyni go opornym na międzyludzkie spięcia i wytwory. I będzie miał naturę pana. Zażąda, by kultura była dla niego – nie on dla kultury – wszystko co jest korną służbą, oddaniem się, poświęceniem, będzie mu podejrzane. Któremuż z panów polskich, sprowadzających ongiś z Włoch obrazy, przyszło kiedy do głowy ukorzyć się przed arcydziełem, które wieszał na ścianie? Nie. Traktowano je z pańska – i dzieła, i mistrzów.

Otóż ja, choć zdrajca i wykpiwacz mojej „sfery", byłem przecie z niej – i chyba już powiedziałem, że wielu moich korzeni należy szukać w epoce największego rozwydrzenia szlacheckiego, w wieku osiemnastym. Jestem bardzo z epoki saskiej. Więc choćby dlatego Bruno, klęczący przed sztuką, był mi nie do przyjęcia. Ale nie na tym koniec. Ja tkwiąc jedną nogą w poczciwym świecie ziemiańsko-szlacheckim, drugą w intelekcie i literaturze awangardowej, byłem pomiędzy światami. Ale być pomiędzy, to też niezły środek na wywyższenie – albowiem stosując zasadę *divide et impera* możesz sprawić, że oba światy zaczną się wzajem pożerać, ty zaś możesz wtedy wymknąć się im i wzbić się „ponad".

Miałem zwyczaj, że z moimi wiejskimi krewniakami byłem (żeby ich zdenerwować) artystą, a z artystami byłem (żeby ich rozwścieczyć) obywatelem ziemskim, jak się patrzy.

Mnie zawsze irytowali artyści nazbyt fanatyczni. Nie znoszę poetów, którzy są zanadto poetami i malarzy zbyt oddanych malarstwu. Ja w ogóle domagam się od człowieka, żeby się nigdy niczemu całkowicie nie oddawał. Żądam aby był zawsze troszkę poza tym, co robi. Otóż Bruno był artystą bardziej od wszystkich *poètes maudits* i to dla tej paradoksalnej przyczyny, że wcale nie uwielbiał sztuki. Uwielbiając jest się kimś, on zaś wolał zatracić się w niej, przepaść.

Ja zaś chciałem być – być sobą – sobą, nie artystą, ani ideą, ani żadnym dziełem swoim – sobą. Być powyżej sztuki, dzieła, stylu, idei.

Lubił, kiedy go atakowałem. Co więcej mam wrażenie, iż dobrze zdawał sobie sprawę z faktu naprawdę dziwacznego – a mianowicie, iż ja, tyle czasu go znając, nawet tego trudu sobie nie zadałem żeby przeczytać porządnie jego książkę. Był dyskretny i nie przepytywał mnie zanadto ze swoich utworów, wiedząc, że nie zdam egzaminu. (Ale może było mu wiadomo – jak mnie – że sztuki wysokiego lotu prawie się nie czyta, że ona działa nieraz jakoś inaczej, samą obecnością swoją w kulturze?) Wszystko co stanowiło moją wiedzę o nim (i teraz stanowi) pochodzi z okruchów lektury (które mnie olśniewały) skombinowanych z okruchami, które mi pozostały z wielu rozmów. Czy jemu to może smakowało we mnie, że gardziłem? I stawiał mnie na świeczniku, bo gardziłem?

To także mnie zastanawiało, że tak dobrze i gładko mnie rozumiał w tym, co mnie od sztuki oddalało, a łączyło ze zwykłością życia. W tym bywam najtrudniejszy do uchwycenia dla ludzi kulturalnych, wykształconych. – Jak się dzieje, że ty, pisarz trudny, wyrafinowany, nudzisz się Kafką, nie lubisz malarstwa, zaczytujesz się kiepskimi powieściami? – takie pytania nieraz mi stawiano. Dla Bruna to jakieś żakostwo moje nie było problemem (może po prostu dlatego, że świetna jego inteligencja ujmowała mnie szerzej).

Frustracja. Kiks. Kto wie… może jemu to odpowiadało nie tylko dlatego, że był zasadniczo wrogiem urzeczywistniania. Może to, że jego zdolność do podziwu natrafiła na moją zdolność do niepodziwiania, było dla nas obu wzbogaceniem z punktu widzenia naszych artystycznych możliwości?

Ktoś kto by podsłuchał nasze rozmowy z owych lat, już dawnych, wziąłby nas może za konspiratorów. Cóż to za spisek? Bruno mnie mówił o „nielegalnym kodeksie", a ja jemu o „rozsadzaniu sytuacji" i „kompromitowaniu formy", on mnie o „bocznym torze rzeczywistości", a ja jemu o „wyzwalającej kakofonii". Była też mowa o „subkulturze" i „niedopiękności", o „tandecie" (którą Bruno nazywał „ersatzem") itd. Cóż to za laboratorium?

W rzeczy samej, byliśmy spiskowcami. Pochłonięci byliśmy eksperymentowaniem z pewnym materiałem wybuchowym, który nazywa się Forma. Ale nie była to forma w znaczeniu zwykłym – tu chodziło o „stwarzanie formy", jej „produkowanie" i o „stwarzanie się poprzez stwarzanie formy". Trudno mi to wyjaśnić w paru słowach, kto ciekaw niech zajrzy do naszych książek. Zaznaczę tylko iż, choć każdy z nas inaczej sobie poczynał (bo gdy ja poprzez prowokację formy i jej dysonansowe wybuchy chciałem dojść do siebie, czy do człowieka w ogóle, on oddawał się tej alchemii gratis, zupełnie gratis, z bezinteresownością istoty marginesowej), to jednak mieliśmy pewną cechę wspólną. Obaj byliśmy wobec Formy zupełnie sami. Ten mnich bez Boga… i ja, z moim dumnym człowieczeństwem, które było rzeczywiście „same w sobie", o nic nie oparte, rodzaj kategorycznego imperatywu krzyczącego w próżni: bądź sobą!

Te więc igraszki z formą nas łączyły. I tu właśnie nasuwa mi się podejrzenie – czy dla eksperymentatorów, jak my, ludzi w fazie próbnej, plajta w naszym wzajemnym stosunku nie była rzeczą najszczęśliwszą? A cóż by się stało, gdybym odpowiedział podziwem na podziw – czy wówczas nie poczulibyśmy się, jeden wobec drugiego, zanadto zrobieni… zanadto na serio?… Gdyby czuł mój podziw, gdybym ja, podziwiając, nadał wartość jego podziwowi – czyż to nie uczyniłoby nas za ciężkimi do eksperymentowania… ze sobą? Och, tak, i on, i ja, szukaliśmy podziwu, afirmacji… bo próżnia męczy… Czy jednak taka harmonia byłaby w naszym stylu? Wszak o wiele zgodniejszy z nami był właśnie obrót rzeczy spartaczony, w którym jego wyciągnięta ręka nie napotykała mojej – ta sytuacja typowo schulzowska, a i mnie nieobca, pozwalała nam przynajmniej zachować dziwną wolność istot jeszcze

nie urodzonych, szczególną niewinność embrionów – to zaś czyniło nas lekkimi wobec Formy.

A co się tyczy podziwu – i niepodziwu – cóż nas to mogło osobiście obchodzić, gdy obaj byliśmy z *nieprawdziwego zdarzenia*? ↓

Witkacy

Witkacy, jak król Lear, ukazywał się zawsze z orszakiem dworzan i błazenków, rekrutowanych przeważnie z rozmaitych pokurczów literackich (jak większość dyktatorów znosił tylko istoty podrzędne). Niejeden z tych kornych akolitów, widząc Schulza, lub mnie, z mistrzem, zaliczał nas do witkacowego dworu, gdyż w jego służbistej głowie nie mogła się pomieścić inna interpretacja – i stąd powstała gadka, że Schulz i ja wywodzimy się z witkacowej szkoły. Nic podobnego. Bruno, o ile mi wiadomo, też niewiele z niego zaczerpnął i sądził go bez entuzjazmu; a w utworach jego śladów Witkacego nie widzę.

Ale byliśmy mimo wszystko trójcą i to dosyć charakterystyczną. Witkiewicz: umyślne afirmowanie szaleństw „czystej formy" przez zemstę, a też żeby się wypełniły tragiczne przeznaczenia, wariat zrozpaczony. Schulz: zatracenie się w formie, wariat utopiony. Ja: żądza przebicia się poprzez formę do „ja" mojego i do rzeczywistości, wariat zbuntowany. ↓

Jak się rzekło, to Bruno zaprowadził mnie do Witkacego. Wydrapaliśmy się na któreś tam piętro z podwórka na ulicy Brackiej, dzwonimy – ja nieco zemocjowany opowieściami jakie krążyły o dziwactwach i szaleństwach tego człowieka tak świetną obdarzonego inteligencją – i naraz w otwierających się drzwiach ukazuje się olbrzymi karzeł, który zaczyna rosnąć w oczach... to Witkacy otworzył nam drzwi w kucki i powoli się podnosił. Lubił te kawały! Mnie jednak one nie bawiły. Witkacy od pierwszej chwili zmęczył mnie i znudził – on nigdy nie był w stanie spoczynku, zawsze naprężony, dręczący siebie i innych nieustannym aktorstwem, żądzą epatowania i skupiania na sobie uwagi, wiecznie bawiący się okrutnie i boleśnie ludźmi... Wszystkie te wady, będące także moimi, oglądałem teraz jak w krzywym zwierciadle, spotworniałe i wydęte do rozmiarów apokaliptycznych.

Stanisław Ignacy Witkiewicz, Zakopane, l. 1927–1928

Pokazywał nam „muzeum okropności”, którego ozdobą było coś co on nazywał zasuszonym językiem noworodka i włos jakiś, który rzekomo był włosem Bejlisa, tudzież list erotomanki, rzeczywiście rozpustny do obrzydliwości. ↔ Wiedziałem że jeśli z miejsca nie przeciwstawię się Witkacemu, on mnie pożre, zdominuje, włączy do swego rydwanu. Nie mógł obcować z ludźmi, jak równy z równymi. Musiał być na

świeczniku; jeśli w towarzystwie na chwilę przestawał być centrum zainteresowania, umierał. Nie miałem więc złudzeń, że jeśli nie zdołam się bawić tym człowiekiem, on mną będzie się bawił – ale cóż mu powiedzieć takiego, co by go naprawdę zaskoczyło? Wtedy to zaświtało mi w głowie burżuazyjno-ziemiańskie, świątobliwe słówko: „niewłaściwe".

Tak ustaliły się nasze role: zawsze z Witkacym byłem przedstawicielem dobrych manier i zdrowego wiejskiego rozumu – przyznaję zresztą, że bardzo niezręcznie mi to wypadało. Byłem też przygotowany na zerwanie z nim w każdej chwili – wiedziałem, że się obraża i że obraża, postanowiłem tego nie tolerować i zlikwidować momentalnie całą znajomość gdyby zaszła potrzeba. Jest doprawdy dziwne że z tym wszystkim utrzymały się nasze stosunki lat kilka – może dlatego, że obcowaliśmy lepiej z naszymi książkami niż ze sobą osobiście i że mieliśmy jednak dla siebie trochę szacunku.

Rzadko zdarzało mi się obserwować Witkacego z Schulzem i dobrze nie wiem, jak układało się ich współżycie; ale chyba skoncentrowany i jakby zastygły Bruno jeszcze mniej miał mu do powiedzenia, niż ja. To było właśnie najgorsze – ten arcyegocentryk podobny despotom nie znosił nikogo, kto by był kimś, otaczał się miernotami, niewolnikami, chwalcami, akolitami, nawet grafomanami spod ciemnej gwiazdy, byleby leżeli mu u stóp. Pamiętam jeden sezon w Zakopanem, kiedy to Witkacy paradował na czele całej kupy takich niedojd od siedmiu boleści – był to widok równie zawstydzający co denerwujący.

Spróbujmy jednak określić, co mimo wszystkich przeciwieństw i animozji osobistych było nam wspólne i stanowiło o naszej wartości. Moim zdaniem, była to chęć przezwyciężenia zaścianka polskiego, wypłynięcia na najszersze wody. Oddychaliśmy Europą i światem w przeciwieństwie do takich tuzów lokalnych jak Kaden, Goetel, Boy, Tuwim, którzy byli stokroć bardziej polscy, bardziej przystosowani do czytelnika miejscowego więc i bardziej sławni. My znaliśmy na przykład wartość oryginalności, i to nie w skali lokalnej a uniwersalnej. Szukaliśmy człowieka jako takiego, a nie człowieka lokalnego, człowieka-Polaka. Podchodziliśmy do sztuki, wyrobieni na najśmielszych technikach i koncepcjach zagranicznych, zdecydowani

na wszystko byle chwycić byka za rogi. Byliśmy ostrzejsi, chłodniejsi, bardziej surowi i dramatyczni a także nieskończenie bardziej swobodni, gdyż wyrzekliśmy się wielu krępujących miłości.

Taka była nasza siła – ale i nasza słabość – bo na tle wielkich zadań, jakie sobie stawialiśmy, tym wyraźniej rysowały się nasze braki. Nie jest może zbyt trudne stać się wartością w obrębie narodu, natomiast żeby stać się kimś w świecie trzeba nie lada wysiłku. Nieraz maleńka wada uniemożliwia wydajność najlepszej maszyny, i to tym bardziej im bardziej maszyna jest precyzyjna. Tak więc inteligencja Witkiewicza była znakomita, jego odwaga, upór, bezwzględność – wspaniałe, ale brak mu było chyba poczucia bezpośredniego efektu, zbyt często był teoretykiem nie zdającym sobie sprawy, że nudzi, irytuje, pozbawionym zdolności obcowania z żywym człowiekiem, nie z abstrakcją, teorią, formą... i to wtrąciło go w oschłość, manierę, nawet po trosze w kabotyństwo. A Schulz zanadto zamykał się w swoich perwersjach i w swojej sztuce, jak w wieży z kości słoniowej; prawdopodobnie za wielkie miał poszanowanie dla sztuki, nie umiał jej zażyć z wysoka, forma którą wypracował ograniczała go do tego stopnia, iż nosa nie śmiał wychylić poza nią. Moich defektów nie warto wymieniać, jeszcze nieraz będę miał po temu sposobność, wystarczy gdy powiem, iż cała moja praca wewnętrzna polegała na wymigiwaniu się im – pisałem wbrew, na przekór własnej indolencji. ↓

Było nas trzech

Było nas trzech, Witkiewicz, Bruno Schulz i ja, trzech muszkieterów polskiej awangardy z okresu międzywojennego. Jak się teraz okazuje, ta awangarda nie była znów taką sobie efemerydą. Dziś, w dwadzieścia siedem lat po zgonie „Witkacego" (tak go nazywaliśmy), który jesienią 1939 roku życie sobie odebrał, Schulz (też zmarły; ten w niemieckim obozie koncentracyjnym)[1] tłumaczony jest na wiele języków, a ja też, po latach anonimatu, zostałem „odkryty".

Pozostał do odkrycia Witkacy. ↔

Raczej ze zdziwieniem obserwuję rosnącą falę zainteresowania tym pisarzem... ja tego wtedy, w Polsce, nie przewidywałem. Witkacy wydawał mi się wówczas osobowością bardzo silną, przygniatającą nawet, umysłowością świetną, choć ponurą i niepokojącą, artystą o znakomitych uzdolnieniach, ale jakby dotkniętym perwersją, czy manierą, które czyniły go i w obcowaniu osobistym, i w tym, co pisał, bardziej odstręczającym niż pociągającym.

A jednak po latach tak to wygląda, że duch czasu coraz bardziej staje się pokrewny temu duchowi tragicznemu. Trzeba jednak przyznać, że wyprzedził czas i że czas teraz dopiero go dosięga.

Z niemałą na owe czasy śmiałością wprowadza on Czystą Formę do teatru: dramat, mówi, nie powinien zawierać żadnej treści, powinien być jedynie zestawieniem „czystych" efektów (podobnie jak w muzyce; nie pytamy jaką treść wyraża symfonia, wystarczy, że po *pianissimo* smyczków następuje *fortissimo* perkusji), te zaś efekty mają na celu wyłącznie „wywołanie dreszczu metafizycznego". Absurdalne dramaty Witkiewicza stanowią chyba jeden z najbardziej radykalnych eksperymentów, dokonanych w teatrze. ↔

A powieść, według niego, nie jest w ogóle Formą, czyli Sztuką, jest to worek, w który wszystko można włożyć, psychologię, zwierzenia osobiste, politykę, filozofię... *Nienasycenie*, w zgodzie z tą teorią pisane, jest utworem z roku 1927. Witkacy rozwala więc formę powieściową –

i z jaką bezwzględnością – na długie lata przed dzisiejszymi innowacjami.

Ale nie jestem historykiem literatury i dla mnie te dokonania jego są mniej ważne. A również niezbyt epatują mnie inne jego jasnowidztwa i przeczucia z dziedziny, na przykład, politycznej – jak owe Chiny, napierające na dalszym planie *Nienasycenia* jakby z łona samego Historii, te Chiny dziś rozpanoszone na pierwszych stronach naszych gazet. Nie, nie przypuszczam, żeby to było w nim najważniejsze. Cóż więc? Co łączy go tak silnie i poufnie ze Współczesnością? Moim zdaniem, demonizm.

On rozżarzył w sobie do białości pewne cechy niemiłosierne człowieka nadchodzącego.

Przede wszystkim mrożący chłód intelektu, który w nim staje się nie mniej dotkliwy niż rozpalone żelazo. W *Nienasyceniu* intelekt przypomina lekarza w białym kitlu na zimno operującego, czuje się prawie ostrość skalpela, zapach eteru, zgrozę stołu operacyjnego i maski na ludzkich twarzach. Ale ten obiektywizm nieludzki przetwarza się natychmiast Witkiewiczowi w coś haniebnie ludzkiego: w cynizm.

I, rzecz ciekawa, ten cynizm intelektualny staje się w nim, w dalszym swoim przetworzeniu, cynizmem mężczyzny. Brutalność obiektywna przechodzi w brutalność seksualną, płeć gra ogromną rolę w jego utworach, płeć męska. W Witkacym (który w Rosji carskiej się wychował) jest coś z oficera rosyjskiego. Czy nie z jego własnych ust słyszałem, że ci oficerowie gwardii zasiadali po pijanemu wokół okrągłego stołu, przywiązywali sobie sznurki do członków, po czym każdy pod stołem ujmował sznurek sąsiada i ciągnął… aż w końcu ten, co nie wytrzymał i pierwszy krzyknął, płacił kolację. Proszę wybaczyć, zawsze ta anegdota wydawała mi się doskonałym wprowadzeniem w jego sztukę. Witkacy jest bardzo męski, ale nienawidzi w sobie mężczyzny i pragnie go zhańbić, ośmieszyć, poniżyć… pogrążyć w obrzydliwości.

Jeśli jednak nie chce być mężczyzną, to czym chce być? Aniołem. Mamy do czynienia z kimś niezwykle delikatnym i bardzo ludzkim. To dlatego Nieludzkość przybiera w nim kształt tak makabryczny.

Do tych dwóch potworności – cynizm intelektu, brutalność seksu – dodajmy trzecią: potworność absurdu. Bezsilny wobec bezsensu świata, zrozpaczony, oburzony, doprowadza w sobie absurd do absurdu: jeśli wszystko jest zwariowane, to i ja z siebie zrobię wariata, taka będzie moja ludzka zemsta, mój ludzki protest. Tu Witkacy wydaje się bliskim kuzynem Lautréamonta, Jarry'ego, i innych wielkich błaznów naszej epoki.

I wreszcie czwarta potworność: metafizyki. To jest właściwy temat *Nienasycenia* i zresztą całej jego sztuki. Dojść do „dreszczu metafizycznego", wyrywającego z codzienności i stawiającego istotę ludzką w bezpośredniej styczności z jej niedocieczoną tajemnicą... o to chodzi właśnie w szałach groteskowych Genezypa, w bełkotliwych dyskusjach o sztuce, w ciemnym i jakby sennym narastaniu Historii skądś tam... z zakamarków chińsko-rosyjskich... Ta metafizyka wszakże nie uwzniośla człowieka, ale go hańbi. Człowiek Witkacego jest pokraczny w swoim kurczowym podniecaniu się własną otchłanią. Zimny sadyzm, z jakim ten autor traktuje dzieci swojej wyobraźni, nie folguje ani na chwilę, metafizyka jest dla niego orgią, której się oddaje z zawziętością wariata.

Te demony nie są obce naszej teraźniejszości... *Nienasycenie* jest równie kategoryczne w swoim trzeźwym szaleństwie, co inne bolesne utwory, Joyce'a, Céline'a czy Lautréamonta, czy Kafki, które uchyliły drzwi najgorszym diabłom epoki. Człowiek dzisiejszy rozpozna się w tym utworze, który lat temu czterdzieści był pisany, przyznajmy, troszkę *pour épater les bourgeois*. Dziś już nikt się nie zgorszy, natomiast tym silniej w nas uderzy istotna przedziwność tego teatru... te wampirzyce rozbebeszone... ci artyści, oficerowie, intelektualiści, skomlący, wyjący, rozpiekleni... Ba! Żebyż Witkacy posiedział nad tą powieścią o rok dłużej! Ale, nie pierwszy i nie ostatni z autorów współczesnych padł ofiarą teorii, którą sobie wykoncypował, w której się zacietrzewił: że powieść nie jest dziełem sztuki, że więc nie warto zawracać sobie głowy doskonaleniem, oczyszczaniem potoku słów. Oto czemu *Nienasycenie* jest zupą, gdzie kawały tęgiego mięsa, sceny wspaniale barwne, toną nierzadko w jełkiej gadaninie, w maniackim ględzeniu. Niedostateczne rozczłonkowanie, wyodrębnienie ludzi,

sytuacji, wątków, nie raz, nie dwa, stanie się irytujące, ten „bełkot metafizyczny" wyda się nam jednocześnie za mało bełkotem i zanadto bełkotem. Znak to, że powieść jest niedopracowana. Nie tyle wybuch wulkanu, co brulion.

„Genialny grafoman" powiedziano o nim. Tak, niełatwo o książkę, w której by znaleźć można tyle talentu i tyle tandety. Witkiewicz jest pod pewnymi względami dzieckiem jednego z najmniej szczęśliwych okresów literatury polskiej (i światowej), kiedy to, na początku naszego stulecia, artyści z bródkami, w pelerynach, popijając groźne trunki oddawali się wyrafinowanym wtajemniczeniom i podziwiając damskie *dessous* uprawiali kult „nagiej duszy" i „pradawnej chuci". Jeden z koryfeuszów tego kierunku w Polsce, wielce utalentowany i wielce zmanierowany, Przybyszewski, znany był publiczności niemieckiej, gdyż kilka swoich utworów napisał po niemiecku. Ta nieznośna maniera w dziwny sposób przetrwała u Witkiewicza i ona to najbardziej zraża do niego dzisiejszego czytelnika. Ale przyznać trzeba, że „grafoman" umie z tej swojej słabości wydobyć efekty kosmicznego nieomal komizmu. Ten śmiech jego, zimny, okrutny, ogromny, jest wyrazem jego nędzy i jego tryumfu. ↓ Ten w pióropuszu dandyzmu metafizycznego, wiecznie odstawiający wariata. Nie lubiłem go. Drażnił mnie, a jego eksperymenty z formą, najśmielsze chyba, nie były dla mnie przekonywujące – zanadto intelektualne, nie umiejące wyjść poza grymas... Uważałem, że brak mu talentu. A jego tricki podobne do tego, czym Dali epatuje, zanadto jak na mój gust były klasyczne w swoim surrealizmie. ↓

Bruno Schulz (pierwszy od prawej) i Stanisław Ignacy Witkiewicz (na dole), Warszawa 1936 r.

Na beczce prochu

Ja się bałem w Polsce. Wprawdzie nic wtedy konkretnie nie zagrażało, granice państwa były ustalone, polityka zagraniczna spokojna, sprawy wewnętrzne jako tako uładzone, rządy Piłsudskiego na mocnej podstawie oparte – długodystansowe, a jednak siedziało się jak na beczce prochu. Mówię o sobie. Jedyną bodaj przyczyną tego mego zaniepokojenia było, iż czułem że należymy do Wschodu, jesteśmy wschodnią nie zachodnią Europą – tak, ani katolicyzm, ani nasza idiosynkrazja do Rosji, ani związki naszej kultury z Rzymem, z Paryżem nie mogły nic przeciw nędzy, zżerającej nas od spodu, azjatyckiej... cała nasza kultura była kwiatem u kożucha. I cóż mogłyby zdziałać wyższe warstwy, gdyby nawet wyrzekły się do cna egoizmu i ożywione były najszczytniejszymi zamiarami? Czyż nasze ziemiaństwo, przemysł, inteligencja mogły ruszyć z miejsca chłopa, lub tonące w błocie prowincjonalne miasteczka? Sfinansowanie reform zasadniczych było zadaniem stokrotnie ponad siły. Nikt nie mógł nic zrobić. Psioczenie na ludzi tamtego czasu, że nie wykazali dostatecznej inicjatywy, jest dla mnie nonsensem. Polska była młodym państwem, stawiającym pierwsze kroki, Europa była nieuporządkowana, jeśli się nie chciało rewolucji należało starać się łatać dziury, jak się dało, zyskiwać na czasie, czekać aż postęp organizacji i cywilizacji w świecie stworzy lepszą koniunkturę. Co do rewolucji, to trudno było oddawać się złudzeniom: oznaczałaby ona ruinę wszystkiego, co się osiągnęło, utratę niepodległości i panowanie sił nie dających się kontrolować a wyzutych z poszanowania człowieka, okrutnych. Istniała jednak nadzieja, że powoli kraj się wydźwignie i włączy w system zachodniego dobrobytu.

Ale powtórzę co już powiedziałem: owa Polska z pierwszej wojny światowej urodzona, była krajem ludzi sparaliżowanych. Najbardziej żywotne elementy skazane były na tymczasowość i wegetację – wszystko się spychało z dnia na dzień, była to ogólna gra na zwłokę, aż świat się uspokoi, aż państwo się skonsoliduje, aż pojawi się jakaś

możliwość manewru. Atmosfera wyczekiwania panowała także w literaturze, wyglądało jak gdyby polscy pisarze nie chcieli przemówić bardziej stanowczo póki nie będą pewni narodowego losu. ↓

Trochę wariat, a trochę aktor

W dzisiejszej burzliwej epoce każdy przeżył sporo momentów historycznych – ja także. Jak by nie było asystowałem przy końcu pierwszej wojny światowej, wskrzeszeniu Polski, bitwie warszawskiej, zamachu majowym i tak dalej... ale zawsze w takich chwilach doświadczałem czegoś, jak buntu przeciw historii, nie mogąc pogodzić się z faktem, że jestem niczym, słomką miotaną wiatrami i że wszystko dokonywuje się poza mną. Przypisać to trzeba zapewne memu zażartemu indywidualizmowi, na który nic poradzić nie mogę, bo z nim urodziłem się i z nim pomrę. Skłamałbym twierdząc, że śmierć Marszałka nie wstrząsnęła mną głęboko – umierał z nim pewien okres naszego bytowania, kraj pozbawiony jego twardej ręki wkraczał w Nieznane, najeżone groźbami... Ale widok tej śmietanki polskiej inteligencji, skupionej oto przed Belwederem jak garść kuropatw, kornej, drżącej, przerażonej, przygwożdżonej, jakby to nie człowiek umarł, a nadczłowiek, zirytował mnie równie niespodziewanie, co gwałtownie. Niechby tak to przeżywali wojskowi, urzędnicy, zwykli obywatele... ale intelektualiści, filozofowie, artyści?... Gdzież była ich siła, dojrzałość, czyż nie byli ani odrobinę mocniej osadzeni w sobie, niż tamci, podwładni, czyż i oni oczekiwali, że ktoś będzie się nimi opiekował i przewodził im – że ktoś wyższy i potężniejszy będzie doglądał maszyny, w której oni byli niczym więcej jak tylko kółkami?

Spojrzałem ze złością na blade oblicza kilku kolegów pisarzy i powiedziałem głośno, przed siebie:

– Jakie ładne samochody!

Łatwo sobie wyobrazić efekt... Najżyczliwsi tłumaczyli innym, mniej życzliwym, że jestem trochę wariat, a trochę aktor, że to poza, zgrywanie się na cynizm i brak taktu. A przecież ja nie byłem wtedy takim wariatem i może nawet Piłsudski nie poczuł się na katafalku tak obrażony moją niesubordynacją... on, który wprawdzie lubił posłuch, ale przecież cenił godność, wolność i dumę w Polaku. Tylko że ja nie byłem

wtedy w stanie wytłumaczyć takich moich wyskoków, więcej idealizmem niż cynizmem zabarwionych. Byłem początkującym pisarzem, który wyrobił sobie własny gatunek w obrębie prozy fantastycznej, ale nie umiał jeszcze pisać po prostu i przystępnie o swoich bólach i kłopotach.

Panie i panny

Moja matka i siostra były cnotliwe, wierzące, „z zasadami", jak się wówczas mówiło, stąd też płeć piękna w naszym domu bywająca bardziej cnotami niż kokieterią się odznaczała – te rozmaite przyjaciółki mojej siostry, Reny, ze Stowarzyszenia Ziemianek, w Akcji Katolickiej, przeważnie rozmaitym filantropiom udzielające się a zupełnie nieskore do flirtu. Moi bracia, starsi ode mnie, czuli się poszkodowani, gdyż na ogół przyjaciółki siostry stanowią naturalny żer dla braci; dość tedy wrogo i złośliwie odnosili się do tych przyjaciółek, tudzież do „zasad" którym one hołdowały.

Jakaż jednak różnica pomiędzy wiarą mojej matki a siostry – jakby to były dwa odmienne języki! Katolicyzm matki był jeszcze spontaniczny, naturalny, niemal lekkomyślny w tej swojej naturalności – był powietrzem, którym oddychała prawie nie zdając sobie z tego sprawy i bez żadnego wysiłku. Wprawdzie lubiła poruszać rozmaite teologiczne kwestie, ale czyniła to z indolencją, świadczącą o zupełnym do tego nieprzygotowaniu. Tu idea wcielała się w obyczaj, stawała się pewnym sposobem bycia i moja matka była gorliwą katoliczką tak jak była Polką, lub jak była osobą z ziemiańskiej rodziny.

Natomiast moja siostra była w wierze trudna, wysilona, skoncentrowana, był to katolicyzm, jak byśmy dziś powiedzieli, „egzystencjalny" i był świadectwem jak bardzo życie stało się trudne na przestrzeni jednego pokolenia. To był katolicyzm już nowoczesny. Nie ulega wątpliwości zresztą, że miała najsilniejszy charakter z nas wszystkich. A poza tym logika, precyzja, obiektywizm naukowy przyciągały ją z wielką siłą, nie darmo studiowała matematykę; i jej wiara była tyleż uczuciowa co wyrozumowana; ale pozbawiona prawie radości, przynajmniej tej co łatwo objawia się na zewnątrz, prawie dramatyczna w swoim uporze... Obserwując te dwie kobiety nieraz z pewnym niepokojem zastanawiałem się nad tą jakąś cechą surowości i chłodu, która stawała się charakterystyczna dla naszego pokolenia – którą dostrzegałem także w sobie i w moich rówieśnikach literackich

i nieliterackich. Były to znaki na niebie i ziemi, zapowiadające narodziny czasów nowych, o ileż twardszych.

Irena Gombrowiczówna, ok. 1920 r.

Nie chcę przez to powiedzieć, że wszystkie te katoliczki nowego pokroju były równie kategoryczne i głębokie, owszem, było wśród nich sporo pomieszania nowoczesnego intelektualizmu z dawną łatwością, granice nie były ściśle wyznaczone, ale przecież rodziła się wśród nich jakaś powaga przebijająca się poprzez odziedziczone frazesy. Tylko że niejednokrotnie mieszanka tych elementów wywoływała efekty wręcz

komiczne, które my, bracia, witaliśmy wybuchami śmiechu. Albowiem, trzeba przyznać, ta jeszcze nieudolna powaga i żarliwość, nie umiejąca się wyrazić, albo zanadto onieśmielona i niema, albo wpadająca w deklamację, nieraz właśnie pobudzała do oporu, kpiny, i myślę, że niejednego mężczyznę ten rodzący się nowy styl katolicyzmu kobiecego właśnie odstręczał od kościoła...

Wyśmiewaliśmy owe „przesady" w imię zdrowego rozsądku i realizmu życiowego, a nieraz kpiliśmy z ich cnoty akurat tak jak by to robili marksiści – to jest wykazując, że jest ona owocem wydelikacenia burżuazyjnego, komfortu jaki zapewnia wyższa sfera socjalna. Zarzuty takie w ogóle nie przenikały do świadomości mojej matki, która odrzucała je z miejsca jako pochodzące z ducha Niewiary i Złośliwości – natomiast w pannach typu mojej siostry znajdowały nadspodziewanie silny oddźwięk. One już wiedziały, że poza „ich" światem kryje się inny, rzeczywistość o wiele brutalniejsza, której nie będzie można uniknąć... Ich delikatność na gwałt starała się o jakieś duchowe umocnienie, które by pozwoliło sprostać owym złowrogim realiom; jeszcze próbowały, jako dobrze ułożone dziewice, nie dostrzegać pewnych „brudów życia", ale już mobilizowały najgłębsze swoje rezerwy, żeby móc im spojrzeć w oczy, nie dać się zaskoczyć, gdy zajdzie potrzeba spojrzenia temu w oczy.

Podczas gdy starsze panie nie widziały nic, ale to nic niewłaściwego w swoim bogactwie materialnym, tych panien z „dobrych domów" już nie opuszczało poczucie winy. – To nie moja wina że urodziłam się w sferze zamożnej – broniła się moja siostra – każdy musi żyć tam, gdzie go Bóg umieścił. Ale to moje życie nie powinno być łatwiejsze od tamtego życia, niższego, ja powinnam w każdym razie żyć dla tamtego życia. Nie idzie o zlikwidowanie mego stanu posiadania, tych wartości do których mi otworzyło dostęp staranniejsze wychowanie, a o to żeby z niego inni mogli korzystać. ↔

Nowoczesne katoliczki, przeważnie młode, skrępowane były balastem tradycji, rozmaitych konwenansów już przeczasiałych, frazeologią matek, ciotek, przeciw której nie chciały się zanadto buntować. Te starsze damy były nieraz wręcz nieznośne w swojej naiwnej a arcywygodnej górnolotności. Ów mit kobiety-Polki,

strażniczki domowego ogniska, reprezentantki ducha, powołanej do uduchowiania tym duchem mężczyzny, który urobiła literatura rozmaitych Rodziewiczówien, był, jak wszelka tandeta, wysoce szkodliwy. A ten wzniosły program nie był wcale kłopotliwy w wykonaniu – mąż zarabiał, lub ciągnął dochody ze swego majątku, a żona była „strażniczką" ideałów, którym nie zaglądało się w zęby, gdyż były w darze po czcigodnych rodzicach i dziadkach. Ileż takich strażniczek i kapłanek znałem! Były to osoby pełne najlepszych intencji i usiłujące jak najlepiej wychować męża i dzieci, ale rozleniwione, nie mające o niczym pojęcia, przeświadczone że znajomość dziesięciorga przykazań starczy za wszystkie rozumy. Niestety, już stawało się niepodobieństwem pretendować do jakiego takiego wpływu wychowawczego, gdy się nie nadążało postępowi intelektualnemu, kulturalnemu. Nie to jednak najbardziej jątrzyło młodzież, a fałsz coraz wyraźniejszy ich postawy, ich tonu. ↓

Polska międzywojenna to był dla mnie kraj, zmieniający powoli swoją kulturę erotyczną – z kobiecej na męską.

Może się mylę – bardzo trudno wypowiadać takie sądy generalne o Polsce, choćby ze względu na przepaść, dzielącą lud od inteligencji – to przecież zawsze były dwa osobne światy. Ale w każdym razie inteligencja, zwłaszcza w tym jej odłamie artystycznym, intelektualnym, który mnie był najbliższy, wyraźnie wykazywała z roku na rok wzrastającą przewagę mężczyzny. Ba! Nie tylko artystki i literatki, pensjonarki także! Przekonałem się o tym naocznie, gdy na krótko przed wojną pensjonarki z szóstej czy siódmej klasy Gimnazjum Królowej Jadwigi zaprosiły mnie na balik – a zaprosiły mnie dlatego, że właśnie wystawiły własnymi siłami moją nowelkę *Filidor dzieckiem podszyty* przerobiwszy ją uprzednio na sztukę teatralną, a balik był wydany z tej okazji. Odbywało się to w willi jednej z nich, gdzieś na Okęciu, gdym się zjawił zastałem w saloniku kupę dziewczynek szesnasto-, siedemnastoletnich, tudzież ich rozmaitych narzeczonych i wielbicieli, element rodzicielski, ciotczyny itd. w ogóle był wyeliminowany, królowała młodzież. No! Zdarzało mi się bywać na dziwnych i śmiałych przyjęciach, ale czegoś takiego, takiego startu w zabawę, w wódkę, w szał nigdy nie oglądałem.

Z początku było nudnawo, nieśmiaławo, jakieś tam pogaduszki, rzadkie śmiechy, już kombinowałem jak by tu prysnąć… gdy wtem otworzyły się drzwi do sąsiedniego pokoju w którym był bufet i wszyscy powoli skupili się wokół stołu, na którym stały alkohole. Z tego co nastąpiło pozostało mi wrażenie ostrego *crescenda*, gwałtownie wzrastającego brzęczenia… do rozmiarów szumu… ta młodzież rzuciła się na wódkę, w ciągu pięciu minut byliśmy pod gazem, nigdy nie widziałem żeby tyle osób upiło się razem, od razu, jakby na komendę… ja oczywiście też, i potem już dobrze nie pamiętam co się działo, zdaje mi się że jeździłem na motocyklu i wyłaziłem na drzewo.

Takie przyjęcia świadczyły o znacznym „zmilitaryzowaniu" panieńskiego obyczaju – tak to nazwijmy, bo to był styl młodzieży ze szkół wojskowych, styl życia wojskowego. Ale bo to rozwydrzenie nieletnich, tak gorszące starszych, miało wówczas – przynajmniej w ostatnich latach dwudziestolecia swój sens dramatyczny: wojnę. Jej cień kładł się na wszystkim, jej złowroga bliskość szeptała, że trzeba się śpieszyć z używaniem życia póki nie zmiesza się ono zanadto ze śmiercią. Te podlotki z ostatnich roczników przedwojennych już miały w sobie coś z owej wzgardy dla konwenansu, która cechowała młodzież walczącą w parę lat potem na ulicach Warszawy. „Żyjemy jakbyśmy mieli umrzeć" – wykrzykiwał mi kiedyś w ucho zalany Światek Karpiński na jakiejś popijawie i to nadawało się do atmosfery jaka zaciążyła nad Polską bardziej jeszcze niż nad całą Europą. ↔ Różnica pomiędzy nami a Zachodem, jeśli idzie o ten proces wzrastającej swobody obyczajowej, na tym chyba polegała, że w tamtych krajach, dających mimo wszystko poczucie większego bezpieczeństwa, był on bardziej racjonalny, wyrozumowany, u nas zaś – bardziej ciemny, intuicyjny, dramatyczny. Młodzi Anglicy czytali Wellsa, krytykowali dawne pojęcia w imię nowego światopoglądu, naukowego, ateistycznego, przyznającego kobiecie prawo do wolnej miłości – w Polsce to się odbywało jakby samo przez się, dlatego że nawet niedorostki gdzieś tam, poza oficjalną, mocarstwową retoryką, łowiły znaki tajemne nadciągającej tragedii. ↓ Wtedy napisałem ↔ *Pamiętnik z okresu dojrzewania*. To moja pierwsza książka. ↓

Pamiętnik z okresu dojrzewania (1933)

Próbowałem pisać już od jakiegoś szesnastego roku życia. Dręcząca rozpiętość poziomów cechuje te moje początki, było to naiwne, niezdarne – gdy ja sam nie byłem już ani taki naiwny, ani niezdarny. Pióro mnie zdradzało. Cierpiałem. Doprowadzony do rozpaczy, postanowiłem w okolicach dwudziestego roku życia napisać powieść, która by była świadomie „zła", napisać ją tym właśnie, co we mnie było złe, zawstydzające, nie do ujawnienia. Kto wie, czy nie była to rzecz najśmielsza ze wszystkich moich… i może ważna. Ale dałem ją do czytania w maszynopisie pewnej pani, do której miałem zaufanie, która wierzyła we mnie. Przeczytała, oddała mi maszynopis bez słowa i odtąd nie chciała mnie widzieć. Ja w przerażeniu spaliłem utwór. Nic nie zostało.

Minęło parę lat i napisałem *Tancerza*. To wydawało się dobre, to już – ujrzałem – było literaturą. Odtąd zacząłem naprawdę uprawiać pisanie.

Nieraz zadawałem sobie pytanie, które zapewne i panu się nasuwa, dlaczego ten właśnie, a nie inny, gatunek pisarski stał się wówczas moim? Tak fantastycznie, ekscentrycznie, dziwacznie zacząłem – dlaczego? Dlaczego to zostało od razu oderwane od normalnej rzeczywistości, pchnięte w manię, w szaleństwo, w absurd nie pozbawiony wszakże uroczystej logiki, w jakąś celebrację nonsensu? No tak, to sobie wyrobiłem ↔ w moich z matką dyskusjach; ale takie uzasadnienie jest niewystarczające i niewątpliwie owa arystokratyczna forma, rozlubowana we własnym blasku, podszyta jest moimi prywatnymi i wstydliwymi nędzami. Były one dotkliwe, niepokojące… wyrażając się słowami jednego z moich bohaterów „sytuacja moja na kontynencie europejskim stawała się z każdym dniem przykrzejsza i bardziej niewyraźna". ↓

Ja osobiście nie umiałem sobie dać z nimi rady – mowa o kobietach – byłem z nimi taki właśnie, jakim nie trzeba być. To znaczy – dziki, fantastyczny, agresywny, ironiczny, niezrównoważony… Niemało

naturalnie wpłynęły na to rozmaite moje kompleksy i zahamowania, ale też sporo zawdzięczam przykrym doświadczeniom, temu że tyle razy sparzyłem się na nich. ↓

U zarania mojej twórczości Forma pojawia się jako siła rozgrzeszająca i nieomal boska. Innymi słowy: mogę mieć w sobie wszystkie pokraczności, ale jeśli umiem się nimi bawić, jestem król i władca!

Byłem w życiu mętny, nijaki, bezradny, wydany anarchii, zgubiony na bezdrożach. Chciałem być, na papierze, świetny, zabawny, tryumfujący... ale przede wszystkim czysty. Oczyszczony. ↔

Nie umiałem zdobyć się na nic więcej, jak na parodię. Parodię rzeczywistości i parodię sztuki. Przypomina pan sobie, iż od dzieciństwa sztuczność mego pańskiego, ułatwionego, życia była dla mnie zmorą. To poczucie nierzeczywistości nie odstępowało mnie i teraz, zawsze „pomiędzy", nigdy w czymś, byłem jak cień, jak chimera. I nie skłamię chyba gdy powiem, że jeśli jej, rzeczywistości, szukałem w prostocie, w brutalnym zdrowiu najniższych sfer społecznych na owych wyprawach w robotnicze dzielnice Warszawy, to jej, rzeczywistości, szukałem też na owych wewnętrznych terenach, bezludnych, ubocznych, nieludzkich, gdzie grasowały Anomalia i może Bezkształt i Choroba i Ohyda. Gdyż rzeczywistość można odnaleźć w tym, co jest najbardziej zwyczajne i pierwotne i najzdrowsze, ale też w tym co jest najbardziej powykręcane i szalone. Rzeczywistość człowieka jest zarazem rzeczywistością zdrowia i choroby. ↔ Na co mogłem się zdobyć jedynie, to na parodię. Tu styl jest parodią stylu. Tu sztuka udaje i przedrzeźnia sztukę. Logika nonsensu jest parodią sensu i parodią logiki. ↔

A także parodia pozwoliła mi na wyzwolenie Formy, oderwanie jej od przyziemności, pchnięcie w czysty przestwór, gdzie ona stała się lekka, śmiała i odkrywcza. Trzeba dodać, że nie znałem wówczas ani Joyce'a, ani Kafki, surrealizm był mi prawie obcy, a o Freudzie wiedziałem coś niecoś, niewiele. Jeśli coś załapałem z tych natchnień, to o tyle tylko, o ile one były w powietrzu, w rozmowach, w dowcipach. Aparat formalny, który uruchomiłem, był więc w dużej mierze moim wynalazkiem. I ten aparat wprowadził mnie znienacka w okolice, do

których chyba nigdy nie ośmieliłbym się zajrzeć, gdybym był mniej pijany winem absurdu, gry, mistyfikacji, parodii. ↔

Pamiętnik z okresu dojrzewania ukazał się w roku 1933, i ja, wyszedłszy tego dnia na ulicę, wiedziałem, że coś ze mną stało się decydującego. ↓

Wtedy też zacząłem wciągać się w publicystykę. Inicjatywa wyszła z „Polski Zbrojnej", której redaktor zamieścił naprzód nader entuzjastyczne omówienie *Pamiętnika z okresu dojrzewania*, potem zaś zaproponował mi zamieszczanie felietonów. Przekonałem się wówczas, że dziennikarstwo to inna para kaloszy! – cały mój kunszt artystyczny nie zdołał nic zdziałać z tymi przeklętymi felietonami, które wypadały pod zdechłym psem. Redaktor prędko się zniechęcił. ↓

Ferdydurke (1937)

Obrona osobowości. Wiedziałem, co mam napisać. Bronić siebie samego! Narzucić siebie ludziom! Walczyć o siebie! Ten nowy utwór mnie miał służyć, mnie osobiście. I to miało być gwarancją jego osadzenia w rzeczywistości. Gdyż rzeczywistość (myślałem) ta ogólna, obiektywna, nie jest żadną rzeczywistością. Prawdziwa rzeczywistość, to ta własna, prywatna. ↔

Niedojrzałość. – Zawsze ze wzruszeniem wykrywam upartą obecność logiki w chaosie mojej egzystencji. ↔ Byłem złożony z trzech (co najmniej) istot, z których jedna była ziemiańsko-szlachecka, naiwna, niezręczna, maminsynkowata. ↔

Gdyby nie tytuł pierwszej książki, nigdy chyba nie stałbym się piewcą niedojrzałości. A i piewcą formy, w tym przynajmniej jej związku z niedojrzałością. W ten sposób mój tomik został *wzbogacony i pogłębiony*... tym właśnie „ja", które miało pozostać w ukryciu. ↔

Spróbujmy opowiedzieć jak najprościej dlaczego utwór poczęty z osobistych zadrażnień doprowadził mnie do sprawy tak uniwersalnej, jak dramat formy ludzkiej, jak to bolesne zmaganie się człowieka z własną jego formą (co znaczy: z jego sposobem bycia, czucia, myślenia, mówienia, działania, z jego kulturą, ideami, ideologią, hasłami, wiarą... ze wszystkim, w czym on się na zewnątrz objawia). ↔ Byłem zlepkiem rozmaitych światów, ni pies, ni wydra. Nieokreślony. Ale tylko ktoś idący za mną krok w krok i podglądający mnie we wszystkich zetknięciach z ludźmi mógłby zdać sobie sprawę, z jakim ma do czynienia kameleonem. Zależnie od miejsca, osób, okoliczności, byłem mądry, głupi, prostak, wyrafinowany, milczek, *causeur*, niższy, wyższy, płytki lub głęboki, byłem lotny, ociężały, ważny, żaden, wstydliwy, bezwstydny, śmiały lub nieśmiały, cyniczny albo szlachetny... czymże nie byłem? Byłem wszystkim! ↔ Francuz, Anglik, nie doświadczają takich dysonansów, przynajmniej w tym stopniu. Francuz, Anglik, jaki by nie był osobiście, wewnętrznie rozdarty, od

razu wchodzi w pewną formę narodową, angielską, francuską, od wieków wypracowaną, gotową.

Ja byłem Polakiem. ↔ Znajdowałem się w Polsce. Czymże jest Polska? Jest to kraj między Wschodem a Zachodem, gdzie Europa już poczyna się wykańczać, kraj przejściowy, gdzie Wschód i Zachód wzajemnie się osłabiają. Kraj przeto formy osłabionej... Żaden z wielkich procesów kultury europejskiej nie przeorał naprawdę Polski, ani renesans, ani religijne walki, ani rewolucja francuska, ani rewolucja przemysłowa; tu tylko złagodzone echa dochodziły. A współczesna rewolucja rosyjska też nie została przeżyta, tylko skutki jej dostały się (przymusowo) Polsce, już gotowe. Katolicyzm? Kraj jest wprawdzie w orbicie Rzymu, ale polski katolicyzm jest bierny, polega na ścisłym przestrzeganiu katechizmu, nigdy nie był twórczą współpracą z kościołem.

Na tych więc równinach, otwartych na wszystkie wiatry, odbywała się od dawna wielka Kompromitacja Formy i jej Degradacja. Rozmazywało się to, rozłaziło... Tu kultura była równinna, wiejska, pozbawiona wielkich miast, silnego mieszczaństwa, gdzie życie się skupia, komplikuje, piętrzy, nabiera rozmachu, zasila tysiącem splotów międzyludzkich. Była szlachecko-chłopska, proboszczowska, szlachcic na folwarku siedział, chłopem poganiał, a ksiądz proboszcz był wyrocznią. Poczucie bezformia, dręczące Polaków, ale też wypełniające ich jakąś dziwaczną wolnością, było u źródła ich uwielbienia dla polskości.

Proszę więc zrozumieć dodatkową trudność mojej sytuacji w porównaniu z artystami Zachodu. Gdybym się urodził Francuzem, czy Anglikiem, lepiej umiałbym się zachowywać! I jakże ja mogłem w rozgrywce o moją osobowość oprzeć się na mojej kulturze narodowej? Owszem, ta forma polska, styl sarmacki, istniały, nawet dość jaskrawo... ale to było za kuse i tkwił w tym element rozkładowy słabości. Gdzież była polska myśl oryginalna, polska filozofia, polski udział intelektualny i duchowy w tworzeniu Europy? Literatura od stu pięćdziesięciu lat była zakorkowana dramatem utraty niepodległości, sprowadzona do lokalnych nieszczęść. Największa figura tej literatury to Mickiewicz. Jakże ja mogłem oprzeć się na Mickiewiczu, wspaniałym poecie, ale o koncepcjach i horyzontach pobożnego dziecka, zabłąkanego

w kiepskie mistycyzmy? W oparciu o to miałem walczyć o siebie? Wystarczy porównać Mickiewicza z Goethem aby pojąć całe szaleństwo takiego zamiaru.

Pisarze polscy mego pokolenia mieli na ogół do wyboru dwie drogi. Mogli ograniczyć się do polskiego terenu, ale wtedy skazani byli na podrzędność; albo mogli aspirować do europejskości, ale w tym wypadku też skazani byli na podrzędność, gdyż to była europejskość z drugiej ręki, która jedynie starała się dorównać Europie i powtarzać Europę. ↔

Dlaczego nie poszukać oparcia w wielkich prądach epoki, które też są swego rodzaju ojczyznami? Jeśli nie w katolicyzmie, to w komunizmie, lub w faszyzmie? Katolicyzm? Ja, niewierzący? Komunizm, lub faszyzm? Ja, niewierzący? ↔ Teorie? Idee? Od zawsze wiedziałem, że to sita, przez które życie przecieka. A rola postępowego intelektualisty „zaangażowanego" i pouczającego ludzkość jaka ma być jej droga, wyglądała mi i zbyt pretensjonalnie i frywolnie. ↔ Komunizm, faszyzm, kościół, jakakolwiek wiara? Nie. ↓ *Ferdydurke* to niewątpliwie moje podstawowe dzieło, najlepiej wprowadzające w moją problematykę – w to, czym jestem i co reprezentuję. *Pornografia*, napisana w dwadzieścia lat później, swoje korzenie ma w *Ferdydurke*. Wypada mi więc powiedzieć coś niecoś o tej książce.

Jest to groteskowa opowieść o jegomościu stającym się dzieckiem, gdyż inni tak go traktują. *Ferdydurke* pragnęłaby zdemaskować Wielką Niedojrzałość ludzkości. Człowiek, tak jak opisuje go ta książka, jest istotą mętną i neutralną, która musi wyrażać się poprzez zachowania, skutkiem czego na zewnątrz – dla innych – staje się kimś określonym o wiele wyraźniej i precyzyjniej, niż jest naprawdę w swoim wnętrzu. Stąd tragiczna dysproporcja między jego ukrytą niedojrzałością a maską, którą nakłada wchodząc w relacje z innymi. Pozostaje mu tylko wewnętrznie przystosować się do tej maski, tak jak gdyby naprawdę był tym, kim się wydaje.

Można więc powiedzieć, że w *Ferdydurke* człowiek jest tworzony przez innych, że ludzie tworzą się nawzajem i narzucają sobie formy, albo to, co nazywamy „sposobami bycia".

Ferdydurke ukazała się w 1937 r., a więc zanim Sartre sformułował swoją teorię „spojrzenia innego". Jednakże to właśnie dzięki spopularyzowaniu koncepcji Sartre'owskich lepiej zrozumiano i przyswojono ten aspekt mojej książki.

Ferdydurke wszelako śmiało wkracza na inne, nie tak udeptane tereny; słowo „forma" jest w niej skojarzone ze słowem „niedojrzałość". Jak zdefiniować tego człowieka „ferdydurkicznego"? Otóż jest on stworzony przez formę, z zewnątrz, a więc jest nieautentyczny, zdeformowany. Być człowiekiem, to znaczy nigdy nie być sobą samym.

Jest on również stałym wytwórcą formy: wydziela formę niezmordowanie, tak jak pszczoła wydziela miód.

Jednakże bez przerwy walczy on również z własną formą. *Ferdydurke* jest opisem zmagań człowieka z własnym wyrazem, tortur ludzkości na prokrustowym łożu formy.

Niedojrzałość nie zawsze jest wrodzona czy narzucona przez innych. Istnieje również niedojrzałość, w jaką wtrąca nas kultura, gdy przemożnie nas ogarnia, gdy nie potrafimy stanąć na jej wysokości. Zostajemy udziecinnieni przez wszelką formę „wyższą". Człowiek, udręczony przez swoją maskę, potajemnie i na własny użytek sfabrykuje sobie swego rodzaju podkulturę – świat skonstruowany z odpadków wyższego świata kultury, krainę tandety, nieopierzonych mitów, nie wyznanych namiętności... Świat pośledniego autoramentu, kompensacji. Tam właśnie rodzi się jakaś wstydliwa poezja, jakaś kompromitująca uroda... Czyż tym sposobem nie jesteśmy już blisko *Pornografii*? ↓

Iwona, księżniczka Burgunda (1938)

Zacząłem bywać w kawiarniach literackich Warszawy, ale bynajmniej nie w najlepszym towarzystwie. Grupa poetów *Skamandra* i ich tygodnik, „Wiadomości Literackie", przewodziły młodszemu pokoleniu, tam rozdawano honory i robiono reklamę. Jakoś nie przylgnąłem do stolika kawiarnianego skamandrytów – bo może moja wiejska nieśmiałość drżała przed ich wielkomiejskością – a może nie chciałem pojawić się w roli nowicjusza – i może chciałem być panem na własnym folwarku – dość, że sprawiłem sobie własny stolik, niesamowity, z udziałem aspirantów i pretendentów, na pół jedynie urodzonych w sztuce, prowincjonalnych grafomanów, rozwichrzonych myślicieli, młodych poetów zgłodniałych, nie wymytych marzycieli – wszystko okraszone kilkoma rzeczywistymi talentami – i w tym to gronie ja z niezmordowaną wytrwałością, z żelazną, godną podziwu, konsekwencją mówiłem, mówiłem i mówiłem, co wieczór, co noc, głupstwa, głupstwa, głupstwa... które jednak nie były głupstwami, bo jednak były gdzieś jakoś moimi prawdami. ↔

Aby zyskać na czasie zabrałem się do pisania sztuki teatralnej. Tak narodziła się *Iwona, księżniczka Burgunda* ↔ nie zwróciła na siebie większej uwagi i przedwojenne teatry polskie nią się nie zainteresowały. (Dostałem wówczas manii gardzenia aktorkami i żeby upokorzyć najsławniejsze przedstawiałem się im za każdym razem, gdy je widziałem; kiedy po raz piąty przedstawiłem się szarmancko jednej z nich na jakimś przyjęciu, złapała szklankę z wodą i chlusnęła mi w twarz krzycząc „teraz pan mnie zapamięta!" Może, gdybym nie przedstawiał się tak tym aktorkom...) Nie wiem, czy zainteresuje moich przyszłych biografów że spory procent *Iwony* napisałem leżąc na dywanie w salonie na Służewskiej – ta dziwna pozycja tłumaczy się tym, że musiałem mieć na oku ojca, który leżał w sąsiednim pokoju już półprzytomny i cierpiąc na wielkie podniecenie nerwowe. ↓

Iwonę pisałem z trudem i niechętnie. Postanowiłem wykorzystać dla teatru technikę, którą sobie wyrobiłem w opowiadaniach, tę zdolność

snucia oderwanego i nieraz absurdalnego tematu trochę tak, jak tematu muzycznego. Rodził mi się absurd zjadliwy i niepodobny do sztuk, które wówczas pisano. Walczyłem zajadle z formą… te godziny okropne, spędzane nieruchomo nad papierem, gdy pióro jest bezczynne, gdy wyobraźnia szuka rozpaczliwie rozwiązań, a cały wznoszący się budynek trzeszczy i grozi zawaleniem! ↓

Tragikomiczną historię Iwony ująć można w paru słowach. Książę Filip, następca tronu, spotyka na spacerze to dziewczę niepociągające… odpychające… Iwona jest rozlazła, apatyczna, słabowita, nieśmiała, nudna i trwożliwa. Książę od pierwszej chwili nie może jej znieść, zanadto go denerwuje; ale zarazem nie może znieść tego, że musi nienawidzieć nieszczęsnej Iwony. I wybucha w nim bunt przeciw prawu natury, które młodzieńcom nakazuje kochać tylko powabne dziewczęta. – Nie poddam się temu, będę ją kochał! – rzuca wyzwanie swej naturze i zaręcza się z Iwoną.

Iwona, wprowadzona na dwór królewski, jako narzeczona księcia, staje się czynnikiem rozkładowym. Obecność niema, zastraszona, jej rozlicznych defektów sprawia, iż każdemu przychodzą na myśl własne jego tajone braki, brudy, grzeszki… i wkrótce dwór zamienia się w wylęgarnię potworności. I każdy z tych potworów, nie wyłączając księcia, poczyna dyszeć żądzą zamordowania nieznośnej Cimcirymci. Dwór mobilizuje w końcu wszystkie swoje blaski, wszystkie wyższości i wspaniałości i „z wysoka” ją zabija. ↔

Iwona bardziej jest rodem z biologii, niż z socjologii. Po wtóre, że jest rodem z owego bezdroża mojego, gdzie mnie dopadała nieograniczona dowolność kształtu, ludzkiego kształtu, jego rozwiązłość, jego wyuzdanie. Ciągle więc to we mnie było… i ja byłem w tym… ↓

Kodeks honorowy

Całe to dwudziestolecie 1919–1939 to był jednak – dziś z perspektywy to widzę – ogromny skok naprzód. A może największy w obyczajach. Skok od panka w getrach, w meloniku, z laseczką, w lakierkach do rozchełstanej młodzieży, która miała wkroczyć w drugą wojnę światową.

Najbardziej jaskrawa była przemiana pojęć o honorze. Katastrofalna degrengolada dawnego uroczystego honoru, z pojedynkami, sekundantami, protokołami, objawiała mi się wyraźnie w najbliższej rodzinie. Mój ojciec był dżentelmenem w dawnym stylu, sprzed pierwszej wojny, i wielką wagę przywiązywał do wszelkiej poprawności, ale i on już zaczął wykazywać pewien zmysł humoru odnośnie do modnych wówczas „spraw honorowych". Kiedyś w Małoszycach moja matka przyłapała go na dziwnym sporcie: strzelał z pistoletu do figury, wyrysowanej z profilu kredą na desce i najwyraźniej ćwiczył się w przewiercaniu jej siedzenia. W końcu matka, wielce tym zaintrygowana, wyciągnęła z niego, że został wyzwany na pojedynek i postanowił umieścić przeciwnikowi kulę w tylnej części ciała, dość u tego jegomościa zasobnej.

Jan Onufry Gombrowicz, ojciec Witolda, ok. 1920 r.

Mój brat najstarszy, Janusz, więcej chyba pilnował honoru kupieckiego, niż szlacheckiego, ekonomia grała w jego światopoglądzie o wiele większą rolę, niż tradycje i kastowe obciążenia. Wielce się bawił, gdy Stefanowi Kozłowskiemu, mężowi naszej kuzynki, wydarzyła się „sprawa honorowa" dosyć dziwna: pewnego razu w restauracji hotelu „Bristol" ujrzał, iż jakiś pan siedzący opodal najwyraźniej robi do niego miny. Niewiele myśląc podszedł do niego i zażądał przeproszenia, na co tamten, że ani mu się śni i że w ogóle wyprasza sobie etc., etc. Zanim wyjaśniono, iż miny tego pana wcale do Kozłowskiego nie były

kierowane, a tylko do kogoś za nim siedzącego, obaj zdążyli już siebie należycie obrazić i rzecz zakończyła się na placu, co prawda niekrwawo.

Janusz Gombrowicz, ok. 1920 r.

Jerzy, drugi mój brat, też starszy ode mnie, za czasów studenckich przejawiał na odwrót duże upodobanie do całego tego rytuału i rozmaitych uroczystych protokołów „w sprawie honorowej JWP. Ixa z JWP. Igrekiem", podejrzewam jednak, że i on nie miał do tego poważnego stosunku. Była to błyskotliwa zabawa, obfitująca w szumne formuły, a „pieter" nieszczęsnych „stron" dostarczał jej pozorów groźnej

rzeczywistości. Zabawom tym oddawało się spore grono studentów, należycie w niej wyspecjalizowanych i obznajomionych gruntownie z kodeksem honorowym Boziewicza, dzięki czemu żaden zatarg nie mógł się obyć bez ich współudziału w charakterze sekundantów, arbitrów lub ekspertów. Jerzy z lubością uprawiał te igraszki redagując pięknym rondowym pismem imponujące protokoły, ale nigdy w żadnym pojedynku nie wziął, żeby tak się wyrazić, czynnego udziału. Myślę że to w pewnej mierze zastępowało mu kino dzisiejsze dostarczając wrażeń... i wkrótce, z wiekiem, ta mania mu przeszła.

Wreszcie ja – najmłodszy. Byłem już zupełnie „niehonorowy" w pojęciu kodeksu Boziewicza, byłem w tej materii dzikus, barbarzyńca i naiwniak, nie będący w stanie zrozumieć hierarchii części ciała i nie umiejący pojąć, dlaczego, na przykład, uderzenie w twarz jest czymś okropniejszym niż uderzenie w ucho. Moja moralność nie tylko nic nie miała wspólnego z Boziewiczem, ale nawet była wręcz odwrotna – dla mnie bowiem moralność klasy, grupy, sfery, była właśnie niemoralnością i wymagałem jednego prawa dla wszystkich. Ale nie od razu wyzwoliłem się z kodeksu honorowego. Gdy byłem w szkole, nasz uczniowski kodeks niepisany głosił, że spoliczkowany traci honor jeśli nie odda policzka. Była to procedura o wiele prostsza od skomplikowanych protokołów i uroczystej wymiany ukłonów i strzałów na placu pojedynkowym, ale też pociągała za sobą komplikacje, gdyż ten komu oddawano policzek za nic nie chciał zainkasować go tytułem zwrotu i za wszelką cenę starał się przenieść go z powrotem na twarz przeciwnika. Wywiązywała się stąd nie kończąca się seria policzków – paf, paf, paf – jeden za drugim z szybkością, bywało, karabinu maszynowego, gdyż obaj przeciwnicy usiłując w zacietrzewieniu dosięgnąć cudzej twarzy nie zasłaniali własnej.

Ale czasem to honorowe młócenie przeciągało się na całe miesiące – gdyż spoliczkowany nie oddawał natychmiast, a tylko wyczekiwał okazji i dopiero nazajutrz, lub nawet po paru dniach, dopadłszy przeciwnika sparaliżowanego jedzeniem bułki, lub nakładaniem palta, wymierzał cios, w tak zwaną „papę".

Mieliśmy także specjalny Sąd Honorowy przy Kole Samopomocy, ale nigdy chyba nikt do niego się nie odwoływał. Oprócz mnie – raz jeden.

Było to tak. Prezesem Samopomocy był kolega Grabiński, młodzieniec poważny i odpowiedzialny, którego powaga denerwowała mnie i moich rozwydrzonych przyjaciół. Kiedyś wdarliśmy się na posiedzenie Koła i takie zaczęliśmy wyrabiać hece, że rozwścieczony prezes w słowach niedwuznacznych kazał mi wynieść się za drzwi. Tego tylko mi było potrzeba. Oczywiście uznałem to za obrazę i skierowałem sprawę do Sądu Honorowego. Sprawa wałkowała się okropnie długo i dała nam okazję do wysmażenia wspaniałych dokumentów, aż w końcu nadeszły wakacje – i w wakacjach się rozpłynęła.

Nie tylko wśród młodzieży szkolnej te honorowe zabiegi coraz bardziej groteskowe przybierały kształty. Była to jedna z tych form, która w oczach moich się wynaturzała – nie ona jedna...

Nie wiem... ale chyba przełomowa dla honoru była wojna z bolszewikami w tysiąc dziewięćset dwudziestym... mam wrażenie, że ten wstrząs wykruszył ostatnie podrygi z epoki biletów wizytowych i tużurków, potrzeba nam było wojny, własnej wojny, i wielkiego niebezpieczeństwa aby strzały armatnie i karabinowe zlikwidowały ostatecznie pukaninę z pistoletów. Co prawda pojedynków i w następnych latach nie brakło – ale to już było trochę z rozpędu, a trochę sport dla amatorów. Społeczeństwo stało się tak zróżnicowane, tyle grup powstało o odmiennej moralności i obyczajach, że ktoś ogłoszony za niehonorowego w jednej grupie mógł przenieść się do drugiej, gdzie nikogo to nie obchodziło. A w ostateczności można było publicznie dać wyraz swojej pogardzie dla „przesądów niezgodnych z duchem czasu" – prasa chętnie takie oświadczenia zamieszczała – i wtedy uchodziło się za pioniera i męczennika prawdziwej demokracji.

Podróże mnie nie podniecają

Jakże mało znałem Polskę! Należę do ludzi nie lubiących się ruszać, podróże mnie nie podniecają. Jeśli wyjeżdżałem z Warszawy, to albo na wieś, do Małoszyc w Sandomierskim, czy też do moich braci, w Iłżeckie lub w Radomskie – albo w góry, lub nad morze – albo wreszcie, rzadziej, za granicę. Nie będąc ani myśliwym, ani kartografem, po dworach się nie kręciłem, a też żadne interesy mnie do wyjazdów na prowincję nie zmuszały.

Do Krakowa, wstyd powiedzieć, zajrzałem dopiero gdym trzydziestki dobiegał, mając już w walizce gotowy prawie maszynopis *Ferdydurke*.

Jechałem wtedy do Czorsztyna i postanowiłem o Kraków zawadzić, żeby się skonfrontować z Wawelem i w ogóle z przeszłością polską. Była to jakaś niejasna potrzeba, może i dyktowana niepokojem, który już wtedy nurtował całą Europę w związku ze zbrojeniami niemieckimi – chciałem się przyjrzeć temu sercu narodu polskiego i własne skontrolować reakcje. Ale, powtarzam, nie było to jasne, ani naglące, i gdyby Kraków nie wypadł po drodze do Czorsztyna, nie wybrałbym się na tę pielgrzymkę.

Pielgrzymkę? Moje uczucia nie były zanadto pielgrzymie, raczej przeciwnie. Czytając niedawno w dzienniku młodego Żeromskiego opis jego podróży do Krakowa, nie mogłem się powstrzymać od zestawienia jego i mojej pielgrzymki, które czterema z górą dziesiątkami lat były przedzielone. Żeromski rzeczywiście pielgrzymował. „Ze czcią, drżącymi palcami dotykasz marmurów i szepczesz w głębi duszy swojej: – O, najjaśniejsi!…" – tymi słowami opowiada o swojej bytności na Wawelu, w tej, jak mówi, „wspaniałej w życiu minucie, jak minuta pierwszej komunii". Co do mnie, jechałem nie żeby korzyć się i klękać – żeby kontrolować! Co? – zapytacie. Sam dobrze nie wiedziałem. Ale w każdym razie ta wyprawa miała charakter chłodnej inspekcji, nie zaś kornego uwielbienia.

Przyjechałem w nocy, zamieszkałem w hotelu, nazajutrz wybrałem się na Wawel, rzuciwszy przedtem okiem na rynek i przyległości. Trudno było nie uznać szlachetnej krasy tego miasta, ale coś mnie powstrzymywało od zezwalania sobie na podziw – może to iż ten zachwyt był u innych Polaków zbyt skwapliwy… ja wolałem zachowywać się ostrożniej… W końcu wyruszyłem na górę wawelską – przede mną szła wycieczka dzieci szkolnych – słońce – ładny był dzień, czerwcowy. Oglądałem wieże i mury, renesanse i baroki wież, murów, zastanawiałem się o ile renesans, o ile barok, może nam być bliski, po czym wkroczyłem do środka i rozpocząłem owo wieczyste we wszystkich muzeach i zamkach przechodzenie z jednej sali do drugiej.

W sali „Pod głowami" posłyszałem kiepską francuszczyznę – to jakiś jegomość usiłował wytłumaczyć dwom Francuzom pochodzenie arrasów, ale mu nie szło, zacinał się i aż zamykał oczy z rozpaczy. Kilka razy podpowiedziałem mu brakujące słówko, z czego wywiązała się rozmowa. Otóż nie byli to Francuzi, tylko Belgowie, przemysłowcy, odwiedzający którąś z fabryk tutejszych – on zaś był urzędnikiem tej fabryki którego przydzielono gościom jako cicerone z uwagi na jego znajomość francuskiego. Był w siódmych potach i pytał, czybym nie mógł mu dopomóc – przygotował się dobrze, ma mnóstwo do powiedzenia, idzie tylko o to żebym przetłumaczył co on powie po polsku. Zgodziłem się, nie przeczuwając na co się narażam. ↓

A także… przecież ostatecznie w tym Wawelu, w tym Krakowie, człowiek coraz to natykał się na nazwiska Włochów, którzy to budowali, malowali, rzeźbili – cały ten splendor był, jak na złość, świadectwem że nasze sztuki plastyczne były wówczas w powijakach. Czymże się chlubić? Tym, że nasi królowie tych artystów z zagranicy sprowadzali?

Poszedłem do katedry. Czy miałem, jak Żeromski, paść na kolana z krzykiem „Najjaśniejsi!"? Ależ czas, który od tej romantyczności upłynął, był surowy, trudny, ja już nie mogłem sobie pozwolić na łatwe egzaltacje, czas mój domagał się ode mnie krytycyzmu, surowej trzeźwości. Wszystko zależało od tego, jaką miarą mierzyć będę te sarkofagi. Polską, lokalną – czy europejską, światową? W skali naszej, domowej, to było rzeczywiście maksimum – w skali uniwersalnej ta katedra była jedną z wielu, ci wodzowie, króle, wieszczowie jednymi

z wielu… Czy więc miałem zapomnieć tutaj o świecie i zamknąć się w mojej polskości? Czy też właśnie tutaj obowiązkiem moim było stać się Polakiem w skali światowej, wyczuwającym obecność świata?

Ten dylemat bardzo ostro mi się wtedy zarysował i pojąłem, że wielkie dla mnie ma znaczenie.

Ale byłem jeszcze za młody, nie umiałem jeszcze wtedy tych przeżyć na papier przelać – może moja postawa wobec Polski nie była jeszcze dość opracowana – dość że ani mówić ani pisać nie mogłem o tym poważnie, a moja niechęć do klasycznego polskiego uwielbiania wyładowywała się w kpinach i prowokacjach przeważnie niezbyt wyszukanych. ↓

Niepodległość

Byłoby fatalne gdybym, wzorem wielu Polaków, delektował się niepodległością 1918–1939; gdybym nie śmiał zajrzeć jej w oczy z najzimniejszą bezceremonialnością. Upraszam aby nie poczytywano mego chłodu za tani efekt. Powietrze wolności zostało nam dane abyśmy przystąpili do rozprawy z wrogiem bardziej dręczącym niż dotychczasowi ciemiężcy – z sobą. Po zmaganiach z Rosją, z Niemcami, czekał nas bój z Polską. Nic dziwnego zatem, że niepodległość okazała się cięższa i bardziej upakarzająca od niewoli. Póki byliśmy pochłonięci buntem przeciw obcej przemocy, pytania: kim jesteśmy? co mamy z siebie zrobić? jak gdyby zasnęły – ale niepodległość zbudziła śpiącą w nas zagadkę.

Z odzyskaniem wolności powstał przed nami problem istnienia. Na to, aby naprawdę zaistnieć, musielibyśmy siebie przerobić. Ale taka przebudowa była nad nasze siły, wolność nasza była pozorna, w samej strukturze narodu tkwił fałsz i gwałt, krępujący nasze poczynania. A nasza słabość ostrzegała nas abyśmy siebie nie ruszali – bo a nuż wszystko gotowe się rozpaść. Polskę ówczesną nosiliśmy na piersiach jak pancerz don Kiszota, woląc na wszelki wypadek nie sprawdzać jego wytrzymałości.

Okres niepodległości nie był radosną twórczością, ale bolesnym szamotaniem się z niewidzialną nicią wewnętrznej niewoli. Okresem egzystencji zaszyfrowanej, okresem wielkiej maskarady. Gdybym pisał historię literatury tego czasu nie pytałbym, dlaczego ci pisarze byli wybitni, ale dlaczego, będąc wybitni, nie mogli być w pełni wybitni. Historię tej literatury należy pisać na opak, to znaczy jako historię tego, co nie zostało dokonane. Lepiej abyśmy byli dumni i zdobyli się na stanowczość w odrzuceniu wszystkiego co naprawdę nie było na naszą miarę; tylko taka polityka uchroni nas od upokorzenia. Gdybym pisał historię literatury... Ale nie mogę jej pisać bo nie znam większości tych mdłych książek, o prozie i poezji polskiej wiem coś niecoś, raczej to przeglądałem niż czytałem, i moje wyobrażenie o polskim

piśmiennictwie jest syntezą wielu wrażeń – tego co przeczytałem, tego, co się mówiło, tego, co było w powietrzu. Wszystko jedno. Wystarczy jedna łyżka zupy aby wiedzieć czy smakuje – i dlaczego mianowicie nie smakuje… i wypowiem się nie jako badacz i szperacz, ale jako jeden z tych, którzy do tej jadłodajni zachodzili.

Naprzód jedna myśl ogólna: jakakolwiek byłaby literatura w swoich środkach wyrazu, realistyczna, fantastyczna, romantyczna, ona zawsze musi być związana najściślej z rzeczywistością – gdyż nawet fantazja o tyle tylko jest ważna o ile wprowadza nas w istotę rzeczy głębiej niż to mogłaby zdziałać pospolitość trzeźwego rozumu. Więc decydującym momentem dla zbadania autentyczności literatury, czy życia duchowego narodu, będzie ten właśnie: o ile one są bliskie rzeczywistości.

Chciałbym rozpatrzyć pod tym kątem okres 1918–1939. ↓

Oni jednak utonęli bez reszty w masie, lub też w owych abstrakcjach – jak naród, historia, sztuka – będących wytworem zbiorowej kultury. I zawsze byli sługami czegoś. Zawsze przed czymś na kolanach. ↔

W tej to niewygodnej, klęczącej, pozycji powitaliśmy niepodległość. Cóż miałby do zrobienia człowiek oswobodzony? Powstać, przeciągnąć się, przetrzeć oczy, rozejrzeć się dokoła i zastanowić się jakby od nowa: kim jestem, gdzie jestem, jakie jest moje zadanie?

Ale niepodległość bynajmniej nie przywróciła nam wolności: ani swobody uczucia, ani swobody widzenia. Naród stał się politycznie wolny, natomiast każdy z nas ujrzał się naraz bardziej spętany i wewnętrznie osłabiony, niż kiedykolwiek przedtem. Czym było owo zmartwychwstałe państwo, jeśli nie wezwaniem do nowej służby i nowego kornego poddania? Ale to państwo było rekonwalescentem, ledwie trzymało się na nogach. Wobec czego wszystko inne, choćby najbardziej palące i nie cierpiące zwłoki, musiało ustąpić jednemu nakazowi: wzmacniać państwo.

Powiedziano:

– Nie będziesz miał żadnej myśli, która by mogła osłabić naród albo państwo.

– Będziesz dostrzegał, myślał, czuł to tylko, co wzmaga siłę narodu i państwa.

To jednak spowodowało w nas rozterkę, która, moim zdaniem, jest kluczowa dla całego okresu wolności. Gdyż zważcie – wzywano nas abyśmy zrezygnowali z pełności i autentyczności indywidualnego istnienia nie na rzecz innej jakiejś autentyczności i siły, ale na rzecz istnienia niepełnego, które niczego nie mogło osiągnąć gdyż było napiętnowane niedostatecznością. Polska, którą mieliśmy sycić własną najżywotniejszą krwią indywidualną, była ekonomicznie i militarnie wątła, politycznie wsadzona między dwie koncentracje złowrogiej potęgi, kulturalnie chora na anachronizm – to państwo nie mogło prowadzić żadnej dorzecznej polityki, nie mogło w ogóle dokonać niczego, musiało trwać dorywczą łataniną i chowaniem głowy w piasek. A co najgorsze nie było państwem ani wielkim, ani małym: dość wielkie aby być powołane do aktywności historycznej, zanadto małe aby temu powołaniu sprostać.

Witold Gombrowicz, ok. 1930 r.

To zrodziło atmosferę nierzeczywistości, partactwa, groteski, która zaczadziła dwudziestolecie. Nierzeczywistości – gdyż my nie mieliśmy po prostu *poprzez co* wejść w styczność z życiem. I tak rujnowaliśmy się aby utrzymać wielką armię, ale armia okazała się chimerą. Ograniczaliśmy się duchowo i intelektualnie, ale nasza myśl państwowa, narodowa nie stała się od tego silniejsza. A co do partactwa – przecież najświetniejsze zdolności, w kleszczach owej podwójnej anemii, jednostkowej i zbiorowej, musiały się zmarnować, podobnie jak marnowały się przedsięwzięcia techniczne, finansowe,

społeczne. A także było to groteskowe – albowiem groteska to signum nieudolności, marka fabryczna tandety.

Nie rozważam całości życia polskiego – idzie mi tylko o literaturę. Być może na terenie politycznym i ekonomicznym my nie mieliśmy nic innego do zrobienia, robiło się więc co się dało i jak się dało. Ale swoboda sztuki jest stokroć większa i twierdzę, że nawet w tej sytuacji była możliwa w Polsce sztuka rzeczywista.

Twierdzę co więcej: w tych warunkach najważniejszym i naczelnym zadaniem sztuki było nie dopuścić do utraty styczności z życiem rzeczywistym – przebić się poprzez życie zredukowane do prawdziwej, pełnej egzystencji – stać się kotwicą, która by nas łączyła z bytem zasadniczym. Dlaczego tak fatalnie zawiodła nas sztuka w tym względzie?

Ach, z powodu pewnego drobnego niedopatrzenia… Powrócę do tego w najbliższej przyszłości, opowiem, jaka to drobna pomyłka w wyborze drogi uniemożliwiła nam wydostanie się na przestrzeń z naszego ślepego zaułka.↔

Poświęcam dziś trochę czasu powracaniu do tamtych lat – niepodległości. Aby je zniszczyć. ↓

Czułem się za owych lat w Polsce jak w czymś co chce być, a nie może, chce się wypowiedzieć, a nie potrafi… Męcząca zmora! Dookoła mnie ileż niewyżycia! A przecież materiał ludzki był dobry i wcale nie gorszy od jakiegokolwiek innego, europejskiego – i oni wyglądali jak istoty zdolne, wsadzone w partactwo – skrępowani czymś nieosobistym, nadrzędnym, międzyludzkim, zbiorowym – wywodzącym się ze środowiska. Całe klasy społeczne jak z sarkastycznego snu: ziemiaństwo, chłopstwo, proletariat miejski, oficerowie, ghetta… i polska myśl, polska mitologia, polska psychika… polskość niewydarzona i nieskuteczna, która jak subtelny opar przenikała, to dziedzictwo które nas określało… Wracałem od moich braci ze wsi rozstrojony diabelskim dysonansem; ale w mieście oczekiwały mnie kawiarnie szamocące się bezradnie z przeznaczeniem i ludzie, jak las drzew karłowatych na piasku.

Mogła przyświecać nadzieja powolnego doskonalenia, stopniowego wyrabiania się i dorabiania… Ale czekać? Nie mogłem zgodzić się na to

aby życie moje miało być li tylko wstępem do życia. Czyż w literaturze miałem służyć jedynie do tymczasowego łatania dziur, aby umożliwić za sto, dwieście lat wzejście słowa polskiego, już suwerennego? W takim razie nie warto było zabierać się do pisania. Sztuka, która nie zdoła zapewnić swemu twórcy autentycznego istnienia w sferze duchowej, jest tylko nieustającym wstydem, upakarzającym świadectwem partactwa. Co chwila widziałem jak któryś z „kolegów" przyswajał sobie jakąś wiarę, postawę ideologiczną, czy estetyczną, w nadziei, że w końcu stanie się rzeczywistym pisarzem – i to naturalnie kończyło się serią grymasów, piramidą zgrywy, orgią nierzeczywistości.

Gdyż albo się jest kimś, albo się nie jest – ale nie można fabrykować siebie sztucznie. W Niepodległej to sztuczne fabrykowanie sobie istnienia zastępowało coraz częściej istnienie prawdziwe: ci intelektualiści i artyści starali się być kimś z tą *arrière pensée* aby po prostu być. Wierzyć w Boga nie dlatego, że to konieczność duszy, ale dlatego że wiara wzmacnia. Być narodowcem nie z natury i z przekonania, ale dlatego, że to potrzebne do życia. Mieć ideały nie dlatego, że się je nosi we krwi, ale dlatego że to „organizuje". Wszyscy oni gorączkowo poszukiwali jakiejś formy, aby się nie rozpłynąć... i ja może nie miałbym nic przeciwko temu, gdyby mieli odwagę przyznać się do tego co robią i gdyby samych siebie nie oszukiwali.

To jednak było naiwne samooszukaństwo. Ja więc zerwałem w końcu wszystkie stosunki z ludźmi w Polsce i z tym co oni wytwarzali. Zamknąłem się w sobie, zdecydowany żyć tylko własnym życiem, jakie by ono nie było, widzieć własnymi oczami – i sądziłem, że gdy kategorycznie zdołam być sobą, odkryję twardy grunt pod stopami. Ale wkrótce stało się oczywiste, że ten krańcowy indywidualizm nie mógł sam przez się uczynić mnie ani bardziej rzeczywistym ani bardziej twórczym. Nie rozwiązywał niczego, a przede wszystkim nie rozwiązywał języka. Czymże bowiem było to „ja", na którym chciałem się oprzeć? Czyż nie było urobione przez przeszłość i przez współczesność – czyż taki, jak byłem, nie byłem konsekwencją rozwoju polskiego? Nic z tego co robiłem, mówiłem, myślałem, pisałem nie zadawalało mnie i chyba znane wam to uczucie – gdy spostrzegacie, że wciąż mówicie nie to, co byście chcieli, gdy tekst napisany przez was

brzmi wam pretensjonalnie, głupio, fałszywie, gdy wszystkie spaczenia waszego wychowania, wpływy, jakie was ukształtowały, nałogi, jakie wam zaszczepiono, gdy cała wasza niedojrzałość w obliczu naczelnych zagadnień bytu i kultury uniemożliwia wam formę. Nie mogłem znaleźć formy na wypowiedzenie mej rzeczywistości. Nie mogłem w ogóle określić tej rzeczywistości, znaleźć swego miejsca. W tych warunkach mogłem tylko – i tak napisałem w *Ferdydurke* – udawać pisarza (wzorem innych kolegów).

Trudność w tej rzeczy jest tylko jedna, ale nie do przeskoczenia – że z próżnego i Salomon nie naleje. Być sobą? Tak, ale jeśli się jest niedojrzałością?...

Jednakże przyświecała mi myśl, o której nigdy nie zwątpiłem: że, jeśli jestem, to jednak mam wymowę faktu, czegoś co jest... przez to samo, że byłem, miałem prawo głosu i z głosem tym należało się liczyć.

Wówczas spojrzałem na całą tę niedostateczność polskiego wypowiadania się w literaturze z innej perspektywy. Oto co mi się ukazało.

Literatura ta zapewne nie odtwarzała rzeczywistości – a jednak była rzeczywistością, chociażby właśnie w tej swojej niemocy. ↔

Więc prawdziwa rzeczywistość polska nie wypowiadała się w książkach, które nie były z niej – były obok niej – a właśnie w tym fakcie, że książki nas nie wyrażały. Istnienie nasze na tym polegało, że nie mieliśmy istnienia dość skrystalizowanego. Forma nasza na tym, że ona nie przylegała do nas należycie. To co nas określało, to była właśnie ta niedostateczność nasza. Na czym zaś polegał błąd polskich pisarzy? Na tym, że oni usiłowali być tym czym być nie mogli, ludźmi uformowanymi, podczas gdy byli ludźmi w trakcie formowania się... I pragnęli, w poezji i w prozie, podciągnąć się do poziomu europejskich, bardziej skrystalizowanych narodów, nie bacząc, że to ich skazuje na wieczystą drugorzędność – gdyż nie mogli rywalizować z tamtą, bardziej wyrobioną formą.

Stąd objawiło mi się paradoksalnie, że jedyny sposób w jaki ja, Polak, mogłem stać się zjawiskiem pełnowartościowym w kulturze, był ten: nie ukrywać mojej niedojrzałości, ale przyznać się do niej; i tym przyznaniem oderwać się od niej; i z tygrysa dotychczas mnie

pożerającego uczynić rumaka, którego dosiadłszy mógłbym może nawet dalej zajechać niż tamci, zachodni ludzie, „określeni"... Na pierwszy rzut oka nie wygląda to groźnie jako program i hasło bojowe – ot, jeden więcej kaprys intelektu, szukającego dróg wyjścia... ale gdy wniknąłem (podczas pisania *Ferdydurke*) w jego konsekwencje wyraźniej dostrzegłem druzgoczącą ich przewrotność. Cóż to znaczyło? Należało, po prostu, postawić wszystko do góry nogami, począwszy od samych Polaków. Z Polaka dumnego z siebie, pyszniącego się sobą, zakochanego w sobie, uczynić istotę jak najostrzej świadomą swej niedostateczności i tymczasowości – i tę ostrość widzenia, bezwzględność w nieukrywaniu słabości, uczynić siłą. Musiałoby ulec przenicowaniu nie tylko nasze podejście do historii i sztuki narodowej, ale i cały patriotyzm nasz zostałby przeistoczony, na nowych oparty podstawach. Więcej, o wiele więcej, cały nasz stosunek do świata musiałby się zmienić a zadaniem naszym nie byłoby już wówczas wypracowanie jakiejś określonej polskiej formy, lecz uzyskanie nowego podejścia do formy jako do czegoś, co wciąż jest przez ludzi stwarzane a nigdy ich nie zadawala. Więcej jeszcze: trzeba by wykazać, że wszyscy są tacy jak my, to jest ujawnić całą niedostateczność człowieka cywilizowanego wobec kultury, która go przerasta.

Chodziło tu ni mniej mi więcej tylko o przewekslowanie z człowieka mającego formę na człowieka (dotyczy to także narodu) wytwarzającego formę – recepta sucha, ale zmieniająca nagle i niespodziewanie cały polski sposób bycia w świecie. Co do mnie, nie przejmowałem się szaleńczym ogromem tej rewolucji. I dziś nie pytam czy jest dorzeczne proponowanie czegoś takiego kulturze polskiej która, przetrzebiona i wzięta za pysk, ciągnięta jest we wręcz przeciwnym kierunku (gdyż myśl dialektyczna przetwarza się w praktyce totalitarnej na myśl dogmatyczną). Programy nie przerażały mnie, ponieważ nie poruszał mną program ale wewnętrzna konieczność. Artysta nie jest od rozumowania – nie jest od szeregowania sylogizmów, ale od tworzenia obrazu świata, on nie odwołuje się do cudzego rozumu, tylko do cudzej intuicji. Opisuje świat tak, jak go odczuwa, i oczekuje, że odbiorca, odczuwszy go w ten sam sposób, powie: tak, tak jest, to jest rzeczywistość i bardziej rzeczywista od tego, co dotąd rzeczywistością

nazywałem – choć może nawet obaj, artysta i odbiorca, nie umieliby logicznie udowodnić, dlaczego to jest właśnie bardziej rzeczywiste. Mnie więc wystarczało, że od tej strony zalatywał mnie podmuch autentycznego życia. Parłem w tym kierunku na oślep dlatego po prostu, że każdy krok ku temu czynił moje słowo silniejszym i moją sztukę prawdziwszą. Resztą zupełnie się nie przejmowałem. Reszta – prędzej czy później – zrobi się sama. ↓

Wiedeń 1938

W roku trzydziestym ósmym, w kwietniu czy w maju, wybrałem się do Włoch, trochę żeby zobaczyć faszyzm, trochę żeby odpocząć po męczącym porodzie *Ferdydurki*. ↓ Ściemniało się, pociąg pędził w stronę Wiednia, a mnie się zdawało, że uwozi mnie w ciemność, wzrok mój przestawał już rozróżniać kształty, na nieznanych obszarach pojawiały się światełka, rytmiczne, rozkołysane parcie w tę przestrzeń stawało się apokaliptyczne. Naraz zdałem sobie sprawę, że nie ja jeden się boję.

Naokoło, w przedziale, na korytarzu, wszyscy się bali. Twarze były naprężone, wymieniano jakieś uwagi, coś komentowano… Co? Było widoczne, że coś się stało. Ale nie chciałem pytać.

Gdy wjechaliśmy w przedmieścia wiedeńskie ujrzałem gromady ludzi z pochodniami, wiwatujących. Krzyki „*Heil* Hitler" dochodziły do naszych uszu. Miasto szalało. Zrozumiałem: to był *Anschluss*. Hitler wkraczał do Wiednia. ↓

Argentyna

Jak mi się wydarzyła ta Argentyna? Czysty przypadek (przypadek?). Spotykam się w kawiarni Zodiak w Warszawie z pisarzem w moim wieku, Czesławem Straszewiczem. Mówi: – Jadę do Ameryki Południowej. – Jak to? – Za miesiąc wypływa do Buenos Aires nowy transatlantyk polski, „Chrobry", to jego pierwsza podróż. Zaproszono mnie, jako literata, żebym coś o tym napisał do gazet. – Co pan mówi, to może i mnie by zaprosili? – Niech pan spróbuje, zaproponuję im, może się uda. We dwóch będzie przyjemniej.

Udało się. Zdarza mi się czasem czytać w prasie, że „uciekłem" przed wojną do Argentyny. Nic podobnego. Tak beztrosko przygotowywałem się do tej podróży, iż tylko przypadkowi (przypadkowi?) zawdzięczam, że nie zostałem w Polsce.

Ostatniego dnia przed wyjazdem zachodzę do kawiarni, już gotów do drogi, ze wszystkimi dokumentami w porządku. Ale ktoś mi mówi: – A ma pan zezwolenie władz wojskowych? – Mam paszport zagraniczny, złożyłem wszystkie zaświadczenia z wojska, bez tego nie wydają paszportu. – To nie wystarcza! Trzeba mieć jeszcze specjalne, dodatkowe, zezwolenie władz wojskowych; to czysta formalność, ale bez tego nie wpuszczą pana na statek.

Patrzę na zegarek. Siódma za dwadzieścia. Urząd wojskowy zamykają o siódmej. Łapię taksówkę, pędzę, wbiegam po schodach na czwarte piętro. Za późno! Drzwi zamknięte. Trzy minuty po siódmej. Dobijam się. Woźny.

– Biuro już nieczynne. Proszę nie robić hałasu.

Witold Gombrowicz, zdjęcie do paszportu wykonane w Warszawie w 1935 r.

Drzwi się zamykają. Żegnaj, Ameryko! Zaczynam schodzić melancholijnie, gdy wtem tupot. To drużyna footballowa, która miała jechać na mecz międzynarodowy do Danii. Też się spóźnili. Znów walenie do drzwi. Tym razem woźny nas wpuścił i tytułem specjalnej łaski poprzybijano nam odpowiednią pieczątkę. ↔ Moje dwadzieścia trzy lata Argentyny to była kwestia paru minut. ↔

Dobiliśmy do Buenos Aires 22 (dwójka to moja cyfra) sierpnia 1939 (suma cyfr 22), po trzytygodniowej, lekkomyślnej, podróży. Sytuacja międzynarodowa miała tendencję do odprężenia. Następnego dnia po naszym wylądowaniu świat został spiorunowany telegramami z Moskwy i Berlina, obwieszczającymi niemiecko-rosyjski pakt o nieagresji. Wojna! Jakoż po upływie tygodnia pierwsze bomby niemieckie spadły na Warszawę. ↓ Teraz chciałbym przekazać sens lat

następnych – pragnąłbym aby stopniowo cała historia mojego życia stała się znana. W mojej interpretacji. Gdyby historia mogła obyć się bez interpretacji, dałbym ją *in crudo* – same gołe fakty. Ale przecież trzeba dokonać wyboru, odróżnić co ważne, twórcze, od tego co nieważne i jałowe – i to tym bardziej, że jeszcze nie umarłem, że żyję i przyszłość przede mną, że muszę skonstruować sobie przeszłość aby ona mi przyszłość wyznaczyła. „Cóż kogo obchodzą pańskie przygody?" – ach to mi już powiedziano i nieraz. Ubolewam. Nic na to nie mogę poradzić. Cóż byście powiedzieli, gdybym, przebywając w Buenos Aires, przesyłał wam korespondencje na przykład z Pekinu? Powiedzielibyście, że to nabieranie gości. Więc – najmocniej przepraszam – mieszkam w sobie i tylko stąd, z siebie, mogę do was się odzywać. ↓

Wciąż mieszkałem na statku wraz z moim towarzyszem, Straszewiczem. Na wiadomość o wybuchu wojny, kapitan postanowił wracać do Anglii (do Polski już nie można było się przedostać). Zrobiliśmy naradę wojenną ze Straszewiczem. On zdecydował się płynąć do Anglii. Ja zostałem w Argentynie. ↔ Nie była to żadna dezercja, gdyż Polska tak czy owak była już niedostępna. Zameldowałem się w poselstwie polskim w Buenos Aires zaraz po opuszczeniu statku, a potem, gdy w Anglii poczęto formować wojsko polskie, stanąłem w stroju adamowym przed komisją poborową poselstwa... dość, że pod względem formalnym byłem najzupełniej w porządku. ↔ Byłem wstrząśnięty, zdruzgotany, ale i szczęśliwy, że jakimś cudem znajduję się za oceanem. ↓

La Falda. Uzdrowisko w górach Cordoby. Na avenida Eden panie i panowie przy kawiarnianych stolikach popijają *refrescos*, podczas gdy osły, przywiązane do drzew, obgryzają korę a głośnik nadaje uwerturę do trzeciego aktu *Traviaty*.

Nic nadzwyczajnego – a jednak dla mnie miejsce to jest jak twarze we śnie – skombinowane – te twarze tak dręczące, które są połączeniem dwóch oblicz odmiennych, zachodzących jedno na drugie i wzajemnie się maskujących. Zewsząd spogląda tu na mnie złowroga Dwoistość, kryjąca sekret ciężki i zawiły. ↔ Teraz widzę.

Wówczas – zgubiony w Argentynie, bez pracy, bez oparcia, zawieszony w próżni, nie wiedzący co będę robić za miesiąc – zapytywałem siebie z tą ciekawością, dochodzącą nieraz do zupełnie chorobliwego napięcia, jaką zwykła budzić we mnie przyszłość – zapytywałem, co będzie ze mną za lat dziesięć.

Podniosła się kurtyna. Widzę siebie przy kawiarnianym stoliku tejże avenidy, tak, to ja. ↔ Kładę rękę na stoliku. Spoglądam na dom przeciwległy. Wołam na kelnera i proszę *un cortado*. Bębnię palcami po stole. Lecz to wszystko ma charakter tajnej informacji, przekazanej tamtemu ↔ i zachowuję się tak jakbym był widziany przez niego. Ale zarazem widzę jego, gdy siedział tutaj, może przy tym samym stoliku. Stąd ta okropność podwójnego widzenia, którą odczuwam jak pęknięcie rzeczywistości, coś nieznośnego – jakbym sobie samemu zaglądał w oczy. ↓ Dwieście dolarów, cała moja fortuna, wystarczyły mi prawie na sześć miesięcy. Argentyna była wtedy krajem wyjątkowo tanim. Mieszkałem po studencku w podrzędnych hotelikach, pomagali mi niektórzy Polacy, zacząłem trochę pisywać do gazet – anonimowo, felietony przeważnie – przez jakiś okres miałem bardzo skąpy zasiłek z naszego poselstwa. To wszystko nie wystarczało, nigdy nie wiedziałem z czego będę żyć za miesiąc, a nieraz musiałem pożyczać kilka pezów na obiad. Tak trwało aż do roku 1947, odrobinę gorzej, odrobinę lepiej, zależnie od okoliczności. Następny okres to była siedmioletnia praca w Banco Polaco. To było znacznie nudniejsze. ↔ Mieszkałem, jak się rzekło, w najtańszych hotelikach, czasem w tak zwanych *conventillos*, wielkomiejskich ruderach, zapchanych biedotą. Z jakąż pasją rzuciłem się w niższość, ja, pan Gombrowicz! Odmłodniałem nagle i gwałtownie pod względem psychicznym i fizycznym, na ulicy mówiono mi *joven*, jakbym nie miał dwudziestu pięciu lat. Nigdy nie byłem bardziej poetą, niż wtedy, na przepełnionych, gorących, ulicach, doszczętnie zgubiony (zgubiony w tłumie, ale i w tym co dotyczyło losu mojego). Rój, mrowisko, korowód, światła, szum olbrzymi, wyziewy, a moja bieda była rozkoszą, upadek mój był wzlotem. Wsiąkłem w to wielojęzyczne koczowisko bez wahania, gładko, byłem jednym z nich. A moi przygodni towarzysze, z którymi przyjaźń powierzchowna i nieobowiązująca przychodziła mi

w sposób zdumiewająco naturalny (tę naturalność odkryłem w sobie, ja, sztuczny, jak skarb najcenniejszy, łaskę, wypoczynek, wyzwolenie) pomagali mi, jak mogli. Kiedyś spacerując z jednym z nich po ulicy Corrientes i gapiąc się na wystawy (co za zaszczyt dla pana Gombrowicza!) powiedziałem, że jeść mi się chce (co za zaszczyt!). – Nic, powiedział, nie przejmuj się, mam trupa, starczy dla dwóch. Wsiedliśmy do tramwaju i pojechaliśmy na przedmieście, do jakiegoś domku w dzielnicy robotniczej, gdzie rzeczywiście nieboszczyk, nie wiem już jakiej nacji, leżał w trumnie, obłożony kwiatami, a rodzina, krewni i znajomi żegnali go w żałobnym milczeniu. Pomodliwszy się przeszliśmy do sąsiedniego pokoju, gdzie był poczęstunek dla żałobników, bufet, kanapki, wino, jedliśmy i opowiadał, że nieraz wyszukuje sobie trupów w tym *barrio*, że najlepiej dowiedzieć się od kościelnego.

Witold Gombrowicz, Argentyna, Tandil, 1958 r.

To młode, nieskończenie eleganckie, jedzenie trupa urosło mi do jakiegoś bardzo głębokiego symbolu owych czasów… to zajadanie trupa

z młodym, świetnym, apetytem… do którego ja przecież, w moim wieku, już nie miałem prawa… I cała ta moja „naturalność” to była w końcu tylko sztuczność i gra… ale gra najdonioślejsza, najwspanialsza, jaką mogłem wieść ze sobą samym. Dzięki temu paradoksalnemu rozmiłowaniu w upadku przetrwałem wojnę i nędzę zwycięsko. I dziś nie doświadczam wyrzutów sumienia, iż wówczas klęska, nieszczęście moje, czy bliskich, czy połowy świata, stało mi się pomostem do czegoś w rodzaju gorzkiej, przeklętej, rozkoszy, nie, ja jakoś miałem do tego prawo… Ale burżuazyjna ostrożność mnie nie opuszczała i nigdy nie dałem się wciągnąć w przedsięwzięcia bardziej ryzykowne. Kilka razy *cana* (policja) mnie przyskrzyniła, ale nie na długo i bardziej wskutek sprawek moich przyjaciół, niż za własne przewiny. ↓

Naraz w literackim dodatku do dziennika „La Nación”, cieszącego się wielkim poważaniem, ukazuje się na pierwszej stronie mój artykuł. Od tej chwili moja sytuacja towarzyska w Morón uległa likwidacji, zaczęto odnosić się do mnie z szacunkiem. ↔ Byłem dla nich zjawiskiem za trudnym. Naprzód dlatego, że moje rzeczy nie tłumaczone na żadne języki były im zupełnie niedostępne. I dlatego, że byłem nie znany w Paryżu. I dlatego, że w pierwszych latach kiepsko mówiłem po hiszpańsku. I dlatego wreszcie, że pod względem osobistym byłem dla nich za mało konwencjonalny, gdybym umiał się zdobyć na rozmowy o „nowych wartościach literackich” w Polsce, lub we Francji, albo o wpływie Mallarmégo na Valérego, może by mi się lepiej z nimi wiodło. ↓

Wojna

Przez całą wojnę nie napisałem ani słowa, oprócz felietoników do gazet, dla zarobku, pod pseudonimem, oraz kilku artykułów w „La Nación". Niepodobieństwem było pisać nie wiedząc z czego będę żył za miesiąc. Dorywczo, w krótkich okresach względnej stabilizacji, szkicowałem dramat *Ślub*, ale dopiero po wojnie go wykończyłem.

Wojna to były wakacje… czasami humor wisielczy mnie opuszczał… Tak, to było jednak męczące, straszne, rozpaczliwe. Wojna zdruzgotała mi rodzinę, pozycję społeczną, ojczyznę, przyszłość, niczego nie miałem, niczym nie byłem… A jednak. A jednak Argentyna… Jaki wypoczynek! Jakie wyzwolenie! O pierwszych moich, najcięższych, latach w Argentynie, mógłbym powiedzieć za Mickiewiczem:

Urodzony w niewoli, okuty w powiciu,
Ja tylko jedną miałem taką wiosnę w życiu…

Tylko, że on odnosił te słowa do roku 1812, gdy Napoleon w pochodzie na Rosję wyzwolił, na jak krótko, Polskę. A ja mam na myśli czas, gdy wraz z upadkiem Polski i wybuchem wojny światowej pękło mi wszystko, wszystek ład jakim żyłem dotychczas.

Forma się rozluźniła!

Wyjątkowa sposobność! Błogosławiona okazja, jedyna! Mnie wojna zanurzyła w odmęt, który był szumem, oszołomieniem, tymczasowością i prawie nicością. Sam. Dowolny. Zgubiony. ↔ Byłem o krok od głównego ołtarza tego mojego nieosiągalnego kościoła – i skoczyłem w odmęt, jak ktoś komu pić się chce! Nie, Bogiem a prawdą, nie były to wakacje, ani wypoczynek. Jeśli bieda, upokorzenie, wojna, klęska, samotność, niepewność, buty dziurawe, zimno, pluskwy, tysiące przykrości i nędznych kłopotów, jeśli to wszystko stało się wprost niczym, to ponieważ nigdy nie czułem się bliższy piękności, pewnej

szczególnej piękności – i wtedy oddawałem się szalonej nadziei, że tę piękność będę mógł sobie przyswoić, że ona stanie się moją… Tak, miewałem tygodnie całe, ja, trzeźwy, takiego pijaństwa poezją, że zdawało mi się iż już sam nią jestem! ↔ Biedny pajac! Bliski czterdziestki, wiodłem życie dwudziestolatka i poniekąd byłem dwudziestolatkiem – w obliczu katastrofy światowej – to jedno wystarczy, by uzmysłowić karkołomność mego przedsięwzięcia. ↓

1947

W kwietniu 1947-go ukazała się w Argentynie *Ferdydurke*. ↔ Byłem wtedy podzielony równo między literaturę a Panbłazeństwo. Znów byłem pisarzem. Nie dlatego, że organizowałem bankiet, lecz dlatego, że, podniecony *Ferdydurką*, ślęczałem po nocach nad nowym utworem, dramatem *Ślub*, który był pierwszym moim dziełem powojennym – w którym jednakże powaga i niepowaga znowu splątały się nierozdzielnie. Gdyż byłem dość niepoważny aby zaproponować sobie napisanie dramatu w najwyższym stylu, „genialnego", metafizycznego, epokowego, jakbym co najmniej był Goethem. Ale byłem dość poważny aby zrozumieć, że niepowaga moja może być wyzyskana aby przekroczyć granice, których inaczej nie ośmieliłbym się pogwałcić. Dziecko nieraz bywa śmielsze od dorosłego... Znów ta moja *idée fixe*, że, będąc związany z Retiro, będąc w młodości poza kulturą, mogę zdziałać w kulturze więcej niż tamci... dorośli; że na dnie każdej śmiałości, a zatem każdej wielkości, ukrywa się niedojrzałość i nieodpowiedzialność, że sztuka, że kultura są bardziej zabawą, niżby się mogło zdawać. I myślałem, że przerzucając sedno mojego dramatu ze starcia osób na starcie człowieka z jego formą, zdołam wyzwolić siły potężne i stuprocentowo teatralne. ↔

Więc jednak, powoli, wracałem do cywilizacji. Mniej dziki byłem, mniej zdziczały tamtą nieustępliwą obecnością Retiro. Ale ten rok tak bogaty, 1947, zaznaczył się także tym, iż wtedy zaczęły się krystalizować moje uczucia wobec ojczyzny – i o tym zamierzam nieco się rozpisać, żeby mnie lepiej rozumiano. Wtedy – byłem anarchią. Dziś – jestem o wiele bliższy Polsce, już prawie jestem w niej, jako jej część składowa, i prawie na pewno z wiekiem złączę się z nią coraz ściślej, zobaczycie, że umrę jako prawy obywatel, pogodzony z narodem. Wtedy – nie umiałem się zdobyć na żaden stosunek do Polski, nie wiedziałem po prostu jak się do niej zabrać. Dziś – mam to już mniej więcej uładzone. O tym procesie powolnego oswajania się z Polską pobieżnie opowiem. ↓

Ślub (1953)

Ślub zacząłem już podczas wojny. Komponował mi się z wolna i dorywczo w mojej egzystencji argentyńskiej z dnia na dzień. Wzorem był mi *Faust* i *Hamlet*, ale jako format jedynie; mnie szło o napisanie „wielkiego" i „genialnego" dramatu, powracałem myślą do tych dzieł, nabożnie w młodości czytanych. I mojej wielkiej ambicji towarzyszyła jakaś chytrość, chytre domniemanie, że łatwiej napisać dzieło „wielkie", niż „dobre". Genialność wydawała mi się łatwiejsza... ↔ *Ślub*, jak wszystkie moje utwory zwrócone przeciw formie, jest parodią formy, parodią genialnego dramatu. Czyż jednak parodiując genialność nie dałoby się przemycić odrobinę własnej genialności? Taka kontrabanda...

Ukazać ludzkość w jej przejściu od Kościoła Boskiego do Kościoła Ludzkiego. Ale ta idea nie była dana mojemu utworowi od samego początku, ja na scenę rzuciłem naprzód garść wizji, zalążków, sytuacji, i powoli, kulawo, to mnie prowadziło do owej idei. Jeszcze w połowie drugiego aktu nie wiedziałem o co mi chodzi. A to kulawe, jakby pijane, czy senne, czy szalone, tworzenie się mojej *Missa sollemnis* z napięć formy, z jej związków, kombinacji, rymów, rytmów wewnętrznych, wydawało mi się odpowiednikiem stwarzania się Historii, która też posuwa się naprzód, jak pijana i senna. ↔ Kiedy *Iwona* i *Ślub* startowały w Paryżu pisano, że to „teatr absurdu Becketta i Ionesco". Ale *Iwona* to rok 1936[2], a *Ślub* 1946, kiedy jeszcze o tych autorach nikt nic nie słyszał. Poza tym mój teatr nie jest absurdalny.

Tak, *Ślub* jest i senny i pijany i szalony, ja sam nie umiałbym odczytać go w całości, tyle tu mroku. I ma rację reżyser, który pozwala tej sfinksowej formie kształtować się dowolnie, ryczeć, szaleć, dbając jedynie o jakąś prawie muzyczną jedność tego ceremoniału. ↔ *Ślub* jest snem. Snem Henryka, żołnierza polskiego podczas ostatniej wojny, gdzieś we Francji, w wojsku francuskim, walczącego z Niemcami. W tym śnie dochodzą do głosu lęki Henryka o rodzinę, pozostawioną

w Polsce, ale też niepokoje bardziej zasadnicze człowieka współczesnego na przełomie epok.

Trans-Atlantyk (1953)

Mój *Trans-Atlantyk* to nie statek, a coś jak „poprzez Atlantyk". Powieść zwrócona z Argentyny ku Polsce. Zawsze mnie śmieszy ten *Trans-Atlantyk*... rozfiglowany, sklerotyczny, barokowy, absurdalny, w stylu gawędziarskim sprzed stu lat, ale zmieszanym z innymi gatunkami słowa, nieraz ze słowami przeze mnie wymyślonymi...

Najmniej znana z moich powieści, bo te harce językowe niełatwe do przełożenia. ↔ Zakończenie wojny nie przyniosło Polakom wyzwolenia, tam, w tej przesmutnej środkowowschodniej Europie, stało się ono wymianą jednej nocy na drugą, wymianą zbirów Hitlera na zbirów Stalina. Gdy w kawiarniach paryskich rozmaite szlachetne duchy witały radosnym pieniem „wydobycie się ludu polskiego z feudalnego ucisku", w Polsce po prostu ten sam zapalony papieros przechodził z ręki do ręki by przypiekać nadal człowieczą skórę. Przyglądałem się temu z Argentyny, przechadzając się po Avenida Costanera. Słówko „dość już", które chyba musiało się rodzić na ustach każdego Polaka, zaczęło domagać się we mnie konkretnych rozwiązań. Jeśli Polska, wskutek swojego położenia geograficznego i swojej historii, była skazana na wieczyste rozszarpywanie, czy nie dałoby się zmienić czegoś w nas samych, w Polakach, aby uratować nasze człowieczeństwo?

Niezależnie od potwornej brutalności tych faktów, coś innego mnie niepokoiło... fałsz, który temu towarzyszył, jakaś zgrywa... Jedną z tajemnic Formy jest, iż nie wiadomo jak i dlaczego w stosunku do pewnych zjawisk, pewnych ludzi, narodów, urabia się jakiś rodzaj odczuwania wyjątkowo fałszywy, niemądry, i gatunek frazeologii wręcz nieznośny. Gdy w Polsce skóra skwierczała i wybijano zęby, świat oddawał się nadal na nasz temat deklamacji o „polskim romantyzmie" i „polskim idealizmie", recytowano komunały o „Polsce męczennicy", albo mówiono o nas z niechęcią, z tępym lekceważeniem i z tępym politowaniem. Widywałem w kinach, w Buenos Aires, Polaków na siwych koniach ze wzrokiem płomiennym, szarżujących... Więc nie dość, że ludziom tam twarze rozbijano pięściami, jeszcze im na

szerokim i cywilizowanym świecie tę rozwaloną twarz ośmieszano? ↔ Kto tu zawinił? Pewien anachronizm, właściwy Polakom? Lenistwo duchowo-umysłowe Zachodu, szukające najtańszych frazesów? Coś niedobrego, coś spaczonego, było w naszym stosunku ze światem i ja, artysta, poniekąd czułem się odpowiedzialny za tę fatalną „legendę polską" i czułem że trzeba z tym jakoś skończyć... ale jak? Nie wierzę w skuteczność drobnych poprawek, łatań, ostrożnych ulepszeń, w tych materiach artystycznych trzeba zdobyć się na skok, nagłą, radykalną, zmianę od podstaw. Jaką? Polacy będąc narodem najbardziej uwikłanym w mrzonkę, iluzję, frazes, legendę, deklamację, byli też najbliżsi rzeczywistości *in crudo, sans phrases*, tej co łamie kości. To był atut do wyzyskania. Najostrzejszy realizm, to jedynie mogło nas wyciągnąć z bagna naszej „legendy". Wierzę w moc oczyszczającą rzeczywistości. ↓

W polemice z W. A. Zbyszewskim („Wiadomości" N° 304) pisałem: „Jeżeli w *Trans-Atlantyku* daje się słyszeć (w humorystycznej instrumentacji) pewien niedopuszczalny dotąd ton w stosunku do Polski – niechęć, lęk, szyderstwo, wstyd – to dlatego, że utwór pragnie bronić Polaków przed Polską... wyzwolić Polaka z Polski... sprawić, aby Polak nie poddawał się biernie swojej polskości, ale właśnie potraktował ją z góry. Cóż to znaczy, konkretnie mówiąc, Polska? Polska to nasze życie zbiorowe, tak jak ono urobiło się w ciągu wieków. Ale czyż nie były to wieki ciągłego rozpaczliwego szamotania się i zmagania z przeważającymi, wrogimi siłami, wieki chorobliwego, konwulsyjnego istnienia, wieki niedorozwoju? Czyż więc «Polska» nie jest tworem niedoskonałym, słabym i zżartym wszystkimi jadami słabości, zniekształconym i zgwałconym? Czy Polak nie jest obciążony dziedzicznie Polską, tzn. chorą przeszłością narodu i jego nieustannym umieraniem? Czy wobec tego, jeżeli Polak pragnie być człowiekiem pełnowartościowym, zdolnym do maksymalnego napięcia wszystkich energii swoich w tak przełomowej, jak obecna, chwili naszego bytu, nie powinien on wypowiedzieć służby tej «polskości», która go dzisiaj określa?

A teraz dalsze pytania: czy ja, broniąc Polaków przed Polską, jestem czy nie jestem patryjotą? Czy myśl, wyłożona powyżej, w ostatecznych

swoich następstwach wzmacnia czy osłabia naród? Bo przecież Polska składa się z Polaków… Cóż wart jest naród złożony z ludzi sfałszowanych i zredukowanych? Z ludzi, którzy nie mogą sobie pozwolić na żaden szczerszy, swobodniejszy odruch z obawy, by im się ten naród nie rozpadł?”

Możecie spierać się ze mną co do słuszności tych poglądów, brzemiennych w konsekwencje (gdyż postulują one <zmianę> reformę naszego stylu). Ale niech nikt nie zarzuca mi braku patryjotyzmu – jeśli pod tym słowem rozumieć będziemy nie miłość obecnej, chwilowej Ojczyzny, ale miłość tych wszystkich Ojczyzn, jakie w nas potencjalnie tkwią i jakie zdolni jesteśmy z siebie wydać, my, Polacy; jeśli pod słowo „patryjotyzm” podłożymy najgłębsze jego znaczenie – to jest samą zdolność stwarzania Ojczyzny. ↓

Powieść i dramat – pierwsza moja książka wydana po polsku od czasów *Ferdydurke* – nie roszczą sobie pretensji do waszego uznania. Są to dwa twory dumne i zawzięte, którym odosobnienie wcale nie jest straszne. Z pełną świadomością ubieram je w nieprzemakalny płaszcz niemodnej dumy – nie dlatego może, abym był zarozumiały i nie umiał odnieść się do mej osoby i mych dzieł z należytą surowością i nieodzownym sceptycyzmem, ale ponieważ uważam, że duma stała się literaturze koniecznie potrzebna. Nie tylko wszakże duma. Przyjaciele: bardzo skapcanieliśmy ostatnio pod względem duchowym. Gdzież te czasy, kiedy Duch przemawiał z góry ze śmiałością i bezwzględnością siły torującej drogę i ukazującej nowe perspektywy rozwoju? Dziś skromny, zastraszony i potulny, wlecze się w ogonie zdarzeń.

A jednak skończył się nam jeden świat i zaczął się inny. Czyż puls człowieka, budzącego się do nowej egzystencji, nie powinien bić ze zdwojoną szybkością? Podnieś głowę, rozejrzyj się w tej nieznanej okolicy i wezwij na pomoc cały swój polot i rozmach, wszystek rozum, najgłębsze twoje intuicje, ażeby znaleźć klucz, który ci ten świat otworzy i ustali twój nowy modus vivendi. Nigdy nie byliśmy wezwani przez życie w sposób bardziej kategoryczny i naglący do autentycznej twórczości, to jest do przetworzenia nie tylko rzeczywistości zewnętrznej, lecz siebie. Ale nic. Milczenie. I sen.

O tyle, o ile to mnie jest dostępne, próbowałem w tych dwóch utworach pchnąć nieco naprzód moje odczuwanie i dotrzeć do tej radykalnej zmiany tonu, która wydaje mi się koniecznością – jeżeli nie waszą, to w każdym razie moją. *Ślub* jest dla mnie ważniejszy niż *Trans-Atlantyk*. Ale *Trans-Atlantyk* wymaga właśnie wstępnego omówienia, ponieważ dotyka spraw bardziej wam bliskich. W istocie ten Ciemny, Czarny, ach, Sklerotyczny, ach, Maniacki, bólem i strachem własnym rozbawiony *Trans-Atlantyk* zwraca się jak gdyby przeciwko Polsce i polskości – i to pomimo iż jest rdzennie polski i bardzo w polskości swojej zakochany. W przedmowie, którą poprzedziłem fragmenty drukowane w „Kulturze" z maja roku zeszłego, poruszyłem zagadnienie Formy, stanowiące punkt wyjściowy mojej z egzystencją rozgrywki. Teraz chciałbym [wyraz dopisany ręcznie:] jeszcze w kilku słowach omówić problem polski w *Trans-Atlantyku*; staje się widoczne bowiem, że inne aspekty tego tworu mniej są aktualne i będą musiały poczekać... może dłużej, niżbym pragnął.

Musicie zrozumieć, że *Trans-Atlantyk* nie jest igraszką ani kaprysem, ani przypadkiem, ale logiczną i nieuniknioną konsekwencją mojego – polskiego – rozwoju. ↓

Dziwna rzecz! Trans-Atlantyk, *to utwór najbardziej patriotyczny, i najodważniejszy, jaki kiedykolwiek napisałem. I on to właśnie ściąga na mnie zarzuty, że jestem tchórzem i złym Polakiem.*

Zauważcie, że mogłem nie poruszać tych momentów mojego życia. Mogłem napisać książkę na zupełnie inne tematy. Nikt nigdy nie stawiał mi żadnych zarzutów – póki ja sam ich nie wywołałem, ogłaszając fragmenty Trans-Atlantyku.

Niech wam się nie zdaje, że to wy przyłapaliście mnie na gorącym uczynku. To ja sam, dobrowolnie i z całą swobodą, przyznałem się do pewnych uczuć... Ale ujawnienie tych stanów uczuciowych (których i wy – prywatnie i po cichu – musieliście chyba nieraz doświadczać) nie było z mej strony cynizmem ani bezwstydem. Mogłem sobie pozwolić na to, ponieważ miałem za sobą bardzo poważne racje i ponieważ kierował mną wzgląd na dobro ogólne.

Jakież to racje?

Uważam, że literatura polska powinna obecnie przyjąć kierunek wręcz przeciwny temu, jaki miała dotychczas. Zamiast dążyć do jak najściślejszego

związania Polaka z Polską, powinna raczej zabrać się do wypracowania pewnego dystansu pomiędzy nami a Ojczyzną. Musimy oderwać się uczuciowo i intelektualnie od Polski po to, aby uzyskać w stosunku do niej większą swobodę działania, aby móc ją stwarzać. ↓

Naród nasz jest tworem słabym, który nigdy nie mógł osiągnąć pełni życia i rozwoju i że, wskutek tego, nasze życie zbiorowe wypacza i tłumi życie indywidualne każdego z nas. Jako ludzie jesteśmy nie mniej warci od Francuza lub Anglika; jako Polacy jesteśmy synami słabości, choroby i niedorozwoju.

Dlatego nie powinniśmy poddawać się całkowicie Polsce – pozwalać, aby ona nas stwarzała. Trzeba nam rozluźnić tę zależność, która od wieków paraliżuje nam myśl, krępuje uczucie, hamuje rozwój... Wszak my niczego nie możemy pomyśleć ani poczuć, ani zdziałać swobodnie, gdyż zawsze prześladuje nas troska, że a nuż od tego ta słabowita Polska się rozleci. ↔

Czy ja, broniąc Polaków przed Polską, jestem czy nie jestem patriotą? Gdyż przecie Polska składa się z Polaków. Im silniejszy, im zdolniejszy do życia i rozwoju będzie Polak, tym żywotniejsza, silniejsza stanie się Polska. Mnie nie idzie o to, aby zniszczyć nasze poczucie wspólności z narodem, a tylko o to, aby Polak przestał na kolana padać przed Polską – aby potraktował ją „z góry", twórczo, jako coś co przez niego musi być stwarzane. Jako dzieło swoje, nie zaś jako Boga swojego.

Taka jest idea, która określa mój stosunek do Polski w *Trans-Atlantyku*. *Trans-Atlantyk* pomyślany był w pewnej mierze jako *Anty-Tadeusz*. Jeżeli bowiem *Pan Tadeusz* jest szczytową w literaturze naszej afirmacją Ojczyzny (i formy polskiej), to *Trans-Atlantyk* pragnie – w swojej skali – wzbić się ponad naród (i ponad naszą narodową formę). Musimy – tak sądzę – zdobyć poczucie t y m c z a s o w o ś c i naszej obecnej polskości. Bez tego nie zdołamy nadążyć światu. ↓ Czy to jasne? Powiada się, że dzieło tłumaczy się samo, że komentarze odautorskie są niepotrzebne. W zasadzie jest to prawda! Jednakże sztuka współczesna nie zawsze jest przystępna, toteż niekiedy dobrze jest, gdy autor bierze czytelnika za rękę i proponuje mu pewną marszrutę. ↓

Trans-Atlantyk to jednak powieść humorystyczna. Więc, to utwór, który śmieje się z własnych przekleństw, załamań, rozpaczy. Tylko

skończony tuman, pozbawiony już nie tylko poczucia humoru, ale i jakiejkolwiek znajomości ludzi, może nie rozróżnić między przekleństwem na serio, a przekleństwem, za którym czai się śmiech. I właśnie jest na odwrót: dla kogoś, kto umie czytać, takie i tym podobne zdania, będą właśnie dowodem, że *Trans-Atlantyk* jest wyrazem najbardziej niewątpliwej dumy narodowej, dumy napiętej rzeczywiście do ostateczności. Czyż tego nie rozumiecie? Idealizowanie ojczyzny to tchórzliwa forma patriotyzmu. Ale wyczerpać wszystkie nędze własne z uśmiechem, ze swobodą, jaką tylko może dać doskonała pewność siebie, pewność swojego istnienia… stworzyć i zachować ten dystans kategoryczny w odniesieniu do całego naszego dramatu narodowego, do tego, co z nami może się dziać w teraźniejszości – w imię żywotności, rozwoju, stawania się… być Polakiem, który siebie przezwycięża i w tym przezwyciężaniu upatruje najgłębszy sens polskości… Ja bym zalecał taką postawę, bo to nie polskość oparta na zamydlaniu oczu sobie i innym, na idealizowaniu i „propagandzie" (co świat przyjmuje z pobłażliwym uśmiechem), ale coś, co naprawdę może utrzymać się na nogach i to w każdej okoliczności. ↓ Jeżeli w *Trans-Atlantyku* daje się słyszeć (w humorystycznej instrumentacji) pewien niedopuszczalny dotąd ton w stosunku do Polski – niechęć, lęk, szyderstwo i wstyd – to dlatego że utwór pragnie bronić Polaków przed Polską… wyzwolić Polaka z Polski… sprawić aby Polak nie poddawał się biernie swojej polskości, ale właśnie potraktował ją z góry. Cóż to znaczy, konkretnie mówiąc, Polska? Polska, to nasze życie zbiorowe, tak jak ono urobiło się w ciągu wieków. Ale czyż nie były to wieki ciągłego rozpaczliwego szamotania się i zmagania z przeważającymi, wrogimi siłami, wieki chorobliwego, konwulsyjnego istnienia, wieki niedorozwoju? Czyż więc „Polska" nie jest tworem niedoskonałym, słabym i zżartym wszelkimi jadami słabości, zniekształconym i zgwałconym? Czy Polak nie jest obciążony dziedzicznie Polską, tzn. chorą przeszłością narodu i jego nieustannym umieraniem? Czy, wobec tego, jeżeli Polak pragnie być człowiekiem pełnowartościowym, zdolnym do maksymalnego napięcia wszystkich energii swoich w tak przełomowej, jak obecna, chwili naszego bytu, nie powinien on wypowiedzieć służby tej „polskości", która go dzisiaj określa?

A teraz dalsze pytania: czy ja, broniąc Polaków przed Polską, jestem czy nie jestem patriotą? Czy myśl, wyłożona powyżej, w ostatecznych swoich następstwach wzmacnia czy osłabia naród? Bo przecież Polska składa się z Polaków. I, na przykład, czy ci co mają na widoku jedynie doraźne interesy Polski, nigdy zaś własną godność, uczciwość, własny rozum, własne uzdolnienia, ci co oddają się fałszowaniu rzeczywistości, jakiejś taniej i niemądrej propagandzie, albo wprost głoszą konieczność rezygnacji z własnego „ja" na rzecz ślepej dyscypliny, mającej wytworzyć tę upragnioną moc, albo zmuszają siebie i innych do miłości i wiary – czyż oni na dalszą metę nie przekreślają wszelkich możliwości rozwojowych narodu? Cóż wart jest naród, złożony z ludzi sfałszowanych i zredukowanych? Z ludzi, którzy nie mogą sobie pozwolić na żaden szczerszy, swobodniejszy odruch z obawy by im się ten naród nie rozpadł?

Ten dylemat, powtarzam, nie jest dziś obcy inteligentnym Polakom, podobnie jak i innym obywatelom świata współczesnego. Wielu Żydów i Niemców i Francuzów i Włochów i Rosjan (i na pewno wielu Polaków w Kraju), wielu ludzi, których narody brną z katastrofy w katastrofę, zaczyna rozumieć że naród, to nie tylko coś pięknego i wzniosłego – że to coś niebezpiecznego, przed czym należy mieć się na baczności... A myśl ta łączy się z inną szerszą myślą – o powszechnej deformacji, o nieuniknionej sztuczności człowieka, o tym iż musielibyśmy także zrewidować sam nasz stosunek do Formy. ↓

Mój stosunek do Polski

Mój stosunek do Polski wynika z mego stosunku do formy – pragnę uchylić się Polsce, jak uchylam się formie – pragnę wzbić się ponad Polskę, jak ponad styl – i tu i tam, to samo zadanie.

Poniekąd czuję się Mojżeszem. Zabawna, doprawdy, w naturze mojej ta skłonność do przesady na własnym punkcie. W marzeniach nadymam się, jak mogę. Ha, ha, dlaczego – zapytacie – czuję się Mojżeszem? Sto lat temu litewski poeta wykuł kształt polskiego ducha, dziś ja, jak Mojżesz, wyprowadzam Polaków z niewoli tego kształtu, Polaka z niego samego wyprowadzam... Uśmiałem się do łez z mojej megalomanii! ↔ Śmietnik. W tym sęk, że ja wywodzę się z waszego śmietnika. We mnie odzywa się to, co wy w ciągu wieków wyrzucaliście jako odpadki. Jeśli moja forma jest parodią formy, to mój duch jest parodią ducha, a moja osoba parodią osoby. Czy nie jest tak, że formy nie można osłabić przeciwstawiając jej inną formę, a tylko – rozluźnieniem samego stosunku do formy? Nie, to nie przypadek, że w chwili kiedy na gwałt potrzeba bohatera, rodzi się ni stąd ni zowąd błazen... świadomy i wskutek tego poważny. Za długo byliście zbyt dosłowni – zbyt naiwni – w waszej rozgrywce z losem. Zapomnieliście, że człowiek nie tylko jest sobą, ale i udaje siebie. Wyrzuciliście na śmietnik to wszystko, co w was było teatrem i aktorstwem i usiłowaliście o tym zapomnieć – dziś przez okno widzicie, że na śmietniku wyrosło drzewo, będące parodią drzewa.

Przyjąwszy, że się urodziłem (co nie jest pewne), urodziłem się, aby zdemaskować waszą grę. Książki moje nie mają wam powiedzieć: bądź, kim jesteś, ale – udajesz, że jesteś, kim jesteś. Chciałbym, aby stało się w was płodne to właśnie, co uważaliście za całkowicie jałowe i nawet zawstydzające. Jeśli tak nienawidzicie aktorstwa, to dlatego, że ono w was tkwi – ale dla mnie aktorstwo staje się kluczem do życia i rzeczywistości. Jeżeli brzydzicie się niedojrzałością, to ponieważ macie ją w sobie – ale we mnie niedojrzałość polska wyznacza cały mój stosunek do kultury. Moimi ustami odzywa się młodość wasza, wasze

pragnienie zabawy, wasza uchylająca się giętkość i nieokreślenie – tego właśnie nienawidzicie, to z siebie wypieracie – we mnie wyzwala się Polak ukryty, wasze *alter ego*, odwrotna strona waszego medalu, część księżyca waszego, dotąd niewidzialna. Ach, chciałbym abyście stali się aktorami świadomymi gry!

Lecz myślę w tej chwili o masie narodu, o tysiącach i tysiącach prostych ludzi. Na co im to? Trudno – w ciemnościach, w jakich się znajduję, nie mogę działać inaczej niż na oślep. Piszę to wszystko tytułem propozycji, aby zobaczyć jaki wywoła efekt... i jeśli efekt będzie dodatni, posunę się dalej. ↓

Moje obcowanie z narodem

W roku 1947-ym Argentyna uznała rząd warszawski i przybyło nowe poselstwo.

Jak wyglądało dotychczasowe moje obcowanie z narodem? Ja, póki żyłem w Polsce, tzn. do wojny, prawie jej nie dostrzegłem – z lekka tylko i mgliście, jak atmosferę, którą się oddycha. A słowa „naród", „ojczyzna" wydawały mi się nadmiernie zużyte, instynkt mi szeptał, że ich okolica zanadto wyjałowiona uprawą – wolałem więc kierować mój rozwój w inną stronę. W momencie, kiedy Polska zatrzeszczała i runęła, poczułem ją stąd, z Ameryki, tak konkretnie, jakbym widział walący się dom. Ale zaraz potem dostałem się w tryby antynomii młodość–dojrzałość i to wessało mnie boleśnie – aż narody, państwa straciły dla mnie sens. Byłem poza granicami mego narodu i państwa nie tylko geograficznie; byłem poza granicami ponieważ ludzkość rozpadła mi się na młodzież i dorosłych, dwie nie pogodzone biologicznie ojczyzny. W gwałcie, który zawisł nad Europą, widziałem piękność która była z młodości i potworność, której na imię wiek męski. Nic, żadna racja moralna, żaden heroizm, nie mogło zbawić dla mnie ludzi, których życie nie było wstępem do życia – skażonego ohydą dojrzałości. I nic, żadna podłość, nie mogło pozbawić czaru życia wstępującego, jeszcze nieokreślonego, młodego życia po obu stronach barykady.

Moja ówczesna niechęć do narodu? Ależ przede wszystkim stąd się brała, że naród był związkiem starych, dorosłych i młodych – jak rodzina – związkiem, w którym zacierały się odrębności, stanowiące dla mnie poezję życia. Ja ludzkość ujmowałem inaczej. Jednakże istniała też inna przyczyna mej niechęci: nienawidziłem narodu, ponieważ nie mogłem mu sprostać. Nie należałem, niestety, do odważnych. Wrodzone tchórzostwo nie pozwalało mi walczyć za naród i zań umierać. Niezdolny do służby wojskowej bardziej psychicznie, niż fizycznie, bo niezdolny do odwagi, bez której jest nie do spełnienia akt najwyższy afirmacji bytu narodowego – wojna. Jakże mogłem pogodzić się z narodem, gdy mnie zmuszał do czynów niemożliwych dla mnie,

wykraczających poza mą pojemność? Nie mogłem sprostać mu, więc nie mogłem go znieść – musiałem zaliczyć go do zjawisk w świecie wrogich memu człowieczeństwu, jak rozpalone żelazo, lub tygrys. Był mi wrogi właśnie dlatego, że mój – ponieważ rościł sobie do mnie prawo, był bardziej zaborczy niż jakikolwiek inny, cudzoziemski, naród. Ale nie umiałem od niego się oderwać. Dopiero na obczyźnie człowiek widzi, jak bardzo jest się skazanym na rodaków. Przykuwał mnie do Polski Polak... ci Polacy, jak ja, z którymi byłem w dziwnym spisku, jakbyśmy byli niewolnikami jednego pana, uczniami w tej samej szkole. ↓

Byłem poczwórnym cudzoziemcem

Nie jestem filozofem, mnie nie przystoi wywód abstrakcyjny – związek mej teorii z moim życiem musi być zawsze utrzymany.

W owych latach stawało się coraz wyraźniejsze, że nie będę mógł *ad infinitum* unikać wyjaśnienia moich stosunków z ojczyzną. Perspektywa ta była dla mnie dosyć kłopotliwa. Ja w tej materii nie miałem wyrobionego stylu, więc nawet myśleć o tym było mi trudno; i niechętnie, jak już wspomniałem, zapuszczałem się w tą okolicę wyjeżdżoną przez całą polską sztukę – wszak tego narodowego konia dosiadał każdy!

Ale byłem na rozdrożu i miałem do wyboru dwie drogi: albo zerwać z Polską i żyć w świecie na własny rachunek, być tylko Gombrowiczem w ludzkości; albo urzeczywistniać się jako pisarz polski. Najchętniej wybrałbym pierwsze rozwiązanie. Być Gombrowiczem w ludzkości – piękna rola! Ta formuła była najczystsza i zarazem podstawowa, sprowadzała moją sytuację do jej zasadniczych elementów: jednostka – zbiorowość, pozwalała zmobilizować moją pełnię. I dawała swobodę ruchu. Ileż razy zdarzyło mi się oglądać znakomite talenty polskie w stanie żałosnego skrępowania, ponieważ były „przywiązane" do ojczyzny.

Jednakże nie mogłem wyzbyć się uczucia, że tak radykalne wyzbycie się Polski byłoby jakąś zdradą mojego życia. Dlaczego? Ja z Polakami żyłem najintensywniej, z nimi egzystencja moja była najbardziej napięta, wzmożona wspólnością rozwoju, języka, historii; a, zapuszczając się w bezmiary świata, stawałem się mglisty i nieokreślony. Po tej stronie polskiej rzeczywistość moja była konkretniejsza i zresztą wszystkie sprawy moje ciągle mnie z Polakami łączyły.

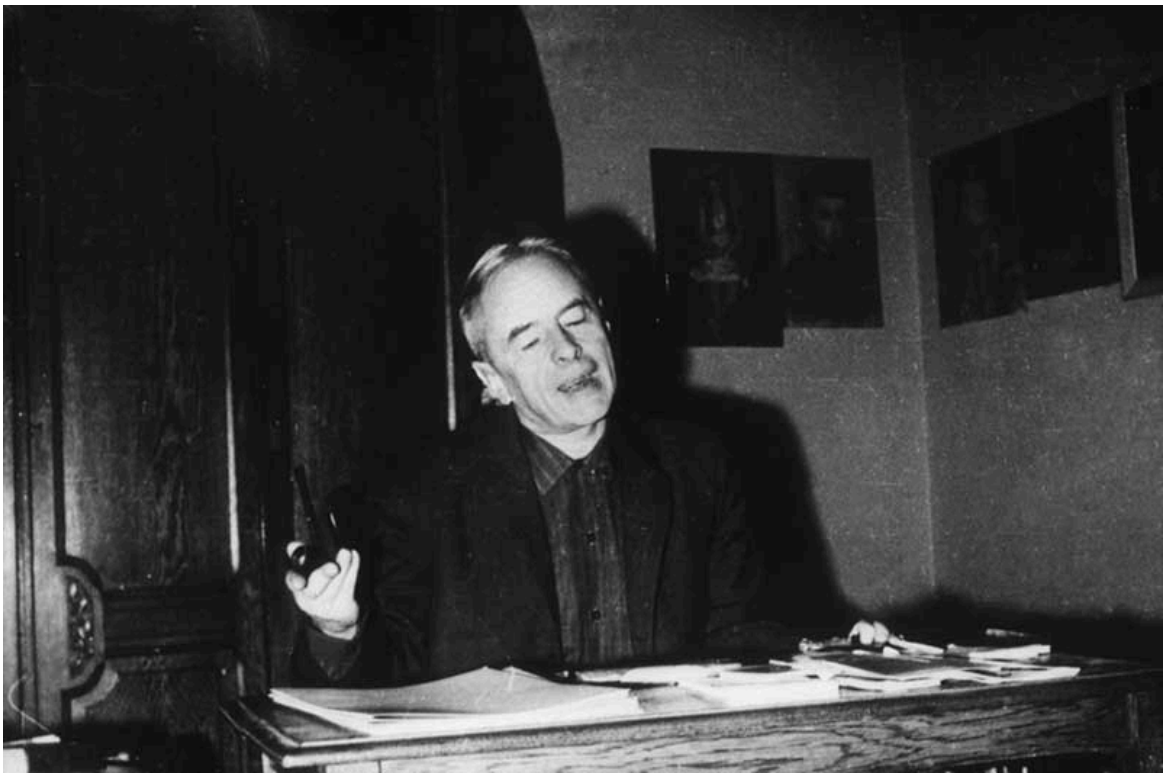

Witold Gombrowicz w pokoju przy Venezuela 615, 1963 r.

Bynajmniej nie chciałem naginać sobie istnienia do jakiegoś wyrozumowanego programu. Wolałem aby życie podyktowało mi program. Ale jaki?

Wszak, gdybym związał się z narodem, musiałbym go uznać jako nadrzędne istnienie. A ja nie mogłem mu sprostać, więc nie mogłem go znieść. Byłem zbuntowany. Dość miałem tej modlitwy. I co innego stało się moją pasją i zachwytem. Pisać dla Polaków i po polsku, pozostawiając to trwożliwe niedomówienie, że jestem w głębi ducha renegatem?

Wybór nie był łatwy. Mogłem wybierać między bladą egzystencją kosmopolity a polskim istnieniem, które byłoby osłabione i skażone fałszem. Co lepiej? Być kłamliwym Polakiem, czy anemicznym obywatelem świata? ↔

Byłem podówczas potrójnym, czy też poczwórnym cudzoziemcem. Wyzuty z Polski, do której nie chciałem wracać. Poza emigracją, oddalony od niej i uniezależniony – usadowiony w Banco Polaco. Poza

Argentyną. I poza światem wartości, który pożarło Retiro. Wisiałem w próżni z anarchią w sercu. Grywałem w szachy.

Dramat już skończyłem. Teraz tłomaczyłem go na hiszpański przy pomocy mego przyjaciela, Aleksandra Rússovicha, i kilku innych Argentyńczyków. Po co? Przecież był trudniejszy jeszcze, niż *Ferdydurke*, i nie miał w Argentynie najmniejszych szans.

Pozbawiony Boga, filozofii, narodu, jakiejkolwiek ideologii społecznej, z bankiem, z moją n i e p r z y t o m n ą sztuką i z Retiro. ↓

Pornografia (1960)

Pisać? Znów pisać? Co pisać? Jak zawsze, zacząłem coś babrać na papierze w niepewności, w niewiedzy, w okropnym ubóstwie, które wszystkie moje początki nawiedza. Powoli bogaciło się to, natężało, i tak powstał nowy kształt, nowy utwór, powieść, którą nazwałem *Pornografią*. Wtedy był to tytuł nie taki zły, dziś wobec nadmiaru pornografii stał się banalny i w kilku językach zmieniono go na „Uwiedzenie". ↔ Ciężko przeżyłem ostateczne zerwanie z młodością, które nastąpiło bardzo późno, bo do czterdziestego roku życia wyglądałem i czułem się młodo. Należę do ludzi, którzy nigdy nie zaznali średniego wieku, smak starości poczułem od razu po rozstaniu się z młodością. Nie przypuszczam, abym w moich z pięknością i młodością przygodach był odosobniony. Wyglądam na egotystę, zamkniętego w swojej wieży, ale chyba już udało mi się wykazać, jak bardzo jestem synem mojego czasu. ↔ Już wtedy znalazłem się w dotkliwych kleszczach tej metamorfozy, pamiętam to jakby zawstydzenie, czy zdziwienie, że owe „bądź dorosły", jakim mnie częstowano, nie budziło we mnie sympatii i że ja, młody, młodość lubiłem, jakbym był stary. W późniejszym życiu nacisk młodości na mnie wzrósł niepomiernie, ale zacząłem spostrzegać, że nie ja jeden jestem jego ofiarą. Naokoło mnie coś się działo w ludziach z młodością... może i doniosłe dla rozwoju ludzkości są takie zmiany, dokonujące się w narcyzyzmie naszym? Dalsze przygody moje z dwiema boginiami, młodością i pięknością, mógłbym zawrzeć może w czterech tezach, bardzo dla mnie odkrywczych. *Pierwsza: Młodość to Niższość. Druga: Młodość to Piękność. Trzecia* (*jakże ekscytująca!*)*: A więc Piękność to Niższość. Czwarta* (*dialektyczna*)*: Człowiek jest rozpięty pomiędzy Bogiem, a Młodym.* ↔

Pożegnalna kolacja. Od lewej: M. Grinberg, W. Gombrowicz, J.R. Vilela, M. Betelú, 1963 r.

Być młodym oznaczało być słabszym, gorszym, nie zrobionym, niedostatecznym, niedojrzałym… być, zatem, poniżej wszelkiej wartości… i, (uwaga!) nawet poniżej siebie samego (w przyszłości). A więc Młody musi być poddany Dorosłemu i słuszne jest panowanie Dorosłego nad Młodym. I na pewno Młodość, nie co innego, pchnęła mnie ku wszelkiej innej niższości, społecznej, czy nawet duchowej.

Potem objawiło mi się, że *Młodość to Piękność*. Mówię „objawiło”, ponieważ wielka jest różnica między zwykłym uświadomieniem sobie jakiegoś komunału, a wdarciem się w jego treść żywą, stwarzającą. Jeden z błysków tej iluminacji wydarzył mi się w Tatrach – pamiętam – w lecie, byłem już dobrze po dwudziestce, wyjechałem kolejką linową z Zakopanego na Kasprowy Wierch i spędziłem noc w schronisku, gdzie nikogo nie było, ściany tylko, wyłożone dwoma rzędami łóżek, masą materaców, chmury włóczące się po ziemi i zalepiające wzrok, zimno, wilgoć, jakieś obałwanienie… Trzeciego dnia rozjaśniło się i w ostrości ożywczej powietrza i światła zeszedłem, jeśli się nie mylę, na Halę

Gąsienicową (dziś już gubię się w tych górach) i tam, w schronisku, zastałem dwie wycieczki młodzieży szkolnej, jedną żeńską, a drugą męską. Chłopcy i dziewczynki, nic nadzwyczajnego, ale błąkała się po nich jakaś możliwość uwiedzenia... i niedorozwinięcie, drobność ich, szczupłość dziecinna jeszcze zamiast osłabić to wrażenie sprawiło właśnie w jakimś nagłym przeinaczeniu, że ta możliwość uwodzicielska stała się tym potężniejsza i te dwie grupy przetworzyły się w dwa chóry i śpiew wytrysnął olbrzymi, natchniony i przemienił się w Piękność. A też było coś „wewnętrznego" w tym śpiewie bezgłośnym i wyniosłem z tego także tę myśl, że piękność, utajona w młodości gatunku ludzkiego, jest czymś nader specjalnym, czymś „wewnętrznym". ↔ w przeciwieństwie do piękności świata zewnętrznego. ↔ Pomieszanie tych dwu piękności jest moim zdaniem jedną z przyczyn, dla których współczesne malarstwo stało się fatalną szkołą estetyczną i duchową.

Ale jak to? Więc młodość, która jest gorsza, niższa, jest jednak piękniejsza? No tak, zrozumiałe z punktu widzenia biologicznego, że słabszy, podrzędny, ten potrzebujący opieki, ten lichy i nieumiejętny, musi zjednać sobie łaskę mocniejszego. Mężczyzna dorosły nie potrzebuje uwodzić, jest silny, góruje, panuje. Wdzięk i piękność są bronią kobiety, młodzieńca i dziecka, istot słabszych. Z tego jednak wynikałoby, że... że... *Piękność to Niższość.* ↔ Chyba już pod koniec mego pobytu w Argentynie, przypadkowo, w rozmowie, nasunęła mi się ta formuła, która przecież przebywała we mnie od dawna... i poczułem że trafia w moje sedno. Artysta „pracuje w piękności", jak inni w ubezpieczeniach, lub w agronomii, ale dobrze nie wie, jaka jest ta jego piękność... i otóż to zdanko przypadkowe wyjaśniało mi wiele, wiele rzeczy. ↔ Dlatego Piękność musiała być dla mnie jak kamień drogocenny, osadzona w poniżeniu. I... i... o ileż w tej postaci była bardziej pasjonująca, to jej odbierało mdłą harmonię, nudną doskonałość, jakże stawała się liryczna i dzika nawet, jakaż prężność nieobliczalna w bogini strąconej i przykutej do młodości! I czyż nie to odpowiadało najbardziej skłonnościom, nie wyznanym jeszcze w pełni, mojego czasu, epoki? Czyż nie to było marzeniem skrytym wchodzącego w życie pokolenia? Wysiłki sztuki współczesnej by nas raczyć pięknem obiektywnym i abstrakcyjnym wydały mi się w tej

perspektywie prawdziwie strusią polityką tchórza. ↔ Gdym pisał krótką przedmowę do wydania francuskiego *Pornografii*, nasunęło mi się pod pióro takie zdanko: *„Człowiek jest między Bogiem, a Młodym”*. Co się wykłada: człowiek ma dwa ideały, boskość i młodość. Chce być doskonały, nieśmiertelny, wszechpotężny – chce być Bogiem. Chce być kwitnący, świeży, wstępujący w życie – chce być Młody. Pragnie doskonałości, ale lęka się jej, bo wie, że jest śmiercią. Nie chce niedoskonałości, ale przyciąga go ona, bo jest życiem i pięknością. I znowu, nic nadzwyczajnego, taka sobie myśl… a dla mnie jakaż lampa rozświetlająca! ↓

Bohater tej powieści, Fryderyk, jest Krzysztofem Kolumbem, wyruszającym na odkrycie lądów nieznanych. Czego szuka? Tej właśnie nowej piękności i nowej poezji, utajonych pomiędzy dorosłym a chłopcem. To poeta o wielkiej, krańcowej, świadomości, takim go chciałem mieć w powieści. Ale jakże trudno porozumieć się w dzisiejszych czasach! Niektórzy krytycy ujrzeli w nim szatana, ni mniej, ni więcej, a znów inni – Anglosasi przeważnie – zadowolili się naklejką bardziej trywialną, *voyeur*. Mój Fryderyk nie jest ani szatanem, ani *voyeur*’em, natomiast ma w sobie coś z reżysera, czy nawet z chemika, który kombinując ludzi między sobą usiłuje wytworzyć z nich alkohol nowego uroku.

Cóż się dzieje w *Pornografii*? My, Fryderyk i ja, dwóch starszych panów, ujrzeliśmy parkę, chłopca i dziewczynę, jakby stworzonych dla siebie, skutych wzajemnym, bijącym w oczy, *sex appeal*’em. Ale oni jakby o tym nie wiedzieli, tonie to jakoś w ich młodzieńczym nieurzeczywistnieniu (nieumiejętność właściwa wiekowi). Nas, starszych, korci to i podnieca, chcielibyśmy aby urok się ucieleśnił. I ostrożnie, z zachowaniem pozorów, zaczynamy im dopomagać. Na nic nasze zabiegi, rozbijają się one o tę fazę przedświtu, wstępną, o ten ich przedpokój bytu.

A dalej? Pomińmy chytre podstępy Rajfura-Reżysera (który jest także *Voyeur*’em, ale *voyeur*’em-poetą). Dymy bijące z tego uroczyska coraz bardziej nas odurzają, aż w końcu, rozpaleni ich obojętnością, odkrywamy że w braku zespolenia fizycznego grzech, grzech wspólny,

jej i jego, może ich połączyć i – o, radości – nawet nas z nimi złączyć, mimo różnicy wieku.

W końcu wytwarza się taka sytuacja (w tej powieści, rzuconej na krwawe tło Polski wojennej, przez Niemców zgwałconej), że my, Dorośli, mamy zabić pewnego wybitnego członka podziemnej organizacji, walczącej z Niemcami, który załamał się i może zdradzić. Czyn przerastający siły nas, dorosłych, wiedzących czym jest śmierć, nas, świadomych, nas, poważnych. Ale ktoś lekki dokona go lekko – i chłopcu powierzamy to morderstwo, które w jego rękach stanie się chłopięce.

Fryderyk organizuje tę zbrodnię młodzieńczą wciągając w nią i dziewczynę, ten grzech wspólny, dorosło-młody, który nas zespoli. A w ostatniej chwili Rajfur-Reżyser nie wiedząc jak włączyć w to innego chłopca, który się pęta nie zatrudniony na boku, po prostu zabija go. Aby lepiej smakowało, żeby zupa była lepsza z tym kawałem młodego mięsa dodatkowym, żeby wzmocnić tą zakrwawioną chłopięcością chłopięcość tamtego, rówieśnika…

Rozpaczliwa walka dojrzałej woli urzeczywistnienia z ową odciążającą właściwością młodości, lekkiej, lekkomyślnej, nieodpowiedzialnej. Wola tym silniejsza, im bardziej to, w co uderza, nie stawia oporu. Ale słabość silniejsza jest od siły. I w samym finale siedemnastoletnia lekkość odbiera wagę zbrodniom, grzechom, powieść kończy się nieurzeczywistnieniem. ↔

Gdyby mnie ktoś solidnie przydusił pytaniem, jaka jest ta piękność, za którą Fryderyk ugania się w *Pornografii*, odpowiedziałbym: dobrze nie wiadomo. Dla wielu takie wywyższenie chłopca będzie dowodem moich homoseksualnych skłonności i trudno mi się z tym nie zgodzić. Zauważę tylko: czy na pewno mężczyzna najbardziej męski, z kobietą związany, jest zupełnie nieczuły na wdzięk i piękność Młodszego? A także: czyż homoseksualizm, odwieczny, nagminny, ciągle się odradzający, jest jedynie zboczeniem?… czy raczej zboczenie staje się tak powszechne i nieustannie obecne dlatego, że wyrasta na gruncie istotnego czaru? Czy nie jest tak, że mężczyzna urzeczony młodością, na zawsze oczarowany chłopcem i jemu poddany, woli skryć się

w ramiona kobiety, która jest dla niego poniekąd *chłopcem dozwolonym*? W tym twierdzeniu jest sporo przesady i jakaś cząsteczka prawdy.

Borges

Borges i ja, to przeciwieństwa. On jest osadzony w literaturze, a ja w życiu, jestem właściwie antyliteracki. Być może, iż wskutek tego właśnie moje zbliżenie z Borgesem mogłoby okazać się płodne, ale trudności techniczne stanęły na przeszkodzie. Spotkałem się z nim raz, czy dwa, i na tym się skończyło. Borges miał już wtedy swoją kapliczkę nader czołobitną, on mówił, oni słuchali. To co mówił wówczas nie wydało mi się najlepszej jakości, to było za ciasne, za literackie, jakieś paradoksy, *bons mots*, smaczki, gatunek, słowem, którego wybitnie nie lubię. Jego inteligencja wcale mnie nie olśniła, dopiero dużo później, gdym zapoznał się z jego utworami ściśle artystycznymi (opowiadania) musiałem mu przyznać wybitną przenikliwość umysłu i ducha. Ale Borges „mówiony", ten Borges z rozmów, wywiadów, odczytów, a także ten z esejów i krytyk, był dla mnie zawsze ciasny, niegłęboki, z kiepska epatujący. Nieraz cytowano mi w Argentynie jakieś „znakomite" wypowiedzi Borgesa i za każdym razem byłem rozczarowany, była to literatura, i tylko literatura, i nawet nie z tych najlepszych. ↔ Borges-erudyta jest straszliwym ignorantem, ale jest też niezbyt inteligentny, ponieważ erudycja z istoty swojej jest nieinteligentna. ↓ Nie wątpię, że otrzyma Nobla. Niestety, niestety... tak, on zaistniał jakby umyślnie w tym celu. Jeśli kto, to Borges! Jest to literatura dla literatów, jakby specjalnie pisana dla członków jury, jest to kandydat akurat, jak trzeba, abstrakt, scholastyk, metafizyk, dość nieoryginalny, żeby znaleźć drogę już utorowaną, dość oryginalny w tej swojej nieoryginalności, żeby stać się nowym i nawet twórczym wariantem czegoś znanego i uznanego. I kuchmistrz prima! Kuchnia dla smakoszów!

Nie mam też najmniejszej wątpliwości, że odczyty Borgesa „o istocie metafory" i inne, tegoż autoramentu, będą należycie fetowane. Gdyż to też będzie akurat, jak trzeba: zimne ognie sztuczne, fajerwerki inteligencji inteligentnie wyinteligentnionej, piruety myśli retorycznej i martwej, która nie jest zdolna podjąć żadnej idei żywotnej, myśli zupełnie zresztą nie zainteresowanej myśleniem „prawdziwym",

świadomie fikcyjnej, układającej sobie na boczku swoje arabeski, glossy, egzegezy, konsekwentnie ornamentacyjnej. Ba, ale *métier*! Literacko bezbłędne! Ale kuchmistrz! Cóż w większy entuzjazm może wprowadzić literatów czystej krwi, niż taki literat bezkrwisty, literacki, werbalny, nie widzący, nie widzący niczego poza tymi swoimi kombinacjami mózgowymi?

Ależ on jest w sam raz, akurat jak te fiszki, które wrzucamy do automatów aby wszystko zaczęło się kręcić i pląsać w takt… Jeśli miarą wielkości literatury jest jej nieliterackość, zdolność do przezwyciężenia samej siebie i docierania do rzeczywistości, to przyznać trzeba, że ten rodzaj wielkości nie skomplikuje Borgesowi pracowitych starań. Och, ale nie Borges mnie irytuje, ja z nim i z jego dziełem dogadałbym się jakoś w cztery oczy… złoszczą mnie borgiści, ta armia estetów, cyzelatorów, koneserów, wtajemniczonych, zegarmistrzów, metafizyków, mądrali, smakoszów… Ten czysty artysta ma niemiłą zdolność mobilizowania wokół siebie tego, co najlichsze i najbardziej eunuchowate! ↓

Sábato

Znalazłem ↔ życzliwych, uczynnych, przyjaciół. Virgilio Piniera, Kubańczyk dziś wybitny, i Humberto Rodriguez Tomeu, drugi Kubańczyk, wiele dla mnie zrobili, im przede wszystkim zawdzięczam przekład *Ferdydurke* na hiszpański. Cecylia Debenedetti, Alejandro Rússovich, Jorge Calvetti, Adolfo de Obieta, Roger Pla, oto niektóre z nazwisk, zapisanych przeze mnie, jak mówi król w *Hamlecie* „do księgi, którą co dzień odczytuję".

Moja przyjaźń z Ernesto Sábato zaczęła się o wiele później, wtedy kiedy zafascynowała mnie jego wielka książka *Sobre Heroes y tumbas* (w Europie ukazała się ona pod tytułem *Alexandre*). Dzieło naprawdę niezwykłe, w którym romantyzm, tradycja, historia, pewien telluryczny anachronizm i mroczna patologia południowoamerykańska łączą się w przedziwny sposób z awangardowym modernizmem, który wyraża dzisiejszą Argentynę. Bez wątpienia Sábato jest jednym z trzech „wielkich" Ameryki Łacińskiej obok Asturiasa i Borgesa. ↓

Witold Gombrowicz, rysunek Mariano Betelú, 1958 r.

Żegnaj, Argentyno

Kwiecień 1963. Fundacja Forda zaprasza mnie na roczny pobyt w Berlinie, wraz z kilkoma innymi pisarzami z rozmaitych krajów. Tysiąc pięćset dolarów miesięcznie, żadnych zobowiązań. To mi rozwiązywało problem finansowy. ↓ Stopa moja dotknęła argentyńskiej ziemi dwudziestego drugiego sierpnia 1939-go roku – odtąd ileż razy pytałem: ile lat? jak długo? – aż oto dziewiętnastego marca 1963-go ukazał mi się kres nadchodzący. Pchnięty nożem tego objawienia, umarłem od razu – tak, wszystka krew ze mnie wyciekła w ciągu minuty. Już nieobecny. Już skończony. Już gotów do drogi. Przecięte zostało to coś tajemniczego pomiędzy mną i miejscem moim.

Ten koniec prosił się o zrozumienie, zdanie sobie sprawy – ale już porwał mnie wir zacierający i rozpraszający, dokumenty, pieniądze, walizki, sprawunki, likwidacja wszystkiego, miałem niecałe dwa tygodnie na odwalenie tej roboty, od wczesnego ranka do późnej nocy pędząc taksówkami załatwiałem i wykańczałem. Wykańczałem przyjaciół za pomocą czułości już nieobecnej, odwalałem sentymenty, żale, byle prędzej, śniadanie z Iksem, kolacja z Igrekiem, prędzej, nie zdążę odebrać tych paczek... I otóż w tych momentach końcowych jęły gwałtownie dojrzewać niespodziewane kwiaty i owoce, rozkwitały przyjaźnie, które latami całymi były w stanie półuśpienia, ujrzałem łzy... ale już czasu nie miałem i było to tak, jak gdyby owe uczucia zwlekały ze swoim urzeczywistnieniem do chwili, w której stałem się nierzeczywisty. Wszystko na ostatnią chwilę i wszystko właściwie *ex post*. ↔

Usiłowałem mimo wszystko – czasem gorączkowo – nadać jakiś kształt temu exodusowi mojemu. Wytwarzała się pewna analogia pomiędzy tymi ostatnimi dniami a dniami pierwszymi, wtedy z 1939-go, analogia formalna jedynie, ale uczepiłem się jej w moim chaosie i znalazłem jednak trochę czasu by odbyć pielgrzymkę do miejsc, które wówczas były moimi, zaszedłem na przykład do wielkiego domu na Corrientes 1258, zwanego „El Palomar", gdzie gnieździła się rozmaita

biedota, gdzie przeżyłem chyba najcięższy okres, wtedy pod koniec 1940-go, chory, bez grosza – wydrapałem się na czwarte piętro, ujrzałem drzwi mego pokoiku, znajome liszaje, odpryski na ścianie, dotknąłem klamki, poręczy klatki schodowej, zabrzmiała mi w uchu dawna melodia natrętna z dansingu na dole, rozpoznałem dawny zapach… i przez chwilę, wpatrzony w coś niewidocznego oczekiwałem, że ten akt powrotu zdoła nadać kształt i sens teraźniejszości. Nie. Nic. Pustka. Próżnia. ↔

Już jestem na statku. Już odpływa statek. Oddala się brzeg i miasto wyłania się, odpływające, wieżowce zachodzą za siebie powoli, gmatwają się perspektywy, pomieszanie włazi w geografię – hieroglify, zagadki, pomyłki – jeszcze jawi mi się, nie tam gdzie trzeba, „wieża Anglików" z Retiro, oto gmach poczty, ale panorama już jest niepojęta i senna w zawiłości swojej, jakby niechętna czy też zakazana, myląca, złośliwie bodaj, miasto zamyka się przede mną, już tak niewiele wiem!… Sięgam do kieszeni. Co to? Brak dwustu pięćdziesięciu dolarów, które wziąłem ze sobą na drogę, obmacuję siebie, pędzę do kajuty, szukanie, może w palcie, w paszporcie, nie, nie ma, do diabła!… Będę musiał przepłynąć Atlantyk z resztką pezów, które mi pozostały, to suma równająca się w przybliżeniu trzem dolarom! Ale tam, na zewnątrz, miasto odpływa, skup się, nie dozwól żeby cię okradziono z tego pożegnania, pędzę z powrotem na pokład: były to już tylko w skosie, u krańca płaszczyzny wodnej, skłębienia materii bliżej nieokreślone, mgławica przetkana gdzieniegdzie wyraźniejszym konturem, wzrok mój już nic nie rozumiał, plazma z jakąś w sobie geometrią, ale zbyt trudną… i tej trudności, wzrastającej bez przerwy i przygniatającej, towarzyszył szum wody rozbijanej dziobem okrętu. A zarazem dwieście pięćdziesiąt dolarów wdzierało mi się w dwadzieścia cztery lata mego życia w Argentynie, rozdwajała się ta chwila na dwadzieścia cztery i dwieście pięćdziesiąt, o, matematyko zasnuwająca i pomylona! Podwójnie okradziony, poszedłem rozejrzeć się trochę po statku. ↔ Żegnaj Ameryko!

Jaka Ameryko? Burza, jaką nas powitał Atlantyk, nie była taka sobie codzienna (powiedział mi potem steward, że od bardzo dawna taka mu się nie zdarzyła), ocean był wszechzatracający, wiatr dławił i wiedziałem

że na tej pustyni szalonej wyrasta już przede mną, wyznaczona kierunkiem naszym, Europa – tak, nadciągała już, a ja nie wiedziałem co zostawiam za sobą. Jaką Amerykę? Jaką Argentynę? Och, co to właściwie było, tych lat dwadzieścia i cztery, z czym ja płynę do Europy? Ze wszystkich spotkań, jakie mnie oczekiwały, jedno było najkłopotliwsze… musiałem się spotkać z jednym białym statkiem… który wypłynął z polskiej Gdyni w drodze do Buenos… z którym więc miałem się spotkać nieuchronnie za jakiś tydzień na pełnym oceanie… Był to „Chrobry". „Chrobry" z roku 1939-go, z sierpnia, ja na nim byłem i Straszewicz i Rembieliński, senator, i minister Mazurkiewicz, rozbawione grono… tak, wiedziałem, że spotkać się muszę z owym Gombrowiczem, płynącym do Ameryki, ja, Gombrowicz, dziś odpływający z Ameryki. Jakaż ciekawość żarła mnie wtedy, potworna, odnośnie do losu mojego, czułem się wtedy w losie moim jak w ciemnym pokoju, gdzie pojęcia nie masz o co nos rozbijesz, ileż bym dał za najniklejszy promyk rozświetlający zarysy przyszłości – i oto dzisiaj ja nadpływam tamtemu Gombrowiczowi, jak rozwiązanie i wyjaśnienie, jestem odpowiedzią. Czy jednak, jako odpowiedź, będę na wysokości zadania? Czy zdołam w ogóle coś powiedzieć tamtemu, gdy „Federico" wynurzy mu się na mglistym obszarze wód z żółtym, potężnym kominem swoim, czy nie będę musiał *przemilczeć*?… ↔

Argentyna! Argentyna! Jaka Argentyna? Co to było – Argentyna? A ja… co to jest teraz, to ja? ↓ 22 kwietnia 1963 dobiłem do Europy, w Barcelonie. Następnego dnia pędziłem „Mistralem" z Cannes do Paryża. Wysiadłem na Gare de Lyon i ja, anonimowy Gombrowicz argentyński, wcieliłem się bez trudu w Gombrowicza-pisarza, który tu po cichu dojrzewał już od dość dawna i czekał na mnie. ↔ Nie wiedziałem dotąd dokładnie dlaczego rozstanie z Argentyną było takie rozdzierające. Teraz zaczynałem rozumieć. Europa, dla mnie, to była śmierć. Ten powrót mi mówił: już się stałeś. Jesteś skończony. ↓

Paryż 1963

Europa przede mną! Paryż!

W przededniu Paryża, gdy powinienem mieć połysk, twardość i ostrość brzytwy, jestem zamazany, rozproszony, rozpuszczony… ↔

W tym rozprzężeniu męczy mnie konieczność, o której wiem, że jest nieunikniona – to, że ja w Paryżu będę musiał być wrogiem Paryża. Szkoda gadać! Połkną mnie zbyt łatwo, jeśli nie stanę kością w gardle – nie zdołam zaistnieć, jeśli mnie nie poczują jako wroga. Nie, żadnych skrupułów odnośnie do rzetelności takiej postawy *ad hoc*, na zimno wykombinowanej, rzetelność to bzdura, nie może być mowy o rzetelności, gdy się tak nic nie wie o sobie, gdy się niczego nie zapamiętało, gdy się nie ma przeszłości, gdy się jest tylko odpływającą wciąż teraźniejszością… We mgle, jak moja, skrupuły moralne? ↔ Dotknąłem ziemi europejskiej dziś, 22-go, od dawna wiem, że dwie dwójki to moja cyfra, ziemi argentyńskiej też dotknąłem po raz pierwszy 22-go (sierpnia). Witaj, magio! Analogia cyfr, wymowa dat… nędzarzu, jeśli nie możesz w co inne, spróbuj w to siebie złowić. ↔

Co to? Możliwość znienawidzenia Paryża – ta możliwość, która mi się narzucała po prostu jako konieczność walki o byt – już zbudziła się i szuka żeru. Wystarczyło trochę tych przechodniów, zobaczonych gdym siedział w kawiarni z Kotem, akcent i zapach francuszczyzny, ruch, gest, wyraz, strój… już wybuchają we mnie antypatie, z dawna żywione. Czy już staję się wrogiem Paryża? Czy będę wrogiem Paryża? Znałem nie od dzisiaj ukryte źródła mojej paryżofobii, wiedziałem, że to miasto zahacza o moją najczulszą stronę, o wiek, o problem wieku, i, rzecz pewna, jeśli miałem z Paryżem na pieńku to o to, że był miastem „po czterdziestce". Och, mówiąc „po czterdziestce" nie myślę o starożytności tych murów tysiącletnich – chcę powiedzieć tylko, że jest to miasto dla ludzi sięgających piątego krzyżyka. Plaże są miejscem młodości. W Paryżu czuje się w powietrzu czterdziestkę, nawet pięćdziesiątkę, te dwie cyfry wypełniają bulwary, place, skwery.

Wszelako, jeśli teraz to odczucie przeszyło mnie tak ostro, to nie ze względu na swoją treść intelektualną, a dlatego, że było zatrute poezją. Poezja zmuszała mnie do tak gwałtownej niechęci.

Na ścianie mojego pokoju wisiał oleodruk, będący tą chwilą ze sklepienia kaplicy Sykstyńskiej, gdy Bóg w postaci potężnego starca nadciąga nad Adama by tchnąć w niego życie. Przyglądałem się Adamowi, który miał około lat dwudziestu, i Bogu, który był po sześćdziesiątce – zapytywałem siebie, kogo wolisz, Boga, czy Adama? Dwadzieścia wolisz, czy sześćdziesiąt? I to pytanie wydało mi się szalenie ważne, ba, decydujące – gdyż nie jest obojętne jaki ideał człowieka i ludzkości śpi w tobie, jakiej piękności domagasz się od rodzaju ludzkiego, jakim go chcesz mieć, tego człowieka. Człowiek – tak – ale w jakim wieku? Przecież nie ma jednego jedynego człowieka. Jaki człowiek jest dla ciebie właściwym człowiekiem… najpiękniejszym… najszczęśliwiej uformowanym fizycznie, duchowo? A może dziecko uważasz za najwyższe osiągnięcie piękności ludzkiej? Może starca? Czy też myślisz że wszystko ponad trzydziestkę, lub poniżej, jest już „gorsze”? Wpatrując się w Boga i Adama medytowałem, że najwspanialsze dzieła ducha, rozumu, techniki, mogą stać się niezadowalające z tego jedynie powodu, iż są wyrazem wieku ludzkiego, który nie jest w stanie wzbudzić miłości, ani zachwytu – i będziesz musiał je odrzucić, niejako wbrew własnemu uznaniu, w imię racji bardziej namiętnej, związanej z pięknością człowieczeństwa. I, dopuszczając się małego świętokradztwa, odrzucałem Boga na tym obrazie Michała Anioła by opowiedzieć się za Adamem.

To zaś robiłem, by wykuć broń przeciw Paryżowi – gdyż przecie musiałem, jako literat, wyodrębnić się z Paryża. Dziwne to i przykre, że piękność bywa we mnie taka *praktyczna*… ↔

Maisons-Laffitte. Słoneczne popołudnie. Wchodzę po raz pierwszy do domu „Kultury”. Ukazuje mi się Giedroyc. Ja się ukazuję Giedroyciowi.

On: – Cieszę się, że pana widzę… Ja: – Jerzy, bój się Boga, chłopie, nie będziesz przecie mówił „pan” komuś, z kim od lat jesteś w listach na „ty!”. On: – Hm… hm… a tak… no, cieszę się rzeczywiście, że przyjechałeś. Ja: – Co za domek! Przyjemnie spojrzeć! On: – Dosyć

przestronnie i wygodnie, dobre warunki pracy… Ja: – Jerzy, słowo honoru ci daję, wyskoczyłem już na Mickiewicza, to poza dyskusją, ludziom głos się łamie gdy mówią ze mną przez telefon. On: – Hm… ja Mickiewicza nie bardzo lubię…

Jerzy Giedroyc, założyciel i dyrektor wydawnictwa Instytut Literacki w Paryżu oraz pisma „Kultura”, Paryż, początek lat pięćdziesiątych XX w.

Józef Czapski przysłuchuje się z uciechą dialogowi naszych odmiennych temperamentów.

Bawię się, ale – wpatrzony w smugę słoneczną na podłodze – wcale się nie bawię. Wstydzę się. Cisza śmiertelna (która u mnie związana jest z dystansem). To tak jak gdybym będąc jeszcze tam, był jednak tu i oglądał coś czego nie mam prawa oglądać… Dostrzegam na nodze stołu maleńką rysę. A więc przepłynąłeś ocean aby to zobaczyć… i wpatrujesz się w nią wstydliwie, rozpaczliwie… ↔

Zuzanna i starcy – *voilà Paris*! Odczuwałem (nie ja jeden w tym mieście, nie ja pierwszy) głęboki niesmak na widok brzydoty łakomej. Zmysłowość, która nie mogąc już wyżywać się nago przerzuciła się w szminkę, gorset – w elegancję – w strój i w maniery – w konwersację i sztukę – w piosenkę i dowcip – ta „towarzyskość", dzięki której najprzeróżniejsze braki tańcując ze sobą wytwarzały wspaniały bal – ten *esprit*, który pozwalał podszczypywać z szarmem – i ta „wesołość" okropna, pracowicie wyhodowana w ciągu wieków aby można było używać sobie mimo wszystko… szpetota tak siebie świadoma, a tak roztańczona! I, w tej odpychającej estetyce zawierała się też fatalna naiwność, oparta na iluzji że można zamaskować lata i przenieść się ze swymi uciechami na jakieś wyższe piętro, gdzie by one mogły urzeczywistniać się w innym wymiarze.

Paryżu, myślałem, Paryżu, stary tenorze, zwiędła baletnico, sędziwy figlarzu, jakiż jest twój grzech śmiertelny przeciw Piękności? Czy nie ten, że ją zajadasz? *Mais permettez-moi donc, cher Monsieur! Monsieur*[3], wchodząc w lata, przestaje być *beau garçon*, czyli hojnym, błogo bezinteresownym upiększeniem świata, pięknością, która jest darem… ale czyżby na tym miały skończyć się jego stosunki z pięknością? Bynajmniej! Życie jest w dalszym ciągu pełne czaru! Może on, na przykład, zajść do restauracyjki wybranej z tysięcy i zamówić *Veau à la Crevette Sauce Moustache*[4], lub *Sautée Velay Mignonne Aspèrges…*[5] i nawet może poprosić aby mu podano *Fricassée de Jeunes Filles en Fleur*[6] lub *un Beau Garçon rôti à la bordelaise*[7], potrawy niewątpliwie i smaczne i lekkie!

Metafora kulinarna, której sens taki, że aby konsumować piękność musisz zupełnie z nią zerwać; nie tylko musi ona przyjść do ciebie z zewnątrz, jak na półmisku, ale jeszcze musisz tak wewnętrznie się

urządzić by twoja brzydota nie przeszkadzała ci w rozkoszy; i ten zabieg jest czymś tak żałosnym, iż wątpię, aby ktokolwiek na wyższym stopniu rozwoju mógł go dokonać sam na sobie, wymaga on przerzucenia się w zbiorowość, w towarzyskość, współudziału innych, trzeba naprzód wytworzyć system współżycia, kulturę, gdzie by surogaty piękności, jak *belles manières, élégance, distinction, esprit, bon goût etc., etc.*[8] mogły zastąpić znikczemniałą nagość. I wtedy, przywdziawszy swannowski cylinder, możesz być smakoszem bez żenady! Wielka, prawdziwa, piękność rodzaju ludzkiego, piękność młoda i naga, została przez Cylindry zepchnięta w posągi, stojące cicho wśród drzew Paryża, i tym to posągom Cylindry przyglądają się ze znawstwem, jakby to był tylko obiekt ich uprawnionej rozkoszy. Otóż, jeśli rezygnacja z piękności własnej jest godna pochwały, gdy wiedzie do czystej kontemplacji, staje się wstrętnawa, gdy dokonywa się pod znakiem łakomstwa i żądzy. Jeśli coś dla mnie – myślałem krocząc po tych *avenues*[9] – jest nieestetyczne do szpiku kości, to smakosz... to Paryż!

To miasto, rozpuszczające w ustach starawych ambrozje! Chodząc po Paryżu z głową opuszczoną, zgaszony i cichy, myślałem, iż tego tylko brakuje by oni pewnej nocy, zakradłszy się do posągów nagich, poubierali je wedle ostatniej mody, uperfumowali... Diana w toalecie Diora, tak, to by było po linii ich *mondanité*[10], po linii wytwarzania smakowitych namiastek piękności. A jednak, powtarzałem sobie, a jednak piękność prawdziwa jest naga! I człowiek nie może być lojalny wobec tej nagości inaczej, jak poprzez własną nagość – jeśli nie tę, która jest twoim udziałem obecnie, to tę, którą miałeś – a jeśli jej nie miałeś, to poprzez tę, którą mogłeś mieć, gdyż była w każdym razie właściwa twojemu wiekowi.

Ale krawiec ubrał Paryżowi nagość. ↓

Luwr

Hector Bianchotti zaprowadził mnie do Luwru.

Tłok na ścianach, wywieszenie tych obrazów głupie, jeden obok drugiego. Czkawka tego nagromadzenia. Kakofonia. Karczma. Leonardo bije się po pysku z Tycjanem. Zez tu wszechwładnie panuje bo, gdy patrzysz na jedno, drugie włazi ci w oko z boku… Chodzenie od jednego do drugiego, stawanie, przyglądanie się, odchodzenie, podchodzenie, stawanie, przyglądanie się. Światło, barwa, kształt, którymi cieszyłeś się jeszcze przed chwilą, na ulicy, tu krzyżując się w rozłamaniu na tyle wariantów włażą ci w gardło, jak pióro flaminga pod koniec uczty starorzymskiej.

Aż w końcu dochodzisz do świętego zakątka, gdzie króluje ona, Gioconda! Witaj, Cyrce!… równie pracowita i zatrudniona, jak gdym cię oglądał ongiś, niezmordowanie przemieniająca ludzi, nie w świnie wprawdzie, a w cymbałów! Przypomniało mi się przerażenie Schopenhauera na myśl o wieczystości mechanizmu, mocą którego jakieś tam żółwie wyłażą corocznie, od tysiącleci, z morza na jakąś tam wyspę żeby złożyć jaja – i corocznie zostają pożarte, po złożeniu jaj, przez dzikie psy. Codziennie od pięciu wieków gromadzi się przed tym obrazem tłumek aby doznać kretyńskiego rozdziawienia gęby, ta sławna twarz codziennie ogłupia im twarze… pstryk! Amerykanin z aparatem fotograficznym. Inni uśmiechają się pobłażliwie w błogiej niewiedzy, że ich kulturalna pobłażliwość jest nie mniej głupia.

W ogóle głupota przewala się po salach Luwru. Jedno z najgłupszych miejsc świata. Długie sale…

Czterdzieści tysięcy malarzy w tym mieście, niczym czterdzieści tysięcy kucharzy! Wszystko to dłubie się w piękności. Fabrykacja jej na płótnie wyrafinowanymi palcami zezwala im na umyślną, zdawałoby się, pielęgnację brzydoty w sobie, nierzadko stylizują się na potwory, mające piękno li-tylko w końcach palców. Wchodzi się w to malarstwo, jak w zboczenie na wielką skalę, jak w gigantyczną maskaradę, gdzie

sztuczny twórca tworzy sztucznie dla sztucznego odbiorcy przy akompaniamencie marszandów, snobów, salonów, akademii, bogactwa, luksusu, krytyk, komentarzy, gdzie zarówno rynek, jak podaż i popyt tworzą systemat oderwany, oparty na fikcji… i cóż dziwnego, że Paryż jest jej stolicą?

Modelka, rozbierająca się dla malarza, to odpowiednik kobiety, ubierającej się u Diora czy Fatha. Obie za chwilę przestaną być nagie. Nagość jednej stanie się pretekstem dla sukni. Nagość drugiej wsiąknie w obraz. Jedna stanie się „elegancka". Druga będzie „sztuką". ↓

Berlin 1964

Berlin. Dotarłem na koniec do miejsca demonicznego, które i mnie ongiś zrujnowało. ↔ Po rozgardiaszu paryskim – błogi spokój, błoga cisza. Wilegiatura. Przechadzam się w słońcu majowym po Tiergarten i mrużę oczy. Nic naglącego do roboty, poza kilkoma wizytami ↓ Kilka wywiadów. Wakacje. I zastygnięcie tego, co za mną, Argentyna, podróż, Paryż, wszystko uśpione…

Ale wtedy zaleciały mnie (gdym spacerował po parku Tiergarten) pewne wonie, mieszanina z ziół, z wody, z kamieni, z kory, nie umiałbym powiedzieć z czego… tak, Polska, to było już polskie, jak w Małoszycach, Bodzechowie, dzieciństwo, tak, tak, to samo, przecież już niedaleczko, o miedzę, ta sama natura… którą ja porzuciłem przed ćwierć wiekiem. Śmierć. Zamknął się cykl, powróciłem do tych zapachów, więc śmierć. Śmierć. W rozmaitych okolicznościach spotykałem się ze śmiercią moją, ale zawierało się zawsze w tych spotkaniach jakieś rozminięcie, dające perspektywę życia, tymczasem w Tiergartenie doznałem śmierci wprost – i od tej chwili ona mnie nie odstępuje. Nie trzeba było ruszać się z Ameryki. Dlaczego nie zrozumiałem, że dla mnie Europa musi być śmiercią? Wszak dla człowieka, jak ja, dla kogoś w mojej sytuacji, wszelkie zbliżanie się do dzieciństwa i młodości musi być zabójcze – i choć nieraz potem „dziwiłem się”, że coś tak wątłego, jak woń, mogło znienacka tak radykalnie wykończyć mi życie, to przecież odtąd śmierć co chwila przysiadała mi na ramieniu, niczym ptak, w ciągu całego pobytu w Berlinie.

A jednocześnie okres argentyński – zakończony – nabierał blasku mitologicznego. Odnawiałem w pamięci chodząc po Tiergarten moment niesamowity, gdy ja, Polak z roku 1939-go, znalazłem się w Argentynie, sam, sam, na lądzie zgubionym w oceanach, jak rybi ogon sięgającym południowego bieguna, och, samotność Argentyny na mapie, jej zatracenie się w wodach, jej zepchnięcie w dół, zatonięcie w odległościach… Sam, zgubiony, odcięty, obcy, nieznany, utopiony.

Jeszcze mi wtedy rozrywały bębenki gorączkowe wrzaski głośników europejskich, dręczył wojenny ryk gazet, a już zanurzałem się w mowę niezrozumiałą i w życie tak temu odległe. Co się zowie niesamowity moment. Cisza, jak w lesie, że słychać nawet brzęczenie muszki, po huku lat ostatnich przedziwna muzyka – i w ciszy, wypełniającej, przepełniającej, zaczynają dochodzić mnie dwa słowa wyjątkowe, jedyne, szczególne: Witold Gombrowicz. Witold Gombrowicz. Ja do Argentyny wyruszyłem przypadkiem, na dwa tygodnie tylko, gdyby zrządzeniem losu wojna nie wybuchła w ciągu tych dwóch tygodni, wróciłbym do Polski – ale nie ukrywam, że gdy klamka zapadła i zatrzasnęła się nade mną Argentyna, to było, jakbym siebie samego na koniec usłyszał.

Dwadzieścia cztery lata tego wyzwolenia z historii. Buenos Aires – sześciomilionowy obóz, koczowisko, imigracja z całej kuli ziemskiej, Włosi, Hiszpanie, Polacy, Niemcy, Japończycy, Węgrzy, przemieszane, tymczasowe, z dnia na dzień… A rdzenni Argentyńczycy mówili swobodnie *que porqueria de pais* („świński kraj”) i ich swoboda brzmiała zachwycająco po duszącej furii nacjonalizmów. Rozkoszą było, w tych pierwszych latach, nic nie wiedzieć o Argentynie, nie znać się na partiach, programach, przywódcach, nie rozumieć gazet, żyć jak turysta. Jeżeli ta turystyka mnie nie wyjałowiła, to dlatego, iż, szczęśliwym trafem, jako człowiek pióra nawykły do posługiwania się formą, mogłem przedsięwziąć kształtowanie mojej osoby z tej nowej pozycji, w tej sytuacji… ale czyż Argentyna nie leżała w moich przeznaczeniach gdym, dzieckiem w Polsce, robił co mógł żeby nie maszerować w takt marsza na defiladzie?

Błogosławieństwo wód olbrzymich, rozbełtanych w wieczności, które mnie oddzielały od europejskiej historii! Aż tu naraz… powrót, przerzucenie się do Europy i to jeszcze w jej punkt najbardziej zbroczony historią, w miejsce najbardziej bolesne. Domyślałem się teraz, wiedziałem, że to wszystko nie pójdzie gładko, w ogóle cała ta moja podróż do Europy od pierwszej chwili stała się czymś o wiele bardziej niebezpiecznym, niż mogłem był przypuszczać, gdym w Buenos Aires zamykał walizki. Coś bardzo rozpaczliwego domieszało się do tej podróży. Ale któż mógł wiedzieć, że mnie śmierć zaskoczy

w Tiergartenie. Blaga? Frazes? Owszem, blaga i frazes, ale z tych co to nie popuszczają... gdy raz się uczepią... ↓

Pogrążony w lękach

Zamyślony w tym sensie, pogrążony w tych lękach (bo odkąd opuściłem Argentynę lęk mnie trapił) i z tą śmiercią, napotkaną w Tiergarten, rozpoczynałem mój żywot w Berlinie. Po dwutygodniowym pobycie w Akademie der Künste przeniesiono mnie do wygodnego mieszkanka na Hohenzollerndamm. Rozpakowałem się i urządziłem. Poznałem w tym czasie wszystkich prawie czołowych pisarzy i redaktorów (w Berlinie przebywała śmietanka literatury niemieckiej), z którymi, niestety, nie zawsze mogłem się porozumieć. Günter Grass, Peter Weiss, Uve Johnson, moi koledzy po piórze, kiepsko władali językiem francuskim. W ogóle, po ćwierćwiekowej nieobecności Europa wydała mi się wieżą Babel. Bywało, że na obiadach, w których uczestniczyło dziesięć osób, mówiono sześcioma językami. Aeroplany miotały ludźmi, znałem takich co mieli po trzy mieszkania, każde w innej stolicy – Rzym, Berlin, Zurych, przypuśćmy – każde na dziesięć dni w miesiącu. Ta Europa nowa, nowoczesna, też była nie do uchwycenia, zanadto rozpędzona, zanadto galopująca, trzymałem ją w rękach, jak bombę, nie wiedziałem co z tym począć. Ale nie o to chodzi, nie o to chodzi. Berlin Zachodni, przedzielony słynnym murem od Wschodniego, liczy sobie niewiele ponad dwa miliony mieszkańców a zajmuje ogromną stosunkowo przestrzeń, co chwila raczącą parkami, jeziorami, lasami, niektóre dzielnice są tak wsadzone w drzewa, że nie wiadomo, domy, czy las. Miasto-kurort, najwygodniejsze ze wszystkich znanych miast, gdzie samochody suną równo, bez zatorów, a ludzie idą równo, bez pośpiechu, gdzie nie wiadomo prawie co to tłok i duszność. Niezwykła IDYLLA w powietrzu: starsi panowie oprowadzają czule swoje wypielęgnowane pieski, schludna pani podlewa w oknie doniczki, samochody zatrzymują się grzecznie na sygnał elektryczny, z uśmiechem wyładowuje paczki robotnik, ktoś zajada ciastko na werandzie kawiarni, dziewczę doskonale wyhodowane ogląda wystawę... GRZECZNOŚĆ. W windach nieznajomi wymieniają ukłony i uprzejme słowa. Gdy zapytasz przechodnia o jakąś ulicę, odprowadzi

cię do niej nadkładając drogi. W rozmowach słyszy się ton wzbudzający zaufanie, jak gdyby kłamstwo, ironia, złośliwość, zostały stąd na zawsze wyświęcone. Niezmierzona POPRAWNOŚĆ ujawnia się w kołnierzykach, krawatach, palcach, paznokciach, butach, w podjeżdżaniu taksówek, w załatwianiu klientów, w geście urzędnika na poczcie, wybierającego stosowne znaczki aby je nakleić na twój list. Głęboka MORALNOŚĆ w oczach, ale i w całym ciele, w sylwetce od kapelusza do butów. DOBRODUSZNOŚĆ, SPOKÓJ, ŻYCZLIWOŚĆ przenikają miasto, którego stopa życiowa jest wyższa bodaj, niż w Stanach. PIĘKNOŚĆ niejednokrotnie zagląda ci w oczy, wstrzemięźliwie północna i mocna. W mieście, będącym punktem newralgicznym świata, wyspą, i z murem w dodatku, nie widać prawie policji, kilometrami można chodzić, a żaden mundur się nie nasunie… w tym zielonym kurorcie, w idyllicznym Berlinie… Ale nie o to chodzi, nie o to chodzi. Jadałem kolacje w ogródku restauracji na Fehrbellinerplatz: zacisznie, drzewka, parasole. Wróbelki, których nigdy żaden Niemiec nie przestraszył, siadały mi na stole i wydziobywały z talerza co mogły. Dwie fontanny, rozpapuzione coraz to inną barwą świateł, jak dwa bukiety w okręgu stolików, pośród rozhoworu gości, biegania kelnerów. I co pewien czas przychodziła kolej na kolor czerwony, a wtedy mnie w Berlinie niewinnym musiała nasunąć się krew i krew tryskała z ziemi bezlitosnej! Ale nie o to chodzi, nie o to chodzi. Berlin… nie, to nie jest łatwe, może byłoby łatwiejsze gdybym – o, Hamlecie! – złych snów nie miewał. W dobrych sześć miesięcy potem, gdy mieszkałem na Bartningallee, a śniadanie spożywałem w restauracji na Hansaplatz, doznałem następującej przygody. Naprzeciwko, o kilka stolików, siadywał Niemiec, już starszy, z drżącymi rękoma, zapewne emeryt, z kuflem piwa, troszkę może przyćmiony na umyśle, ale wzruszająco towarzyski – pozdrawiał kelnerów, mnie i innych gości z wielką serdecznością, wykorzystywał z entuzjazmem najdrobniejszą okazję do odezwania się, lub choćby machnięcia ręką, samotność jego musiała być wielka… (czy była rodem *stamtąd*, zapytywałem ja, ahistoryczny). Do mnie zwracał się ze szczególnym upodobaniem: – dziś ładnie, co?… (dłuższe milczenie)… jaki śnieg!… (kwadrans przerwy)… może cygarko?… Kiedyś wyszliśmy razem, była to niedziela, powiedział, że, wie pan, w niedzielę odchodzą

stąd autobusy wycieczkowe, może byśmy się wybrali?... Podziękowałem. Spojrzał, zmilczał, w końcu odezwał się, a ręce mu drżały, powiedział coś po niemiecku, z czego ja zrozumiałem tylko strzępy, ochłapy nawet: – nie jechać... jechać... nie dojechać... wiele rozmaitości, co by być mogło... nie można, nic nie ma, nic nic nie ma, nic, co pan (*was wollen Sie?*)... *ganz unmöglich*, niemożliwe, przecież nie (*das kann nicht sein*)... szkoda, szkoda (*schade*) nic (*nichts*)... *nein... aber sehen Sie, mein Herr, das ist vielleicht trotzdem, und gegenüber...* Zakończył stanowczo: – *Nichts!* I tak stał, jakiś zaprzeczający, oporny, uparty, niezłomny i nieuchwytny, kategoryczny, zrezygnowany, zrozpaczony, chwiejny, miękki, twardy, dramatyczny, poczciwy, z czymś na ustach... ze skargą... protestem... negacją, może pustką, może niczym... ja zaś stałem, nie mogący pojąć, uchwycić, odgadnąć, stałem nad tymi słowami, jak nad kupą rozrzuconych klocków... lub nad dziurą, z której ziało zaprzeczenie... I przecież nie o to chodziło, nie o to chodziło! O co, więc?! Odkąd opuściłem Argentynę, straciłem wątek – a tu, w Berlinie, za dużo krzyżowało się wątków – domy były, ulice, drzewa, trawniki, asfalt, ja stałem w tym wszystkim, on coś gada, ja nie wiem, znów śmierć mnie musnęła, moja, czy ich, trzeba iść do domu, uśmiech, ukłon... ↓

Witold Gombrowicz podczas Literarisches Colloquium, Berlin, grudzień 1963 r.

Jak Lady Macbeth

Miejsce zbrodni, czy cnoty? Ja, osoba z Argentyny, ahistoryczna raczej i nie przyzwyczajona, wciąż miałem wrażenie, że Berlin, jak lady Macbeth, bez wytchnienia myje sobie ręce… I, w tych warunkach, wkraczające w życie pokolenie, ta olbrzymia fala odnawiająca i oczyszczająca, zaczynająca niejako od początku, zalewająca przeszłość, nabierała decydującego znaczenia – ale mnie ta młodzież niemiecka wciąż się wymykała, ponieważ kulawe dialogi, trochę po niemiecku, trochę po francusku, nie zezwalały na istotne zbliżenie. Ze wszystkich z nią spotkań najsolidniej utkwiło mi w pamięci świętowanie Nowego Roku 1964 w atelier pewnego młodego malarza, gdzie znalazłem się za sprawą mego przyjaciela Greka, Cristosa Joachimidesa. Gdy wszedłem do tego półciemnego, piętrowego atelier i ujrzałem młodzież północną, rozkładającą się na tapczanach, stojącą po kątach, od razu uprzytomniłem sobie ich przykucie do własnych rąk, ręce były najsilniejsze, one to wypełniały pokój zagęszczając się, lub rozluźniając, mocne, duże, czyste, o dokładnie obciętych paznokciach, ucywilizowane. A głowy towarzyszyły rękom, jak chmura towarzyszy ziemi (nie było to wrażenie nowe, kiedyś już Roby Santucho, w Argentynie, tak mi się spychał, strącał, ku własnym rękom).

Ręce zbrodnicze? Ależ skąd, nowe przecież, niewinne… Nowe i nie te same, a jednak, przecież, takie same… Jakaż różnica? Nie takie same oczy, włosy, usta, nie taki sam śmiech? Złoto-niebieski blondyn podał mi po przyjacielsku szklankę whisky, ale ta ręka wyciągała się do mnie *stamtąd*, oczy *stamtąd* na mnie spoglądały… Ktoś inny położył mi rękę na ramieniu i to było braterskie, ale braterstwo, też stamtąd, było śmiercią… nie wiem, koleżeńską, a może wrogą… I w tejże chwili prześliczne dziewczę wzruszyło ramionami zabawnie, chodziło o miłość, miłość, tak, ale *tamto* też było miłością, las, las rąk wyciągniętych przed siebie zdobywczo, miłośnie, *heil*, ręce stwarzające! Głupstwo! Precz! Majaki! Jacyż europejscy (z taką Europą nie spotkałem się w Paryżu), spokojni i swobodni, ani szczypty szowinizmu czy

nacjonalizmu, rozległe perspektywy w skali światowej, tak, to była najbardziej nowoczesna młodzież, jaką zdarzyło mi się widzieć. Nawet nie wypierali się przeszłości, widać było w półmroku, że *tamto* to już nie była ich sprawa, oni byli czymś innym i czymś nowym. Oderwać się! „Chodź, chodźmy, po co ci ten ich Achilles!" Pokolenie, jakby przez nikogo nie urodzone, bez rodziców, bez przeszłości, w próżni – tyle tylko, że wciąż przykute do własnych rąk – które to ręce co prawda już nie zabijały, a tylko zajęte były wykresami, rachunkami, fabrykowaniem, produkcją. I bogaci… przedziwne kurtki, piękne zegarki… ich wozy stały na ulicy…

Luksus zatem chłopców wysoce ucywilizowanych, w sercu samym Europy… a jednak skojarzenia zabijające co chwila wybuchały mi w mózgu. Żeby załatać jakąś lukę w moim gęganiu niemieckim zacytowałem Goethego *Hier ist der Hund begraben* i zaraz przyplątał mi się pies pogrzebany, nie, nie pies, ale jakiś rówieśnik, akurat taki sam, który przecież mógł leżeć gdzieś tutaj, w pobliżu, nad kanałem, pod domami, tu gdzie śmierć młoda musiała być gęsta w ostatniej walce. Szkielet ten tkwił gdzieś w pobliżu… A jednocześnie spojrzałem na ścianę i zobaczyłem tam, wysoko, prawie pod sufitem, wbity w ścianę hak, w gołą ścianę wbity samotnie, tragicznie, nic bardziej okropnego niż ten hak, tam, wbity, hak, w ścianę, wysoko, wbity, w gołą ścianę. Czy luksusowa i europejska młodzież, oderwana i samoistna, mogła domyślać się, co mnie chodzi po głowie? Wiedziałem, że oni ze mną nie chcą być „Niemcami", podobnie jak ja z nimi nie chciałem być „Polakiem" – i może nawet, kto wie, oni już w ogóle nie chcieli być Niemcami, rzuceni w świat, zaczynający od początku, spragnieni jak najszerszych horyzontów. A jednak hak tkwił w ścianie! Whisky. Wino. Sandwicze, ciastka, owoce. Rozmowy i flirty. Rozmawiało się zawsze o *czymś innym*, Brecht, Grass, studia, podróże, Lessing. W miarę zbliżania się godziny dwunastej rosła moja ciekawość… co zrobią z Czasem? Co zrobią z Nowym Rokiem? Co poczną z momentem, w którym wdziera się Przeszłość i Przyszłość? I cóż? Wybiła godzina, wystrzeliły korki szampana i oni uśmiechami, życzeniami, uściskami, zamazali sobie chwilę niebezpieczną. Czy jedziesz do Grecji? Widzieliście wystawę Benratha? Piers Read jest w Anglii. Zobaczysz, na

przyszły rok będę już „Frau". Ten Nowy Rok w Berlinie okazał się doskonale spokojny, mieszczański, bez Czasu właściwie i bez Historii.

Byli więc ludźmi prywatnymi. I ja, który zawsze wysilałem się, żeby być w życiu istotą prywatną, nie mogłem temu nie przyklasnąć. Obywatele świata. Europejczycy. Tylko ten hak w ścianie, wbity, wbity… tylko ów kościotrup bratni, śmierć w pobliżu… i tylko ręce, ta nieuchwytna przewaga rąk… Łyknąłem jeszcze jednego wiskacza! Tam, wtedy, na paradach miłośnie śmiertelnych, wydobyto z tej młodzieży ręce, wysunięto na czoło, och, las rąk wyprzedzający i wiodący naprzód… oni szli ze swoimi rękami… tu zaś, teraz, ręce były spokojne, nie zatrudnione, prywatne, a jednak, a przecież, znów ujrzałem ich przykutych do rąk, strąconych w ręce.

Witold Gombrowicz w swoim mieszkaniu przy Bartningallee 11/13 w Berlinie, 16 maja 1964 r.

Ręce niemieckie w Berlinie… już od dawna przyglądałem się im spod oka… te ręce niepokoją, ponieważ są bardziej skuteczne, bardziej na serio, powiedziałbym, wszelka robota niemiecka urzeczywistnia się lepiej… Ale zupełna pustka, śmiertelna cisza tych rąk, stały mi się oczywiste dopiero gdym je zoczył na tym przyjęciu, u tych osieroconych młodzieńców, w tym mieście odbudowanym z gruzów, bez charakteru, będącym wyspą… tymczasową… Żaden z nich nie miał o co się zaczepić. Wielka tradycja Niemiec Goethego była zanadto skompromitowana tym co nastąpiło po niej. Hasła nowej Europy nie były dość żywe. Zresztą oni – teraz – lękali się haseł, programów, ideologii, ba, nawet moralności, owej skrupulatnej moralności niemieckiej, która doprowadziła do diabelskich wyskoków. Cóż więc? Praca. I wiedziałem, że każdy z nich ma coś do roboty, coś konkretnego, egzaminy, biuro, warsztat, malarstwo może lub literatura, produkcja, fabrykacja, technika, oni wytwarzali, a wytwarzając, przetwarzali, i to im wyznaczało na razie i póki co ich sens, funkcję, rolę… w pustce i ciszy rąk… w tym Berlinie z nieprawdziwego zdarzenia. Ujrzałem tę młodzież niemiecką jako uderzenie pięścią w świat zewnętrzny po to, by się dowiedzieć kim się jest – jako przetwarzanie zewnętrzności, aby na tej drodze uzyskać w końcu świadomość własnego ja. Ale ileż razy już Niemcy uderzały, jak taranem, w świat aby dotrzeć do tej tajemnicy. Powtarzam: co przygniata, gdy się ma do czynienia z nimi, to świadomość, że tu gra się na serio: oto naród bynajmniej nie wtórny, a idący w pierwszej linii, więc posuwający się właściwie na oślep, nie naśladujący, a stwarzający, dziewiczy, bo zapuszczający się na tereny dziewicze. Tu nie wie się, czym się będzie, ani nawet, czym się może, lub nie może, być. Och, ich egzotyzm, ich hermetyczność (nawet i przede wszystkim, gdy się udzielają), ich własna treść nie dająca się wyrazić, to opanowanie, mające charakter szaleństwa, ta ludzkość, będąca wstępem do jakiejś ludzkości przyszłej, niewiadomej, ich „funkcjonalność”, dzięki której pięciu najzwyklejszych Niemców staje się całością nieobliczalną… to nie jest takie proste… Stój! Stój! Sen mara, Bóg wiara! Ręce tej młodzieży były przecież doskonale spokojne, prywatne, czegóż oni chcieli? Samochodu, żony i dzieci, awansu… po to pracowali… pragnęli przeżyć swoje życie możliwie przyzwoicie, to

wszystko. Hak? Trup w pobliżu? Las rąk? To były tylko moje do nich komentarze.

I rzeczywiście nie wiadomo było czego się trzymać: gdyż nigdy nie oglądałem młodzieży bardziej humanitarnej i uniwersalnej, demokratycznej i uczciwie a niekłamanie niewinnej... spokojnej... Ale... z rękami! ↓

Cała Europa wyglądała mi na konia

Butor był dla mnie niezmiernie poczciwy, odwiedzał mnie, gdym wylizywał się z gryp moich – ja odpłaciłem mu się atakami, wycelowanymi w najdroższe jego *creda* artystyczne. Brzydko? Ależ uważam, że jeśli każdy artysta musi, choćby nie chciał, być zjawiskiem dramatycznym (bo sztuka pogłębia), to chwilowe nawet zetknięcia artystów też nie mogą być w guście letniej i mdłej zupki. Przeklęte potomstwo Joyce'a! Przeklęci jak on, ci co to powolutku, niewzruszenie, uprawiają literaturę dla literatury, wywindowaną, ezoteryczną, wspartą na gronie wtajemniczonych, gdy ja się nudzę, omdlewam, usycham!

Ale nie tylko Butor, nie tylko Berlin… Cała Europa wyglądała mi na konia, który dobrowolnie włazi w chomąto… Posłuszni, potulni, pełni dobrej woli wobec teorii, konstruktywni, pozytywni, metodyczni, cerebralni… Och, pustynio! ↓

Humor Grassa: miano mu za złe, że na balach zjawiał się w stroju sportowym; wobec czego sprawił sobie smoking potwornie fioletowy i zadaje w nim szyku na śniadaniach i popołudniowych herbatkach. Inny rys humoru Grassa: filozofia niezbyt mu smakuje, o czym wiedząc skierowałem dyskusję z nim na tereny filozoficzne. Na to Grass, uprzejmie pochylony, subtelny, dyskretny: – Przepraszam pana, ale moja siostra, tu obecna, dostaje nerwowego kaszlu gdy się wymienia więcej niż sześciu filozofów naraz.

Z nimi trzema – Grass, Johnson, Weiss – widywałem się od czasu do czasu, ale te spotkania były unicestwiane bądź trudnościami natury lingwistycznej, bądź obecnością osób trzecich. Wiele razy mówiłem sobie, muszę się rozmówić z Weissem, muszę od niego się dowiedzieć, on mi powie… Co się tyczy Uve Johnsona, to to była Północ. Nordyk tak północny, iż nie raz, nie dwa, postanawiałem, że trzeba by jednak koniecznie stoczyć z nim rozmowę bardziej… Nic z tego. Byliśmy hermetyczni, oni dla mnie, ja dla nich, z góry wiadomo, nic, zupełnie nic, a najlepsze, co można zrobić, to żeby jeden drugiego zostawił

w spokoju. Troszkę, jak konie pasące się na łące. Ale też jak istoty zaborcze, w stanie ekspansji, gotowe się pożreć przy pierwszej okazji. Kiedyś Uve Johnson natknął się na mnie przypadkiem w restauracyjce naprzeciw Akademie der Künste. Podszedł i w zawstydzeniu północnym mruknął coś co, jak się domyśliłem, było komplementem dotyczącym świeżo wydanej po niemiecku *Pornografii*. Zawstydziłem się jego wstydem, coś wymamrotałem, i rozmowa zeszła na zwykłe między nami tematy, to jest fajki, guziki i klapy u marynarek. ↓

Opuściłem Berlin po roku, w maju 1964-go, wyzuty z sił – ledwiem wsiadł do samolotu. Choroba przyczaiła się we mnie już w pierwszych miesiącach pobytu, ale dopiero śniegi, deszcze, wiatry i chmury nieba północnego, nie oglądanego od ćwierć wieku, pobudziły ją i rozwinęły. Dwa miesiące w szpitalu. Kiepski był ze mnie gość. ↔

Nadpłynąłem po dwudziestu pięciu latach, przeżarty czasem i przestrzenią... Zabrakło siły żeby przemóc kamienną obcość Europy. Przez lata mego argentyńskiego wygnania wysilałem się, jak mogłem, by zachować wierność Europie, ukrytą dumą mojego pisania było to właśnie: wierność Europie. Sprawiedliwe więc, żem w Paryżu, w Berlinie, poczuł się, jak u siebie w domu ja, Europejczyk. Tylu przyjaciół. Czytelnicy. Takie karesy. Czułość. A jednak byłem za słaby fizycznie, choroba już mnie wysysała. I zanadto tkwiłem jednak w Argentynie. Więc gdy Argentyna za mną cofa się, rozpływa, wyrastająca przede mną Europa jest jak piramida, jak Sfinks i obca planeta, jak fatamorgana, już nie moja, ja jej nie poznaję, nie odnajduję w czasie i przestrzeni. ↔

Witold Gombrowicz (od lewej) podczas wywiadu udzielanego Tadeuszowi Nowakowskiemu dla Radia Wolna Europa w Monachium, 22 września 1963 r.

W ciągu całego mego przebywania w Europie, gdziekolwiek, w Clermont Ferrand, w Royaumont, w Paryżu, w Berlinie, ani nawet filiżaneczki kawy nie wypiłem, która by była „prawdziwa", „zwykła" – nie zaś wyłoniona z otchłani i zawieszona w próżni nieskończonej. ↔ Berlin stał się dla mnie zagadką urzeczywistniania… i unierzeczywistniania… Jedno zapanowało nad wszystkim innym: tworzenie się, rozpadanie, paczenie, wyprostowywanie, ulatnianie, mieszanie, natężanie… rzeczywistości.

Zawędrowałem do Berlina jak do kresu pielgrzymki po Europie, jak do miejsca najbardziej rzeczywistego i najbardziej fantastycznego. Podróż była podwójna: raz na mapie, a drugi raz w sobie. Berlin stał się moją wewnętrzną przygodą… ale z tego zdałem sobie sprawę dopiero teraz, powolutku, w czasie pisania… ↓

Wytrwałem w Berlinie rok okrągły z wątpliwym uśmieszkiem na ustach, o krok od Polski, ściszony i spopielały. Grypa. Była to grypka niewielka, z małą gorączką, ale lekarz mi mówi, niech pan przeniesie się

na kilka dni do kliniki, łatwiej mi będzie pana leczyć, więc ja dwudziestego drugiego lutego (dwa) 1964-go (suma cyfr 20) przenoszę się do kliniki. Na parę dni? Na dwa miesiące. Ta grypka maleńka nie chciała ustąpić, nie jedna a cztery grypy przewinęły się przeze mnie, skombinowane z innymi przypadłościami, wreszcie struty antybiotykami – 20 kilo straciłem – wyfrunąłem do Francji, ledwie żywy.

Po paromiesięcznym pobycie w Royaumont pod Paryżem, w Vence zamieszkałem na zboczu Alpes Maritimes, nad morzem, między Cannes a Niceą.

Powoli wracałem do sił. Argentyńskie biedowanie się skończyło. Mój dochód miesięczny przekroczył wreszcie sto pięćdziesiąt dolarów. Słoneczny zachód, piękna jesień, obfity plon. Coraz więcej wydań w obcych językach, *Prix International de Littérature*. Wygody, mieszkanko, samochodzik; kobieta, życie rodzinne… Tak, otom „pisarz", przekroczywszy sześćdziesiątkę mogłem powiedzieć o sobie co normalny student mówi po uzyskaniu dyplomu lekarza, inżyniera: jestem kimś, zrobiłem siebie.

Cóż kiedy Ręka (która wydobyła mnie z wojny i wsadziła w Argentynę) sprawiła że te smakołyki mogłem lizać tylko przez szybę… Szybę zrobioną z braku… z braku powietrza. Ręka zmusiła mnie do ascezy i przyjąłem to bez protestu, przeświadczenie że moja literatura nie może mi dostarczyć materialnych korzyści było we mnie zakorzenione od samego początku; nie liczyłem na to. ↓

Francja 1964

Lecę do Paryża. Samolot wzbija się w przestwór. Europa otwiera się i rozpościera. Ja w samolocie. Zmierzch. Szybkość 800, wysokość 8000. Oto już Francja. Wtulony w fotel spadam spojrzeniem na sam dół. Roje domków. U kresu spojrzenia mojego, spadającego, tam, tam, domki i ogródki, szachownice, kominy, mosty, tamy, fabryki, trójkąty, linie, szosy, osiedla, budynki. Ja na zawrotnej wysokości, lecący z hukiem niedosłyszalnym, rozgłośnym. Lecę. Ja, wariat. Lecę.

Lecę sam jeden. Wyrzucony poza orbitę. Wyodrębniony. A ze mną, przeszywając niebo z szybkością 800, moje wszystko, mój bagaż, myśli, kombinacje, wspomnienia, Berlin, Argentyna, Polska, to, tamto, reminiscencje, kluczyk, ona powiedziała, ryby, trzeba by, po co, ulica Hoża, wszystko to leci ze mną na wysokości 8000, lecę, a wciąż kojarzę, pracuję, kombinuję, wysnuwam, zgubiony, zatracony w lesie. Ja i mój las. Ja i mój gąszcz, rój, mrowisko, rozpleniające się, przepełniające. Patrzę w dół. W dole rój, mrowisko, rozpleniające się, przepełniające. Nie widzę ich, ale wiem, że są. Sobowtór wielotysięczny. Ja sam jeden przelatujący, a pode mną dziesiątki tysięcy, setki tysięcy moich podobizn, powtórzeń, moich „jak ja", rojących się, zadzierzgających, kombinujących mrowiem zwielokrotnionym wiem znam nie mogę nie wiem ja oni ja. Ja rozpętany zwielokrotnieniem. Wielomyśl. Wieloistnienie.

Paryż.

Zagęszczenie, spotęgowanie, wyolbrzymienie, ryk dziki zwielokrotnienia. Bestio! Lecę! Potworze! Lecę! Sobowtór Wielomilionowy rozwala się zapełniając i przepełniając, ja dolatujący do mego Wielopowikłania... Wycie i wrzask! Zaraz wysiądę. Wezmę taksówkę. Zobaczę jednego, dwóch, trzech... zobaczę tysiąc... i milion zobaczę... ↓

Royaumont

Gdym Berlin opuścił ↔ osiadłem w Royaumont, o 30 klm. od Paryża. Opactwo z trzynastego wieku, gdzie święty Ludwik sługiwał mnichom, skąd podobno jakiś czas rządzono Francją, gotyk potężny, czworoboczny, czteropiętrowy, mury, krużganki, łuki, rozety, kolumny, w parku spokojnym z wodą kanałów i stawów zmurszałą, zieloną. ↔

Ciągle byłem chory. Niby to rekonwalescencja po berlińskim szpitalu, ale jakoś niezbyt mi się polepszało, czułem, że sekret trujący wciąż we mnie się gnieździ, kwękałem, przechadzałem się słabowicie pod kasztanami, dochodziłem ospale do drogi, do mostku, siadałem na kamieniu, patrzyłem na ścielący się jedwab słodkiej Francji – gaje, łąki, wzgórza, którymi szły linie wysokiego napięcia, osadzone na wieżach stalowych, przejrzystych, rytmicznych. Patrzyłem na to osowiały, z duszą niechętną, jak morda psia odwracająca się od pełnej miski, i powolutku kierowałem swe kroki z powrotem ku domowi, wkraczałem w grubość murów, w gotyckość sklepień. ↓

Że ja w Royaumont stanę się *enfant terrible* i swawolnym Dyziem – och, tak, i tym bardziej im bardziej Royaumont było okazałe, majestatyczne, kartezjańskie, rasynowskie, wolteriańskie – im bardziej było etnologiczne, historiozoficzne, logistyczne, cybernetyczne – im bardziej było z rozetami, łabędziami i św. Ludwikiem. Ale tańczyłem zakuty w żelazo, och co za ucisk gniotący, ciężar stupudowy! Powaga choroby, ten zupełny brak żartu właściwy ciemnym zakamarkom cierpiącego organizmu, łączył się zresztą (jakby za moimi plecami) z pewnymi nie najprzyjemniejszymi właściwościami miejsca, w którym przebywałem. Ten gmach średniowieczny nie należał o drugiej, trzeciej nad ranem do miejsc najpogodniejszych… kiedy stan nieświetny mojego żołądka wypędzał mnie z łóżka w nocy, nie czułem się zbyt pewnie w długim korytarzu, o majaczącym w głębi jakimś refleksie światła, gdy w śnie powszechnym napierała grubość murów i odzywała się pustka przebywająca tam dalej, w salach niezamieszkałych, jej

samotność, jej ciężar, gniecenie wszechstronne pustki wypełnionej czasem zmarłym, wykończonym, przeminiętym. ↔

Po rocznym zanurzeniu w Germanii przyglądałem się Francuzom z ciekawością.

Gdym, zaraz po przybyciu z Berlina, tydzień w willi pod Paryżem spędził, kuśtykałem, jak mogłem, resztkami sił do furtki na ulicę żeby ich *znowu* zobaczyć. Sprawdzić, jak wyglądają po Niemcach.

Europejczycy, wyrzuceni na brzeg Południowej Ameryki, jak smętne rozbitki, muszle i wodorosty, byli osłabieni… tu są w swoich narodach, jak owoce na drzewie, w pełni soku. ↓

Istnieje w ludzkości rezerwat nieśmiertelny urody i wdzięku, ale – niestety, niestety! – związany z młodością. Och, nie wystarczy podziwiać piękność abstrakcyjnych obrazów – ta nie jest drastyczna – trzeba jej doznać poprzez to, czym się było, czym się nie jest, poprzez tę niższość młodości…

Park i opactwo w Royaumont, wrzesień 1968 r.

To jest, mniej więcej, punkt wypadowy mojej satyry na Paryż.

Pochyl się nad rzeką czasu przepływającego, Narcyzie, i próbuj złowić migocącą w wodzie uchodzącej, nieubłaganie czarującą twarz… ↓

Ja przekorny, ja upiorny, ja rozbawiony, ja umęczony, ja żyjący, ja umierający.

Myślałem o tym, że Europa mi się wymyka. Gnębiło mnie, że nie potrafiłem aż dotąd zdobyć się na nic bardziej własnego i odkrywczego wobec Europy, do której zawitałem po ćwierćwiecznej nieobecności, ja, przybysz, Argentyńczyk, Polak powracający… Wstydziłem się myśleć o krajach, ujrzanych ponownie, sposobem już ustalonym, obgadanym, zbanalizowanym – że to technika, nauka, wzrost stopy życiowej, motoryzacja, socjalizacja, swoboda obyczajów… Czy na nic lepszego się nie zdobędę? Jakiż ze mnie Kolumb?

Wydawało mi się prawie śmieszne, że ta rzecz olbrzymia w dziejach, Europa, zamiast olśnić mnie nowością po latach pampy, latach

niewidzenia, zapada mi się w stek ogólników, już zużytych.

– Najgorsze – myślałem – że mnie prawda o niej wcale nie interesuje. Ja chcę ją sobie odświeżyć – siebie nią odświeżyć. To wszystko po to, żeby czas stał się odmładzający – zamiast żeby mnie i ją postarzał! Po to chcę wymyślić myśl jeszcze nie pomyślaną – ona nie prawdzie ma służyć, a mnie! Egoizm. Artysta, czyli podporządkowanie prawdy swojemu życiu, posługiwanie się prawdą w celach osobistych.

Kamienny ogrom Royaumont, wyrastający z kartezjańskich trawników i alej.

Witold Gombrowicz, Royaumont, czerwiec 1964 r.

Louvry paryskie rozryczane samochodami… a znów tutaj ten gotyk pobożny, nadziany boleśnie intelektualistami-ateistami i najechany przez gromady scjentyficzne etnologów, etymologów, socjologów, których zwoziły aeroplany z pięciu części świata… pełno notesów, aparatów, okularów, tweedów, dyskusji, łamanej francuszczyzny, łamanej angielszczyzny. Pokryta samochodami i naukowcami, jak liszajem, Francja cierpi i usiłuje jeszcze się bronić! Konwersacja! Konwersacja jest jak wielki żołądek, usiłujący to strawić. Jak długo? Jak długo jeszcze *to* będzie tematem naszej konwersacji. Mówiąc wiemy, że mówienie nasze stanowi temat socjologicznych rozpraw po *tamtej* stronie… naukowej… ↓

W Royaumont, pod Paryżem, trzy miesiące spędziłem. Potem uciekłem przed jesienią, naprzód w okolice Cannes, do La Messuguière. Zajmowałem pokój, w którym Gide mieszkał przed laty. Moja ścieżka wstępuje na koniec na ślad ludzi, dobrze mi znanych od dawna, jakbym dosięgał ich fizycznie *post mortem*, i odzywa się we mnie głos: byłeś wygnany. ↓

Czułem się młodszym

W Paryżu ja, zadurzony wciąż na oślep w Argentynie, czułem się Młodszym (co potwierdzało uroczą młodość Argentyny i moją młodość, jako kochanka). Czułem się też Młodszym jako Polak, ja, ambasador kultur młodszych. Więc to wszystko zasilało moją diatrybę przeciw starości Paryża i pchało mnie w nagość. Ale przecież osobiście byłem w starszym wieku. I zresztą robiłem, co mogłem, ja, pisarz, żeby być starszy od nich, od paryżan, chytrzejszy, wytrawniejszy, żeby nie dać się przyłapać na naiwności... podsuwałem im tę młodość przyrządzoną po parysku, to znaczy na staro, z maksymalną, na jaką mnie stać było, dojrzałością.

Więc sam nie wiedziałem w końcu, jaki jestem: młody, stary? W tej kakofonii niejeden mi się wydarzył dysonans... ↓

Gdy człowiek dorosły oderwie się od młodzieńca, nic już nie może go zahamować we wzrastającym usztucznieniu.

Ich obcowanie – z czymkolwiek – odbywa się poprzez system znaków ustalonych, niby przez telefon, wszelka bezpośredniość jest surowo zakazana. Refleks warunkowy – w tym sekret cały! Gdy się chce żeby psu Pawłowa wyciekła ślina, nie trzeba mu pokazywać mięsa, lecz zatrąbić. Gdy się chce, by oni wpadli w zachwyt, trzeba zacytować wiersz Cocteau, lub pokazać Cézanne'a – wówczas wpadną w zachwyt, skojarzy im się to z pięknością, wycieknie im ślina, to jest raczej oklaski zjawią się na rękach.

W tym świecie magicznym, pełnym znaków, symboli, haseł, obrzędów, ceremonii, formuł, gestów, dziwne doprawdy zdarzały mi się przygody.

Dobrze wiedziałem, zanim do Paryża przyjechałem, że tu z mówieniem coraz trudniej, przecie z ich książek to widać, coraz bardziej oniemiałych... ale nie wiedziałem, że do tego stopnia! Na drugi, czy trzeci dzień po tym śniadaniu z Brezą poszedłem na kolacyjkę z paroma pisarzami... i oblizując się w duchu, bo to były pierwszorzędne

głowy! Wytworzenie wstępnych refleksów warunkowych, a mianowicie powitań, grzeczności, komplementów, odbyło się jak po maśle i póki konwersacja toczyła się w ramach owego refleksu wszystko szło jak z płatka, wypowiadano dowcip, ja się śmiałem i oni się śmieli. Ale w końcu, udręczony psami, dławiąc się już od psów laboratoryjnych, które dosłownie dobierały mi się do gardła i ujadały w przełyku, wyły w męce przeraźliwej swojego *qui pro quo* nieustannego, zapragnąłem coś jednak powiedzieć… Boże wielki, czy taki straszny grzech mój, jam po prostu wypowiedział tak zwaną myśl… o życiu czy sztuce… jak to mi się nieraz zdarzało w kawiarni Fragata, w Buenos Aires. Umilkli. Oddali się wyłącznie jedzeniu i milczeniu, milczenie i jedzenie wypełniło resztę sympozjonu. Zbaraniałem, myślę sobie, co to, czy się obrazili… ale nazajutrz byłem na kolacji u Wladimira Weidlé i opowiadam jemu, jak i co, przy serach, a on mnie na to, że przecie już się nie mówi w Paryżu… że w Paryżu mówi się tylko po to by nie mówić… podał, jako przykład, że na bankiecie dorocznym jury *Prix Goncourt* w pewnej, nie najgorszej zresztą, restauracyjce, mówi się wyłącznie o potrawach, aby o sztuce czego nie powiedzieć…

Rzecz pewna, gdy mężczyzna zaprzepaści w sobie młodzieńca na amen, skądże zaczerpnie nieco lekkości, gdzież siła, która by go mogła zahamować w nieustannym przybieraniu na wadze? Tak to i z nimi: trudność przeokropna wlazła im w wysłowienie, on by i chciał co powiedzieć, ale nie może, za trudne, za głębokie, za wysokie, za subtelne… i każdy milczeniem oddaje hołd tej trudności swojej. Butora spotkałem na przyjęciu u tej kontesy, powiadam do niego, że cieszę się, bo, niby, jak razem w Berlinie będziemy, to do syta sobie podyskutujemy, choćby na temat *nouveau roman français*. Zamiast odpowiedzi wódz awangardy zaśmiał się donośnie – i był to śmiech grzecznościowy a odgradzający, zupełnie hermetyczny, śmiech puszki sardynek na Saharze… Boże miłosierny!

Geniusz Paryża nie ustaje w gorączkowym działaniu, dzieła i idee rodzą się w łonie najśmielszego z miast, pędzącego na samym czele dziś, jak przed wiekami… jednakże, powiedziałbym wywiązała się jakaś bolesna opaczność pomiędzy miastem a jego mieszkańcami, im ten geniusz jakoś w antygeniusz się przemienia, chciałoby się rzec, że ich

jak gdyby onieśmielała własna śmiałość, trwożyła odwaga, buntowniczość czyniła potulnymi, nieprzeciętność wtrącała w przeciętność… i tak chodzą wokół tego Ducha swojego, jak parobki wokół krowy, obrządzają, doją i sprzedają mleko. Paryż, owszem, pałac, ale na mnie robili wrażenie służby pałacowej… ↓

Vence

Osiedliłem się w Vence, o dwadzieścia kilometrów od Nicei, na zboczu Alpes Maritimes – miejscowość szykowna, nie brak rezydencji wykwintnie ukrytych w kępach palmowych, za murami z róż, w gęstwinie mimoz. ↔ Mieszkanko przyjemne, pięć balkonów, cztery widoki, trzy kominki. Pomiędzy Alpami, wrącymi od światła, morzem niebieszczącym się w dali, oraz starożytnymi uliczkami ujmującej mieściny z resztką zamku baronów de Villeneuve et de Vence. ↓

Wstąpiliśmy wczoraj z Ritą w rok 1967. We dwoje, bez szampana, przyglądając się z okna ciszy, pustce, naszego pięknego placu du Grand-Jardin, z dachami spiętrzonymi starego Vence, z wieżą katedry, ze skalistymi ścianami gór w głębi, które księżyc zalewał mistycznym światłem.

Księżyc był tak silny, że widać było z drugiej strony taflę morza za Cap d'Antibes.

Prawie nic mi się nie zdarza. Nieszczególny stan zdrowia stał się dla mnie czymś w rodzaju klasztoru. Żyję, jak mnich. O dziewiątej śniadanie, potem pisanie, o dwunastej poczta, spacer samochodowy w góry, połączony z przechadzką, wracamy, śniadanie, gazeta, drzemka, korespondencja, lektury... Odwiedzamy najczęściej Marię Sperling i Józefa Jaremę, którzy mają ładny domek i piękniejszy ogród na jednym ze wzgórzy nad Niceą.

Nie brak wizyt, bo jednak to jest salon Europy, ciągle ktoś się zjawia, z Ameryki, z Australii, ze Szwecji, z Polski, na święta zatrzęsienie królów, finansistów, maharadżów, admirałów, gwiazd filmowych. Ale nic się nie zdarza. Nieraz z wysiłkiem, dochodzącym do samoudręki, staram się odgrzebać w głowie jakiś zapomniany szczegół sprzed lat. Na przykład – nad tym głowiłem się wczoraj wieczór, i w nocy przed zaśnięciem, i dziś rano – do jakiej to bramy, na jakiej ulicy, schroniłem się przed ulewą, wtedy, we wrześniu 1955-go, w Buenos Aires, podczas rewolucji, gdym zwiewał z mego zagrożonego mieszkania do Russa.

Witold i Rita Gombrowiczowie na przełęczy w Vence, maj 1966 r.

Mimo wszystko sporo z w tym gorzkiej ironii: że, niby, gdy po wieloletnim poście argentyńskim dorwałem się na koniec do tak eleganckiego kraju, do tak wysokiej cywilizacji, do takich pejzażów, do takiego pieczywa, ryb, przysmaków, takich dróg, plaż, pałacyków, kaskad i wykwintów, że, niestety, ja z samochodem, z telewizją, z gramofonem, z frigidairem, z pieskiem, z kotem, ja w górach, w słońcu, w powietrzu, nad morzem, że ja musiałem wstąpić do klasztoru. Ale w głębi duszy przyznaję jakąś rację Sile, która nie zezwoliła, bym w sposób zanadto łapczywy zabrał się do spożywania

mojego sukcesu. Wiedziałem od dawna, od samego początku – byłem poniekąd z góry uprzedzony – że sztuka nie może, nie powinna, przynosić osobistych korzyści… że jest imprezą tragiczną. Co innego wydaje mi się niesprawiedliwe: że sama praca artystyczna tak mało dostarczyła mi przyjemności bardziej czystych, dozwolonych artyście; jeśli jednak pisanie przysparza mi pewnej satysfakcji, to jest ona zimna jakaś, zawzięta i nawet niechętna; ale jakże często piszę, jak uczeń w szkole, odrabiający zadanie; a częściej w strachu; albo w dręczącej niepewności. To prawda, iż, bywało, dochodziłem do zupełnej obsesji, nie byłem w stanie się oderwać, godzinami jeszcze po oderwaniu się od papieru trwałem w dziwnym, jałowym, podnieceniu powtarzając zdania, zwroty świeżo napisane (pamiętam taki spacer maniacki w Buenos Aires, nad rzeką, gdy w głowie huczały mi już nawet nie zdania, a luźne słowa, ze *Ślubu*). Ale to miało charakter rozpędzenia, galopu jakiegoś, rozedrgania, roztrzęsienia, niewiele miało wspólnego z radością.

Może to już niesprawiedliwe i trochę okrutne, że moje wysokie powołanie zostało opatrzone aż tak okropnym brakiem złudzeń, bezlitosną trzeźwością. Złość, która we mnie wzbiera na myśl o artystach, jak Tuwim, d'Annunzio, czy nawet Gide, nie byłabyż bez związku z tym, że oni jednak byli w stanie przeczytać komuś swój tekst bez tego rozpaczliwego podejrzenia, że nudzą? A też myślę, że odrobina poczucia tego, co nazywamy społecznym znaczeniem artysty, byłaby bardziej wskazana, niż ta moja pewność, że społecznie jestem zerem, istotą marginesową. To jednak dość smutne: oddawać się sztuce, a jednocześnie być tak poza sztuką, poza jej ceremoniałem, hierarchiami, wartościami, urokami – z chłopską prawie nieufnością – chłopskim, chytrze niechętnym, uśmieszkiem.

A gdyby znów przyjąć, że u podstaw tej sprawy leży nader przyjemna i zbawienna lekkomyślność, to dlaczego, pytam, nigdy nie zaznałem tych spisków i zabaw, tych artystycznych wybryków i harców, co skamandryci – lub romantycy za Wiktora Hugo – surrealiści, czy inna rozbrykana młodzież?

Czas mój był krwawy i surowy, zgoda. Wojna, rewolucja, emigracja. Ale dlaczego ten właśnie czas sobie wybrałem (gdym się rodził, w 1904-

tym, w Małoszycach)?

Jestem święty. Tak, jestem święty… i asceta.

W moim życiu jest sprzeczność, wytrącająca mi talerz z jadłem akurat, gdy go przybliżam do ust. ↓

W sześćdziesiątym pierwszym roku życia osiągnąłem to, co normalnie człowiek zdobywa około trzydziestki: życie rodzinne, mieszkanie, pieska, kotka, wygody… A też niewątpliwie (wszystko o tym świadczy) stałem się „pisarzem". Ta śmieszna historia, wlokąca się dziwacznie i niemrawo od wczesnej młodości przez całe moje życie, jakoś nabrała kolorów, oto jestem „pisarz".

Tylko że wciąż dymi i huczy we mnie brzeg porzucony dwa lata temu, tam, za Gibraltarem, Wyspami Kanaryjskimi, za oceanem, poniżej wzgórz brazylijskiego wybrzeża i plaż Urugwaju. Argentyna wydaje mi się stąd dysząca pianą i wiatrem oceanu. Mam ją w sobie, jak coś ciemnego, niewyraźnego, zagadkowego. Nigdy chyba nie zdołam oswoić się z Argentyną, ciągle się waham, raz wydaje mi się, że ona była mi sądzona, w moich była przeznaczeniach, a znów potem przychodzi mi na myśl, że nie, że to było coś przypadkowego, z zewnątrz, jak skok zwierza w lesie, napastliwy.

A też jest dla mnie przykre, że z owego czasu argentyńskiego tak mało zostanie. Gdzież są ci, co mogliby mnie opowiedzieć, opisać, przekazać mnie, jakim byłem? Ludzie, z którymi obcowałem, nie byli przeważnie ludźmi pióra, trudno wymagać od nich barwnych anegdot, szczęśliwej charakterystyki, udanej sylwetki… i, trzeba przyznać, ja z każdym byłem inny, więc nikt z nich nie wie, jakim byłem.

Nieprzyjemnie mi się robi, gdy poczta dostarczy mi, od czasu do czasu, tego co się pisze o mnie w Argentynie. Jak było do przewidzenia, ucharakteryzowano mnie na dobrodusznego wujaszka, przyjaciela młodych, w tych wspominkach, artykulikach, jestem konwencjonalną postacią artysty „niezrozumianego" i odepchniętego przez środowisko. Cóż! *Tu l'a voulu, Georges Dandin!* Dlaczego wybrałeś sposób bycia za trudny do opisania – system masek zbyt skomplikowany? Ludzie przezorni dbają, by ich żywot nadawał się do wspominków. W każdym razie jest pewne, że tam, za oceanem, nawet wspomnienie o mnie ulega rozkładowi, umiera.

Czy tu, na Riwierze, zdołam jeszcze raz ożyć? Póki co jestem jak ton naciśniętego klawisza, więcej we mnie śmierci, niż życia. Za późno! ↓

↓ My, artyści, doskonale znamy nikłość, zwiewność, naszych poczynań. Oczywiście, zaczernianie papieru urojonymi historiami nie jest poważnym zajęciem. Jakże się tego wstydziłem w pierwszych latach mego pisania, jak się czerwieniłem, gdy ktoś mnie na tym przyłapał! Jeśli inżynier, lekarz, oficer, pilot, robotnik, od razu są poważni, to artysta dopiero po długoletnim wysiłku osiąga powagę urzeczywistnienia.

Witold Gombrowicz i jego pies Psina przy oknie jadalni, Vence, 1967 r.

Artysta podchodzi prywatnie, po cichu, do każdego z osobna, szepcze ci do ucha, po cichu domaga się żebyś go uznał. Już się stało! Już mam jednego, dwóch nawet, co mnie uznali. Już ich mam piętnastu, stu, cztery tysiące. Zaczynam oddychać pełną piersią, więc jednak dochodzę, do niej, do powagi! Ileż lat! Mnie ta wspinaczka pochłonęła ze trzydzieści lat wysiłku, biedy i upokorzenia. ↓ A kuku! ↓.

Otóż dla mnie wszelkie dążenie człowieka do wydobycia się z siebie, czy to będzie czysta estetyka, czy czysty strukturalizm, czy religia, marksizm – jest naiwnością, skazaną na fiasko. To rodzaj męczeńskiego mistycyzmu. I temu dążeniu do odczłowieczenia (które zresztą sam podejmuję), musi koniecznie towarzyszyć dążenie do uczłowieczenia, w przeciwnym razie rzeczywistość rozpada się, jak domek z kart, i grozi utonięcie w werbalizmie nierzeczywistości. Nie, formułami nie nasycicie! Wasze konstrukcje, te wasze gmachy, pozostaną puste póki w nich *ktoś* nie zamieszka. Im bardziej człowiek staje się wam nieuchwytny, nieosiągalny, otchłanny, zanurzony w innych żywiołach, uwięziony w formach, jak gdyby nie własnymi ustami artykułowany, tym bardziej nagląca, paląca, staje się obecność człowieka zwyczajnego, takiego jakim go mamy w codziennym naszym doświadczeniu i codziennym naszym odczuwaniu: człowiek z kawiarni, z ulicy, konkretnie nam dany. Osiągnięcie pogranicza ludzkiego musi być natychmiast zrównoważone gwałtownym wycofaniem się w zwykłą ludzkość i w ludzką przeciętność. Można się zanurzać w otchłani ludzkiej, ale pod warunkiem, że się znów wypłynie na powierzchnię.

Gdyby jednak chciano ode mnie najgłębszej i najtrudniejszej definicji tego *kogoś*, o kim mówię, że powinien zamieszkać w tych tam strukturach i konstrukcjach, powiedziałbym po prostu, że ten ktoś, to Ból. Albowiem rzeczywistość to to, co stawia opór; czyli to, co boli. A człowiek rzeczywisty to taki, którego boli.

Cokolwiek by nam nie opowiadano, istnieje na całym obszarze Wszechświata, w całej przestrzeni Bytu, jeden jedyny element okropny, niemożliwy, nie do przyjęcia, jedna jedyna rzecz naprawdę i absolutnie przeciwna nam, a miażdżąca: ból. Na nim, na niczym innym, oparta jest cała dynamika istnienia. Usuńcie ból, a świat stanie się obojętny…

Witold Gombrowicz na balkonie swojego pokoju w willi „Alexandrine”, Vence, styczeń 1965 r.

Ba! To może za poważne, żeby na ten temat filozofować… Naprawdę groźne. Ale chciałbym zanotować, że dla tych myślicieli (jak i dla innych) świat jest ciągle, mimo wszystko, terenem raczej spokojnych, jeśli nie olimpijskich, spekulacji mózgowych. Te wszystkie analizy są zdrowe o tyle, że, jak widać, są produkowane przez profesorów nieźle się miewających i wygodnie umieszczonych w swoich fotelach. Zupełnie dziecinne lekceważenie bólu jest u podstaw tego niezmordowanego układania klocków intelektualnych. Jeśli już sartrowska wolność nie

czuje bólu, nie dość się go lęka, to te dzisiejsze obiektywizmy robią wrażenie czegoś spłodzonego w stanie znieczulenia.

Podkreślmy sprzeczności powyższego wywodu. Bo ja zarazem domagam się człowieka „rozluźnionego” i człowieka „zwyczajnego”; a jednocześnie człowieka przeszytego bólem. Sprzeczność jest pozorna.

Tu się żyje formą

Francja nie jest krajem w stylu zamkniętym, tu się żyje formą, tu się ją stwarza. A jednocześnie nikt nie jest bardziej umiejętny od Francuza w podważaniu i rozluźnianiu formy, obojętne, żartem czy powagą. Ja więc wcale nieźle się czuję we Francji. Ale, powiedziałbym, czuję się jeszcze lepiej ponieważ Francja – może raczej Paryż – jest w samym centrum kryzysu formy, który przeżywamy i tu wszystkie jej schorzenia stają się najjaskrawsze i najbardziej irytujące. Paryż mnie drażni, a to także zdrowe, zwłaszcza dla ludzi w pewnym wieku. Wie pan, o ile dawni wasi artyści i pisarze są dla mnie niezrównaną witaminą, o tyle najnowsza literatura francuska mogłaby dla mnie nie istnieć. Nie tylko francuska zresztą; ale przede wszystkim francuska.

Sartre, wybitny Francuz, jest chyba niezłą ilustracją tego co nazywam kryzysem formalnym Francji... przynajmniej jeśli idzie o linię kartezjańską waszego rozwoju. Gdy się czyta *Byt i Nicość* odnosi się wrażenie, które dają tylko twórcze dzieła, że książka celuje akurat w ciebie, ciebie ma na oku... i ja natychmiast siebie w niej odkryłem, gdy mi wpadła w ręce tam, w Argentynie. Ten „byt dla siebie" wywodzący się wprost z Kartezjusza, nie jestże najbardziej radykalnym postawieniem problemu Formy?

Subiektywizm, nicość i wolność, stwarzanie wartości... czyż to nie jest właśnie dystans do formy? I czyż nie jest zachwycające, że egzystencjalne dążenie Sartre'a do konkretu (u mnie: do rzeczywistości) jest tragicznie rozdwojone, rozłamane, tym słówkiem „dla" i przepojone dystansem, Nicością? Człowieka, wynikałoby z tego, trzeba szukać poza formą. A znów „byt dla innych" czyż nie jest równie radykalnym stwierdzeniem że jesteśmy obiektem czyjejś formy, że jesteśmy deformowani przez formę? Oto czemu (i także z wielu innych przyczyn) Sartre wydał mi się kodyfikatorem moich własnych odczuć. Ale na dalszych stronach tego dzieła jakież rozczarowanie! Gdyż Sartre, doprowadziwszy swojego człowieka do tak radykalnej wolności, kompromitującej wszelki kształt (gdzie byt w sferze „dla siebie" jest już

tylko stwarzaniem bytu) wycofuje się nagle z subiektywizmu i dalsza droga jego myśli to już narzucanie człowiekowi coraz ściślejszych norm, to zamykanie go w jeszcze jednym, jakże określonym, kształcie. Ba! Poczułem się prawie jak Husserl wobec „fatalnego zwrotu" Descartes'a, gdy filozofia Kartezjuszowa dała susa w stronę Boga i świata. Czyżby po raz drugi kartezjanizmowi francuskiemu zdarzyła się ta sama przygoda: zdradził siebie, przerażony sobą?

Z mojego punktu widzenia w kartezjanizmie tkwi zarówno możliwość formy, jak i dystansu do formy, możliwość radykalnego subiektywizmu, jak i najbardziej suchego rygoru obiektywnego. Obie te tendencje wyznaczają żywą dialektykę duszy francuskiej. Dlatego gdy Sartre zbacza z tej drogi, gdy daje się wciągnąć jednostronnie w system, w kodeks, w formę, gdy *L'Être et le Néant*, nie mówiąc o innych jego pracach, przetwarza się w rodzaj traktatu moralnego, ten jego odwrót staje się tak charakterystyczny dla kryzysu formy we Francji. Istnieje Francuz-logik i Franzuz-artysta, Francuz systematyczny i Francuz bezpośredni, Francuz uśmiechnięty i Francuz poważny, Francuz-producent i Francuz-konsument. Poprzez naukę, marksizm i egzystencjalizm zmarksizowany wszystko, co we Francji jest antyartystyczne (bo antysubiektywne) i suche, cerebralne, wykoncypowane, doznało straszliwego pobudzenia. A rozluźnienie Francji, ta jej świeżość z Montaigne'a, z Rimbauda, uległa stłumieniu i zahamowaniu.

Francja żyje póki potrzeba formy jest zrównoważona uchylaniem się formie. Coś się psuje ostatnio w tej głębokiej filuterii francuskiej. Surrealizm, najgwałtowniejszy protest ducha francuskiego, zagrożonego formą, już jest skażony intelektem, spragniony logiki i szukający oparcia w spekulacji myślowej, naukowej i filozoficznej. Najazd nauki na sztukę nie spotkał się z istotnym oporem ponieważ artysta nie potrafił przeciwstawić dostatecznej pasji, namiętności, poezji, ani dostatecznie konkretnej rzeczywistości, ani dostatecznego rozbawienia i lekkomyślności. A do tego przyłączyły się wszystkie mechanizmy coraz bardziej zmechanizowanej kultury, dzięki czemu sztuka zaczęła stawać się coraz bardziej sztuczna, poeta coraz bardziej „poetą", malarz „malarzem", geniusz „geniuszem" i język wywindowany

zapanował tak dalece nad mową swobodną, że dziś w Paryżu nieraz już nie bardzo się wie, co się mówi. Piękność też się wykańcza! Nieraz powracam do pytania, dlaczego tak nie lubię Prousta. To szlafrokowo-frakowa atmosfera jego dzieła mnie odpycha, on ani na moment nie wydobywa się naprawdę ze swego *milieu*, ten męczennik poznał śmierć i cierpienie i zasadzki życia, ale w tym co się tyczy piękności i wdzięku nie zdołał się wyzwolić. Dość miał energii aby uczynić z Montesquieu Charlusa; ale w sferze estetycznej pozostał do końca wasalem Montesquieu. Jego głębia, ostrość, przenikliwość dobrze funkcjonują; ale jego piękności, powaby, uroki, mają zapach perfumy i łóżka, są z choroby i z salonu, są wydelikacone.

Od lewej: Józef Gombrowicz (bratanek pisarza) i jego żona Lilianne z Witoldem Gombrowiczem w Vence, 1967 r.

Piękność francuska była, w moim pojęciu, zawsze krucha i w pewnym sensie ryzykowna, gdyż jest bardziej produktem cywilizacji, niż natury. Wersal to, owszem, piękność; ale jakże podejrzana; ocierająca się o śmieszność i brzydotę, bo sztuczna i wyrafinowana. Więc losy

piękności francuskiej zależą od tego, czy owym produktom wyższej cywilizacji, sztucznym i zmanierowanym, zdoła oprzeć się lekkość zdolna je wyminąć i nawiązać do najzwyklejszego życia. Pod tym względem bardzo jest pouczające iż jedyna piękność, którą Proust naprawdę uwielbiał, to jest piękność zwyczajnego chłopca, ani razu nie przedostaje się na karty jego dzieła, ani bezpośrednio, ani pośrednio; ta właśnie piękność, najważniejsza, zostaje przemilczana, nie mieści się w stylu. Na przykładzie Sartre'a i Prousta widzimy, jak Francja w myśli swojej i sztuce coraz bardziej oddala się od świeżości swych źródeł. I Francuz, który do niedawna był znany z tego, że chciał się podobać, dziś robi, co może, żeby się nie podobać – przynajmniej w literaturze i sztuce. I ta kultura, najbardziej pobudzająca i odświeżająca w dziejach, staje się coraz bardziej odstręczająca.

Czy Francuz zdoła jeszcze nawiązać styczność bezpośrednią z drugim Francuzem? Czy też będzie się ustawiał wobec produktów własnej swojej i cudzej kultury? To chyba jest najważniejsze. Proszę: ich powieści pisane są nie dla czytelnika, a dla krytyki; ich sztuka jest dla teorii; ich moralność takoż; nawet ich dążenie do twórczości, spontaniczności i swobody jest premedytowane i poddane regułom.

Surrealizm nie jest ostatnim fajerwerkiem buntu przeciw zesztywnieniu. I dziś nie brak zbuntowanych, rzucających się szaleńczo, niczym ryby wyjęte z wody. Ich hasłem jest bezpośredniość, wolność, twórczość. Ale cóż to za bunty? Cechą tych buntów jest, że są kurczowe, spazmatycznie, brutalne i zimne; i to nie jest żadne rozluźnienie a tylko dalsze brnięcie w spazm, w skurcz, w coraz większe natężenie.

Brak powietrza. Wszystko się natęża, nic nie folguje.

To mnie fascynuje w dzisiejszej Francji. To zduszenie. To zagrożenie. To jednak jest podniecające. ↓

Przewaga abstrakcji

W plastyce epoki, style, kierunki dominują nad indywidualnością artysty (która w słowie może wyrażać się nieskończenie swobodniej, niż w obrazie) – ta przewaga zbiorowości i abstrakcji zaznacza się i w krytyce literatury. Sztuki plastyczne bliższe są rzeczy, niż człowieka, malarz, rzeźbiarz, fabrykują przedmioty – więc i do utworu literackiego podchodzi się, jak do przedmiotu. Katalog daje się coraz bardziej we znaki tym krytykom, idzie przede wszystkim o skatalogowanie, zaliczenie do grupy, kierunku, krytyka staje się coraz bardziej obiektywna, coraz więcej w niej teorii, krytyk jest coraz mniej artystą, coraz bardziej badaczem, znawcą, erudytą i informatorem.

Krytyk malarstwa, lub rzeźby, musi o nich pisać, jak o czymś zasadniczo obcym i zewnętrznym, a to dlatego, że walory malarskie nie dają się ująć w słowie, słowo i pędzel to dwie odrębne dziedziny. Natomiast krytyka literatury to jest słowo o słowie, literatura o literaturze. Co z tego wynika? Że krytyk literacki musi być artystą słowa i współtwórcą, nie może być mowy o „opisywaniu" literatury, jak – niestety – opisuje się obrazy, trzeba w tym wziąć udział, nie może to być krytyka z zewnątrz, krytyka rzeczy.

Ale odkąd zdusili w sobie młodość z jej świętą skłonnością do obejmowania się i przyciągania, świat staje się im coraz bardziej zewnętrzny. Czyli obiektywny. *Nouveau roman français* to też smętna rezygnacja z człowieczeństwa na rzecz świata, nie ma w tym poezji... ↓

Genet

Genet! Genet! Wyobraźcie sobie, co za wstyd, przyplątał się do mnie ten pederasta, ciągle za mną chodził, ja idę ze znajomymi, a tu on na rogu, gdzieś, pod latarnią, i jakby kiwał… daje mi znaki! Zupełnie jakbyśmy byli z tej samej branży! Kompromitacja! A także – możliwość szantażu! Przed wyjściem z hotelu wyglądałem przez okno… nie ma go… wychodzę… jest! Jego plecy stulone zerkają na mnie!

Z Genetem zapoznałem się dopiero w Paryżu. W Argentynie pojęcia nie miałem o Genecie, stwierdzam to z naciskiem, jest dla mnie ważne by wiedziano, że moja *Pornografia*, jaka by nie była, jest samorodna, nie poczęła się z żadnego mojego romansu z Genetem. W tydzień jakiś po wylądowaniu na paryskim bruku ktoś mi pożyczył jego *Les Pompes Funèbres.*

Otwieram. Pierwsze wrażenie? To z wojny, to lata 1939–45, w tym jest najdoskonalszy ekstrakt owego okropnego smaku, nigdy nie czytałem książki bardziej „wojennej". Drugie wrażenie? Ludzie, ależ on brzydotę i piękność stopił w jednego anioła, u niego obie spoglądają tymi samymi oczami, jaka zuchwałość, jakie bohaterstwo! Trzecie wrażenie? Genialna Francjo, oto znowu zdobyłaś się na włamywacza, który wytrychem otwiera drzwi na klucz zamknięte – zdumiewasz mnie i przerażasz! Czwarte? Poezja! Piąte? On dobrze wywęszył, opryszek, kasę ogniotrwałą z niesłychanymi a zakazanymi bogactwami! Szóste? O, jakie to… trudne i nieuniknione, niby sen, niby Golgota, z losu powstałe i związane z przeznaczeniem…

Siódme? Wydawało mi się, że to ja wywołałem Geneta, ja go sobie wymyśliłem, jak wymyśliłem sceny z moich książek… A jeśli przewyższał mnie, to jak twór własnej mojej wyobraźni.

Ale poczułem się niewyraźnie… ta bratnia dusza była, hm, kompromitująca… Nie tylko to jednak. Ta ręka, która próbowała dotykać mnie w sposób niedozwolony pod latarnią, była tak zimna!

Mimo to nie zdobyłem się na przejrzenie, chociażby, innych jego utworów, a i *Les Pompes Funèbres* przeczytałem niezbyt dokładnie. Cóż chcecie, telefony, spotkania, wir, i zresztą tak się jakoś złożyło… Nie przeczytałem dokładnie. Kupiłem jednak Sartra studium o Genecie *Saint Genet, comédien et martyr*, liczące sobie 578 stron, i w wolnych chwilach oddawałem się huśtawce od Geneta do Sartra i od Sartra do Geneta. Ale i Sartra dokładnie nie przeczytałem, choć ta psychoanaliza egzystencjalna równa się w moim pojęciu, pod względem ilości i jakości odkryć, jedenastu albo i dwunastu Proustom. Cóż chcecie, tak się złożyło. I zresztą wiecie, że książek nie czyta się dokładnie. Ja tak czytałem, jak wszyscy…

Podczas tej lektury powstało we mnie pytanie: co jest takiego w Genecie i w interpretacji sartrowskiej Geneta, że ja przed nimi oboma, przed samym Genetem i przed sartrowskim Genetem, muszę się bronić? Co mnie do nich zraża?

Wstrząsnął mną przecież ten poeta. A co do Sartra, to z rozkoszą widziałem, jak w jego ujęciu Genet, pederasta, traci swój charakter odrębny, „anormalny", aby połączyć się z „normalnymi" w najgłębszym człowieczeństwie: ktoś, jak wszyscy, który tylko „stał się" pederastą i „stał się" złoczyńcą, jak inni „stają się" sportowcami lub kupcami. Ludzkość z jaką Sartre potraktował nieludzkość Geneta, to rozbrojenie demonizmu w studium, doprowadzającym demonizm do ekstazy, wydało mi się niepoślednim osiągnięciem inteligencji. A jednak nie mogłem oprzeć się wrażeniu że Sartre dał się nabrać Genetowi. Dobrze, Genet, według Sartra, aktem wolnego wyboru zwraca się przeciw własnej wolności wybierając siebie jako „złodzieja", „pederastę" i „złego" – akt tyleż potwierdzający wolność, co ją niweczący – i wywiązuje się proces dialektyczny, w którym to, co wymierzone przeciw własnej wolności, doprowadza do ruiny byt w ogóle, byt staje się fantasmagorią, wewnętrzne sprzeczności Zła, które „jest" negacją, uniemożliwiają nawet Złu istnienie… i oto Genet poprzez nicość odzyskuje wolność, której się wyrzekł, a z nią i świat. Dobrze. A jednak ten wywód, ani na chwilę nie tracący gruntu pod nogami, gdzieś jakoś zawisał w próżni… dlaczego?

I dlaczego sam Genet obwieszczający, że wybrał Zło i chce Zła, wzbudzał we mnie tyleż wątpliwości, co rzezimieszek opowiadający gadki sędziemu śledczemu? Ktoś tu dał się nabrać. Sartre Genetowi? Genet sam sobie? Za groźnymi wrotami, wiodącymi rzekomo do piekieł, czaiła się jakaś niespodzianka, nie, nie piekło tam było, a coś innego. Co? Łatwość. Posłuchajcie, jak łatwo, jak po prostu i zwyczajnie stało się wszystko: ten chłopak, Genet, zaczął kraść bo musiał skądś pieniędzy załapać; a pederastą stał się idąc za głosem swego ciała; i to stało się zwyczajnie, gładko, z wolna, w narastaniu czasu, w milionach niedostrzegalnych chwil egzystencji, już nie z minuty na minutę a z sekundy na sekundę; więc gładko; więc samo przez się; w lekkomyślności; w nieodpowiedzialności; w zamęcie życia; pośród towarzyszy, równie łatwych. A Zło Absolutne doczepił do swego istnienia dopiero gdy w późniejszym wieku zaczął pisać i było mu to potrzebne dla literatury. Wtedy dopiero ogłosił, że wybrał Zło; ale nie dodał, że wybrał *ex post*. A studium Sartra nie było interpretacją egzystencji, tylko interpretacją interpretacji... on zabrał się do genetowskiego życia wtedy, gdy ono już przez Geneta zostało w jego sztuce zmitologizowane.

Z jakąż *łatwością* zawaliła mi się diabelska świątynia; i zawaliła się w *łatwość*!

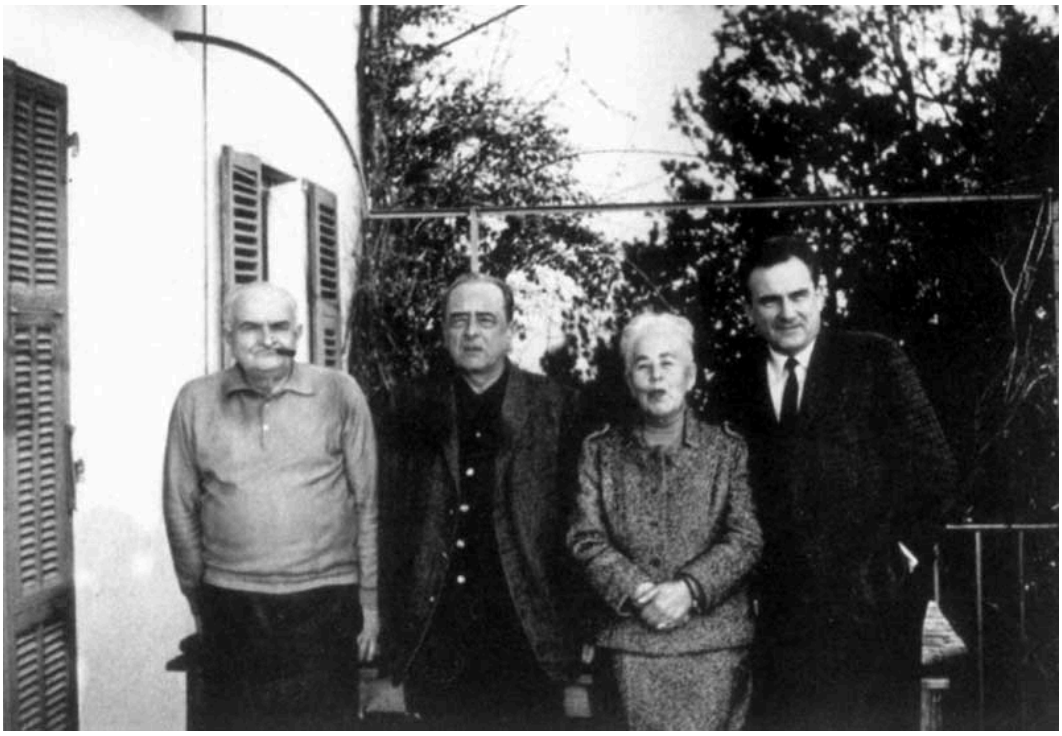

Od lewej: Józef Jarema, Witold Gombrowicz, Maria Sperling i ambasador Jacques Leprette w posiadłości Jaremów „La Laterne" w Nicei, 1967 r.

Kto inny, przypuszczam, byłby tym zaniepokojony: jak to, tak łatwo wszystko się tłumaczy? Ja jednak wiedziałem, że to nie przypadek i że jeśli na czym oni obaj, Genet i Sartre, mogą się wywrócić, to właśnie na łatwości – jakby to była najtrudniejsza z przeszkód.

Cóż w końcu odpychało mnie w tym poecie, który, jak ja, próbował z piękności młodej uczynić piękność najwyższą? I dwudziestolatka postawić na piedestale?

Ależ on nie chwytał jej, młodości, w jej istocie najgłębszej, która jest rozbrajająca – jest odciążeniem – jest niedostatecznością, a więc czymś co nigdy nie może osiągnąć pełnego istnienia – i przeto czymś pośrednim, co ułatwia i rozgrzesza. Dla niego ona była zbrodnią – okrucieństwem – grzechem – świętością – torturą... ten mnich, grzesznik, święty, zbrodniarz i kat podchodził do niej z nożem, aby uczynić ją straszną i wepchnąć w krańcowość!

Jakież charakterystyczne, że w Paryżu, stolicy świata, najzuchwalsza próba ubóstwienia młodości skończyła się wtrąceniem jej w piekło – w grzech – w moralność zatem – w kulturę. Ani przez chwilę Genet nie

pozwolił aby ona mu rozluźniła wieki całe francuskiej moralności, przeciwnie doprowadził ją do najwyższego natężenia i usztywnienia czyniąc z giętkiej leszczyny stal morderczą. I do takiej młodości, spreparowanej przez wiek dojrzały, zastosował Sartre swoje jeszcze dojrzalsze analizy... Paryżu! Czy ty, i Sartre, i Genet, i ja, i my wszyscy, nigdy już nie zdołamy zatrzymać się na drodze, coraz bardziej kamienistej, wiodącej w Mistrzostwo? Nigdy ani jednego spojrzenia wstecz? Argentyno! Czy przeszłość jest nieosiągalna? ↓

Nouveau Roman Français

Nie jestem krytykiem i za nic nie chciałbym nim zostać. Moje „krytyczne” podejście do nowych powieści wyraża się w fakcie, decydującym i definitywnym, jak każdy fakt, że nie mogę tego czytać. Dlaczego? Bo mnie nudzi. Zanadto mnie nudzi. Oto stan faktyczny, na który nic nie mogę poradzić. Nudzi mnie i koniec. Mógłbym co najwyżej zastanowić się, skąd mi się bierze ta nuda i czy ma jakieś bardziej obiektywne uzasadnienie. Ale taka analiza, zgodzi się pan, Dominiku, nie może być bardzo gruntowna, ponieważ trudno osądzić coś czego się nie przeczytało. Dopuszczam możliwość, że w tym kryje się sekret odporności tych dzieł na krytykę. Tak są nudne, że są nieczytelne, więc nie można ich skrytykować. ↔

Primo. Teoretyczne. Intelektualne. Wykoncypowane. Z naukowej inspiracji. Abstrakcyjne. Sztuka na kolanach przed nauką i dająca się przez nią wodzić za nos.

Secundo. Ciasne. Jeden dla drugiego pisze, jeden drugiego chwali.

Tertio. Ubogie. Ich dążeniem będzie zawsze oszczędność, czystość, esencja, „sztuka dla sztuki”, „literatura dla literatury”, „słowo dla słowa”.

Quarto. Naiwne. Wiara w „sztukę”. Wiara w mit „jestem twórcą”, „jestem artystą”.

Quinto. Monotonne. Wszyscy robią mniej więcej to samo.

Sexto. Księżyc. Oderwanie od ziemi. Upór. Solipsyzm. Onanizm. Nielojalność wobec rzeczywistości. ↔ Piszmy! Z tej to ascezy, niezdolnej się wyżyć, nie umiejącej się bawić, nie szukającej rozkoszy własnej, ani cudzej, nie dbającej o korzyść osobistą, z tej cnotliwej sumienności zawsze gotowej się poświęcić powstają owe książki męczeńskie i męczące.

Macie to, na co zasłużyliście. Póty gnębiliście owo nieszczęsne „ja”, aż doczekaliście się literatury nieosobistej, więc niekonkretnej, więc nierzeczywistej, więc niepraktycznej, więc nieżyciowej, więc tchórzliwej, więc przemądrzałej, więc wymęczonej, wysuszonej,

pozbawionej siły, rozmachu, świeżości, oryginalności i zacietrzewionej w nudzeniu. Ach, dawne, dobre czasy, kiedy to Rabelais pisał jak dziecko załatwia się pod krzakiem, żeby sobie ulżyć! Czasy dawne, kiedy to Literatura oddychała pełną piersią, tworząc się na swobodzie, między ludźmi, dla ludzi! ↔

Jestem humorysta, pajac, linoskoczek, prowokator, moje utwory na głowie stają żeby się spodobać, jestem cyrk, liryzm, poezja, groza, walka, zabawa ↔ Jestem trudny, to prawda, tam gdzie nie można inaczej, ale jeśli kto pisze w śmiertelnym strachu, że znudzi, to ja! ↔ Więc zawsze coś w rodzaju „tak, tak, miejscami niezwykle ciekawe, pod pewnymi względami nawet może do pewnego stopnia bardzo… choć może”… itd. Cóż robić? Człowiek wie, że kłamie, i wie, że inni też skłamią, i że ten biedak życie zmarnuje karmiąc się kłamstewkami, które z biegiem czasu coraz bardziej będą go spowijać, i że one nawet doprowadzą go w końcu do jakiejś pozornej realizacji w świecie artystycznym, która znów nowe wywoła kłamstwa etc. etc. etc.

Nawet najlepsi z nas bez przerwy są okłamywani. Kłamstwo nieprzerwane nas drąży. Krytyk, przyjaciel, obcy, wydawca, znawca, wielbiciel… kłamią, kłamią, kłamią… *Odkłamać* choćby odrobinę, taki jest dziś najwyższy postulat sztuki. ↓

Dominique de Roux i Witold Gombrowicz na balkonie willi „Alexandrine”, Vence, 1968 r.

Barthes

„L'écriture n'est jamais qu'un langage, un systéme formel (*quelque vérité qui l'anime*)*; à un certain moment* (*qui est peut-être celui de nos crises profondes, sans autre rapport avec ce que nous disons que d'en changer le rythme*)*, ce langage peut toujours être parlé par un autre langage; écrire* (*tout au long du temps*) *c'est chercher à découvrir le plus grand langage, celui qui est la forme de tous les autres"* (Roland Barthes). Hm... co?... Trzeba przyznać: nie brak im tupetu! ↓

Sartre

Sartre, w którym skoncentrowała się patologia epoki, jest też jaskrawym przykładem i tego kryzysu – wielkości, czy suwerenności, czy może godności, ludzi wybitnych w literaturze funkcjonalnej. Dziwne i przykre są jego nagłe staczania się ze szczytów na płaską równinę, wygląda jakby miał dwa głosy, jeden z ducha, kategoryczny, drugi – ni stąd, ni zowąd – belfra i moralisty. Nie udaje mu się połączyć dziedziny prawdy zasadniczej z dziedziną spraw codziennych, z życiem praktycznym, następuje w nim wtedy jakiś pisk wewnętrzny, nieprzyjemny, trywializujący. Do czegoż prowadzi go dumna krańcowość twierdzenia, że literatura to wolność? Do tego iżby, niczym belfer dzieciom, wyznaczał pisarzowi jego funkcję społeczną: masz być tu, nie tam, po stronie lewicy, przeciw prawicy! Rozdział w *Situations* w którym, po druzgoczącej krytyce, zabiera się do pozytywnych wskazań i pouczeń odnośnie do roli pisarza w społeczeństwie, oddycha wszystkimi słabościami kazań, wszystko jedno, księżowskich czy marksistowskich... i widać prawie, jak samotność jego wtedy wstydzi się i cierpi.

Pomijam już to dziwne uproszczenie w jego wywodzie: iż ktoś, nie będący po stronie lewicy, jest przez to samo wrogiem proletariusza. Ależ ja mogę być konserwatystą będąc jednocześnie jak najszczerszym komunistą – to tylko kwestia wyboru środków, prowadzących do celu, to jest do zniesienia wyzysku człowieka przez człowieka – ja mogę być zdania, że rewolucja za dużo kosztuje, za dużo rujnuje i zwiększy jedynie niedolę i niewolę mas, a wyzwolenie proletariatu może nastąpić tylko na drodze powolnej i ostrożnej ewolucji w miarę zachowawczej; i mogę nawet uważać, że nadmierne skoncentrowanie się na tym jedynym problemie jest w ostatecznym rezultacie szkodliwe dla rozwoju ludzkości, a więc i dla robotników. ↓

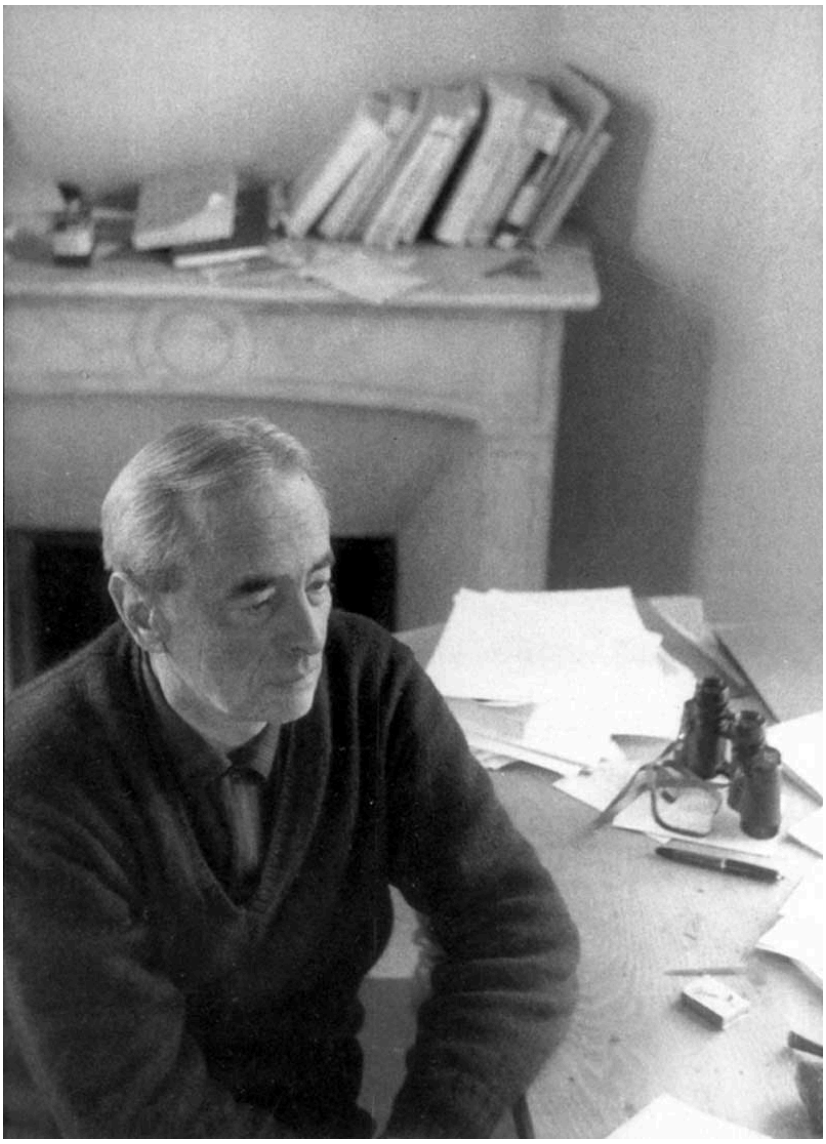

Witold Gombrowicz przy stole do pracy w willi „Alexandrine", Vence, 1965 r.

Ja, w Buenos Aires, od dawna go podziwiałem. Sam z jego książkami, mając nad nim wszystkie przewagi czytelnika, gdy mogłem go załatwić jednym wydęciem warg, musiałem przecie bać się go, jak się lękamy kogoś silniejszego. Ale w Paryżu stał mi się wieżą Eiffla, kimś przerastającym całość panoramy.

Zaczęło się od tego, iż – przez ciekawość – postanowiłem zbadać o ile intelekt Francji przyswoił sobie sartrowski egzystencjalizm… i naprowadzając rozmowę na Sartra sondowałem dyskretnie literatów i nieliteratów w tym co się tyczy ich znajomości *L'Être et le Néant*. Badania dały dziwne rezultaty. Przede wszystkim wyszło na jaw (i to nie

było dla mnie niespodzianką) że w głowach francuskich tłukły się i błąkały owe idee, ale w stanie larwalnym, zaczerpnięte skąd się da, przeważnie z jego powieści i teatru, coś zgoła mętnego, fragmentarycznego, dotyczącego przeważnie „absurdu", „wolności", „odpowiedzialności"; ale było jasne, że *L'Être et le Néant* jest dziełem we Francji prawie nieznanym. Owszem, myśli jego grasowały w głowach, ale luzem i jak gdyby okaleczałe, porąbane, porozrywane na kawałki, niejako zdziczałe, okropne i niesamowite, powodując nadwątlenie, podminowanie, dotychczasowego myślowego porządku... Ciekawsze o wiele były dalsze wyniki badań. Uderzyła mnie niechęć, z jaką o nim mówiono, ba, nie niechęć może, a jedynie coś w rodzaju skłonności ubocznej do zamordowania. Sartre? No, tak, naturalnie, tylko że on się „tak powtarza". Sartre? Ależ tak, tylko, że to dzień wczorajszy... Powieści? Dramaty? „To właściwie ilustracja jego teorii". Filozofia? „To tylko teoria jego sztuki". Sartre? Oczywiście, ale za dużo już, po cóż on tyle pisze, przy tym brudas i nie jest poetą, zresztą polityka i właściwie już jest wykończony, Sartre, wie pan, już się skończył na wszystkich frontach.

To mnie zastanowiło... W podziwie naszym dla artystów niemało jest z ciotczynej dobroci, która chwali malca żeby go nie zmartwić – po prostu artysta potrafił wkupić się w nasze łaski, posiadł naszą sympatię w tym stopniu, iż jesteśmy szczęśliwi mogąc go podziwiać – a niepodziwianie kosztowałoby nas zbyt wiele. Widać to wyraźnie w stosunku Francuzów do Prousta, którego nawet w trumnie karmi się słodyczami – on ich sobie zjednał. A Sartre jest bodaj jedynym ze znakomitych artystów, współcześnie mi znanych, który osobiście jest znienawidzony. Kimże w porównaniu z sartrowską górą rewelacji jest taki argentyński Borges, smaczna zupka dla literatów? Ale z Borgesem oni się cackają, w Sartra walą... czy tylko wskutek polityki? To byłaby małostkowość nie do wybaczenia! Małostkowość? Czyżby więc nie polityka, a po prostu sama małostkowość leżała u spodu tej animozji? Czy nienawidzi się Sartra, bo za duży?

Bieg moich myśli w Paryżu był przypadkowy, chaotyczny, a też przeniknięty szczególną krańcowością... w następstwie przypadkowego zestawienia Sartra z Proustem, cała Francja rozpadła mi się na Prousta

i Sartra. Kiedy wybrałem się któregoś dnia z pobożną pielgrzymką (ja, urodzony anty-pielgrzym!) przed okna sartrowskiego mieszkania na tym placyku obok Deux Magots nie miałem już wątpliwości iż oni wybrali sobie Prousta przeciw Sartrowi. Tak, wybrali restaurację *Du coté de chez Swann*, gdzie podawano finezyjne frykasy, przyrządzone przez kuchmistrza, który, sam będąc smakoszem, umiał zachęcić do delektacji. Opowiadano mi kiedyś, iż kucharze wysokiej klasy, zwykli zabijać indyka powoli, szpileczką, albowiem mięso staje się wtedy smaczniejsze – no więc, wracając do Prousta, nie będę negował mu tragizmu, surowości, nawet okrucieństwa, ale wszystko to, jak owe męczarnie indycze, jest jednak do zjedzenia, zawiera w sobie gastronomiczną intencję, pozostaje w związku z półmiskiem, jarzynką i sosem... A po drugiej stronie, *du coté de chez Sartre*, była najbardziej kategoryczna od czasów Kartezjusza myśl francuska, o wściekłej dynamice, rozwalająca im ich smakowanie... Stój! Co to? Dwóch czy trzech chłopców, dwie dziewczyny, gromadka kipiąca żartem, rozbawiona, Francja urocza, i młoda, i nadająca się do nagości, wdziera mi się w medytację, przechodzą przez placyk, giną za zakrętem – mnie w tym momencie Sartre jakby zabolał, poczułem, że on ich rujnuje... ale, gdy zginęli mi z oczu, gdym znowu ujrzał przed sobą *Messieurs-Dames* w wieku gastronomicznym, pojąłem, że dla tych nie ma zbawienia poza Sartrem. On był energią wyzwalającą, jedyną która mogła wyrwać ich z brzydoty – więcej powiem, brzydota francuska przez wieki narastająca w mieszkankach, za firankami, pośród bibelotów, i nie mogąca już siebie znieść, wydała Sartra, groźnego Mesjasza... on jeden mógł im rozwalić restauracje, salony, cylindry, galerie, kabarety, felietony, teatry, dywany, szaliki, obrócić w perzynę Luwr, Champs-Elysées, i posągi, i Place de la Concorde o zachodzie słońca! I Bois de Boulogne! Nie było dla mnie gorszące, przeciwnie, było godne uznania, że ta filozofia poczęła się we Francuzie nieurodziwym, a o tak namiętnej artystycznej wrażliwości, któż bardziej, niż on, miał prawo zażądać wycofania się poza obiekt, poza ciało, poza „ja" nawet, w sferę *pour soi*, tam gdzie jest się dla siebie? Wprowadzić Nicość w człowieka – ależ to wiedzie także do oczyszczenia się z brzydoty!

Witold Gombrowicz (na lewo) po przedstawieniu *Iwony, księżniczki Burgunda* w Pałacu Śródziemnomorskim w Nicei, 9 grudnia 1967 r.

Sartre, nie Proust! Bezsilność Prousta w porównaniu z twórczym natężeniem Sartra! Jakże oni tego nie dostrzegli! Połowa jego dedukcji z *L'Être et le Néant* jest dla mnie nie do przyjęcia, nie godząca się z moim najszczerszym życiowym doświadczeniem, i jestem przekonany, że jego *cogito* nie może się ostać w swoim absolutyzmie, wbrew swej jedyności domaga się jakiejś innej dopełniającej zasady, równie fundamentalnej a antynomicznej – gdyż wyraźnie widać że w swoim zastosowaniu konkretnym ta myśl grzeszy okropną jednostronnością, to wygląda, jakby dwulicowemu bogu odebrano jedną twarz, to połowa prawdy. I Sartre, jako moralista, psycholog, esteta, polityk, jest dla mnie tylko połową tego co by być powinno. (Czy jednak mam dodać, ignoranci, że ja również nie znam dobrze Sartra, że mimo podziwu, nie przeczytałem wszystkich jego rzeczy, że w *L'Être et le Néant* są rozdziały, które przejrzałem jedynie?). Jest pewne, że to on właśnie wywala zamknięte drzwi, nikt inny. Co w Prouście, co w całej literaturze francuskiej jest dalszym ciągiem, ale już bliskim końca, to w Sartrze przybiera

charakter początku, jest startem. I jeśli w Prouście świadomość jest wciąż łakoma (ale jakaż to degrengolada w porównaniu z Montaignem!) to w Sartrze odzyskuje dumę siły stwarzającej.

Ja, Polak… ja, Argentyńczyk… Słowianin i Południowy Amerykanin… literat zgubiony w Paryżu i spragniony żądła by się dać we znaki… ja, smętny kochanek zagubionej przeszłości… szukałem przymierza z Sartrem przeciw Paryżowi. I kusiła mnie ta sztuczka żeby nagle wywyższyć i wyodrębnić im kogoś skatalogowanego! ↓

Camus

L'Homme révolté ↔ „Przerażenie"? Tak, „przerażenie" (prawdę mówiąc, nie doświadczam uczuć inaczej, jak w cudzysłowie). Ale, jeśli mógłbym mówić o przerażeniu, to powiedziałbym, że mniej mnie przeraża dramat, który książka opisuje, niż wola stwarzania dramatu, dająca się wyczuć w samym autorze. Hegel, Schopenhauer, Nietzsche, o którym co chwila musimy myśleć, czytając to, byli niemniej dramatyczni – ale tragiczna myśl ludzkości w owym czasie miała w sobie jeszcze rozkosz odkrycia, tak jawną u Schopenhauera, a i w Nietzschem namacalną i dziecinną – a Camus jest zimny.

Piekło tej książki jest bardziej niepokojące dlatego, że jest zimne; a jeszcze bardziej dlatego, że jest zamierzone. Wydawałoby się, że nic niesłuszniejszego od tych słów – gdyż trudno o utwór bardziej ludzki i szlachetniejszy w intencji, o goretsze przejęcie się człowiekiem. Ale śmiertelny chłód spowodowany jest tym właśnie, że Camus wzbrania sobie nawet tej przyjemności, jaką daje zrozumienie świata, on chce dać sam tylko ból, odrzuca rozkosze lekarza, który cieszy się swoją diagnozą – chce być ascetyczny. A jego pragnienie tragedii ma swoje korzenie w tym, że dla nas, dzisiaj, tragedia i wielkość, tragedia i głębia, tragedia i prawda stały się synonimami. Co oznacza, że nie umiemy być wielcy, głębocy, prawdziwi inaczej, jak tragicznie. ↓

Polska 1963

A więc w Polsce wykończono resztki zdychającej od paru lat wolności słowa. Wypowiedzi towarzysza Gomułki i innych towarzyszy nie pozostawiają w tym względzie żadnych wątpliwości: dość tego tam gadania, od dziś znowu ma zapanować zdrowa jednomyślność i konstruktywny zapał, pisarze i dziennikarze niech kroczą dziarsko i karnie ku „świetlanej przyszłości" – a styczność z Zachodem ma być zerwana, lub ograniczona do zupełnie nieszkodliwego minimum.

To wszystko – na drodze łagodnej perswazji i bez uciekania się do dawnych, stalinowskich, metod. Perswazji, co prawda, nie znoszącej repliki – chociażby dlatego, że ewentualny śmiałek mógłby tę swoją replikę wyszeptać jedynie w gronie familijnym, lub najbliższych przyjaciół. Śmiałek, przypuszczam, nie będzie prześladowany, po prostu zamkną się przed nim gazety i wydawnictwa, odstawiony zostanie do życia prywatnego i niech w inny sposób zarabia na utrzymanie. Póki co władze zlikwidowały dwa największe tygodniki literackie, w których kołatało się jeszcze trochę swobody, a na ich miejsce powstał organ oficjalny pod ironiczną nazwą „Kultura", komunistyczny, urzędowy, urzędowo ideologiczny, biurokratycznie heroiczny, administracyjnie entuzjastyczny. To urzędolenie ma zastąpić narodowi słowo, które mówi...

Zatrzasnęły się tedy ostatnie drzwi wschodniego hermetyzmu, jeszcze nieco uchylone, i przekręcono klucz w zamku. Polska przeszła znowu w sferę inteligencji dyktowanej, premedytowanej, programowej – martwej. Tych dwadzieścia z górą milionów dusz będzie musiało recytować Marksa – tych dwadzieścia z górą milionów zostanie podporządkowanych całkowicie myśli jednego człowieka, który nazywa się Marks. Kiedyż odkryjecie, komuniści, że to jest „kult jednostki" nie gorszy od kultu Stalina?

Mnie nie zależy na atakowaniu komunizmu, niech to robią inni, trzymam się jak najdalej od polityki. Tak (możecie mieć mi to za złe)

mnie polityka nudzi! Jako artysta nie jestem w stanie pisać na tematy, które mnie nie biorą, a do nich należy ten nieszczęsny komunizm, obgadany doszczętnie tam i z powrotem. Niezależnie od groźnej aktualności dylematu, przesyt coraz bardziej daje się we znaki i chyba nie ja jeden wyglądam z upragnieniem chwili, w której wchodzące pokolenie powie „dość" i stworzy sobie nowe niepokoje, nowy styl, nowe zagadnienia. Pewien hreczkosiej pytał z oburzeniem, gdy mu wyrzucano niewierność małżeńską „cóż to, ja krowi ogon jestem, żebym zawsze przy jednej... wisiał?!" Ufam przeto, że ludzkość przestanie wisieć u jednej antynomii, nie wierzę aby jakikolwiek problem, choćby najbardziej fundamentalny, mógł wchłonąć wszystkie energie duchowe człowieka... stać nas na dziesiątki i setki różnorodnych zmagań o niezmierzonym napięciu... a znużenie, przesyt są potężnymi demonami pobudzającymi do nieustannego odświeżania sobie świata.

Nie zabierałbym więc głosu i na ten temat polityczny – ale tym razem przyplątała się tutaj pewna logika silniejsza ode mnie. Zabieram głos po prostu dlatego, że im odbiera się głos. Zaczynam mówić dlatego, że oni zaczynają milczeć... czyż to nie wystarczający sylogizm dla mnie, literata polskiego na Zachodzie?

Europa chyba bardzo zdawkowo wyobraża sobie dzisiejszy stan rzeczy, umysłowy i duchowy, w Polsce. W istocie kryzys jest o wiele głębszy, wykracza daleko poza ramy tego, co zwykliśmy oglądać w kinematografach jako „walkę o wolność" szlachetnych demokratów. ↔

Kiedy zaraz po wojnie pojawił się na ziemiach polskich ponury zamordyzm stalinowski, miał za tło miasta jeszcze nie ostygłe od pożarów i patos wzburzonej historii – mogło się zdawać, że w owym brutalnym fałszerstwie rzeczywistości zawiera się jakaś wola przemożna na miarę piorunujących wydarzeń. Miasta jednakże powoli ostygły i ostygli ludzie, od dawna po dramatycznej nocy nastał dzień codzienny, żmudny... jakimże sosem przyprawicie dziś waszą fikcję, żeby ona w ogóle miała smak jakiś? Przecie w tym świetle zimnym zwyczajnego dnia objawia się całe błazeństwo tej farsy i nawet komunistom dobrze wiadomo, że to nic więcej, jak tylko biurokracja, okólniki, bzdura, na całym świecie nie ma już nikogo, kto by to

widowisko brał poważnie. Jeden tylko sposób pozostał by zastrzyknąć nieco krwi bladej bzdurze waszej... ale to byłoby zbyt okropne... i jest na szczęście więcej niż wątpliwe aby rewolucja powróciła do dręczenia i mordowania ludzi w lochach więziennych, do tortur policyjnych, które dzisiaj ją samą przerażają. Więc co? Tyrania anemiczna, prześladowanie miękkie, lękliwa stanowczość – ależ to się kupy nie trzyma i skończyć się musi jedną więcej kompromitacją, to są kpiny z rzeczywistości i wywołać mogą tylko kpiny.

Mówiąc „rzeczywistość" dotykamy centralnego punktu zagadnienia. Nie ulega kwestii, że jakość rządu, doktryny, polityki, człowieka, idei mierzy się przede wszystkim ich stosunkiem do rzeczywistości, to tylko jest w dobrym gatunku, co się nie uchyla od tej konfrontacji. ↔

Żałosne, że komunizm tak zmiękcza sobie swoje trudności. Sposób w jaki oni w praktyce, jako dyktatura proletariatu, doszli do zdewaloryzowania sobie inteligencji, jest godny uwagi, jest to nader specyficzna dialektyka oscylująca pomiędzy pojęciem inteligencji, jako władzy człowieka i inteligencji, jako klasy społecznej. Naprzód ustanawia się prymat pracy robotniczej nad wszelkim bardziej lotnym wysiłkiem duchowym. W imię tego prymatu lekceważy się literaturę, sztukę, filozofię, zaprzęga się tych ludzi do propagandy, demoralizuje zasiłkami, prebendami, wprowadza się i tutaj „demokrację" produkując sztucznie możliwie największą ilość miernot. Gdy ta kulturalna polityka, oparta na lekceważeniu, doprowadzi do zamierzonych rezultatów, już nietrudno wyrażać się o malarstwie w stylu Chruszczowa, lub o literaturze słowami Gomułki. Owszem, takie, jakie są, są godne lekceważenia – tylko że wyście je sobie naprzód odpowiednio przyrządzili.

Zapytuję siebie, na zakończenie, czy ja tu atakuję komunizm, czy też ja go b r o n i ę. Mam wrażenie, że nie ma tutaj ani jednego słowa, które by nie mogło być wypowiedziane na plenum... gdyby naturalnie tym sesjom przyświecała intencja u r z e c z y w i s t n i e n i a komunizmu, nie zaś wprowadzenia go w n i e r z e c z y w i s t o ś ć.

I jeszcze jedno: jak to się potoczy, jaką przyszłość rokować nowemu kursowi w Rosji i w Polsce? Och, nic. Będzie się to jakoś ślimaczyło, słabe, niezgodne zresztą z tendencją pojednawczą obecnej polityki

sowieckiej na gruncie międzynarodowym wytworzy się zapewne coś w rodzaju jełkiej zupy, będzie lepkie, grząskie, i może jakoś rozlezie się… albo nie rozlezie… ↓

Kosmos (1965)

Kiedy wstępowałem na pokład „Federico” w Buenos Aires, miałem za sobą 23 lata 226 dni Argentyny (obliczyłem), a ze sobą, w walizce, skrypt nie ukończonej powieści, *Kosmosu*. ↔ *Kosmos* dla mnie jest czarny, przede wszystkim czarny, coś jak czarny rozbełtany nurt pełen wirów, zahamowań, rozlewisk, czarna woda unosząca tysiące odpadków, a w nią zapatrzony człowiek – zapatrzony w nią i nią porwany – usiłujący odczytać, zrozumieć, powiązać w jakąś całość… Czerń, groza i noc. Noc przeszyta gwałtowną namiętnością, skażoną miłością. Bóg raczy wiedzieć… mnie się zdaje, że groza *Kosmosu* zostanie odczytana ale nie tak prędko. ↔ Tołstoj, czy Balzak, mogli pisać mniej więcej dla wszystkich, ale dla dzisiejszego literata to prawie niemożliwe, ponieważ nie mamy już wspólnego świata, jest z dziesięć osobnych światów, które sobie naszych czytelników wydzierają. Jak znaleźć język, który by przemówił jednocześnie do konserwatysty-katolika, do niewierzącego egzystencjalisty, do normalnego „realisty”, do kogoś, czyja świadomość przeorana jest Husserlem, lub Freudem, do kogoś, kto swoją wrażliwość wykształcił na surrealizmie? Różne rzeczywistości, inne widzenie, inne odczuwanie. I w tych przeróżnych panoramach wyżywa się cała rozmaitość naszych temperamentów. Minął czas czytania zwykłego. ↔ kryzys ideologii, wzrastające zainteresowanie formą, tendencje najnowsze sztuki. Tylko, że mnie to nie wystarcza. Jeśli ten wzrastający formalizm nie zostanie zrównoważony humanizmem, to jest człowiekiem, to jest ludzkim bólem, poezją, pasją, na tej nowej Saharze zginę, ja i moje utwory. Nie ja jeden, zresztą. ↔ Dopuszczam tę możliwość ze względu na wzrastającą mechanizację kultury… taka na przykład fabrykacja w ogromnych ilościach przez uniwersytety profesorów, doktorów, specjalistów od sztuki… ale nie przypuszczam żeby to mogło trwać długo. ↔

Malarz dzisiejszy nauczył się rozkładać świat widziany na elementy barwy i kształtu i z nich zestawia nową, arbitralną, kompozycję. Ja robię mniej więcej to samo, choć u mnie świat nie rozpada się nigdy

całkowicie. I, dodajmy, pędzel malarza tu się zatrzymuje, malarz nie może przywrócić tak rozbitego świata człowiekowi, każe mu się raczyć grą „czystą" owej formy i koniec na tym. Natomiast słowo jest narzędziem bez porównania bogatszym, potężniejszym, niż pędzel, o kilku odmiennych sposobach działania, i pełne zażycie słowa czyni możliwym ponowne uczłowieczenie formy. Powiedziano, że malarstwo wyprzedziło literaturę o sto lat. Biada literaturze, gdyby wstąpiła na drogę malarstwa. Zubożenie najnowszej literatury francuskiej trzeba przypisać właśnie temu, malarstwo jest złym nauczycielem dla pisarza.

W literaturze, która na szczęście nie jest czystą sztuką, która na szczęście jest czymś więcej, niż sztuką, można zdobyć się na to co robi malarstwo i na coś ważniejszego jeszcze, na coś akurat przeciwnego. Można być tym bardziej ludzkim, im bardziej jest się nieludzkim, tym bardziej konkretnym, im bardziej abstrakcyjnym. Sprzeczność, wie pan, przekora, to nieodzowne dla ducha! Życie jeszcze raz musi być przeciwstawione sztuce. I formie.

W *Kosmosie* nie tylko mogę – za pomocą słowa – dać rozpad świata na elementy formy. Mogę również odtworzyć reakcję człowieka, najzwyklejszego, na taki proces rozkładowy, jego lęk, rozpacz, przypuśćmy, i w ten sposób znowu człowiek, a nie forma, stają się moim centrum. U mnie forma może jeszcze być piekłem, lub rajem, u malarza musi być „forma jako taka". Gdyby obraz mógł dać zarazem „formę jako taką" tudzież nudę człowieka, który się w nią wpatruje, nie miałbym powodu do zastrzeżeń.

Od lewej: Bohdan Paczowski, rzeźbiarz James Ritchie i Witold Gombrowicz podczas odsłonięcia rzeźby (w tyle) Jamesa Ritchiego dla domu młodzieży w Vence, jesień 1968 r.

Od tego ponownego uczłowieczenia nieludzkości zależy, moim zdaniem, czy literatura przyszłości będzie dyndać w próżni, wyczyniając przeróżne esy floresy, czy też stanie na nogach. Jeśli mam rację, wygram, a jeśli nie… może też wygram, tylko że będę inaczej czytany.

Wyzwoliliśmy bestię Formy, teraz trzeba ją wziąć za rogi. ↔ *Kosmos* nie jest zwykłą powieścią, która opowiada jakąś historię – dajmy na to – tragicznej miłości. Ta powieść jest o samym stwarzaniu się tej historii, o stwarzaniu się historii, o stwarzaniu się rzeczywistości, o tym jak ona niezdarnie, kulawo, rodzi się ze skojarzeń naszych… jakżeby takie formowanie nie miało wywołać zgrzytów, oporów, fałszów, co chwila niezdarna konstrukcja zapada się w chaos. *Kosmos* jest powieścią, która sama się stwarza, podczas pisania. ↔ *Kosmos* jest najzwyklejszą relacją zwykłego studenta, który swoje przygody opowiada. Student zamieszkał w pensjonacie, poznał dwie kobiety, jedną o ustach

spotworniałych wskutek wypadku samochodowego, drugą o ustach powabnych, te usta mu się kojarzą, stają się obsesją, poza tym zobaczył wróbla powieszonego na drucie i patyk wiszący na nitce… i to wszystko, trochę z nudów, trochę z ciekawości, trochę z miłości, z gwałtownej namiętności, zaczyna go wciągać w pewną akcję… której oddaje się nie bez sceptycyzmu. ↔ *Kosmos* wprowadza w sposób zwykły w świat niezwykły, niejako za kulisy świata. ↔ Moja literatura oparta jest na wzorach klasycznych. *Ferdydurke* jest poniekąd parodią opowiadania filozoficznego w stylu wolterowskim. *Trans-Atlantyk* parodią staroświeckiej gawędy. *Pornografia* nawiązuje do dobrodusznej polskiej „powieści wiejskiej". *Kosmos* jest po trosze kryminalnym romansem. Mój teatr parodiuje Szekspira, a ostatnia moja sztuka jest utrzymana w formie operetki. Posługuję się formami klasycznymi, bo są najdoskonalsze i do nich czytelnik się przyzwyczaił. Ale proszę nie zapominać – ważne – że u mnie forma jest zawsze parodią formy. Posługuję się nią, ale umieszczam się poza nią.

Tak, coraz bardziej szukam powiązania pomiędzy tymi dawnymi, czytelnymi, gatunkami literackimi a możliwie najświeższym, najnowszym, przeżyciem świata. Przewozić najaktualniejszą kontrabandę takimi landarami, jak *Trans-Atlantyk*, lub *Pornografia*, to mi odpowiada! ↓

Operetka (1966)

Rafą o którą rozbijały się moje wysiłki było, że styl operetkowy, bosko idiotyczny i doskonale sklerotyczny, jak wszystkie monumentalne i skrystalizowane style nie toleruje niczego co by w nim nie mieściło się bez reszty. W operetce postacie muszą być operetkowe, akcja operetkowa, świat operetkowy, mity operetkowe, a ja usiłowałem władować w nią za dużo. Dopiero więc gdym te treści zawarł w metaforach ściśle operetkowych, jak strój, rewia mód, wszystko bardziej składnie mi się zamknęło.

Operetka jeszcze nie przedostała się do teatru, tłumaczenia jeszcze nie są ukończone. Ci, co ją czytali, rozmaicie mówią: jedni, że okrutne i tragiczne, drudzy, że wypełnione optymistyczną wiarą w odżywającą nieskończenie nagą ludzkości młodość. ↓

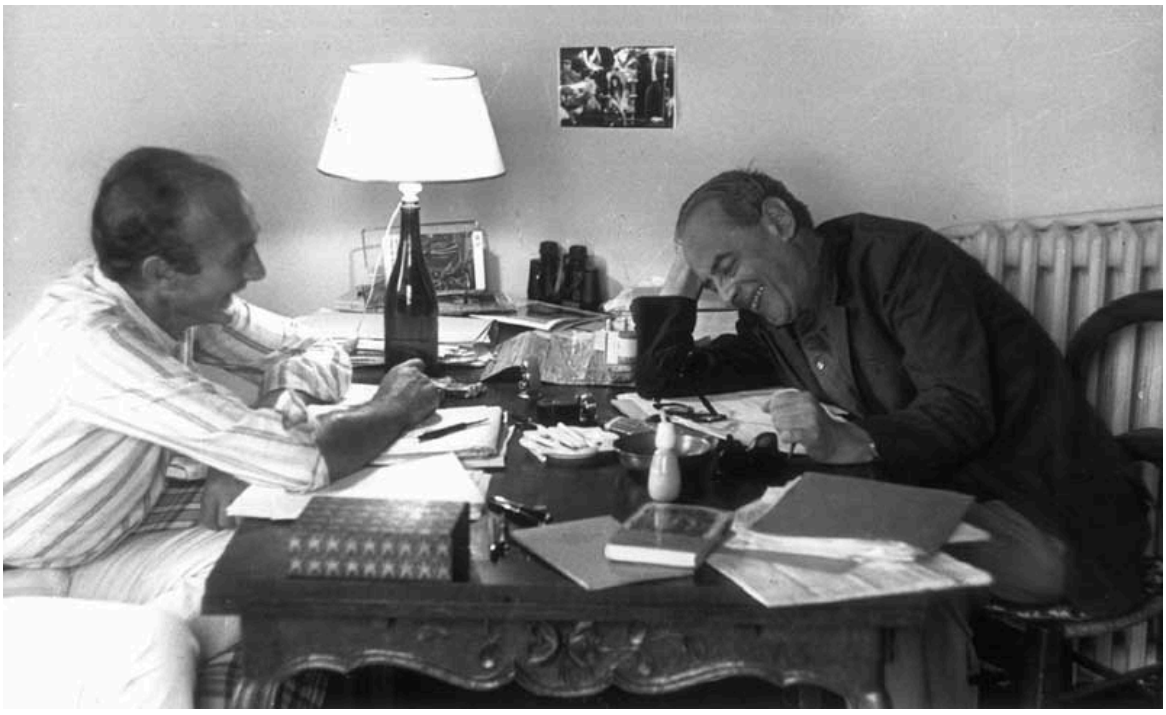

Konstanty Jeleński (od lewej) i Witold Gombrowicz nad przekładem na francuski *Operetki*, Vence, lipiec 1967 r.

1968 – potwór młodości

Dla mnie młodość jest niedostatecznością i niższością we wszystkim, oprócz w jednej jedynej rzeczy: w tym, że się jest młodym, w młodości jako takiej... Nic dziwnego więc, że ich poczynania są partactwem o tyle, o ile są programem politycznym, społecznym, ideologicznym. Ale one są o wiele więcej ślepym wyładowaniem poza wszelką ideologią, rodzajem wybuchu. To tak, to jest młodość. Aby mnie zrozumieć trzeba przyjrzeć się temu bardziej oczami artysty, niż moralisty. Chłopiec rzucający kamienie, tak, to dobre, to artystycznie nie razi. Chłopiec wygłaszający mowy i żądający przebudowy świata, nie, to złe, to naiwne i pretensjonalne.

Niestety! Obok pewnej autentyczności, jakaż atmosfera dusząca głupstwa i frazesu! A dlaczego? Ponieważ ten bunt jest o wiele więcej dziełem dorosłych niż młodych. Proszę: kilka setek studentów zaczyna robić chryje w Nanterre, czy gdzie indziej, z takiej czy innej przyczyny, i przy okazji wyładowuje swoje pretensje do społeczeństwa. Nic tak ważnego. Ale wtedy prasa, radio, telewizja rzucają się na temat z tych podniecających, nadających się do omawiania, felietoniści, socjologowie, filozofowie, politycy zabierają głos: „Duch nowego pokolenia", „Co mam odpowiedzieć mojemu synowi?", „Jaka jest ich tajemnica?", „Młodzież nas oskarża", „Pokolenie bez busoli". To brzmi dobrze. Głębokie. Dobrze się czyta. Powiedziano że za Carmichaelem w Stanach Zjednoczonych stało na początku pięciuset Murzynów i pięć tysięcy dziennikarzy; z Cohn-Benditem działo się to samo. I w tym wieku trudno nie poczuć się narzędziem historii, gdy się figuruje na pierwszej stronie wszystkich tygodników. Młodzi uwierzyli. Nadęli się. A dorośli, spietrani, oklapli. Potwór młodości, taki jak się nam ukazuje w tej chwili, jest naszego własnego wyrobu.

Ten kryzys jest o wiele bardziej kryzysem dorosłych niż młodych. Dowodzi przede wszystkim zadziwiającego osłabienia człowieka dorosłego w obliczu młodzieży. ↔ My, starsi, dobrze zdajemy sobie sprawę, że nasze przewagi się wykańczają. Zasada autorytetu

ojcowskiego, która od wieków utrzymywała syna w biernym posłuszeństwie, zaczyna trzeszczyć. Młodzież coraz bardziej ukazuje się nam jako siła twórcza w swoim rodzaju, działająca swoimi środkami. Ale natura tej siły i jej rola nam się wymykają. Problem różnicy wieku, fazy wstępującej i zstępującej życia, dojrzałości i niedojrzałości, wyższości i niższości, nie, to nie jest łatwe, to nawet bardzo trudne i niejasne. Dorosły jest zagrożony młodym, trawiony jakąś odmienną przenikającą go rzeczywistością... której działanie dałoby się określić może jako dopływ nieustanny „niedojrzałości", albo jako redukcja... albo jako nacisk... ściągający, streszczający, dynamizujący... zostawmy to. W każdym razie dorosły utracił swoją spokojną wyższość, która wynika po prostu z faktu, że jest bardziej rozwinięty.

Śmieszni ci wszyscy profesorowie, myśliciele, przerażeni, obałwanieni, w kurczowych wysiłkach by „zrozumieć młodzież" i „nadążyć historii". Co za tchórzostwo i jakaż nędza! Zamiast ujrzeć w tej rewolucji hecę na wielką skalę, przypisują jej cele świadome i górne: „my jesteśmy starzy, spóźnieni, a oni przyszłość, nowa fala!" Wszystko to sprowadza się do następującej karykatury: z jednej strony Młody – potężny, groźny, prorok, natchniony, mściciel, anioł lub demon, a z drugiej Dorosły – roztrzęsiony, chuderlawy, gubiący portki. I każdy z nich czuje się śmieszny wobec drugiego.

To może jest najważniejsze, jak dla mnie. To dowodzi że jeszcze raz kiepska, spartaczona forma wdziera się pomiędzy pokolenia. Dlaczego spartaczona? Gdyż nie odpowiada rzeczywistości. Jaka jest rzeczywistość? Nie pytajcie, nie jestem w stanie udzielić pełnej odpowiedzi. Ale jedno mogę stwierdzić z całą pewnością: jeśli autentyczna obecność Młodego da się odczuć, to nie na gruncie społecznym, zbiorowym, politycznym lub ideologicznym. Dziś moda żeby widzieć jedynie aspekt społeczny człowieka. Ależ nie. To bardzo powierzchowne i ciasne. Wiele spraw dzieje się na terenie prywatnym – i sekretnym – i tu właśnie Młody ukazuje się jako niebezpieczny zwiastun pewnej poezji, pewnej specyficznej piękności... i jako ściągający w niższość. ↓

Zajrzeć za parawan

Jestem po stronie proletariatu i tylko dlatego jestem wrogiem komunizmu. Mówię to szczerze i jak najpoważniej.

Jestem ateista, bez przesądów, poza tym filosemita, poza tym autor „awangardowy" i nawet „burzyciel" poniekąd... jakżeż mógłbym być ciasnym konserwatystą? Przez ćwierć wieku żyłem w biedzie i, jeśli idzie o moje osobiste interesy, mógłbym tylko zyskać na przewrocie społecznym, moi koledzy po piórze w socjalistycznych krajach lepiej są urządzeni ode mnie. W mojej obecnej sytuacji nie ma nic co by mnie wiązało z klasą kapitalistyczną. Musiałbym być potworem, gdybym w tych warunkach, ot tak, z czystego upodobania, wolał wyzysk od sprawiedliwości. To może stać się tylko, gdy świadomie lub nieświadomie, wchodzą w grę egoistyczne pobudki, lub gdy się jest w szponach atawistycznych obciążeń.

Och tak, jestem z proletariatem, to jest raczej jestem przeciw niemu, bo żądam żeby znikł z oblicza ziemi! Tylko że... on znika szybciej w krajach kapitalistycznych Zachodu, gdy na Wschodzie masy robotnicze, jak się mrowiły, tak się mrowią, i nie widać żeby w najbliższej przyszłości coś mogło zmienić się na lepsze. Trudno mi wdawać się w zawiłe dyskusje ekonomiczne, do których nie mam przygotowania. Chcę likwidacji hańby, zwanej proletariatem, więc jestem po stronie systemu, który lepiej ją likwiduje.

Łączy mnie z komunistami cel wspólny, a dzieli tylko kwestia wyboru metod. Dlatego nazywam siebie lewicowcem. I, jeślibyśmy komunistę określili jako człowieka pragnącego znieść wyzysk klasowy, to najskrajniejszy konserwatysta może być uznany za komunistę, gdy szczerze wierzy że ostrożna polityka zachowawcza lepiej przysłuży się temu celowi niż rujnujące i okrutne rewolucje.

To żeby wykazać względność pojęcia „lewica".

Poza tym... Jeśli Freud i Marks wiele zdemaskowali, to czyż nie należałoby dzisiaj zajrzeć za parawan zjawiska, zwanego lewicą? Mnie

razi że lewica staje się zbyt często parawanem dla nader liberalnych i zgoła egoistyczno-imperialistycznych osobistych interesów. Polityk zainteresowany w swojej karierze, pisarz pragnący aby jego słowo lepiej dźwięczało, gazeta świadoma że opozycja przynosi większe nakłady, młodzieniec pragnący wyładować wrodzoną burzliwość... czyż nie będą w sposób naturalny ciążyć ku lewicy? Socjalizm staje się narzędziem w rękach skrytego za nim liberalizmu. Mnie liberalizm, jako taki, nie przeraża, ale mistyfikacja na zbyt wielką skalę tak... Dlatego myślę, że uczciwi ludzie lewicy powinni ją pod tym względem skontrolować. Pora na zbadanie nie tylko uwarunkowań świadomości rekinów kapitalizmu, ale i studenta, który wyżywa się na wiecu.

Ale ja na pewno tej roli się nie podejmę. Jestem przeciwnikiem wszelkich ról, a już najbardziej roli pisarza zaangażowanego. Bardzo mi przykro, tutaj naprawdę nie mogę się przydać. I zbyt silne jest we mnie przekonanie że już niezadługo nauka i technika zdmuchną nam sprzed nosa cały ten rozłam na prawicę i lewicę, i postawią wobec innych zgoła zagadnień.

Polityka? Moja polityka, to osłabienie form – obojętne, czy z prawa, czy z lewa. ↓

Duch i ciało

Nie przeraża mnie, że *tempora mutantur*, przeraża mnie, że *nos mutamur in illis*. Nie przeraża mnie zmiana warunków życia, upadek państw, zagłada miast i inne gejzery niespodzianek, tryskające z łona Historii, ale to, że facet, którego znałem jako Iksa, nagle staje się Igrekiem, zmienia sobie osobowość jak marynarkę i zaczyna działać, mówić, myśleć, czuć wbrew sobie samemu, napełnia mnie lękiem i zażenowaniem. To okropny bezwstyd! To śmieszny zgon! Stać się gramofonem, w który wsadzono płytę z napisem „His master's voice" – głos mojego pana? Cóż za groteskowy los tych pisarzy!

Pisarzy? Oszczędzilibyśmy sobie wiele rozczarowań nie nazywając „pisarzem" każdego, kto potrafi „pisać"... Znałem tych „pisarzy" – były to osoby przeważnie niegłębokiej inteligencji i dość szczupłych horyzontów które za mojej pamięci nie stały się kimś... wobec czego dziś nie mają właściwie z czego rezygnować. Te trupy odznaczały się za życia następującą właściwością: iż łatwo przychodziło im fabrykować swoje oblicze moralne i ideologiczne, zyskując w ten sposób pochwałę krytyki i poważniejszego odłamu czytelników. Ani przez pięć minut nic wierzyłem w katolicyzm Jerzego Andrzejewskiego, a po przeczytaniu kilku stronic jego powieści powitałem w kawiarni Zodiak jego cierpiętniczą i uduchowioną twarz miną tak wątpliwą, iż obrażony autor natychmiast zerwał ze mną stosunki. ↔

Duch rodzi się z imitacji ducha i pisarz musi udawać pisarza, aby w końcu stać się pisarzem. Literatura przedwojenna w Polsce była z małymi wyjątkami niezłą imitacją literatury, ale na tym koniec. Ci ludzie wiedzieli jaki powinien być wielki pisarz – „autentyczny" – „głęboki" – „konstruktywny" – więc skwapliwie starali się spełnić te postulaty; ale psuła im zabawę świadomość, że to nie ich własna „głębia" i „wzniosłość" prze ich do pisania, ale że – na odwrót – wytwarzają w sobie owe głębie, aby być pisarzami. Tak dokonywał się ten subtelny szantaż wartościami i już nie wiadomo było czy ktoś nie głosi pokory po to jedynie aby się wywyższyć i wybić, lub czy ktoś nie głosi bankructwa

kultury i literatury po to, aby stać się dobrym literatem. Im większy zaś był wśród tych istot, spętanych własnymi sprzecznościami, głód prawdziwej i czystej wartości, tym bardziej rozpaczliwe stawało się poczucie nieuchronnej i z zewsząd napierającej tandety. O, te inteligencje wypracowane, poziomy wyśrubowane, subtelności wyciągane za włosy, męki duszne dla czytelników! Jeden tylko był środek, ażeby wydostać się z tego piekła: ujawnić rzeczywistość, obnażyć cały ten mechanizm i lojalnie uznać prymat ludzkiego przed boskim – lecz tego właśnie bała się i nie tylko nasza literatura, do tego za nic nie chcieli przyznać się literaci – choć to jedynie mogło ich uzbroić w nową prawdę i szczerość. Oto powód dla którego polska literatura przedwojenna coraz bardziej stawała się naśladownictwem. Ale zacny narodek, który ją brał na serio, bardzo zdziwił się widząc, jak jego „czołowi pisarze", przyparci do muru przez moment dziejowy, poczęli zmieniać skórę, przyswoili sobie gładko nową wiarę i w ogóle zaczęli tańczyć, jak im zagrano. Pisarze! Lecz właśnie w tym sęk, że byli to pisarze którzy za nic nie chcieli przestać być pisarzami, gotowi do najbardziej heroicznych poświęceń, aby tylko utrzymać się przy swym pisarstwie.

Wcale nie twierdzę, że gdybym został poddany tym samym, co oni, ciśnieniom, nie zrobiłbym tej samej plajty i nawet uważam to za bardzo prawdopodobne – ale przynajmniej nie wygłupiłbym się, jak oni, gdyż byłem szczerszy w stosunku do siebie samego i mnie te absolutne wartości tak obficie nie dobywały się z gardła. Wówczas, w rojnych i gwarnych kawiarniach Warszawy, już jakbym przeczuwał zbliżający się dzień konfrontacji, ujawnienia i obnażenia, wskutek czego wolałem na wszelki wypadek unikać frazesów. ↔ Albowiem jest pewne, że, w swoim upadku, górują oni w jakiś specjalny sposób nad Zachodem i Miłosz niejednokrotnie podkreśla swoistą siłę i mądrość, jaką zdolna jest zapewnić szkoła fałszu, terroru i konsekwentnej deformacji. Lecz Miłosz sam jest ilustracją tego swoistego rozwoju, gdyż jego spokojne, potoczyste słowo, które z tak śmiertelnym spokojem przypatruje się temu, co opisuje, ma smak pewnej specyficznej dojrzałości, nieco odmiennej od tej, która zakwita na Zachodzie. Powiedziałbym, że w swojej książce Miłosz walczy na dwa fronty: tu idzie nie tylko o to, aby

w imię kultury zachodniej potępić Wschód, lecz także o to, aby Zachodowi narzucić własne, odrębne przeżycie, stamtąd wyniesione, i swoją nową wiedzę o świecie. I ten pojedynek, już nieomal osobisty, polskiego nowoczesnego pisarza z Zachodem, gdzie gra toczy się o wykazanie własnej wartości, siły, odrębności, jest dla mnie ciekawszy niż analiza spraw komunizmu – która, choć wyjątkowo przenikliwa, nie może już wnieść elementów absolutnie nowych.

On sam, Miłosz, kiedyś powiedział coś w tym rodzaju: że różnica pomiędzy intelektualistą zachodnim a wschodnim na tym polega, iż pierwszy nie dostał dobrze w d... W myśl tego aforyzmu atut nasz (włączam w to i siebie) stanowiłoby, że jesteśmy przedstawicielami *kultury zbrutalizowanej*, a więc bliższej życia. Ale Miłosz sam doskonale zna granice tej prawdy – i byłoby żałosne, gdyby nasz prestiż miał zasadzać się wyłącznie na tej zbitej części ciała. Gdyż zbita część ciała nie jest częścią ciała w stanie normalnym, a filozofia, literatura, sztuka muszą być jednak na użytek osób, którym nie powybijano zębów, nie podbito oczu i nie zwichnięto szczęki. I patrzcie na Miłosza, jak on – jednak – usiłuje przystosować swe zdziczenie do wymogów zachodniego wydelikacenia.

Duch i ciało. Bywa że wygody cielesne wzmagają ostrość duszy i za zacisznymi firankami, w dusznym pokoju burżuja rodzi się surowość, o jakiej się nie śniło tym, którzy z butelkami rzucali się na tanki. A zatem nasza kultura zbrutalizowana przydałaby się tylko wówczas, gdyby stała się czymś przetrawionym, nową postacią prawdziwej kultury, przemyślanym i zorganizowanym wkładem naszym w ducha uniwersalnego.

Pytanie: czy Miłosz, czy literatura polska na wolności, są w stanie spełnić choć w części ten program? ↓

Człowiek plus człowiek

Zapewne ujmę tę rzecz nieco subiektywnie. Nie jestem specjalistą od myślenia i nie ukrywam, że myśl jest dla mnie tylko pomocniczym rusztowaniem. Chcę powiedzieć jedynie, jakie struny potrąca we mnie tamta nasza, wschodnia, rzeczywistość.

Wierzącemu komuniście rewolucja wydaje się triumfem rozumu, cnoty i prawdy, więc dla niego nie ma w niej nic co by odbiegało od normalnej linii postępu ludzkiego. Natomiast „poganinowi" jak mówi Miłosz, rewolucja przynosi inną świadomość, którą zawarł on w następującym zdaniu: że człowiek może zrobić wszystko z człowiekiem.

W tym mieści się to coś, co nas, literatów wschodnich, zaczyna z grubsza dzielić od Zachodu. (Zauważcie jak jestem ostrożny. Mówię: „z grubsza", „zaczyna"). Zachód żyje pomimo wszystko, wizją człowieka odosobnionego i absolutnych wartości. Nam zasię w sposób bardziej namacalny poczyna objawiać się formuła: człowiek plus człowiek, człowiek pomnożony przez człowieka – i nie należy bynajmniej łączyć jej z jakimkolwiek kolektywizmem. Buber, żydowski filozof, wcale nieźle określił to mówiąc, że dotychczasowa indywidualistyczna filozofia już się wykończyła i że największym rozczarowaniem, jakie oczekuje ludzkość w najbliższej przyszłości, będzie bankructwo filozofii kolektywnej, która ujmując jednostkę jako funkcję masy, poddaje ją w rzeczywistości abstrakcjom takim jak klasa społeczna, państwo, naród, rasa; a dopiero na trupach tych światopoglądów urodzi się trzecie widzenie człowieka: człowiek w związku z drugim, konkretnym człowiekiem, ja w związku z tobą i z nim...

Człowiek poprzez człowieka. Człowiek względem człowieka. Człowiek stwarzany człowiekiem. Człowiek spotęgowany człowiekiem. Czy to moje złudzenie, że widzę w tym utajoną nową rzeczywistość? A przecież, rozważając te nieporozumienia, które wyrastają obecnie pomiędzy nami a Zachodem, zawsze natykam się na tego „drugiego

człowieka" podniesionego do kategorii potęgi stwarzającej. Można to zawrzeć w dwudziestu rozmaitych definicjach, wypowiedzieć na sto pięćdziesiąt sposobów, lecz pozostanie faktem że nam, synom Wschodu, zaczyna topnieć w rękach problem indywidualnego sumienia, którym tuczy się jeszcze połowa literatury francuskiej, a Lady Macbeth i Dostojewski stają się niewiarygodni… że co najmniej połowa tekstów rozmaitych Mauriaków wydaje się nam na księżycu napisana, a w głosach Camusa, Sartre'a, Gide'a, Valéry'ego, Eliota, Huxleya wyczuwamy niestrawne luksusy, pozostałości z czasów, które dla nas się skończyły. A te różnice stają się w praktyce tak wyraźne, że ja, na przykład (i mówię to bez najmniejszej przesady) nie jestem w ogóle w stanie rozmawiać o sztuce z artystami – gdyż Zachód, wierny dotąd swym absolutnym wartościom, jeszcze wierzy w sztukę i w rozkosze, jakich ona nam przysparza, dla mnie zaś rozkosz ta jest narzucona, ona rodzi się między nami – i tam gdzie oni widzą człowieka klęczącego przed muzyką Bacha, ja widzę ludzi, którzy wzajemnie zmuszają się do uklęknięcia i do zachwytu, rozkoszy, podziwu. Więc takie widzenie sztuki musi odbić się na całym moim z nią obcowaniu i ja inaczej słucham koncertu, inaczej podziwiam wielkich mistrzów, inaczej oceniam poezję.

I tak jest ze wszystkim. Jeżeli to nasze odczuwanie nie wydostało się jeszcze z nas z dostateczną siłą, to ponieważ jesteśmy niewolnikami odziedziczonego języka; lecz coraz silniej przez szczeliny formy przenika ono na powierzchnię. Co narodzi się, co *mogłoby* narodzić się w Polsce i w duszach ludzi zrujnowanych i zbrutalizowanych, gdy pewnego dnia zniknie i ten nowy porządek, który zdławił stary, i nastąpi Nic? Oto obraz: dostojna budowla tysiącletniej cywilizacji runęła, cicho i pusto, a na gruzach – rój szarych i drobnych istot ludzkich, które nie mogą jeszcze otrząsnąć się ze zdumienia. Albowiem runął ich kościół, te ołtarze, te malowidła, witraże, posągi, przed którymi oni klękali, to sklepienie, które ich chroniło, już zamienione w gruz i pył, a oni – w całej nagości swojej, obnażeni. Gdzie się schronić? Co wielbić? Do kogo się modlić? Kogo się lękać? W czym umieścić źródło natchnienia i siły? Czyż byłoby dziwne gdyby oni w sobie ujrzeli jedyną siłę stwarzającą i jedyne dostępne im Bóstwo? To jest droga,

która prowadzi od uwielbienia wytworów ludzkich do odkrycia człowieka, jako decydującej i nagiej potęgi.

Od lewej: Witold Gombrowicz, Maria Paczowska i Jan Lenica, za nimi Sławomir Mrożek, Vence, 1965 r.

Mieszkańcy wspaniałego gmachu cywilizacji zachodniej powinni przygotować się na inwazję ludzi bezdomnych, z ich nowym wyczuciem człowieka… która nie nastąpi. W tej chwili zmieniłem zdanie. Gdyż Bułgar nie ufa Bułgarowi, Bułgar gardzi Bułgarem, Bułgar Bułgara ma za… (tu trzeba by użyć słynnego wykropkowanego słowa). My zatem nikomu nie narzucimy naszego uczucia, ponieważ uczuć naszych nie bierzemy na serio. I byłoby zbyt dziwne, gdyby takie widzenie człowieka urodziło się wśród ludzi, którzy siebie lekceważą. ↓

Nie traćcie drogiego czasu

Ależ ja bynajmniej nie domagam się sztuki popularnej, ani nie jestem (też to powiedziano) wrogiem sztuki, ani nie podaję w wątpliwość jej wagi i znaczenia. Ja tylko twierdzę, że ona oddziaływuje inaczej, niż sądzimy. I gniewa mnie, że nieznajomość tego mechanizmu czyni nas nieautentycznymi tam właśnie, gdzie rzetelność ma największą cenę. A już najbardziej gniewa mnie w Polakach. ↔

Nie traćcie drogiego czasu na pościg za Europą – nigdy jej nie dogonicie. Nie próbujcie stać się polskimi Matisse'ami – z braków waszych nie urodzi się Braque. Uderzcie raczej w sztukę europejską, bądźcie tymi, którzy demaskują; zamiast podciągać się do cudzej dojrzałości, spróbujcie raczej ujawnić niedojrzałość Europy. Postarajcie się zorganizować wasze prawdziwe odczuwanie, aby uzyskało byt obiektywny w świecie, znajdźcie teorię zgodną z waszą praktyką, stwórzcie krytykę sztuki z waszego punktu widzenia, stwórzcie obraz świata, człowieka, kultury, który by był zgodny z wami – gdy ten obraz namalujecie nietrudno wam przyjdzie malować inne. ↓

Bóg stał się pistoletem...

↔ Mój ateizm jest stokroć bliższy wierze niż ateizm XIX wieku. Dlaczego? Gdyż uznaję wiarę jako pewne rozwiązanie duszy, jako pewien styl życia, dopuszczam możliwość tego „skoku egzystencjalnego" i mówię, już nie pamiętam za kim: nie można walczyć z tym, co dusza sobie wybierze. A poza tym idee, doktryny, zasady niewiele mnie obchodzą. Patrzę na człowieka i mówię: acha, taki jesteś! Podobasz mi się, lub nie podobasz, jesteś szczery, uczciwy, rzetelny, ludzki lub – na odwrót – jesteś przerażającą szmirą i usztywnionym kretyństwem. Nie mogę być wrogiem katolicyzmu, gdyż katolik, pewien typ katolika, podoba mi się jako człowiek. Dlaczegóż miałbym zwalczać doktrynę, która stwarza takich ludzi i takie życia?

Ale tu trzeba rozróżnić. Działanie katolicyzmu na człowieka może być dwojakie. Katolicyzm bywa środkiem pogłębiania i uszlachetnienia – wówczas człowiek nie traci nic ze swej ludzkości, przeciwnie, ona staje się giętsza, chłonniejsza, potężniejsza, bardziej jeszcze trudna. Ale katolicyzm może też doprowadzić do otępienia, zastoju, sklerozy i wówczas katolik staje się okropny: doktryna zaciska się na szyi jak obroża, rodzi się błogostan zrobiony z zarozumiałej „pokory", ten człowiek już wszystko wie, więc niczego nie chce się dowiedzieć, jest sędzią w imię Najwyższego – i oto byle jejmość i byle jegomość wyrokują w pięć minut o najwyższych i zaiste krwawych osiągnięciach kultury, och, nie dlatego, aby osobiście czuli się wyżsi, ale dlatego, że są w posiadaniu prawdy objawionej. Tu katolicyzm podważa naturalną hierarchię wartości i ludzi, staje się ułatwieniem, dzięki niemu można w nim zamieszkać wygodnie, delektując się własną cnotą i lekceważąc pozostałe a bezmierne obszary trudu ludzkiego.

Ubolewam: nie zbywa nam na takich katolikach. Ten gatunek, trudno i darmo, musi być poddany masażowi. Katolicyzmowi polskiemu na gwałt trzeba dostarczyć nowych i trudnych treści, wpompować w niego całą najostrzejszą doktrynę naszego obecnego stawania się, aby on się

na niej urobił, pogłębił, oczyścił i wzmocnił. Prawda objawiona jest nieruchoma, ale katolicy muszą się ruszać. Niech katolicyzm nie będzie synekurą duchową, uchylaniem się od konfrontacji, dziecinnym lękiem przed „zgorszeniem".

Więc, moim zdaniem, literaci, jak ja, mogą być przydatni katolikom – bo my ich zmuszamy do konfrontacji ze światem. ↓ Poza tym: jakie mam zająć stanowisko wobec katolicyzmu? Nie mam na myśli mojej pracy ściśle artystycznej, gdyż tam nie wybiera się stanowisk ani postaw, sztuka stwarza się sama – ale myślę o mojej literaturze w jej kształcie społecznym, o tych tam artykułach, felietonach... Jestem zupełnie sam w obliczu tego problemu, ponieważ myśl nasza, sparaliżowana w roku 1939, nie ruszyła odtąd ani na krok naprzód w dziedzinie tych spraw fundamentalnych. Niczego nie możemy przemyśleć ponieważ nie mamy swobodnej głowy. Myśl nasza tak bardzo jest przykuta do naszej sytuacji i tak zafascynowana komunizmem, iż możemy myśleć jedynie przeciw niemu lub z nim – i *avant la lettre* jesteśmy przytwierdzeni do jego rydwanu, pokonał nas, wiążąc nas z sobą, choć cieszymy się pozorami wolności. Więc i o katolicyzmie wolno dziś myśleć jedynie jako o sile zdolnej do oporu, a Bóg stał się pistoletem, z którego pragniemy zastrzelić Marksa. To jest święta tajemnica, która chyli głowy wytrawnych masonów, z laickich felietonów wygnała dowcip antyklerykalny, poecie Lechoniowi dyktuje wzruszające strofy do Matki Boskiej, socjalistyczno-ateistycznym profesorom przywraca wzruszającą niewinność z czasów pierwszej komunii i w ogóle działa cuda, o jakich dotąd nie śniło się filozofom. Ale... jestże to triumf Boga czy Marksa? Gdybym był Marksem, byłbym dumny – ale gdybym był Bogiem, czułbym się, jako absolut, trochę nieswojo. Faryzeusze! Jeśli katolicyzm stał się wam potrzebny, to zdobądźcie się na nieco więcej powagi i próbujcie szczerze zbliżyć się do niego. Niech ten wspólny front nie będzie tylko polityką. Jestem po prostu za tym aby, cokolwiek się dzieje w naszym życiu duchowym, działo się w sposób możliwie najgłębszy i najrzetelniejszy. Nadeszła chwila w której ateiści powinni szukać nowego porozumienia z Kościołem.

Lecz zagadnienie, postawione w sposób zasadniczy, staje się natychmiast tak odstręczająco trudne, iż, doprawdy, opadają ręce. Jak mamy porozumieć się z kimś, kto wierzy, chce wierzyć i nie dopuszcza do siebie innej myśli jak tylko tę, której dogmat nie wsadzi na indeks? Czyż istnieje jakikolwiek wspólny język pomiędzy mną, który wywodzę się z Montaigne'a i Rabelego, a tą zapamiętałą w wierze korespondentką? Cokolwiek bym powiedział, ona przymierzy to do swej doktryny. W niej wszystko jest już rozstrzygnięte, gdyż ona zna ostateczną prawdę o wszechświecie – co sprawia, iż jej człowieczeństwo ma zupełnie odmienny charakter, i z mego punktu widzenia, niezmiernie dziwaczny. Aby z nią dojść do ładu musiałbym skruszyć te jej ostateczne prawdy – ale im bardziej stanę się dla niej przekonywujący, tym bardziej będę szatański i tym szczelniej ona zatka uszy. Nie wolno jej dopuszczać zwątpienia, racje moje staną się właśnie pożywką jej *credo quia absurdum*.

Tutaj zaś nasuwa się groźna analogia. Gdy rozmawiasz z komunistą – czy nie masz wrażenia, że mówisz z „wierzącym"? Dla komunisty także wszystko jest załatwione, przynajmniej w obecnej fazie dialektycznego procesu, on jest w posiadaniu prawdy, on wie. I, co więcej, wierzy, i, co więcej jeszcze, chce wierzyć. Choćbyś go przekonał, on nie da się przekonać, gdyż oddał się Partii: Partia wie lepiej, Partia wie za niego. Czyż nie wydało ci się, gdy twe słowa odbijały się od tego hermetyzmu, jak groch o ścianę, że właściwa linia podziału biegnie między wierzącymi a niewierzącymi i że ów kontynent wiary obejmuje tak skłócone kościoły jak katolicyzm, komunizm, nazizm, faszyzm... W tej więc chwili poczułeś się jak zagrożony kolosalną Świętą Inkwizycją. ↓

Aby drugi człowiek mnie nie ugryzł

A jednak nie życzę sobie, nie pragnę wojny z katolicyzmem; szczerze szukam porozumienia. I to, rzecz jasna, niezależnie od politycznej koniunktury. Wiele wody upłynęło od czasów gdy Boy atakował „czarną okupację". Nie byłem nigdy zwolennikiem zbyt płaskiego laicyzmu, a wojna i powojnie niewiele mnie zmieniły w tym względzie, raczej utwierdziły w pożądaniu świata bardziej elastycznego, o głębszej perspektywie.

Jeżeli mogę współżyć z katolicyzmem to dlatego, że coraz mniej mnie obchodzą idee, a cały nacisk kładę na stosunek człowieka do idei. Idea jest i będzie zawsze parawanem, za którym dzieją się sprawy inne i ważniejsze. Idea jest pretekstem. Idea jest narzędziem pomocniczym. Myślenie, które w oderwaniu od rzeczywistości ludzkiej, jest czymś majestatycznym i wspaniałym, rozprowadzone w masie istot namiętnych i niedostatecznych staje się niczym więcej, jak tylko wrzaskiem. Znudziły mi się głupie dyskusje. Kontredans argumentacji. Wyniosłe mądrzenie się inteligentów. Puste formuły filozofii. Rozmowy nasze byłyby wspaniałe, ach, tak, pełne logiki, dyscypliny, erudycji, metody, precyzji, zasadnicze, doniosłe, odkrywcze, gdyby nie odbywały się o dwadzieścia pięter powyżej nas. Byłem niedawno u pewnego intelektualisty na śniadaniu. Nikt by się nie domyślił, słysząc te definicje poparte tylu cytatami, że to zupełnie ślepy półgłówek, który się wyżywa w sferze wyższej.

To znużenie nie tylko mnie jest właściwe. I ono coraz bardziej zniechęca do wszelkiej wymiany myśli. Już prawie nie wsłuchuję się w treść słów, a tylko słucham *jak* one są mówione; i wymagam od człowieka jedynie tego, aby nie dał się ogłupić własnymi swymi mądrościami, aby jego światopogląd nie odebrał mu naturalnego rozumu, jego doktryna nie pozbawiła go ludzkości, jego system nie usztywnił go i nie zmechanizował, jego filozofia nie uczyniła go tępym. Żyję w świecie, który jeszcze karmi się systemami, ideami, doktrynami,

ale symptomy niestrawności są coraz wyraźniejsze, pacjent już dostał czkawki.

Niechęć, jaką odczuwam do idei jako takiej, pozwala mi znaleźć *modus vivendi* z ludźmi, którzy ją wyznają. Pytanie, które stawiam katolikom nie jest: jakiego Boga wyznają, a tylko: jakimi pragną być ludźmi? A zadając je, liczę się z niedorozwojem człowieka. W moim pojęciu oni zespolili się w grupę, podległą pewnemu mitowi, aby wzajemnie się stwarzać. Dla mnie przeto mit ma charakter pomocniczy, a ważne jest, jaki człowiek rodzi się pod jego wpływem. Ale i tu wymagania moje stały się mniej wyszukane niż dawniej, w epoce triumfującego rozumu. Dziś, gdy przyglądam się katolikowi to jakbym sobie się przyglądał – w tym zwierciadle widzę zmiany, jakie dokonały się we mnie pod działaniem surowej historii ostatnich lat. Czy domagam się dzisiaj od ludzkości aby była postępowa, zwalczała przesądy, niosła sztandar oświaty i kultury, dbała o rozwój sztuki i nauki? Zapewne... ale przede wszystkim pragnąłbym, aby ten drugi człowiek mnie nie ugryzł, nie zapluł i nie zadręczył. I tu spotykam się z katolicyzmem. Łączy mnie z nim jego przenikliwe wyczucie piekła, zawartego w naturze naszej i jego lęk przed nadmierną dynamiką człowieka. Przyglądając się katolikowi widzę, iż stałem się pod pewnymi względami ostrożniejszy. To co w dumnej dobie Nietzschego uchodziło za sprzeniewierzenie się życiu dionizyjskiemu, ta właśnie oględna polityka katolicyzmu w stosunku do sił przyrodzonych stała mi się bliższa odkąd wola życia, podniesiona do swego maksymalnego napięcia, poczęła siebie pożerać.

Bliski stał mi się Kościół w swojej nieufności do człowieka – i moja niechęć do formy, moje pragnienie wycofania się z kształtu, owo stwierdzenie „to jeszcze nie jestem ja", które towarzyszy każdej mojej myśli i uczuciu, pokrywa się z intencjami Jego doktryny. Kościół boi się człowieka i ja boję się człowieka. Kościół nie ufa człowiekowi i ja nie ufam. Kościół, przeciwstawiając doczesność wieczności, ziemi – niebo, usiłuje zapewnić człowiekowi ten właśnie dystans do jego natury, który i mnie jest konieczny. A nigdzie wyraźniej nie zaznacza się to pokrewieństwo, jak w naszym podejściu do Piękności. I ja i on – Kościół – obawiamy się piękności na tym padole łez, dążymy do jej

rozładowania, pragniemy bronić się przed nadmiernym oczarowaniem. Decydujące jest dla mnie, że i on, i ja, domagamy się rozdwojenia człowieka, on – na ludzki i boski pierwiastek, ja – na życie i świadomość. Po okresie w którym sztuka, filozofia, polityka rozglądały się za człowiekiem integralnym, jednolitym, konkretnym, dosłownym, wzrasta zapotrzebowanie na człowieka nieuchwytnego, będącego grą sprzeczności, fontanną wytryskającą z antynomii, systemem nieskończonej kompensacji. A ten kto nazwie to „eskapizmem", jest niemądry.

Dojrzewamy pomimo wszystko, gdzieś na samym spodzie. Jeżeli katolicyzm wyrządził, w moim pojęciu, wielkie szkody polskiemu rozwojowi, to ponieważ spłycił się w nas do wymiaru zbyt łatwej i zbyt pogodnej filozofii, będącej na usługach życia i jego bezpośrednich potrzeb. Z katolicyzmem głębokim, tragicznym, nietrudno porozumieć się dzisiaj literaturze, albowiem zawiera on tę treść emocjonalną, która i w nas rośnie, gdy spoglądamy na rozwydrzenie świata. Odwrót! Odwrót! Odwrót! Z chwilą gdy pojmiemy żeśmy za daleko zabrnęli, gdy zechcemy wycofać się z siebie, genialny Chrystus poda nam rękę: ta dusza, jak żadna inna, poznała sekret odwrotu. Nauka, która rozwaliła państwo rzymskie, jest sprzymierzeńcem naszym w walce o zburzenie wszystkich zbyt wyniosłych gmachów, jakie dzisiaj budujemy, o dotarcie do nagości i prostoty, do zwykłej, elementarnej cnoty.

Kryzys intelektualny, jaki przeżywamy, nie tyle może należy przypisać zwątpieniu w siłę rozumu, ile temu, że jego zasięg jest tak nieznaczny. Z przerażeniem ujrzeliśmy, że otacza nas milionowy bezmiar umysłów ciemnych, które porywają nam prawdy nasze, aby je paczyć, pomniejszać, przerabiać na narzędzie swoich namiętności; i odkryliśmy, że ilość ludzi jest bardziej decydująca, niż jakość prawd. Stąd gwałtowna w nas potrzeba języka tak prostego i zasadniczego, iżby mógł on być miejscem, na którym spotyka się filozof z analfabetą. I stąd podziw nasz dla chrześcijaństwa, które jest mądrością obliczoną na wszystkie umysły, śpiewem na wszystkie głosy od najwyższych do najniższych, mądrością, która nie musi przetworzyć się w głupotę na żadnym szczeblu świadomości. Ale, gdyby mi ktoś powiedział, że mimo to nie może istnieć żadne prawdziwe porozumienie pomiędzy

człowiekiem swobodnym duchowo a człowiekiem dogmatycznym, odpowiem: – Przyjrzyjcie się lepiej katolikom. Oni także istnieją w czasie i poddani są jego działaniu. Zmienia się niedostrzegalnie i powoli stosunek katolika do wiary. W iluż z nich zdołacie odczytać to samo, co ja przeczytałem w liście o którym mowa na początku: „Trzeba wierzyć że trzeba wierzyć. Trzeba mieć wiarę w wiarę".

Ojciec tej pani zapewne wierzył po prostu – bez wstępnych zabiegów. Lecz ona, aby uwierzyć, musi naprzód „chcieć wierzyć", wiara w niej staje się wysiłkiem. Gdy więc tej katoliczce Bóg przestaje się objawiać, gdy ona musi go sobie stwarzać – czyż nie spadamy z nieba na ziemię i czy ta wola wiary nie jest ludzka, arcyludzka? Tak to i wiara objawiona rozpoczęła, wraz ze wszystkimi ideami ludzkimi, marsz ku swoim źródłom. Więc i z tamtej strony nie tyle prawda jest przeszkodą w porozumieniu, ile wola, pragnienie narzucenia sobie pewnego kanonu, aby być kimś określonym – być kimś.

Mówię na własny użytek: mieć na uwadze ten fakt, nigdy nie tracić go z oczu, szukać punktu gdzie Boskie schodzi się z ludzkim, gdyż od tego zależy cała przyszłość mojego myślenia. Nigdy nie powinienem zapomnieć, że wiary współczesne, nawet w najgwałtowniejszych swoich przejawach, nie są już wiarą w dawniejszym tego słowa znaczeniu. Ci co chcą wierzyć różnią się bardzo od tych, którzy wierzą. Akcent położony przez współczesność na wytwarzaniu wiary dowodzi właśnie, że wiary gotowej zabrakło. Niezależnie od tego, jakie są nasze creda, wszyscy musimy przewekslować ze świata objawionego, gotowego, na świat stwarzający się – jeśli to się nie stanie, zniknie ostatnia możliwość porozumienia. ↓

Dla kogo piszę?

Jeśli dla siebie, dlaczego to idzie do druku? A jeśli dla czytelnika, dlaczego udaję że rozmawiam ze sobą? Mówisz do siebie tak, żeby cię inni słyszeli?

Jakże daleko jestem od pewności i rozmachu, które grają we mnie gdy – wybaczcie – „tworzę". Tu, na tych kartkach, czuję się jakbym z nocy błogosławionej wydostawał się na twarde światło poranka, które wypełnia mnie poziewaniem i wywleka na jaw moje usterki. Fałsz, tkwiący w samym założeniu mego dziennika, czyni mnie nieśmiałym i przepraszam, ach, przepraszam... (ale może ostatnie słowa są zbędne, może już są pretensjonalne?).

A jednak zdaję sobie sprawę, że trzeba być sobą na wszystkich piętrach pisania, to znaczy, że powinienem móc wyrazić się nie tylko w poemacie lub dramacie, ale i w zwykłej prozie – w artykule, czy w dzienniku – i lot sztuki musi znaleźć odpowiednik w sferze życia zwyczajnego, jak cień kondora kładzie się na ziemi. Co więcej, to przejście w świat codzienny z dziedziny cofniętej w najdalszą głąb, nieomal w podziemie, jest dla mnie sprawą niezmiernej wagi. Chcę być balonem, ale na uwięzi, anteną, ale uziemioną, chcę być zdolny do przełożenia siebie na język zwyczajny. Ale – *traduttore, traditore.* Tu zdradzam siebie, jestem poniżej siebie. ↔

Ale ja powinienem chwycić byka za rogi. Jestem od dzieciństwa bardzo wtajemniczony w tę sprawę, ona rosła wraz ze mną, dziś naprawdę powinienem czuć się z nią zupełnie swobodnie. Wiem i powiedziałem niejednokrotnie, że każdy artysta musi być pretensjonalny (gdyż pretenduje na cokół pomnika) ale że, zarazem, ukrywanie tych pretensji jest błędem stylu, jest dowodem złego „rozwiązania wewnętrznego". Jawność. Trzeba grać w otwarte karty. Pisanie nie jest niczym innym, tylko walką, jaką toczy artysta z ludźmi o własną wybitność. ↓

Język

Język. Nie w tym rzecz aby nie było błędów językowych – ale w tym aby błąd nie hańbił. Każdemu może się zdarzyć omyłka w pisaniu, nawet gramatyczna, nawet ortograficzna – ale jedni ubierają się w togę klasyka i tych rozkłada od razu błąd, choćby niewielki. Natomiast pisarz, który w wysłowieniu nie chce być zanadto nieskazitelny, może pozwolić sobie na wiele potknięć i nikt go za to nie pociągnie do odpowiedzialności. A zatem pisarz musi dbać nie tylko o język, ale – przede wszystkim – o znalezienie właściwego stosunku do języka. Właściwego, to znaczy, o ile się da, niekrępującego. Kiepski to stylista który pozwoli łapać się za słówka. Kiepski ten, kto jak niektóre kobiety wyrabia sobie opinię bezgrzesznego – wówczas najmniejszy grzeszek staje się skandalem.

Pisarze nazbyt delektujący się rzekomą precyzją stylu, usiłujący zaepatować jakąś nie istniejącą matematyką języka, kokietujący (szkoła Anatola France'a) „mistrzostwem" – to już nie na nasze czasy, zwłaszcza że sybarytyzm stał się niemodny. Stylista współczesny musi mieć wyczucie języka jako czegoś nieskończonego i w ruchu, nie dającego się opanować. Położy on nacisk raczej na swoje zmaganie się z formą niż na samą formę. Odniesie się do słowa nieufnie, jak do czegoś co mu się wymyka. To rozluźnienie związku pisarza ze słowem zapewnia większą śmiałość w użyciu słów.

Najważniejsze aby nadmiar teorii, zbyt przemądrzałe podejście do stylu, nie odebrały słowu jego skuteczności w praktyce, w życiu. Wszak sztuka dzieje się między żywymi, konkretnymi ludźmi – a więc niedoskonałymi. Roi się dziś od stylów, które nudzą – które męczą – które wyciągają flaki – ponieważ są tworem intelektualnej recepty, dziełem ludzi nietowarzyskich i po prostu źle wychowanych. ↓

O krytyce

Czy jest w porządku, aby autor był bezbronny wobec krytyka? Dlaczego niby mam się godzić bez protestu aby mnie sądził publicznie p. X. który, być może, posiada mniej wiedzy o życiu ode mnie, a już na pewno prawie o wiele mniejsze ma pojęcie o tym, co jest moją – nie jego – problematyką? Dlaczego to opinia p. X., która jest ostatecznie jedną więcej prywatną opinią, ma być wyniesiona na wyżynę wyroku przez sam fakt, że on pisuje w gazecie? Dlaczego mam znosić tę arogancję i impertynencję, to pośpieszne niechlujstwo mieniące się uroczyście krytyką? ↓

Jednakże krytyka ma jeszcze inny aspekt. Można ją oglądać od strony autora, ale można także spojrzeć na nią od strony publiczności – i wtedy nabiera barw jeszcze jaskrawszych skandalu, fałszu, nabierania gości. Jak rzeczy się mają? Publiczność pragnie być informowana przez prasę o książkach, które się ukazują. Stąd powstała gałąź krytyki dziennikarskiej, obsadzona przez ludzi mających styczność z literaturą. Lecz gdyby ci ludzie mieli naprawdę coś do zrobienia na terenie sztuki, gdyby w nim zapuścili korzenie, na pewno nie poprzestaliby na tych artykulikach – więc nie, to są prawie zawsze drugo- i trzeciorzędni literaci, osoby pozostające tylko w luźnym, raczej towarzyskim, stosunku ze światem ducha, osoby nie będące na poziomie sprawy, którą mają referować. I na tym właśnie polega największa trudność, która nie da się pominąć, z której rodzi się cały skandal krytyki i jej niemoralność. Pytanie jest takie: w jaki sposób człowiek niższy może krytykować człowieka wyższego, oceniać jego osobowość, wartościować jego pracę – w jaki sposób to może stać się, nie stając się jednocześnie absurdem.

Przenigdy panowie krytycy, przynajmniej polscy, nie poświęcili tej delikatnej kwestii ani pięciu minut uwagi. A jednak Iksiński, osądzający człowieka tej klasy, na przykład, co Norwid, umieszcza siebie w sytuacji karkołomnej, niemożliwej. Gdyż, aby sądzić Norwida, musi być powyżej Norwida – a jednocześnie jest poniżej Norwida. Ten zasadniczy fałsz

wywołuje nie kończący się łańcuch dalszych fałszów. I krytyka staje się właśnie zaprzeczeniem wszystkich swoich najgórniejszych pretensji.

Witold Gombrowicz z Dominikiem de Roux, Vence, 1968 r.

Chcą być sędziami sztuki? Ale do tej sztuki musieliby naprzód dotrzeć, oni są w przedpokoju, brak im dojścia do stanów duchowych, z których ona powstaje i nic nie wiedzą o jej natężeniu.

Chcą być metodyczni, fachowi, obiektywni, sprawiedliwi? Lecz oni sami są triumfem dyletantyzmu, wypowiadając się na tematy, których nie są w stanie opanować: są przykładem najbardziej nieprawnej uzurpacji.

Stróże moralności? Lecz moralność zasadza się na hierarchii wartości, a oni właśnie są kpiną z hierarchii, sam fakt ich istnienia jest esencjonalnie niemoralny. Wszak niczym się nie wykazali, niczym nie udowodnili że mają prawo do tej roli. Tyle tylko – że redaktor pozwala im pisać. Oddając się pracy niemoralnej, która polega na wypowiadaniu tanich, łatwych, pospiesznych sądów bez pokrycia, pragną osądzać moralność ludzi, którzy życie swoje wsadzili w sztukę.

Chcą oceniać styl? Lecz oni sami są parodią stylu, uosobieniem pretensjonalności; do tego stopnia są złymi stylistami, iż nie razi ich nieuleczalny dysonans owego przeklętego „powyżej" i „poniżej". Nie mówiąc już o tym, że piszą pośpiesznie i niechlujnie; to brud najtańszej publicystyki...

Nauczyciele, wychowawcy, kierownicy duchowi? W istocie, oni nauczyli czytelnika polskiego tej prawdy o literaturze, że ona jest czymś w rodzaju szkolnych wypracowań, pisanych po to aby belfer mógł postawić stopień; że twórczość nie jest grą sił, nie dających się w pełni skontrolować, wybuchem energii, pracą stwarzającego się ducha, lecz tylko coroczną „produkcją" literacką wraz z nieodłącznymi recenzjami, konkursami, nagrodami i felietonami. Są to mistrzowie trywializacji, artyści w przemienianiu ostrego życia w nudną papkę, gdzie wszystko jest mniej więcej równie mierne i nieważne. ↓

Zarozumialec? Megaloman? Słuchajcie, hipopotamy: ja się nie skarżę, że wasza profesorska czy felietonowa głupota szkalowała bez przerwy moją pracę pisarską, która jak dziś się okazuje, jest coś warta. Zrobiliście, co mogli żeby zepsuć mi życie i po części to się wam udało. Gdyby nie wasza płaskość, płytkość, mierność, nie byłbym może przymierał głodem przez wiele lat w Argentynie, a i inne upokorzenia byłyby mi oszczędzone. Stanęliście pomiędzy mną a światem – grono nieomylnych belfrów i publicystów – pacząc, wykrzywiając, fałszując wartości i proporcje. Dobrze, pal was sześć, to wam przebaczam! I nie oczekuję, że któryś z was wybełkocze dzisiaj coś w rodzaju cichego „przepraszam", zbyt dobrze wiem czego można oczekiwać od takich, jak wy, figlarzy.

Ale jak przebaczyć, że zdołaliście zwyciężyć mnie w moim nad wami końcowym zwycięstwie? Tak. Pocieszcie się. Zwyciężyliście w klęsce swojej. Gdyż sprawiliście, że sukces mój przyszedł za późno... o dziesięć, dwadzieścia lat... gdy zanadto już jestem bliski śmierci i ona zaraża mi klęską nawet triumf... nie jestem już, wiecie, dość jurny aby się nacieszyć rewanżem. Triumf? Megaloman – zarozumialec? Ależ wy nawet tego mnie pozbawiliście – nie mogę rozkoszować się ani moim wywyższeniem, ani waszą porażką – jak to wybaczę? ↓

Dziennik

Dzięki Ci też, Najwyższy, za *Dziennik*. Jednym z najdramatyczniejszych momentów mojej historii był ten ↔ gdy rodziły się pierwsze fragmenty *Dziennika*. O, drżałem wtedy! Porzuciłem język groteskowy moich dotychczasowych utworów, jak się zdejmuje pancerz – tak bezbronny się czułem w dzienniku, taki strach mnie brał, że w tym słowie prostym wypadnę blado! Czyż nie był to czwarty mój debiut, najniebezpieczniejszy? Ale potem! Jakaż pewność, gdy okazało się, że od biedy mogę komentować siebie – tego mi było trzeba, stać się własnym swoim krytykiem, glosatorem, sędzią, reżyserem, odebrać tamtym mózgom moc wyrokowania… wówczas dokonała się moja niezależność!

Wiele zawdzięczam kilku piórom, które mnie poparły, począwszy od znakomitego dzisiaj Brunona Schulza. Ale dopiero, gdy rozpisałem się w *Dzienniku*, poczułem, że i ja mam pióro w garści – cudowne uczucie, którego nie dostarczyła mi *Ferdydurke*, ani inne utwory artystyczne, piszące się same z siebie… jakby poza mną… Od tej chwili pióro zaczęło mi służyć… Było to tak, jak gdybym towarzyszył mojej sztuce aż tam, gdzie ona zapada się w cudze istnienia, stając mi się wrogą. ↓

Ja… z moim życiem… Gdyby usunąć z dziennika Gide'a biżuterię nazwisk znakomitych, wątpię aby miał wielu nabywców… Gdzież są moje spotkania z d'Annunziem, albo rozmowy z Claudelem, ja widywałem się w kawiarni Rex z moim przyjacielem Eislerem, z którego miałem dochód bijąc go w szachy. Moje życie szare… ↔ Moje życie ukryte było niedociągnięte, nie miało ostrości, barwy, którymi tryskają pamiętniki autentycznych włóczęgów. Musiałbym nadrabiać, sztukować. Czym tedy nafaszerować ten dziennik? Intelektualnymi smakołykami w rodzaju, dajmy na to, paraleli między św. Janem od Krzyża a Erazmem z Rotterdamu? Nie, to nie moja specjalność. Żeby chociaż to mogło być nihilistyczne, apokaliptyczne, albo polityczne… Ale nic. Pusty sklepik. ↔ Dlatego właśnie uważam, że literatura jest nieheroiczna, wszystko w niej odbywa się z wolna i nieznacznie, granice, nawet najtrudniejsze do pokonania, są zatarte. ↔ Miałem już

za sobą z dziesięć opowiadań, dwie sztuki teatralne, jedną powieść. I jeśli żywiłem nadzieję, u początku mojego pisania, że powoli stanę się bardziej dostępny i zrozumiały, to teraz już jasne stawało się, że ludzie wciąż nie wiedzą, jak mnie czytać, czego we mnie szukać. ↔ Utwór artystyczny aspiruje do jedyności, a krytyka, nawet najlepsza, z natury swojej kataloguje, klasyfikuje, niweluje, roztapia w ilości, w produkcji. To jest wbrew samej istocie sztuki, dlatego jest niemiłe i brzmi jakoś niemądrze. I nie wynaleziono dotąd sposobu, by pan X, niewysoki duchem, nie przybierał tonu sędziego pisząc w gazecie artykulik o Homerze – to także razi. Nie ma chyba artysty, który by nie połapał się w końcu, że krytyk to wróg, nawet gdy chwali. Mnie tam, wtedy, w Argentynie, nad rzeką olbrzymią, samotność cmentarna gniotła. Sztuka dzisiejsza staje się, niestety, coraz trudniejsza. Ja byłem trudny. Już w *Ferdydurke* wziąłem na siebie rolę komentatora, żeby jakoś ułatwić czytanie, ale te komentarze okazały się niewystarczające. ↔ Co robić? Czy w tej sytuacji mogłyby wystarczyć delikatne glossy i subtelne interpretacje, przeznaczone dla wyższego *milieu*? Nie – wiedziałem – nikt nigdy mną się nie zainteresuje, póki nie wyjdę poza obręb sztuki, nie odezwę się zwykłym głosem, nie wprowadzę ludzi w moje zwyczajne sprawy. Nowatorzy paryscy mogli pozwolić sobie na ekskluzywność. Ja nie. Mnie nic nie izolowało od ulicy, od masy, nie miałem salonu. ↔ I ujrzałem siebie w opozycji najostrzejszej ze wszystkimi tendencjami powojennymi, które wyklęły „ja". To „ja" zostało ekskomunikowane przez Kościół, jako niemoralne, przez Naukę, jako sprzeczne z obiektywizmem, przez Marksizm, przez wszystkie prądy epoki, domagające się od człowieka by wzgardził tym swoim egoistycznym, egocentrycznym, przestarzałym, antysocjalnym „ja". Zewsząd rozlegały się surowe upomnienia: jesteś niczym, zapomnij o sobie, żyj innymi! Gdym moje „ja" po raz czwarty napisał, poczułem się jak Anteusz ziemi dotykający! Grunt odnalazłem pod nogami! ↔ Szczerość... ↔

Niczego nie lękam się bardziej, jako pisarz. Naiwna, prostolinijna szczerość w literaturze jest do niczego. I oto znów jedna z dynamicznych antynomii sztuki: im bardziej jest się sztucznym, tym bardziej można być szczerym, sztuczność pozwala artyście na zbliżenie

się do prawd wstydliwych. A co do *Dziennika*... ↔ Dziennik „szczery" to właśnie dziennik skłamany, ponieważ szczerość nie jest z tego świata. I przecież szczerość to nudziarstwo. To nieefektowne! ↔ Mój *Dziennik* to groch z kapustą i prawie każde zdanie kilku bogom naraz służy. Gdy zastanawiam się nad *Dziennikiem*, próbuję zrozumieć, dlaczego to moje zwyczajne „ja", raz wypuszczone na wolność, taką agresywność wykazało. ↔ Czy nie dlatego, że to moje „ja" było tak maleńkie za olbrzymim oceanem, marginesowe, anonimowe, prywatne? Pisałem na wariata. Nie miałem nic do stracenia. Mogłem wypisywać, co mi się zachciało, bo nikt się tym nie przejmował. ↔ To że moja naturalna skłonność do egzystencji prywatnej, wyłącznie na własny rachunek, znalazła nagle poparcie w mojej sytuacji społecznej, w moim argentyńskim wygnaniu i odosobnieniu, to właśnie było u korzenia agresji, jaką stał się *Dziennik* prawie mimowolnie. Byłem niczym, więc mogłem pozwolić sobie na wszystko. ↔

Witold Gombrowicz, Royaumont, czerwiec 1964 r.

Ja ze wsi jestem i to też coś niecoś na moich inklinacjach zaważyło. Mój *Dziennik* to wdarcie się w kulturę europejską wieśniaka, czy szlachcica, szlachcica polskiego ze wsi, z nieufnością wieśniaka, z chłopskim zdrowym rozumem, z chłopskim realizmem. Ja to wyniosłem z domu i ten styl szlachecki jest czymś niesamowicie odpornym, wciąż jestem, pomimo tylu lat obczyzny i miasta, tym polskim hreczkosiejem z prowincji. Zanotowałem kiedyś w *Dzienniku*, że w młodości byłem z intelektualistami – żeby ich zdenerwować – obywatelem ziemskim, a z moją rodziną i sąsiadami – żeby ich zdenerwować – artystą, cyganem, intelektualistą. Zanotowałem też, że jak tak po kulturze spaceruję, jak szlachcic po sadzie na swoim folwarku i próbując gruszki, albo śliwki, mówię: ta dobra, a ta nie smakuje... Nie przeczę, taka sybarytyczno-pańska przechadzka po sadzie może zdenerwować, a już najbardziej tych co tworzą, produkują, spalają się na ołtarzu wyższych wartości; ale jeśli mój dziennik może przydać się na co, to głównie jako przeciwstawienie wiejskiego rozluźnienia tym wszystkim natężeniom, piętrzącym się bez wytchnienia w łonie milionowych stolic Europy i Ameryki.

Mógłbym określić siebie jako szlachcica polskiego, który odkrył swoją rację bytu uniwersalną w tym, co nazywam dystansem do formy (więc i do kultury). Szlachcic polski – zjawisko nieco anachroniczne – nie cieszy się na ogół sympatią świata. Tym lepiej! W to mi graj! Pokażę, jaką siłę może mieć szlachecka krytyka wartości!

Co jest moją siłą? Ależ to, że wszystko w życiu jest takie sobie... byle jakie... niezupełne... pomieszane... niedostateczne... Że to jest prawdziwy język życia, a nie ten wypolerowany, wysilony, wywindowany, jakim wy operujecie! ↔ Awangarda robiona przez szlachcica w miarę konserwatywnego jest może bardziej godna zaufania. Nie jest zdrowo, gdy fryzjer jest akurat taki jak wszyscy fryzjerzy, bardziej trafia do przekonania, gdy fryzjer ma opinie i sposób zachowania się pułkownika, a pułkownik upodabnia się do farmaceuty. Lepiej dla sztuki, żeby nie wywodziła się bezpośrednio z gremium, do którego należy autor. Jeszcze raz powtórzę, łączenie przeciwieństw jest najlepszą metodą twórczą.

I nie widzę dlaczego szlachcic nie miałby być najnowocześniejszym człowiekiem świata... jeśli potraktuje siebie w sposób naprawdę nowoczesny.

Wejdź w sferę snu

Osobom, interesującym się moją techniką pisarską, przekazuję następującą receptę.

Wejdź w sferę snu.

Po czym zacznij pisać pierwszą lepszą historię, jaka ci przyjdzie do głowy i napisz ze 20 stron. Potem przeczytaj.

Na tych 20 stronach znajdzie się może jedna scena, kilka pojedynczych zdań, jakaś metafora, które wydadzą ci się podniecające. Napisz więc wszystko jeszcze raz, starając się aby te podniecające elementy stały się osnową – i pisz, nie licząc się z rzeczywistością, dążąc tylko do zaspokojenia potrzeb twojej wyobraźni.

Podczas tej powtórnej redakcji wyobraźnia twoja przyjmie już pewien kierunek – i dojdziesz do nowych skojarzeń, które wyraźniej określą teren działania. Wówczas napisz 20 stron dalszego ciągu, idąc wciąż po linii skojarzeń, szukając zawsze pierwiastka podniecającego – twórczego – tajemniczego – objawicielskiego. Potem napisz wszystko jeszcze raz. Tak postępując ani się spostrzeżesz, kiedy wytworzy ci się szereg scen kluczowych, metafor, symboli (jak w *Trans-Atlantyku* „chodzenie", „pusty pistolet", „ogier" lub w *Ferdydurke* „części ciała") i uzyskasz szyfr właściwy. I wszystko zacznie ci się pod palcami zaokrąglać mocą własnej swojej logiki, sceny, postacie, pojęcia, obrazy zażądają swego dopełnienia i to, co już stworzyłeś, podyktuje ci resztę.

Jednakże cała rzecz w tym, abyś, poddając się w ten sposób biernie dziełu, pozwalając aby stwarzało się samo, nie przestał ani na chwilę nad nim panować. Zasada twoja w tym względzie ma być następująca: nie wiem dokąd dzieło mnie zaprowadzi ale, gdziekolwiek by mnie zaprowadziło, musi wyrażać mnie i mnie zaspakajać. Zaczynając *Trans-Atlantyk* nie miałem pojęcia o tym, że on doprowadzi mnie do Polski, gdy jednak to się stało postarałem się aby nie kłamać – aby kłamać jak najmniej – i aby wyzyskać tę okazję dla wyładowania się i wyżycia... I wszystkie problemy, które nasuwa ci takie samorodne i na oślep

stwarzające się dzieło, problemy etyczne, stylu, formy, intelektu, muszą być rozwiązywane z pełnym udziałem twojej najostrzejszej świadomości oraz z maksymalnym realizmem (gdyż wszystko to jest grą kompensacji: im bardziej jesteś szalony, fantastyczny, intuicyjny, nieobliczalny, nieodpowiedzialny, tym bardziej musisz być trzeźwy, opanowany, odpowiedzialny).

W rezultacie: pomiędzy tobą a dziełem powstaje walka, taka jak pomiędzy woźnicą a końmi, które go ponoszą. Nie mogę opanować koni, lecz muszę dbać abym się na żadnym zakręcie tej jazdy nie wywrócił. Dokąd zajadę – nie wiem, lecz muszę zajechać cało. Więcej – muszę przy sposobności wydobyć całą rozkosz z tej jazdy.

I w ostatecznym rezultacie: z walki pomiędzy wewnętrzną logiką dzieła, a moją osobą (gdyż nie wiadomo: czy dzieło jest tylko pretekstem abym ja się wypowiedział, czy też ja jestem pretekstem dla dzieła), z tego zmagania rodzi się coś trzeciego, coś pośredniego, coś jakby nie przeze mnie napisanego, a jednak mojego – nie będącego ani czystą formą, ani bezpośrednią moją wypowiedzią, lecz deformacją zrodzoną w sferze „między": między mną a formą, między mną a czytelnikiem, między mną a światem. Ten twór dziwny, tego bastarda, wsadzam w kopertę i posyłam wydawcy. ↓

Nazywano mnie „żydowskim królem”

Kiedy wstąpiłem na wydział prawny Uniwersytetu Warszawskiego – było to w roku pańskim 1923 – ruch nacjonalistyczny i antysemicki wśród młodzieży był daleki od smutnych rekordów, osiągniętych na krótko przed wojną. W ciągu całego mojego pobytu na uniwersytecie nigdy nie zdarzyło mi się być świadkiem wybryków antysemickich – ale, co prawda, rzadko na uniwersytet zaglądałem, ograniczając się do studiowania w domu, ze skryptów.

Od razu zawiązałem bliższe stosunki z kilkoma kolegami semickiego pochodzenia, z którymi przygotowywałem się do egzaminów. Był to pierwszy mój intelektualny kontakt z Żydami. Uderzyło mnie, przede wszystkim, jak bardzo ci koledzy różnili się od Aryjczyków pod względem informacji o świecie i ludziach. Moje rozmowy z Aryjczykami były spokojne i na ogół niczego się od nich nie dowiadywałem, czego bym sam już nie wiedział – tak bardzo dysponowaliśmy tymi samymi źródłami informacji w postaci gazet, książek, komentarzy rodzinnych etc. A od Żydów dowiadywałem się, na przykład, o możliwości kryzysu w Stanach, o perspektywach trockizmu, o poecie Przybosiu – rzeczach nieraz zupełnie egzotycznych, jakby ci Żydzi mieli osobną, własną prasę. Robiłem sceptyczną minę i udawałem, że niewiele mnie to obchodzi, ale naprawdę nadstawiałem ucha wyczuwając że to sprawy wcale niebłahe.

Ci koledzy Żydzi od razu powzięli do mnie sporą sympatię. Wydaje mi się, iż sekret mego powodzenia u Żydów na tym polegał, że nie robiłem żadnych koncesji, przeciwnie nawet z wrodzoną przekorą akcentowałem w sobie wszystkie moje cechy aryjskie, wiejskie, szlacheckie. Już znacie tę moją politykę... Otóż Żyd, moim zdaniem, ma słabość do szlachcica polskiego, gdyż szlachcic go śmieszy, bawi, gdyż wobec szlachcica on sam czuje się bardziej Żydem, czyli sobą, i to pozwala mu istnieć barwniej, intensywniej. Jeśli tedy, jak w tym wypadku, nie kryła się w tej gierce mojej żadna antypatia, czy duma, owszem, raczej uznanie, rozpoczynała się pomiędzy mną a nimi

doskonała zabawa, polegająca na wzajemnym rozkoszowaniu się odrębnością – a że oni mają rozwinięty zmysł humoru, więc nietrudno mi było dostrzec jak w ich oczach zapalała się iskierka dowcipu gdym do nich podchodził. Bawiliśmy się w szlachcica i Żyda, zabawą przezwyciężaliśmy ten palący problem lepiej, niżby tego mogły dokazać pedantyczne deklaracje równości i inne tym podobne inteligenckie „postępowe" wywody. ↓

Żydzi tak swoistą i wybitną mieli rolę w rozwoju polskim owych lat, że przemilczeć ich nie można. Mnie od wczesnej młodości do nich ciągnęło, lubiłem ich żywość intelektualną, niepokój duchowy, ich krytycyzm i racjonalizm, a zarazem niejednokrotnie dostarczali mi wspaniałych uciech, gdyż byli zasobni w słabości i śmiesznostki.

Mogłoby się zdawać, że moje pochodzenie szlachecko-ziemiańskie musiało we mnie zaszczepić antysemicki kompleks. Nic podobnego! W mojej rodzinie przynajmniej antysemityzm uważano za objaw ciasnoty umysłowej i nikt z nas nie był wrogo usposobiony do Żydów, choć może pozostały nam pewne przesądy natury towarzyskiej... A w ogóle ten antysemityzm szlachecki nie był groźny: potępiano „rolę destrukcyjną" Żydów, ale każdy szlachcic miał swojego starozakonnego, z którym godzinami wiódł na ganku tajemnicze rozmowy, świadczące o ustalonym od wieku współżyciu. ↔

W szkole niewiele miałem styczności z Żydami, gdyż była to szkoła arcykatolicka i konserwatywna. Jeśli uczęszczali do niej Żydzi, to tylko ze sfery plutokratycznej, garnącej się do arystokracji i zalatującej intensywnym snobizmem. Ci chłopcy byli dobrze ubrani, mieli pieniądze, uprawiali eleganckie sporty jak np. tenis, odznaczali się ogładą, jaką dają częste wyjazdy za granicę – a jednak dość było zbliżyć się do nich, wniknąć nieco w ich dom, rodzinę, aby cała ta pozorna elegancja zaczęła pękać na szwach ukazując nieprzyjemne i śmieszne kulisy. Miałem też kilku wujów, ożenionych z takimi Żydówkami z plutokracji, ale rzadko ich widywałem – o ile pamiętam, tak na oko te moje ciotki wyglądały przyjemnie i nawet dystyngowanie.

Dopiero na uniwersytecie zbliżyłem się do środowiska semickiego i od razu odkryłem jego odrębność, w której mogłem nieskończenie swobodniej się poruszać, gdyż miała w sobie coś szalonego

i wymykającego się kontroli… Odtąd moja przyjaźń z Żydami zaczęła kwitnąć i doszło w końcu do tego, że w „Ziemiańskiej" nazywano mnie „żydowskim królem", gdyż wystarczało abym zasiadł przy stoliku, a już ściągały doń rzesze Semitów; to byli wówczas najwdzięczniejsi moi słuchacze. Czy jednak tylko swoboda i śmiałość intelektualna tak mnie przyciągała w Żydach – czy ta skłonność moja nie miała bardziej specyficznego podłoża? Długiego czasu potrzebowałem i kilku napisanych książek, aby zdać sobie sprawę – co nastąpiło dopiero w ostatnich latach przed wojną – że ja poniekąd miałem z nimi jedną rzecz wspólną, a mianowicie – stosunek do formy.

Żydzi są narodem tragicznym, który w ciągu wieków wygnania i ucisku uległ wielu wypaczeniom – nic przeto dziwnego, że forma Żyda, jego wygląd, jego sposób bycia, wyrażania się, nieraz zalatuje groteską – brodaci chałaciarze z gett, ekstatyczni poeci z kawiarń artystycznych, milionerzy z giełdy, wszyscy byli w tym czy w owym groteskowi, prawie niewiarygodni, jako zjawisko… A że Żyd jest inteligentny, więc to czuje – czuje ale nie umie się z tej złej formy swojej wyzwolić – i stąd się bierze, że oni tak często siebie samych odczuwają jako karykaturę, dziwny dowcip Stworzyciela. Ten napięty stosunek Żyda do formy, to że ona tak ich dręczy, albo śmieszy, albo poniża, to że Żyd nigdy nie jest sobą w stu procentach, jak będzie sobą chłop, czy szlachcic, o formie po pokoleniach odziedziczonej, z którą się zrósł doskonale, to że Żyd zawsze musi być jakąś kompromitacją formy i jej katastrofą – to wszystko mnie w nich urzekało. Gdyż do tego ja dążyłem w mojej sztuce – do uwydatnienia zmagań człowieka z formą, żeby on pojął jej tyranię i walczył z jej przemocą.

Były to sprawy wówczas prawie nie do pojęcia dla ludzi z mego środowiska, którzy ruszali się, mówili, myśleli, czuli w trybie raz na zawsze ustalonym, po przodkach odziedziczonym. I dopiero gdy wojna i rewolucja przełamały ten rytuał i jęły ugniatać ludzi jak lalki woskowe, a wszystko co wydawało się wieczne okazało się kruche i zwiewne, te moje idee nabrały siły. Ale ja już poprzednio dostrzegałem, jak często w odniesieniu do Żydów właśnie te suwerenne i dumne maniery ludzi mojej sfery załamywały się w sposób godny pożałowania. Żydzi

wydawali się elementem kompromitującym, wobec którego nie można było właściwie się zachować. ↓

Ale na dobre pokumałem się z nimi dopiero gdym wszedł w literaturę i rozpoczął conocne urzędowanie w kawiarniach artystycznych stolicy.

Wtedy już wyraźnie pokazało się, że istnieje pomiędzy nami związek duchowy wcale nie powierzchownej natury. Któż mnie popierał, któż o mnie walczył na terenie literackim, jeśli nie oni? Któż pierwszy odważył się rzucić cały swój entuzjazm na szalę wzbierającej dyskusji o *Ferdydurce*, jeśli nie wielki i nieodżałowany mój przyjaciel, Bruno Schulz? Któż mnie torował drogę w Polsce przedwojennej i powojennej, jeśli nie Artur Sandauer? A na emigracji – kto mnie popierał poza Józefem Wittlinem? Żydzi zawsze i wszędzie byli pierwsi w zrozumieniu i odczuciu mojej pracy pisarskiej. Tak wyraźnie to się zaznaczało, iż czasem zastanawiałem się, czy we mnie jaka kropla ich krwi nie płynie – ale cóż, jestem blondyn i nos mam słowiański, a też żadnego przodka Izraelity po najdalszej kądzieli doszukać się nie mogłem. A jednak – może dlatego, że po matce wywodziłem się z rodziny zasobnej w rozmaite aberracje psychiczne – miałem w sobie coś z ich dekadencji i ich rozumu.

Nigdy wszakże moje stosunki z Żydami intelektualne, czy nawet duchowe, nie wchodziły na tory osobistej przyjaźni. Schulz był mi osobą niezmiernie bliską, godzinami rozprawialiśmy na temat pasjonujących nas zagadnień sztuki, a przecież z pierwszym lepszym pociotkiem ze wsi byłem stokroć bardziej zżyty, mnie egzystencja prywatna Schulza nie interesowała; był dla mnie świadomością i wrażliwością *in abstracto*. ↓

Od śmierci Piłsudskiego poczęły już wyraźnie dawać się we znaki objawy rozkładu. Ta Polska, która ledwie kilkanaście lat sobie liczyła, nie miała wypracowanych zasad, instytucji, norm postępowania, ta cała demokracja jeszcze nie weszła w krew narodowi. Póki więc nad panoramą życia politycznego a nawet duchowego górowała silna osobowość Marszałka, wszystko nieźle trzymało się kupy. I tym lepiej, że Piłsudski był jak najdalszy od wszelkiej teorii, nikt dobrze nie wiedział jakie są jego pryncypia, natomiast wzbudzał zaufanie jako

człowiek bezinteresowny a zdolny, genialny może, może nawet opatrznościowy.

Gdy umarł poczuliśmy się trochę jakby wiatr zerwał nam dach nad głową. A właśnie w Europie stawało się coraz burzliwiej... Nie będę opisywał procesu rozkładowego, któremu nie my jedni zostaliśmy poddani, ograniczę się do kilku osobistych doświadczeń które wydają mi się charakterystyczne dla Polski.

O ile sobie przypominam, zaczęło się od zdziwienia... Myślę, że chyba bardzo trudno byłoby wytłomaczyć nowemu pokoleniu, jak dalece my wtenczas byliśmy zdziwieni... Ton i treść tego, co wprowadzali w Europę Hitler z Mussolinim wydawały się naprawdę czymś fantastycznym. My byliśmy przecież na sto procent pewni, że postęp to wolność indywidualna, poszanowanie prawa, demokracja, demilitaryzacja, pacyfizm. Liga Narodów, no i kultura, sztuka, nauka... A tu naraz zaczęły dochodzić nas słuchy o teoriach prawie średniowiecznych, faktach, które uważaliśmy już za niemożliwe w naszym stuleciu. Renesans wojowniczości niemieckiej, najazd Abisynii, wojna w Hiszpanii, ale przede wszystkim tysiąc drobnych zdarzeń, świadczących że spora część Europejczyków zaczyna być dziwnie odmienna prawie egzotyczna.

Było to dla nas, w Polsce, tym dziwniejsze, że uchowano nas z dala od dramatycznych napięć Europy. Nie orientowaliśmy się mianowicie w naporze komunizmu. Komunizm rosyjski był dla nas czymś niemrawym i raczej dzikim, azjatyckim, karmiono nas wiarą, że kolos rosyjski wciąż stoi na glinianych nogach. W Polsce zorganizowana akcja czerwona prawie się nie zaznaczała, a zagrożenie Niemiec czy Włoch potężnymi ruchami rewolucyjnymi też nie było nam dostatecznie znane. Oddawaliśmy się iluzji, że Europa jest słoneczną łąką, gdy w rzeczywistości był to kocioł, grzany ogniem rewolucji, i znajdujący się pod ciśnieniem tysięcy atmosfer.

W naszym kółku literackim wkrótce pojawiły się pierwsze jaskółki tej korupcji zagranicznej, z Zachodu idącej. Zaczęło się oczywiście od antysemityzmu – ale ten antysemityzm też był jakiś z nieprawdziwego zdarzenia i okropnie szmirowaty. ↓

Bezmiary zbrodni, dokonanej na Żydach, i mnie przeszyły na wskroś i na zawsze. Wolałem jednak nie zamieszczać tego w liście. Napisałbym – ale w liście do antysemity.

Lecz muszę także zaznaczyć, że owo łapanie za słówka niezbyt trafia mi do przekonania. W tym jest uraz – właśnie ze względu na powagę tragedii – niepoważny. A nawet posunę się dalej i powiem, że Żyd zbyt uporczywie domagający się aby go traktowano „jak człowieka", to jest, jakby niczym nie różnił się od innych, wydaje mi się Żydem nie dość świadomym swojego żydostwa. Żądając tej równości, oni mają rację – to słuszne, to zrozumiałe – ale to nie na miarę ich rzeczywistości. Zbyt proste, zbyt łatwe...

Nie podoba mi się w Żydach, gdy nie są na wysokości swego powołania. Ileż razy zdumiewało mnie, gdym w rozmowach, i to z rozumnymi Żydami, natrafiał na taką małostkowość w ocenie własnego losu. Dlaczego świat nie lubi Żydów? Ależ dlatego, że są zdolniejsi, mają pieniądze, stwarzają konkurencję. Dlaczego świat nie chce uznać, że Żyd to taki sam człowiek, jak inni? Ależ to kwestia propagandy, przesądów rasowych, braku oświecenia...

Gdy słyszę z ust tych ludzi, że naród żydowski jest jak inne, odczuwam to mniej więcej jak gdybym słyszał Michała Anioła twierdzącego, że niczym od nikogo się nie różni, Szopena, domagającego się „normalnego" życia, Beethovena, zapewniającego że i on ma prawo do równości. Niestety! Ci, którym dano prawo do wyższości, nie mają prawa do równości.

Nie ma narodu bardziej oczywiście genialnego – i mówię to nie tylko dlatego, że oni zawarli w sobie najważniejsze inspiracje świata, że co chwila wybuchają jakimś wiekopomnym nazwiskiem, że wycisnęli pieczęć swoją na dziejach. Geniusz żydowski jest oczywisty w samej swojej strukturze, to jest w tym, że podobnie jak genialność indywidualna, jest najściślej połączony z chorobą, upadkiem, poniżeniem. Genialny, dlatego że chory. Wyższy, gdyż poniżony. Twórczy, bo anormalny. Ten naród, jak Michał Anioł, Szopen i Beethoven jest dekadencją, która przetwarza się w twórczość i postęp. Ten naród nie ma łatwego dostępu do życia, jest w niezgodzie z życiem – dlatego staje się kulturą.

Nienawiść, pogarda, lęk, niechęć, jakie wzbudza w innych narodach ten naród, są z tego samego gatunku co uczucia, które wywoływał w wieśniakach niemieckich chory, głuchy, brudny, histeryczny, gestykulujący Beethoven podczas swoich przechadzek. Droga krzyżowa Żydostwa jest z natury swojej ta sama, co droga Szopena. Historia tego narodu jest tajną prowokacją, podobnie jak biografie wszystkich wielkich ludzi – prowokacją losu, ściąganiem na siebie wszystkich klęsk, jakie mogą przyczynić się do spełnienia misji... narodu wybranego. Jakie moce życia wywołały ten fakt straszliwy, nie wiadomo – ci, którzy są nim, którzy go stanowią, niech ani na chwilę się nie łudzą, że z tych przepaści zdołają wydostać się na gładką równinę.

I ciekawe, że życie choćby najpospolitszego, najzdrowszego Żyda, jest jednak zawsze, w pewnej mierze, życiem człowieka wybitnego: choć zdrowy, zwykły, niczym nie różniący się od innych, jest jednak odmienny i traktowany inaczej, musi być odosobniony, jest – choćby nie chciał – na marginesie. Więc można powiedzieć, że nawet przeciętny Żyd skazany jest na wielkość, dlatego jedynie, że jest Żydem. Nie tylko na wielkość. Jest skazany na samobójczą i rozpaczliwą walkę z własną formą, gdyż nie lubi siebie (jak Michał Anioł).

Więc tej grozy nie załatwicie, wyobrażając sobie że jesteście „zwykli" i karmiąc się idylliczną zupką humanitaryzmu. Oby jednak walka z wami stała się mniej podła. Co do mnie – blask od was bijący nieraz mnie oświecił i wiele mam wam do zawdzięczenia. ↓

A i to trzeba wyznać, że ludziom, jak ja, o wiele trudniej oprzeć się komunizmowi, gdyż złączeni są z nim całą swoją tendencją myślową do tego stopnia, iż ta myśl komunistyczna jest prawie ich własną myślą – która gdzieś, w jakimś jednym punkcie, zniekształca się i odtąd staje się obca i wroga. Nietrudno być pogromcą komunizmu gdy się wierzy w Trójcę Św. Nietrudno – gdy się oddycha minioną pięknością. Łatwo – gdy się jest wiernym eksponentem swego środowiska, gdy się jest hrabią, kawalerzystą, ziemianinem, handlowcem lub przemysłowcem, inżynierem lub lekarzem, członkinią Stowarzyszenia Ziemianek, konserwatystą lub finansistą, Sienkiewiczem lub antysemitą. Ale ja? Ja domagający się ludzkości bez fetyszów, ja, „zdrajca" i „prowokator" w mojej „sferze", ja, dla którego kultura współczesna jest mistyfikacją...

gdy ręka moja zdziera z mej twarzy i z innych oblicz maski, gdy to samo pragnienie niefałszowanej rzeczywistości żyje we mnie i tak intensywnie, gdy kocham te bolesne narodziny nowego świata i witam go, torującego sobie ścieżki już od dwustu prawie lat, zdobywającego jedną pozycję za drugą… jakżeż mogę być w sprzeczności z komunizmem? Sądzę, doprawdy, iż na własny rachunek i może w sposób bardziej własny i autentyczny niż wielu z nich, komunistów, przebyłem wstępne fazy tego procesu. Utraciłem w sobie Boga. Nauczyłem się myślenia bezwzględnego. Nauczyłem się, co więcej, piękność moją odkrywać w burzeniu dawnej piękności, a miłość w rozstawaniu się z dawnymi miłościami. Inne więzy, które mogły mnie krępować, natury majątkowej, towarzyskiej, socjalnej, dawno już opadły. Dziś nie ma czci, ani autorytetu, ani przywiązania, które by mnie hamowały, jestem wolny, wolny i etcetera wolny! ↓

Dlaczego odrzucam komunizm?

Mógłbym wysunąć przeciw komunizmowi pewne zarzuty natury intelektualnej.

Filozofia ta z wielu względów nie trafia mi do przekonania – przede wszystkim zaś dlatego, że, w moim pojęciu, komunizm jest nie tyle problemem filozoficznym lub etycznym, ile technicznym. Mówicie, iż na to, aby duch zaczął prawidłowo funkcjonować, potrzeby ciała muszą być zaspokojone? Twierdzicie, że wszystkim zapewnić trzeba minimum dobrobytu? Gdzież gwarancja, jednak, że system wasz zdoła zapewnić dobrobyt? Czy mam jej szukać w Rosji Sowieckiej, która dotąd nie może się wyżywić bez pracy niewolników – czy w waszych rozumowaniach, gdzie mowa o wszystkim, lecz nie o technicznej sprawności systemu? Jeżeli komunizm jest materializmem i poprzez zmianę warunków materialnych chce wpłynąć na ducha, dlaczegóż tyle prawicie mi o duchu a tak mało o tym, w jaki sposób byłoby możliwe owo przezwyciężenie materii? Dyskusja, która powinna się toczyć między specjalistami od produkcji i organizacji, przewekslowana została na tory ogólne, jak gdyby chodziło o jakąkolwiek zwykłą filozofię. Ale póki nie zostanie wyjaśniona możliwość techniczna komunizmu, wszelkie inne rozważania są tylko marzeniem.

Lecz gdyby nawet czarno na białym z waszych kalkulacji wynikało, że system wasz podwoi czy też potroi ilość dóbr na głowę, wyzwalając człowieka z nędzy, to jednak ja osobiście nie byłbym zdolny sprawdzić tych obliczeń – gdyż ta sprawa techniczna wymaga technicznej wiedzy o świecie, której ja, nie będąc specjalistą, nie posiadam. Więc mógłbym jedynie uwierzyć wam – ale, równie dobrze, mógłbym uwierzyć innym specjalistom, których obliczenia wykazują coś wręcz przeciwnego. Mamże na tak kruchych podstawach oprzeć mój akces do rewolucji, która rujnuje całą dotychczasową organizację, stworzoną dla opanowania natury? Przełknąwszy gładko, na dodatek, wszystek gwałt, który tym poczynaniom towarzyszy? ↔

Miałbym, na gruncie intelektualnym, wiele innych argumentów przeciw komunizmowi.

Ale czy nie byłoby właściwsze z punktu widzenia mojej osobistej polityki, gdybym nie pisał o tym i nawet nie zastanawiał się nad tym?

Artysta, który da się uwieść na tereny tych spekulacji mózgowych, jest zgubiony. My ludzie sztuki, ostatnio zbyt potulnie pozwoliliśmy, aby nas wodzili za nos filozofowie i inni naukowcy. Nie potrafiliśmy być dostatecznie odrębni. Nadmierne poszanowanie dla prawdy naukowej przysłoniło nam własną prawdę – w zbyt gorącej chęci zrozumienia rzeczywistości, zapomnieliśmy, że nie jesteśmy od rozumienia rzeczywistości, lecz tylko od jej wypowiadania – że my, sztuka, jesteśmy rzeczywistością. Sztuka to fakt, a nie komentarz doczepiony do faktu. Nie do nas należy tłumaczenie, wyjaśnienie, systematyzowanie, dowodzenie. Jesteśmy słowem, które stwierdza: to mnie boli – to mnie zachwyca – to lubię – tego nienawidzę – tego pożądam – tego nie chcę... Nauka pozostanie zawsze abstrakcyjna, lecz głos nasz to głos człowieka z krwi i kości, to głos indywidualny. Nie idea, lecz osobowość jest dla nas ważna. Nie urzeczywistniamy się w sferze pojęć, lecz w sferze osób. Jesteśmy i musimy pozostać osobami, rola nasza polega na tym, aby w świecie, coraz bardziej abstrakcyjnym, nie przestało rozlegać się żywe, ludzkie słowo. Myślę więc, że literatura zanadto poddała się w tym stuleciu profesorom i że my, artyści, będziemy musieli wywołać skandal aby zerwać te stosunki – będziemy zmuszeni zachować się wobec nauki bardzo arogancko i bezczelnie, aby odeszła nam ochota do niezdrowych flirtów z formułami naukowego rozumu. Nasz własny, indywidualny rozum, nasze osobiste życie i nasze uczucia trzeba będzie przeciwstawić w najostrzejszej formie prawdom laboratoryjnym.

Może więc byłoby lepiej, abym nie usiłował zrozumieć marksizmu i pozwolił, aby to zjawisko przenikało mnie o tyle tylko, o ile jest ono w powietrzu, którym oddycham.

Ale taka ucieczka intelektualna oznaczałaby, że nie jestem w stanie oprzeć się mu jako konkretna osoba. Raczej więc muszę wejść w to obce mi królestwo, ale jak najeźdźca, który proklamuje własne prawo. To muszę powiedzieć: mnie niewiele obchodzą argumenty i kontr-argumenty, ten kontredans, w którym mędrcy gubią się równie łatwo

jak ostatni laik. Ale, mając bezpośrednie wyczucie człowieka, przyglądam się waszym twarzom, gdy mówicie, i widzę jak teoria wykrzywia wam twarz. Nie jestem powołany do stwierdzenia słuszności waszych racji – mnie o to idzie, aby wasza racja nie przemieniła wam twarzy w mordę, abyście pod jej wpływem nie stali się odstręczający, nienawistni i nie do przełknięcia. Nie jestem od kontrolowania idej, a tylko od bezpośredniego stwierdzenia jak idea wpływa na osobę. Artysta jest tym, który mówi: ten człowiek mądrze gada, ale on sam jest głupcem. Albo: najczystsza moralność płynie z ust tego człowieka, ale strzeżcie się, gdyż on sam, nie mogąc nastarczyć własnej moralności, staje się szują.

Co o tyle jest, sądzę, wartościowe, że idea w oderwaniu od człowieka nie istnieje w pełni. Nie ma innych idej, jak ucieleśnione. Nie ma słowa, które by nie było ciałem. ↓

Być konkretnym człowiekiem. Być indywiduum. Nie dążyć do przemiany świata, jako całości – żyć w świecie, przerabiając go o tyle tylko, o ile to leży w zasięgu mojej natury. Urzeczywistniać się zgodnie z moimi potrzebami – potrzebami indywidualnymi.

Nie chcę powiedzieć, że tamta myśl – zbiorowa, abstrakcyjna – że Ludzkość, jako taka, nie jest ważna. Ale musi być przywrócona równowaga. Najbardziej nowoczesny kierunek myślenia to ten, który znów odkryje pojedynczego człowieka. ↓

Skąd więc we mnie ta niechęć w stosunku do wszelkiej moralności określonej, zamkniętej w system? Z miłości do tamtej prostoty. Chcę mieć moralność luźną, moralność mojej natury, chcę zachować tę świeżość... i człowiek skonstruowany jest dla mnie w tym właśnie, w moralności, odrażająco nie na miejscu, jest śmiercią życia moralnego. Lecz cóż? Świat wokół mnie staje się coraz bardziej skonstruowany, coraz mniej podobny do szumiącego drzewa, coraz bardziej podobny do łazienki. Odstręczająca czystość, gładkość błyszcząca emalii i metalu, chłód i logika, rury i krany nad lśniącą wanną – trafnie to ktoś zauważył, bodaj w „Kulturze" – i kąpiel w tej wannie nie jest kąpielą w jeziorze. W tej ubikacji ja, zamknięty na klucz, wymiotuję. Kiedy na horyzoncie moim ukazuje się moralista współczesny typu Sartre'a, mam wrażenie że to nurek wynurzający się z głębin – ale zapomniał zdjąć skafandra.

Okropna maska, obliczona na nieludzkie ciśnienia, przykleiła mu się do twarzy. ↔

Zgadzam się, że komunizm urodził się stokroć bardziej z obrażonego poczucia moralnego, niż z pragnienia poprawy bytu materialnego. Sprawiedliwość! – oto jego krzyk. Nie mogą znieść, że jeden ma pałac a drugi – barłóg. Nie mogą znieść przede wszystkim, że jeden ma możność rozwoju a drugi nie ma – że jeden ją ma kosztem drugiego. To nie zawiść, to żądza słusznego prawa. Bynajmniej nie są tak pewni, że dyktatura proletariatu zaopatrzy każdego w domek z ogródkiem. Ale w tym rzecz, że wolą nawet ogólny, sprawiedliwy barłóg i powszechną nędzę, niż panoszący się na krzywdzie dobrobyt. Prawdziwy komunizm to męczarnia poczucia moralnego, które uświadomiło sobie krzywdę społeczną i już nie może zapomnieć – ta krzywda pożera mu wątrobę jak Prometeuszowi.

Dlaczego więc ja, mając po prawej ręce kapitalizm, którego cynizm ściszony znam, a po ręce lewej rewolucję, protest i bunt, zrodzone z najbardziej ludzkiego uczucia – dlaczego nie łączę się z nimi? Przecież zależy mi na mojej sztuce, a ona potrzebuje szlachetnej, gorącej krwi – sztuka i bunt to nieomal to samo. Jestem rewolucjonistą dlatego, że jestem artystą i o tyle, o ile nim jestem – cały ten proces tysiącletni, z którego i ja się wywodzę, usiany nazwiskami jak Rabelais lub Montaigne, Lautréamont czy Cervantes, był nieprzerwanym podżeganiem do buntu, raz w skali zniżonego szeptu to znów wybuchającym pełnym głosem. Jak się stało że mnie – który przecież wszedłem do literatury także pod znakiem buntu i prowokacji, w pełni rozumiejąc że pisanie musi być namiętne – że mnie właśnie wypadło miejsce po przeciwnej stronie barykady?

Jakież względy mogły mnie skłonić do takiej zdrady mego powołania! Rozpatrzmy je. Czyżbym uważał program tej rewolucji za utopię i nie wierzył, aby mogła odmienić się niezmienność, wieczność niesprawiedliwości? Lecz jeśli od wieków sztuka prze ku tej reformie nieomal na oślep, dlaczego ja miałbym się opierać – dzisiaj, kiedy przeniknięty jestem nieskończenie silniej od nich świadomością, że ludzkość się rusza, że rusza się coraz prędzej, że bieg historii jest przyśpieszony i już nie idziemy, ale pędzimy w przyszłość. Nigdy słowo

„niezmienność” nie było mniej na czasie. Ale, w takim razie, może przeciwstawiam się rzece wzburzonego proletariatu wsparty na racjach absolutnych, jak Bóg lub dedukcje abstrakcyjnego rozumu? Nie, ta skała usunęła mi się spod nóg, absoluty zmieszały się z materią i, w dialektycznym ruchu, myśl stała się nieczysta, uzależniona od bytu. Więc może opieram się w imię zwykłej litości, widząc ogrom zadanego przez nich cierpienia i góry trupów? Nie. Skąd! Jeśli jestem dzieckiem, to w każdym razie dzieckiem które przeszło przez szkołę Schopenhauera i Nietzschego. Mówiąc chłodno: cóż to jest ból dziesięciu milionów niewolników czy też stumilionowa trupiarnia? Gdybyście powołali do życia wszystkie ofiary udręczone dotychczasową historią, byłby to nie kończący się pochód. I czyż nie wiadomo mi, aż za bardzo, że życie z istoty swojej jest tragiczne?

W chwili, kiedy to piszę, mała jakaś rybka w pobliżu wysp Galapagos przekracza próg piekła ponieważ inna ryba pożarła jej ogon. ↓

Międzyludzkie

Chciałbym uzupełnić powyższe – muszę dodać, że doprawdy moje widzenie rzeczywistości nie jest wcale odległe od ich, komunistów, widzenia. Świat mój jest pozbawiony Boga. W świecie tym ludzie wzajemnie się stwarzają. Uzależnienie człowieka od człowieka, ujrzenie człowieka w ciągłym twórczym związku z innymi, przenikającym na wskroś, dyktującym najbardziej „osobiste" uczucie. Tak jest w *Ferdydurke* i w *Ślubie*.

To jeszcze nie wszystko. Zawsze starałem się artystycznie uwydatnić tę „sferę międzyludzkiego", która, w *Ślubie* na przykład, urasta do wyżyn siły twórczej przewyższającej świadomość indywidualną – czegoś nadrzędnego, jedynego dostępnego nam bóstwa. Tak dzieje się, ponieważ między ludźmi wytwarza się element Formy, który określa każdego człowieka z osobna. Jestem jak głos w orkiestrze, który musi dostroić się do jej brzmienia, znaleźć miejsce swoje w jej melodii; lub jak tancerz dla którego nie tyle jest ważne co tańczy, ile to by złączył się z innymi w tańcu. Stąd ani myśl moja, ani uczucie, nie są naprawdę wolne i własne; myślę i odczuwam „dla" ludzi aby zrymować się z nimi; doznaję spaczenia w następstwie tej najwyższej konieczności: zestrojenia się z innymi w Formie.

Zastosowałem, na przykład, tę myśl do sztuki, usiłując wykazać (w szkicu *Przeciw poetom* a także w tym, co kiedyś pisałem w dzienniku o malarstwie) że jest naiwnością mniemanie, jakoby zachwyt nasz wobec dzieła sztuki z nas samych pochodził: że zachwyt ten w sporej mierze nie rodzi się z ludzi, ale między ludźmi, i jest to tak jakbyśmy wzajemnie zmuszali się do zachwytu (choć nikt „osobiście" nie jest zachwycony).

Witold Gombrowicz na balkonie swojego pokoju w willi „Alexandrine", Vence, 1967 r.

Lecz z tego wynika, że dla mnie nie istnieje myśl i uczucie prawdziwie autentyczne, całkowicie „własne". Sztuczność nawet w najintymniejszych odruchach – oto żywioł istoty ludzkiej, poddanej „międzyludzkiemu". A w takim razie, dlaczego razi mnie fałsz i sztuczność człowieka, poddanego komunizmowi? Cóż mi przeszkadza uznać, że to właśnie tak, jak być powinno?

Jeszcze jedno. Uważany jestem na ogół za literata arystokratycznego – nic nie mam przeciwko temu. Któż jednak bardziej brutalnie odczuł zależność sfery wyższej od niższej? I, pytam, kto posunął się tak daleko w odczuciu, że twórczość, piękność, żywotność, cała pasja i poezja świata są w tym, że wyższy, starszy i dojrzalszy poddany jest niższemu i młodszemu? To wszystko bardzo jest moje – o ile może być moje – to jest przeżycie, które gorąco powinno było zespolić mnie z rewolucją. Dlaczego nie zespoliło? ↓

Być wieśniakiem i Polakiem (ale nie zanadto)

W moich utworach ukazałem człowieka rozpiętego na prokrustowym łożu formy, znalazłem własny język dla ujawnienia jego głodu formy i jego niechęci do formy, specyficzną perspektywą spróbowałem wydobyć na światło dzienne dystans, jaki istnieje pomiędzy nim a jego kształtem. Ukazałem w sposób chyba nie nudny, lecz właśnie zabawny, czyli ludzki, żywy, jak forma powstaje między nami, jak ona nas stwarza. Wydobyłem na jaw tę sferę „międzyludzkiego" która dla ludzi jest decydująca i nadałem jej cechy siły twórczej. Zbliżyłem się w sztuce bardziej może od wielu innych autorów do pewnego widzenia człowieka – człowieka, którego właściwym żywiołem nie jest natura, lecz ludzie, człowieka nie tylko umieszczonego w ludziach ale nimi naładowanego, natchnionego.

Starałem się ujawnić, że ostateczną instancją dla człowieka jest człowiek, nie zaś żadna wartość absolutna, i spróbowałem dotrzeć do tego najtrudniejszego królestwa zakochanej w sobie niedojrzałości, gdzie tworzy się nasza nieoficjalna a nawet nielegalna mitologia. Uwydatniłem moc sił regresyjnych, ukrytych w ludzkości i poezję gwałtu, zadawanego przez niższość wyższości.

A jednocześnie związałem ten obszar przeżycia z podłożem moim – z Polską – i pozwoliłem sobie podszepnąć inteligencji polskiej, że właściwe jej zadanie nie polega na rywalizacji z Zachodem w wytwarzaniu formy, lecz na obnażeniu samego stosunku człowieka do formy i, co za tym idzie, do kultury. Że my w tym będziemy silniejsi, bardziej suwerenni i skuteczni.

I chyba zdołałem wykazać na własnym przykładzie, że uświadomienie sobie owego „niedo" – niedokształtowania, niedorozwoju, niedojrzałości – nie tylko nie osłabia, ale wzmacnia. Iż może stać się zarodkiem nawet żywotności i rozwoju – podobnie jak na gruncie sztuki to odmienne (powiedziałbym: niechętne, lekceważące)

podejście do formy może zapewnić odnowienie i rozszerzenie środków artystycznego wyrazu. Proklamując wszędzie, gdzie się da, zasadę, że człowiek jest wyższy od swoich wytworów, dostarczam swobody, jakiej bardzo potrzebuje dzisiaj nasza pokurczona dusza. ↓

Nasze cechy narodowe

Wiem dobrze, jaką pragnąłbym mieć kulturę polską w przyszłości. Pytanie tylko, czy nie rozszerzam na naród programu, który jest tylko moją osobistą potrzebą. Ale oto on: słabość Polaka dzisiejszego na tym polega, że jest zbyt jednoznaczny, także – zbyt jednostronny; więc wszelki wysiłek powinien zmierzać do wzbogacenia go o drugi biegun – do uzupełnienia go innym Polakiem, zgoła – krańcowo – odmiennym.

Już pisałem na innym miejscu o tym naszym *alter ego*, które na gwałt domaga się głosu. Historia zmusiła nas do hodowania w sobie pewnych tylko cech naszej natury i jesteśmy nadmiernie tym czym jesteśmy – jesteśmy przestylizowani. A to tym bardziej iż, wyczuwając w sobie obecność tamtych, innych, możliwości, pragniemy je gwałtem unicestwić. Jak, na przykład, przedstawia się sprawa naszej męskości? Polakowi (w przeciwieństwie do rasy łacińskiej) nie wystarcza, iż do pewnego stopnia jest mężczyzną, chce on być mężczyzną bardziej niż jest, rzec można – narzuca sobie mężczyznę, jest tępicielem własnej kobiecości. I, jeśli się zważy że historia zmuszała nas zawsze do życia wojskowego i wojowniczego, ów gwałt psychiczny staje się zrozumiały. Tak to lęk przed kobiecością sprawia iż decyzje nasze stają się sztywne i zwracają się przeciw nam, zaznacza się w nas niezręczność osób, które obawiają się, iż nie będą na wysokości swego postulatu, zanadto „chcemy być" tacy, a nie inni, wskutek czego za mało „jesteśmy".

Jeśli przyjrzymy się innym naszym cechom narodowym (jak miłość ojczyzny, wiara, zacność, honor...) to w nich wszystkich dostrzeżemy ów przerost, wynikający stąd, że typ Polaka, jaki sobie urobiliśmy, musi tłumić i niszczyć typ, jakim moglibyśmy być, istniejący w nas jako antynomia. Ale stąd wynika, że Polak jest zubożony ściśle o połowę siebie samego, przy czym nawet ta połowa, której przyznaje się prawo głosu, nie może się ujawnić w sposób naturalny. Mniemam, że dziś właśnie nadszedł moment aby uruchomić tę drugą naszą osobowość – dzisiaj, nie tylko dlatego że musimy koniecznie stać się luźniejsi, giętsi wobec świata – także dlatego że ta operacja wymaga niezmiernej

swobody duchowej, która stała się dla nas, poza granicami kraju, możliwa – ale przede wszystkim dlatego, że to jedyny zabieg zdolny naprawdę natchnąć nas nową żywotnością, otworzyć przed nami nowe tereny.

Odkryjemy tego drugiego Polaka, gdy zwrócimy się przeciwko sobie. A zatem *przekora* powinna stać się dominantą naszego rozwoju. Będziemy musieli na długie lata oddać się przekorze, szukając w sobie tego właśnie, czego nie chcemy, przed czym się wzdragamy. Literatura? Literaturę powinniśmy mieć akurat przeciwną tej, która dotąd się nam pisała, musimy szukać nowej drogi w opozycji do Mickiewicza i wszystkich królów duchów. Literatura owa nie powinna utwierdzać Polaka w jego dotychczasowym pojęciu o sobie, lecz właśnie wyłamywać go z tej klatki, ukazywać mu to czym dotąd nie ośmielił się być. Historia? Trzeba abyśmy się stali burzycielami własnej historii, opierając się tylko na naszej teraźniejszości – gdyż właśnie historia stanowi nasze dziedziczne obciążenie, narzuca nam sztuczne wyobrażenie o sobie, zmusza abyśmy upodabniali się do historycznej dedukcji zamiast żyć własną rzeczywistością. Ale najdotkliwsze będzie: zaatakować w sobie polski styl, polską piękność, stworzyć nową mitologię i nowy obyczaj z drugiej naszej półkuli, z tamtego bieguna – rozszerzyć i wzbogacić naszą piękność w ten sposób aby Polak mógł podobać się sobie w dwóch sprzecznych ze sobą postaciach – jako ten, kim jest w tej chwili, i jako ten, który burzy w sobie tego, kim jest.

Dziś już bynajmniej nie idzie o to aby wytrwać w spuściźnie, którą nam przekazały pokolenia, idzie o to, aby ją w sobie przezwyciężyć. Marna jest ta kultura polska, która tylko wiąże i przykuwa, godna uznania i twórcza i żywa ta która wiąże i wyzwala jednocześnie. ↓

Młodość, piękność

Czyż piękność, czyż młodość nie powinny być czymś bezinteresownym, nie służącym niczemu, wspaniałym darem natury, ukoronowaniem?... Ale w kobiecie ten czar służy do płodzenia, on podszyty jest ciążą, pieluszkami, jego najwyższe urzeczywistnienie pociąga za sobą dziecko i to oznacza koniec poematu. Chłopiec zaledwie dotknie się dziewczyny, oczarowany nią i sobą z nią, już staje się ojcem, ona – matką – a więc dziewczyna to twór, który niby to praktykuje młodość a właściwie służy do likwidowania młodości.

My, śmiertelni, którzy nie możemy pogodzić się ze śmiercią i z tym aby młodość i piękność miały być tylko pochodnią przekazywaną z ręki do ręki, nie przestaniemy buntować się przeciw tej brutalnej perfidii natury. Lecz tu nie idzie o jałowe protesty. Idzie o to, iż ten morderczy stosunek kobiety do własnego dziewczęcego wdzięku ujawnia się co chwila i stąd pochodzi ta jej właściwość, iż ona nie czuje naprawdę młodości i piękności – czuje je mniej od mężczyzny. Patrzcie na to dziewczę! Jakże romantyczne... ale ten romantyzm skończy się kontraktem przy ołtarzu z tym oto grubawym adwokatem, ta poezja musi zostać zalegalizowana, ta miłość zacznie funkcjonować za pozwoleniem władzy duchownej i świeckiej. Jakże estetyczna... ale nie ma łyska, ani brzuchacza, ani suchotnika, który by był dla niej dość odrażający, ona bez trudności odda swoją piękność brzydocie i oto widzimy ją triumfującą u boku potwora, lub co gorsza u boku jednego z tych mężczyzn, będących wcieleniem drobnej obrzydliwości. To piękność, która się nie brzydzi! Piękna, ale nie posiadająca wyczucia piękności. I łatwość, z jaką myli się smak kobiety i jej intuicja w wyborze mężczyzny, sprawia wrażenie jakiejś niepojętej ślepoty i, zarazem głupoty – ona zakocha się w mężczyźnie dlatego że taki dystyngowany, albo taki „subtelny", drugorzędne wartości socjalne, towarzyskie będą dla niej ważniejsze od apolińskich kształtów ciała, ducha, tak, ona skarpetkę kocha a nie łydkę, wąsik a nie twarz, krój marynarki nie zaś klatkę piersiową. Odurzy ją brudny liryzm grafomana, zachwyci tani

patos głupca, uwiedzie szyk wykwintnisia, nie umie demaskować, daje się nabierać ponieważ sama nabiera. I zakocha się tylko w mężczyźnie ze swojej „sfery", albowiem nie wyczuwa naturalnej piękności rodzaju ludzkiego a tylko tę wtórną, będącą tworem środowiska – ach, te wielbicielki majorów, służebnice generałów, wyznawczynie kupców, hrabiów, doktorów. Kobieto! Jesteś antypoezją wcieloną!

Ale ona na własnej poezji zna się tyleż, co na męskiej – i w tym jest równie, a może bardziej jeszcze nieudolna. Gdyby te grafomanki, te złe malarki własnej krasy, nieudolne rzeźbiarki swojego kształtu, wiedziały coś niecoś o prawidłach rządzących pięknością, przenigdy nie wyrabiałyby z sobą tego co wyrabiają. Prawa, o których mówię, znane każdemu artyście, głoszą:

1. Artysta nie powinien pchać ludziom swego dzieła przed nos, krzycząc: – To jest piękne! Zachwycajcie się tym, bo jest zachwycające. Piękność w dziele sztuki winna objawiać się jakby od niechcenia, na marginesie innego dążenia – dyskretna i nienachalna.

(Ale ona natrętnie częstuje swoją urodą, godzinami udoskonalaną przed lustrem. Nie wie, co to dyskrecja. Zdradza się co chwila w swojej żądzy podobania się – więc nie jest królową, ale niewolnicą. I zamiast objawiać się jak bogini, godna pożądania, objawia się jak straszliwa niezdarność usiłująca zdobyć niedostępną urodę. Gdy młodzieniec gra w piłkę dla przyjemności, zdarza mu się, że jest piękny; ona gra w piłkę ażeby być piękna; więc gra źle ale, poza tym, ta piękność zalatuje siódmym potem, jest tak wymęczona! Ale nie koniec na tym – bo ona, mizdrząc się do szaleństwa, zawsze, wszędzie, przybiera jednocześnie minę jakby mężczyzna nic ją nie obchodził. I mówi: – ach, ja tylko tak dla estetyki! Któż uwierzy kłamstwu zbyt jawnemu?)

2. Piękność nie może opierać się na oszustwie.

(Pragnie abyśmy zapomnieli o jej brzydotach. Usiłuje nam wmówić że nie jest kobietą, to jest ciałem, które, jak wszystkie ciała, nigdy nie może być tylko piękne – które jest mieszaniną piękności z brzydotą, grą wieczystą tych dwóch elementów (i w tym piękność innego, wyższego rodzaju). Nikt nie sprawi aby pewne funkcje cielesne nie były nieczystością. Nikt też nie wyzwoli całkowicie ducha z nieczystości. Ale ona chce abyśmy uwierzyli, że jest kwiatem. Stylizuje się na bóstwo, na

„czystość", na niewiniątko. W tym absurdalnym wysiłku nie jestże komiczna? Z góry skazana na niepowodzenie? Cóż za maskarada! Mamże uwierzyć że jest bukietem jaśminu dlatego, że się uperfumowała? Lub, widząc ją na obcasach półmetrowej wysokości, że jest smukła? Jedyne co widzę, to iż obcasy nie pozwalają jej ruszać się swobodnie. Tak to piękność ją krępuje, staje się dla niej paraliżem – to straszne skrępowanie kobiety, które objawia się w każdym ruchu, w każdym słowie, ta zmora, że ona nigdy nie może być swobodna z sobą...)

(I w tym szale samiczym zupełnie traci poczucie efektu, oszukuje jawnie, sądząc, że zdoła zarazić nas swoją tchórzliwą i kłamliwą koncepcją ciała (i ducha). Moda! Jakaż potworność! To co w Paryżu nazywa się elegancją, te wszystkie linie, sylwetki, profile nie sąż najbardziej niesmaczną z mistyfikacji, polegającą na przestylizowaniu ciała? Ta przyozdobiła swój przesadny kuper szarfą i myśli, że stała się majestatyczna; tamta udaje panterę, a ta znów usiłuje swoją zwiędłą cerę przerobić na Melancholię przy pomocy skomplikowanego kapelusza. Lecz ten kto ukrywa (nadaremnie) defekt, poddaje się defektowi. Defekt musi być przezwyciężony – przezwyciężony prawdziwą wartością w sensie moralnym lub fizycznym. Potwory, którymi częstują nas paryskie tygodniki mód, owe kreacje Diora, Fatha, z biodrem wystającym, z linią opływową, z zagiętym paluszkiem, zastygłe w idiotycznej „dystynkcji" – toż to z punktu widzenia sztuki szczyt obrzydliwości, tandeta pobudzająca do mdłości, to głupio naiwne i niezdarnie pretensjonalne, to niesmak bardziej wyzywający i ordynarny niż wszystko na co mógłby się zdobyć pijany dorożkarz).

3. Piękność ma być suwerenna.

(Dziewko, zwykła dziewko od krów, witaj – królowo! Dlaczego, powiedz, nie ma w tobie śmiertelnego drżenia, że nie zostaniesz *zaakceptowana?* Nie boisz się odepchnięcia. Wiesz, że nie uroda czyni cię pożądaną, ale płeć – wiesz, że mężczyzna będzie zawsze pożądał twojej kobiecości, choćby ona nie była wcale estetyczna. Więc twoja uroda nie jest na usługach twojej płci; nie lęka się, nie drży, nie wysila i jest spokojna, naturalna, triumfalna... O! Nienatrętna, nienachalna! O, dystyngowana!) ↓

Kobiety

Kobieta jest kluczem do mężczyzny. Klucz ten może otworzyć bardzo wiele, teraz właśnie, w dobie obecnej. I komu? Polakom.

Jeden z wielkich problemów naszej kultury to – przeciwstawienie się Europie. Nie będziemy narodem prawdziwie europejskim póki nie wyodrębnimy się z Europy – gdyż europejskość nie polega na zlaniu się z Europą, lecz na tym aby być jej częścią składową – specyficzną i nie dającą się niczym zastąpić. A także: tylko przeciwstawienie się Europie, która nas stworzyła, może sprawić że staniemy się w końcu kimś... o własnym życiu.

Więc: przeciwstawić kobietę polską kobiecie europejskiej; albo kobietę wschodnioeuropejską kobiecie z Zachodu; dojść do tego aby ona stała się odrębnym natchnieniem. Jeśli odmienicie sobie kobietę, odmienicie wszystek smak wasz, wszystkie upodobania, dojdziecie do nowego obyczaju w życiu i w sztuce. Czy istnieje taka możliwość?

Gdybym jej nie dostrzegał – po cóż ględzić o sprawach nie do urzeczywistnienia? Ale ja uważam, że Polak wbrew stagnacji swojej myśli, tu, na obczyźnie, i wbrew terrorowi który go dławi tam, w ojczyźnie, wbrew pustce, która go tu i tam wysysa, gorączkowo poszukuje siebie. A to oznacza, że znajdujemy się w stadium myśli radykalnej, zasadniczej, nawet karkołomnej i nie ma dla nas zbyt krańcowej decyzji.

Czy możemy zmienić sobie kobietę? Czy kobieta może nam się odmienić?

Nam dotąd kobietę (z grubsza i nieco symbolicznie wyrażając się) narzucał Paryż. Dlatego takie królowanie Paryża w naszej wyobraźni, ten śpiew już obrzydły sarmackich paryżan upojonych szarmem, iskrą elektryczną Ville Lumière. Magia Paryża elektryczno-erotyczna, ale... odwagi, stańcie się antyparyscy, spróbujcie dojrzeć całą tę obrzydliwość erotyczną.

Wsłuchajcie się w język miłosny Francuzów, ten z alkowy. Wzrusza was? Bawi? Rozczula? Czy raczej bylibyście skłonni zwymiotować go, jako jedną z potworności świata, tę miłość w szlafroku, te triumfujące majtki, te burżuazyjne figielki w ekstazie rui? Wsłuchajcie się teraz w ich język miłosny wyższej kategorii. Któryż wolicie? Intelektualno-zmysłowy, będący lubieżnością mądrego łyska, badającego analitycznie własne szały, czy szarmancko-salonowy, który czymże jest jeśli nie podrygiwaniem fraków, tańcem peruk, konfekcją męską i damską w miarę opieprzoną? Brzydota pieśni miłosnej Francuzów w tym, że ona stanowi akceptację brzydoty. Francuz pogodził się z brzydotą cywilizacji, owszem, polubił ją. Dlatego Francuz nie obcuje z kobietą nagą, ale z kobietą ubraną – oraz z kobietą rozebraną. Venus francuska to nie naga dziewczyna, ale Madame z pieprzykiem i *fort distinguée*. Nie zapach ciała podnieca ich, ale perfuma. Uwielbił on wszystkie piękności sztuczne takie, jak *charme*, elegancja, dystynkcja, dowcip, strój, *maquillage* – piękności którymi maskuje się dekadencja biologiczna i wiek podeszły – więc piękność francuska jest czterdziestoletnia. I jeśli ta piękność zdobyła świat to dlatego właśnie, że jest rezygnacją – oto coś dostępnego starszym, zamożnym damom tudzież podtatusiałym *causeur*'om i *bonvivant*'om, w tym można wyżyć się na stare lata. Ta piękność zrezygnowana i realistyczna śpiewa: gdy się nie ma co się lubi, to się lubi co się ma!

Więc piękność francuska, typ francuskiej kobiety i nasze słowiańskie podbiła mecenasowe, tudzież mecenasów naszych. ↔ Dziś jednak, za przyczynieniem się wojny i rewolucji, odmieniły się role. Teraz, sądzę, mamy rzeczywistość po naszej stronie, przeciw Paryżowi. Idealizm nasz został zgwałcony. Stratowano nam marzenie. Do diabła! Przez kilka dobrych lat okupacji niemieckiej ręką bez rękawiczki dotykaliście nagiego bytu, zniknął wyścielany materac, który was izolował – to anteuszowe dotknięcie powinno by wypełnić was siłą. A po wojnie nastąpił komunizm, czyli dalsze zaprzeczenie idealizmu i ściągnięcie kobiety z nieba na ziemię, a w każdym razie ze sfery wyższej w niższą, w sferę proletariatu. I to się odnosi tyleż do kobiet w Kraju, ile do tych, które na emigracji pracują jako krawcowe, bony, ekspedientki...

Niejedną z nich znam.

Do czegóż aspiruje w nowej sytuacji ta eks-dama? Ależ do tego aby ani na moment nie przestać być damą. Chce ubierać się elegancko, choć ta elegancja musi być z konieczności zbiedniała. Chce być modna, choć jej nie stać na ostatnie modele. Kapelusze jej pozostały paryskie, aczkolwiek to Paryż z trzeciej ręki. Jej *genre* wciąż wzdycha do salonu, choć może to być tylko salon zdeklasowany. Jej gusty i estetyka są wciąż jeszcze z tamtej epoki – delikatne. Możesz rozmawiać z nią godzinami i anibyś się domyślił, że coś innego i coś ostrego przeżyła.

Gdybyś była bardziej twórcza, Polko... Przynajmniej – bardziej zdecydowana oprzeć się na własnych atutach w rozgrywce ze światem. Nie chcę cię kusić... ale czy nie mogłabyś zbuntować się wewnętrznie przeciw kobiecie, którą jesteś – skoro już nią nie jesteś? Niczego więcej nie wymagam od ciebie – tylko tej iskry buntu, wyzwalającej twoją własną rzeczywistość. Bądź kobietą „nie z tego świata" – nie ze świata zachodniej burżuazji. Z jakiego świata masz być? Z proletariackiego? Ależ skąd, przecież to także nie twój żywioł. Spróbuj być poza jednym i drugim, a raczej pomiędzy jednym i drugim, pozwól aby twoja sytuacja podyktowała ci twój styl.

Wcale nie chodzi o to abyś wiedziała, czego chcesz. Wystarczy jeśli będziesz wiedziała czego nie chcesz. Reszta zrobi się sama. Zwróć się przeciwko piękności tobie niedostępnej – przyczynisz się w ten sposób do reformy kobiecości. ↓

Bóg

Męczę się, o tyle o ile męczarnia niefizyczna jest mi dostępna – raczej beznadziejność niż ból. Pragnę zaznaczyć: jestem dumny z tego, że moje bóle nie są nadmierne. To mnie zbliża do przeciętności, czyli do normy, do najsolidniejszych pokładów życia.

Co do Boga. Nie ma co marzyć o Bogu absolutnym na wysokościach, w dawniejszym stylu. Ten Bóg rzeczywiście mi umarł, nie wynajdę w sobie takiego Boga żeby nie wiem co, nie ma we mnie na to materiału. Ale istnieje możliwość Boga jako środka pomocniczego, drogi-mostu wiodącego do człowieka.

Takie pojęcie Boga z łatwością można uzasadnić. Wystarczy przyjąć, że człowiek musi egzystować w ramach swojego gatunku, że natura w ogóle, natura świata, dana mu jest przede wszystkim jako natura gatunku ludzkiego, że przeto współżycie z innymi ludźmi wyprzedza jego współżycie ze światem. Człowiek jest *dla* człowieka. Człowiek jest *wobec* człowieka. Więc mit Boga absolutnego mógł powstać ponieważ ułatwiał człowiekowi odkrycie drugiego człowieka, zbliżenie się do niego, zespolenie. ↓

Polski katolicyzm.

Katolicyzm taki, jak urobił się historycznie w Polsce, rozumiem jako przerzucenie na kogoś innego – Boga – ciężarów nad siły. Jest to zupełnie stosunek dzieci do ojca. Dziecko jest pod opieką ojca. Ma go słuchać, szanować i kochać. Wypełniać jego przykazania. Więc dziecko może pozostać dzieckiem, ponieważ wszystka „ostateczność" przekazana jest Bogu-Ojcu i jego ziemskiej ambasadzie, Kościołowi. Polak uzyskał w ten sposób świat zielony – zielony, gdyż niedojrzały, ale zielony także dlatego że w nim łąki, drzewa są kwitnące, nie zaś czarne i metafizyczne. Żyć na łonie natury, w świecie ograniczonym, pozostawiając czarny wszechświat Bogu.

Mnie, który jestem okropnie polski i okropnie przeciw Polsce zbuntowany, zawsze drażnił polski światek dziecinny, wtórny, uładzony

i pobożny. Polską nieruchomość w historii temu przypisywałem. Polską impotencję w kulturze – gdyż nas Bóg prowadził za rączkę. To grzeczne polskie dzieciństwo przeciwstawiałem dorosłej samodzielności innych kultur. Ten naród bez filozofii, bez świadomej historii, intelektualnie miękki, duchowo nieśmiały, naród który zdobył się tylko na sztukę „poczciwą" i „zacną", rozlazły naród lirycznych wierszopisów, folkloru, pianistów, aktorów, w którym nawet Żydzi się rozpuszczali i tracili jad... Mojej działalności literackiej przyświeca idea żeby wydobyć człowieka polskiego ze wszystkich rzeczywistości wtórnych i zetknąć go bezpośrednio z wszechświatem – niech sobie radzi jak może. Pragnę zrujnować mu jego dzieciństwo.

Witold Gombrowicz, Chiaviari (Włochy), 1965 r.

Ale teraz, w tym szumie napierającym, w obliczu własnej bezsilności, w tej niemożności sprostania, przychodzi mi do głowy że popadłem w sprzeczność z sobą. Rujnować dzieciństwo? W imię czego? W imię dojrzałości, której sam ani znieść ani przyjąć nie mogę. Przecież Bóg polski (w przeciwieństwie do Boga Weil) jest właśnie wspaniałym systemem utrzymania człowieka w sferze pośredniej bytu, jest tym uchyleniem się od ostateczności którego domaga się moja niedostateczność. Jak mogę chcieć żeby nie byli dziećmi, jeśli sam *per fas et nefas* chcę być dzieckiem?

Dzieckiem, ale takim które dotarło do wszystkich możliwości dorosłej powagi i doznało ich. W tym cała różnica. Naprzód odepchnąć wszystkie ułatwienia, znaleźć się w kosmosie tak bezdennym, jak tylko to dla mnie możliwe, w kosmosie o zasięgu maksymalnej mojej świadomości, i doświadczyć tego że się jest zdanym na własną samotność i własne siły – wtedy dopiero gdy otchłań, której nie zdołałeś okiełznać, zrzuci cię z siodła, siądź na ziemi i odkryj na nowo trawę i piasek. Aby dzieciństwo stało się dozwolone, trzeba dojrzałość doprowadzić do bankructwa. Bez blagi, kiedy wymawiam słowo „dzieciństwo" mam wrażenie, że wypowiadam najgłębszą treść, i jeszcze nie obudzoną, narodu który mnie spłodził. Ale to nie dzieciństwo dziecka, tylko trudne dzieciństwo dorosłego.

Wy, ateiści

Dlaczego wy, ateiści, ubóstwiacie idee? Dlaczego nie ubóstwiacie ludzi?

Przecież rzuca się w oczy boskość generała. Czy palec jego nie taki sam ściśle, jak palec najnędzniejszego z żołnierzy? A jednak jedno skinienie tego palca wysyła na śmierć dziesięć tysięcy ludzi – którzy pójdą, zginą, nie pytając nawet o sens poświęcenia. Cóż cenniejszego od własnego życia miałby do zaofiarowania człowiek samemu Najwyższemu Bogu? Jeżeli człowiek umiera na rozkaz drugiego człowieka, to znaczy że człowiek może być Bogiem człowiekowi. Ten kto gotów przestać żyć na rozkaz dowódcy – dlaczegóż wzdraga się paść przed nim na kolana?

A boskość Prezesa? A boskość Dyrektorów lub Profesorów? A boskość Właściciela Dóbr albo Artysty? Służba – niewolnictwo – korne poddanie się – zaprzepaszczenie w innym człowieku – oddanie się całkowite Wyższemu – to przenika ludzkość aż w same trzewia. Ha, wy ateiści-demokraci chcielibyście mieć ludzi uszeregowanych równo, jak rośliny na grządkach, i podporządkowanych Idei. Ale na ten obraz poziomy ludzkości najeżdża inny, pionowy... i te dwa obrazy wzajemnie się niszczą, nie podlegają wspólnemu prawu, nie ma dla nich jednej teorii. Czyż jednak to powód aby wykluczać ze świadomości ludzkość pionową, zadawalając się wyłącznie poziomą? Doprawdy nie rozumiem was, ateiści. Nie jesteście rozsądni... Dlaczego zamykacie oczy na to nabożeństwo, jeśli ono odbywa się najdoskonalej bez Boga, a nawet brak Boga jest jego *conditio sine qua non*? Nie widzę, rzeczywiście, powodu dla którego współczesny niepokój metafizyczny nie miałby wyrazić się w ubóstwieniu człowieka, gdy Boga zabrakło.

Aby to się stało, musielibyście jedynie zwrócić uwagę na pewną właściwość ludzkości, polegającą na tym, że ona musi nieustannie się kształtować. Jest ona jak fala, złożona z miliarda chaotycznych drobin, lecz co chwila przybierająca kształt określony. Wszak nawet w małej grupce ludzi, swobodnie rozmawiających, dostrzeżecie ową

konieczność zestrajania się w takiej czy innej formie, która tworzy się przypadkowo i niezależnie od ich woli mocą jedynie wzajemnego przystosowywania się… to tak jakby wszyscy razem wyznaczali każdemu z osobna jego miejsce, jego „głos" w orkiestrze. „Ludzie" to coś co w każdej chwili musi się organizować – jednakże ta organizacja, ten kształt zbiorowy, tworzy się jako wypadkowa tysiąca impulsów, jest zatem nieprzewidziana i nie dająca się opanować dla tych, którzy ją stanowią. Jesteśmy jak tony, z których powstaje melodia – jak słowa, układające się w zdania – ale nie panujemy nad tym, co wypowiadamy, ten wyraz nasz spada na nas jak piorun, jak siła twórcza, z nas powstała, ale nieokiełznana. Tam zaś gdzie powstaje kształt, forma, tam musi być Wyższość i Niższość – i oto dlaczego w ludziach następuje proces wywyższania jednego kosztem innych, jednego nad innych – i to parcie wzwyż, wyrzucające jednego, choćby najniedorzeczniejsze i najbardziej niesprawiedliwe, będzie jednak nieodzowną koniecznością formy, będzie też stwarzaniem w ludzkości sfery wyższej, podzieli ją na piętra, z łona gminu wzniesie się królestwo dostojniejsze, będące dla niższych zarazem okropnym ciężarem i cudownym wzlotem. Dlaczego odmawiacie czci temu *przypadkowemu* wyrabianiu się z nas świata, jeśli nie bogów, to półbogów? Któż wam broni ujrzeć w tym Boskość wstającą z samych ludzi, nie zaś z nieba zstępującą? Czyż zjawisko to nie posiada cech boskich, będąc wynikiem siły międzyludzkiej, czyli nadrzędnej i twórczej w stosunku do każdego z nas z osobna? Czy nie widzicie, że tu nam się tworzy Wyższość w sposób nie dający się opanować? Dlaczego rozum wasz, ateiści, z taką pasją oddał się abstrakcji, teorii, idei, racji, a nie dostrzega że tu, przed samym jego nosem, konkretnie, ludzkość jak fajerwerk coraz nowymi wystrzela Bogami i coraz nowymi objawieniami? Czyżby wydawało się wam to niesprawiedliwe – niemoralne – może nieuzasadnione duchowo? Ależ zapominacie, że gdyby to mieściło się w waszym duchu, nie byłoby siłą Nadrzędną, ani siłą Stwarzającą.

O, gdybym zdołał na koniec, ja, osobiście, dać drapaka – wymknąć się Idei – zamieszkać na stałe w tym kościele innym, z ludzi zrobionym! Gdybym wymógł na sobie uznanie *takiej boskości* – i otóż nie troszczyć się więcej o absoluty, a tylko czuć nad sobą, niewysoko, o metr nad

głową zaledwie, taką grę sił stwarzających, z nas poczętych, jako jedyny Olimp osiągalny – i to uwielbiać. W *Ślubie* zawarte jest takie nabożeństwo i bez żartu napisałem we wstępie do tego utworu: tu duch ludzki uwielbia ducha międzyludzkiego. A jednak! Nigdy nie zdołałem się ukorzyć – i zawsze pomiędzy Bogiem międzyludzkim a mną groteska rodziła się, zamiast modlitwy... Szkoda! – mówię to szczerze. – Szkoda! Gdyż tylko On – taki półbóg, z ludzi urodzony, „wyższy" ode mnie, ale tylko o cal, będący jakby pierwszym tylko wtajemniczeniem, tak niedoskonały, Bóg, słowem, na miarę mego ograniczenia – mógłby wydobyć mnie z przeklętego uniwersalizmu, z którym ja sobie rady dać nie mogę i przywrócić zbawczej konkretności. Ach, znaleźć swoje granice! Ograniczyć się! Mieć Boga ograniczonego!

Gorzko mi się to pisze... bo nie wierzę, aby kiedykolwiek dokonał się we mnie ten skok w ograniczenie. Kosmos nadal mnie będzie pochłaniał. Piszę to więc niezupełnie na serio, ot, jak retorykę... ale czuję przecież wokół siebie obecność natur ludzkich, odmiennych niż moja, czuję tę inność otaczającą mnie, zawierającą niedostępne dla mnie rozwiązania... więc jej to powierzam i niech ona robi z tym co chce. ↓

Polacy

Za najokropniejszą rzecz w historii naszej kultury uważam to, że myśmy zawsze, dobrowolnie lub pod przymusem, ograniczali sobie ducha. Cała nasza literatura, cała sztuka jest tego objawem. Gdy w ostatnich latach polską świadomość wsadzono do ciupy, nie było to może takie złe dla naszej duszy. Zahamowano nam naszą dotychczasową, niewystarczającą, produkcję słowa, zastępując ją jawnym kłamstwem – natomiast więzień mógł rozmawiać ze sobą i, chyba, były to szczere rozmowy. Życie rozpadło się im na fałsz zewnętrzny i prawdę wewnętrzną – stan rzeczy ciężki, ale nie trujący. Któż wie, czy głupota nie zaostrzała, gdzieś w głębi, rozumu?

Wypuszczenie im ducha na względną wolność z tym, że ma on meldować się dwa razy na tydzień w najbliższym urzędzie kontroli, stanowiłoby tylko zatarcie się tej ostrej a zbawczej granicy, która dotąd dzieliła prawdę uwięzioną od swobodnego kłamstwa. Weszliby w dziedzinę półprawdy, półżycia, niepełnej twórczości, upajania się pozorami – cóż by z tego wynikło? Nie przeczę, że ta sposobność do wywalenia w przyszłości drzwi na wolność, powinna być politycznie wyzyskana. Ale ja nie jestem od polityki... i wiem tylko, że styl, forma, wyraz, wszystko jedno, czy w sztuce, czy w życiu, tego nie osiąga się na drodze koncesji i tego nie można fabrykować w pewnej odmierzonej dawce. *Aut Caesar...*

Mówią mi czasem z tamtej strony, że teraz moim obowiązkiem wobec ojczyzny byłoby – wrócić. Ciekawym po co? Żeby stać się kimś godnym politowania (bo, jeśli inżynier lub robotnik mogą w tym ustroju rościć prawo do szacunku, to literat, ten tam ich „Pisarz", wodzony za nos i wodzący za nos, jest figurą odrażająco groteskową, komicznym zespoleniem w jednej osobie belfra i ucznia – oto dwa aspekty dydaktyzmu). Ale gdy mówicie mi, że się marnuję na obczyźnie dla ojczyzny, powiem, jak ważną rolę narodową sobie wyznaczyłem.

Używając ich słownika – jakiego rodzaju „zapotrzebowanie społeczne" mogłoby sprawić, że moja egzystencja amerykańska nie będzie pozbawiona znaczenia dla pewnych przynajmniej ludzi w Polsce. Dla jakich? Nie dla tych, którym wystarczą dziecinne spodenki. Ale jest pewne, że poza ową rzeczywistością sztuczną, dziecinną, podrzędną, nieśmiałą, czai się w Kraju inna wiedza, przenikliwa, ostra, trzeźwa, która nie chce siebie oszukiwać, ton inny, bardziej rozumny, okrutniej dojrzały. Moim zadaniem byłoby dotrzeć do tego właśnie dźwięku polskiego, dostać się do Polaka tragicznego i świadomego. Nie po to żeby faszerować go innymi złudzeniami, ułatwiać mu cokolwiek. Ale chcę wyrazić bezwzględność tego żądania polskiego, które domaga się pełnej świadomości i pełnej egzystencji. Czy to paradoks, że ja, który jestem tak na bakier z ową świadomością w jej filozoficznym aspekcie, muszę jednak – to silniejsze ode mnie – upierać się przy tym, żądać tego, jako warunku *sine qua non* naszego człowieczeństwa?

I jeszcze jedno. Byłoby ważne, aby tragizm nie stał się katastrofą. Dostali się w żelazne tryby życia zbiorowego bez należytego historycznego przygotowania, które by uczyniło ich życie indywidualne niezwalczonym – więc wielu z nich po prostu dzisiaj nie wie, jak być sobą – rzetelnie, przyzwoicie, żywotnie – jak wytrwać w sobie, nie zgłaszając się pod sztandar i nie chroniąc się w system, dogmat, wiarę. Są bezradni i upokorzeni. Otóż twierdzę, że trzeba wypracować styl życia indywidualnego, i to tak krańcowy, żeby wytrzymał napór.

Cóż może być ważniejsze dla kultury polskiej – obojętne w jakim rozwinie się kierunku – od stworzenia tego stylu, obliczonego na naszą dojrzałość? To *modus vivendi* musi być ustalone, gdyż tylko na takiej woli świadomości może być budowana polska autentyczność w przyszłości. Jeśli człowiek w Polsce uwierzy, że jest podły dlatego tylko iż jest człowiekiem świadomym… jeśli da sobie wmówić impotencję… no, to jeszcze długie czeka nas dzieciństwo… ↔

Polska, odwilż, powrót, komunizm, dlaczego w to zabrnąłem, dlaczego wdaję się w te szczegóły mojego losu?

A moralność? Określam siebie wobec etyki katolicyzmu czy egzystencjalizmu, czy marksizmu – ale moralność to tylko fragment, jedno z oblicz… które napierają na mnie zewsząd, zewsząd!

Rzeczywistość jest niewyczerpalna. Co zrobić z sobą? Co zrobić z sobą? Co zrobić z sobą? ↔ Gdzie jestem? ↔

Zmierzch – i olbrzymie sklepienie pampy wyrzuca z siebie gwiazdy, jedną po drugiej, roje ich ukazują się wydobyte nocą – a świat namacalny drzew, ziemi, liści, ten jedynie przyjazny i wiarogodny, rozpłynął się w jakimś nie… niewidzeniu, nieistnieniu… zatarł się. Mimo to idę, brnę i brnę, ale już nie drogą, tylko w kosmosie, zawieszony w astronomicznej przestrzeni. Czyż glob ziemski, sam zawieszony, może zapewnić grunt pod nogami? Znalazłem się w bezdennej otchłani, w łonie wszechświata i, co najgorsze, nie było to złudzenie, tylko właśnie najprawdziwsza z prawd. Więc można by oszaleć, gdyby się nie było przyzwyczajonym… ↔

Jestem spokojny, siedzę, patrzę przez okno, przyglądam się kobiecie, która siedzi naprzeciwko i ma ręce drobne, piegowate. A zarazem jestem tam, w łonie wszechświata. Wszystkie sprzeczności dają sobie we mnie *rendez-vous* – spokój i szał, trzeźwość i pijaństwo, prawda i blaga, wielkość i małość – ale czuję że znów na szyi kładzie mi się dłoń żelazna, która powoli, tak, bardzo nieznacznie… ale się zaciska. ↓

Stwierdźmy naprzód, że przeszli przez dwa olbrzymie doświadczenia: wojnę i rewolucję. I powiedzmy, że o tyle tylko mogą oni dzisiaj być kimś, coś przedstawiać, coś tworzyć, o ile te doświadczenia weszły im w krew. Albowiem przestali być ludźmi z roku 1938 – są modelami 1956. Jeżeli utraciwszy tamtą rzeczywistość, nie przyswoili sobie dostatecznie nowej, jeżeli nie są, dość intensywnie, ani tym ani tamtym, to czymże są? Niczym.

Mnie właśnie się zdaje, że oni swojego życia nie przeżyli.

Ich nieprzeżycie wojny. – Ktoś w tych gazetach powołuje się na Adolfa Rudnickiego – on miał powiedzieć, że literatura powojennej Polski nie zdołała wyczerpać należycie tematyki wojennej, że z tej otchłani piekielnej nie wydobyto wszystkiego, co by się dało, o człowieku. To prawda, że niewiele wydobyto. Ale czy piekło nadaje się do eksploatacji?

Ci pisarze, między innymi i przede wszystkim Rudnicki, zabrali się do ciał torturowanych sądząc, że niebotyczność cierpienia dostarczy im jakiejś prawdy, moralności, przynajmniej nowej wiedzy o naszych granicach. Niewiele znaleźli, co by okazało się płodne i twórcze. Odkryli,

jak Borowski, że jesteśmy bezdennie nikczemni. Ależ, jeśli wszyscy jesteśmy nikczemni, nikt nie jest nikczemny – pojęcie to hańbi tylko wtedy, gdy służy do odróżniania człowieka od człowieka. Odkryli, że kultura, ta pięknoduchowska estetów i intelektualistów, jest tylko pianką – to mi przedpotopowa rewelacja i dosyć dziecinna! Opisując ową nieludzkość wołali w moralizatorskim tonie o ludzkość (Andrzejewski) – lecz od takich księżowskich kazań nic się nie zmienia ani w tym, kto je wygłasza, ani w słuchaczu. Żenujący kontrast pomiędzy górą krwawego cielska a nikłością tego do niej komentarza, który właściwie, pomimo iż obfity w wykrzykniki, nie potrafił wymyślić nic ponad *pia desideria* zawarte już w wypowiedziach Ojca św., a mianowicie, że ludzie nie powinni być źli, tylko dobrzy. Proust więcej znalazł w swoim ciasteczku, w swojej służącej i w swoich hrabiach, niż oni w dymiących przez lata całe krematoriach. I nic dziwnego, że w końcu ten dym gryzący stał się im kadzidłem dla nowej dyktatury, podkadzali nim swoje wyzwolenie w nowym stalinowskim reżymie (zapominając o dymach Kołymy). Nastąpiło oswojenie piekła i wprzągnięcie go w konstruktywną pracę polityczną.

Wcale nie uważam, żeby ich impotencja artystyczna wobec wojny była wstydem; wręcz przeciwnie, to było do przewidzenia. Dlaczego się tak dzieje, że żołnierz idzie na front, doznaje okropności, sam nią się staje, a potem wraca do życia cywilnego jakby nigdy nic… taki właśnie, jakim był przed wyruszeniem? Zdarzają się dawki za silne. Tych organizm nie przyjmuje. Dlatego, gdybym był towarzyszem-prezesem ich Związku Literatów w tych dniach powojennych, zaleciłbym wyjątkową ostrożność w traktowaniu tematów demonicznych, nadmiernie olbrzymich – a przynajmniej wyjątkową chytrość. Jeśli Proust z hrabiów wydobył więcej, to dlatego że wśród hrabiów mógł poruszać się i czuć swobodnie, a i ciasteczko go nie przerastało – ale te cztery miliony zamordowanych Żydów to Himalaje! Zakazałbym tej typowo polskiej naiwności, która mniema, że tylko na szczytach jest coś do odkrycia. Na szczytach nie ma nic, śnieg, lód i skała – natomiast wiele jest do zobaczenia we własnym ogródku. Gdy zbliżasz się z piórem w ręku do gór milionowej męki, ogarnia cię lęk, szacunek, zgroza, pióro drży w dłoni, a twoje wargi nie stać na nic oprócz jęku. Ale

jękami nie robi się literatury. Ani pustką à la Borowski. Ani „sumieniem" à la ksiądz Andrzejewski.

Oczywiście – to dotyczy nie tylko literatury. Także przeciętny polski inteligent nie był zdolny przeżyć wojny do dna. Ale w tych warunkach jedynym rzetelnym podejściem do sprawy byłoby nie wysilać się na przeżywanie czegoś, co przeżyć się nie da, a właśnie zapytać, dlaczego takie przeżycie jest nam niedostępne. Polak bowiem bynajmniej wojny nie doświadczył. Doświadczył jedynie tego, że wojny nie da się doświadczyć – mówię, doświadczyć w pełni, wyczerpać – i tego że wraz z pokojem powraca natychmiast inny wymiar, ten normalny. Tak postawione zagadnienie miałoby przynajmniej tę zaletę, że nie ubezwładniłoby ich na czas pokoju pod względem myślowym, moralnym, uczuciowym – znając pojemność swojej natury ci ludzie łatwiej odnaleźliby równowagę.

Jednakże stosunek ich do wojny został sfałszowany. Ujęto to w trybie konwencjonalnym: „wielkie" przeżycie, więc trzeba z niego wyciągnąć wielkie wzruszenie i wielką naukę. Kto ich nie wyciągnie, jest podły. Ponieważ nikt nie mógł wyciągnąć, więc wszyscy poczuli się podli, a, gdy poczuli się podli, wpadli w lekkomyślność. A przecież można było im powiedzieć: wiedz, że wojna nie jest ani odrobinę straszniejsza od tego, co się dzieje w twoim ogródku, w dzień pogodny. Jeżeli wiesz, co w ogóle się dzieje, w świecie i w życiu, dlaczego tamto cię przeraża? A jeśli nie wiesz, dlaczego upierasz się, aby taką wiedzę właśnie mieć o wojnie?

Nie trzeba powyższych uwag rozumieć, jako cynizm – bo tu pragnie się jedynie stwierdzić, że istnieją zjawiska do których dojście na najkrótszej drodze jest niemożliwe; można przybliżyć się do nich tylko via cały świat i via natura ludzka w jej najbardziej zasadniczych aspektach.

Ich nieprzeżycie rewolucji. – A zatem cóż przedostało się z wojny do ich świadomości – co zostało sformułowane? Jakaś luźna myśl o „okropności" i nieco kulawego, moralizatorskiego patosu.

W rzeczywistości ukończenie wojny zastało ich przewróconymi, ogłupiałymi, wypróżnionymi. Byli jeszcze zdolni do rozmaitych akcji zbiorowych, brali udział w organizacjach, ale to dlatego, że chwytali się

czegokolwiek aby się utrzymać, aby się ruszać, miotał nimi instynkt walki i życia – ale byli ogłuszeni. I na tę pustkę w nich spadł marksizm. Marksizm, wyobrażam sobie, spadł na nich zanim zdołali całkowicie przyjść do siebie, to jest do siebie z czasów przedwojennych. Toteż myślę, że oni nie przeżyli rewolucji, ponieważ nie mieli czym jej przeżywać. Gdyby marksizm osiedlił się w Polsce samorzutnie, stopniowo, przezwyciężając opory... ale on został na kraj nałożony, jak się nakłada klatkę na odurzone ptaki, jak się nakłada ubranie na człowieka nagiego.

Z chwilą gdy znaleźli się w klatce, wszelka polska dyskusja z rewolucją stała się niemożliwa. Dotyczy to także tajnego dialogu duszy indywidualnej z marksizmem – gdyż Polak był zupełnie nie przygotowany do stawienia czoła temu naporowi. Nasza kultura tylko z pozoru była indywidualistyczna. Kiedyż to dla Polaka indywidualizm był czymś innym niż popuszczaniem pasa, czyż kiedykolwiek zabłysnął nam jako cnota i trudny obowiązek wierności wobec siebie samego? Jak mogły skutecznie przeciwstawić się Marksowi dusze, wychowane na Mickiewiczu, Sienkiewiczu i Żeromskim? Kiedy ich spętano, już było za późno aby mógł się zorganizować świadomy indywidualizm polski – więc oni, pozbawieni broni intelektualnej, niepewni swej racji moralnej, walcząc w pojedynkę, raczej opędzali się bezładnie niż walczyli, odrzucali to, nie przyjmowali do wiadomości. Wniosek, paradoksalny, ten, że w krajach burżuazyjnych Zachodu, we Francji lub we Włoszech, marksizm jest nieskończenie głębiej przeżywany. Podczas gdy w Polsce jest on tylko systemem społecznym, w którym się żyje – którego się nie przeżywa. Polska – jeden z krajów najmniej marksistowskich świata. ↓

Nie spadła na mnie ani dziesiąta część tego co im się dostało i że, gdy oni krwawili, ja wałęsałem się po kawiarniach w Buenos Aires, uczucie takie – przyznaję – nie bardzo jest w porządku. Bardziej chyba byłaby wskazana pokora i podziw. A jednak to zimne lekceważenie jest we mnie tak silne, że nie mogę go ukryć w tym dzienniku, gdzie chciałbym nie zanadto kłamać.

Jak śmiem ich lekceważyć? I to lekceważyć tak okrutnie, że nawet ból i klęska tych ludzi, przecież mi bliskich, stają się mniej ważne? Nie umiem tego sobie wytłumaczyć inaczej jak tylko, że doznaję ich

istnienia mniej silnie… nie, nie z powodu odległości czy długotrwałego rozstania. Przestali być dla mnie kimś. Przestali być czym byli, a nie skonkretyzowali się dostatecznie w żadnym nowym istnieniu. Są niewyraźni. Zamazani. Niepełni. Embrionalni.

Komunizm? Antykomunizm? Nie, to zostawmy na razie na boku. Nie idzie o to abyście byli komunistami, lub anty… idzie o to, żebyście po prostu byli. Być – to nieprawdaż, minimalny postulat który przedkładam polskiej inteligencji, polskiej świadomości. Będziecie musieli nieźle się wysilić w latach nadchodzących, aby przejść od pół-egzystencji do egzystencji, i nie wiadomo czy się to uda. Póki co, przyjaciele, życie wasze równie jak śmierć nie będą miały pełnej wagi. A to prawo do życia i śmierci będzie musiał zdobyć każdy z was z osobna.

Jeszcze kilka luźnych uwag z tej lektury gazet.

Ich wyobraźnia. – Jest czystsza, niż była przed wojną. Oni dziwnie się oczyścili. Wyobraźnia ich przestała być sybarytyzmem, została skierowana w stronę wysiłku i walki. Jest bardziej istotnie związana z energią. I nurt uzdrawiający wyobraźni prymitywnej, której dziś są bliżsi, opłukał ich z wielu spaczeń, dziwactw, z histerii.

Przed wojną sporo było ludzi w Polsce żyjących życiem złagodzonym – ziemiaństwo, burżuazja. Wyżywali się przeto w wyobraźni, ale nie dość zdyscyplinowanej, więc brudnej… marzyciele. Ci teraz w Kraju – nie. To nie marksizm sprawił, ale bieda.

To wyobraźnia bardziej schludna, ale też uboga. Ubóstwo jej również nie jest wynikiem ustroju społecznego, tych tam zakazów i dyrektyw, jest w związku z powszechną pauperyzacją. Gdy odpadną zakazy, naród pozostanie z wyobraźnią wypróżnioną, wsadzi rękę do pustej kieszeni.

Ich moralność. – Mają pełną gębę moralności. Bez przerwy. Któż wobec tego może uwierzyć w ich moralność?

Moim zdaniem, ich moralność pozostaje w odwrotnym stosunku do ich gadaniny. Moralność życia publicznego wciąż tam jest na tapecie? No, więc w tej dziedzinie są, jak myślę, cynikami nie lada. Natomiast w stosunkach osobistych, familijnych etc., tam gdzie może istnieć jaka taka dyskrecja, to są, zapewne, zacni ludzie.

Ich piękność. – Jakiej piękności pragną dla siebie? Jakiego pióropuszu? Jakiej ozdoby? Jakiej poezji, jakiego wdzięku szukają aby nimi okrasić swoje bytowanie, zanadto szare? Trudne pytanie. Ich oficjalna piękność, to piękność walki o nowy porządek – ale ta piękność została tam zracjonalizowana i zanadto utożsamiona z cnotą, a to pozbawia żywotności. Obfitują w piękne cnoty, jak Kościół katolicki. Ale gdzież są ich piękne grzechy?

Jeżeli ich wyobraźnia nie skurczyła się do zera, to można przypuszczać, że tam, poza oficjalną poezją, tworzy się po cichu inna, prywatna, i że jest ona poezją anarchii.

Ich skromność. – Ci literaci są niezwykle skromni. Ich skromność jest *savoir vivre*'m. Polega na ukrywaniu pychy. To jedynie ostrożność – aby nie rozjuszyć kogoś na siebie.

W literaturze taka skromność nie może przydać się na nic. Pychy, wyniosłości, ambicji nie można usunąć z pisania, bo to jego motor. Trzeba je ujawnić. Wtedy można je ucywilizować. ↓ Moje pragnienie „przezwyciężenia Polski" było jednoznaczne z chęcią wzmocnienia naszej indywidualnej polskości. Chciałem po prostu aby Polak przestał być wytworem wyłącznie życia zbiorowego – i „dla" życia zbiorowego. Chciałem go uzupełnić. Zalegalizować jego drugi biegun – biegun życia indywidualnego – i rozpiąć go między tymi dwoma biegunami. Chciałem go mieć między Polską a jego własnym istnieniem – bardziej dialektycznego i antynomicznego, świadomego swojej wewnętrznej sprzeczności i umiejącego wyzyskać ją dla rozwoju. ↔

Dążyłem do tego żeby Polak mógł z dumą powiedzieć: należę do narodu podrzędnego. Z dumą. Albowiem, jak łacno zauważycie, takie powiedzenie tyleż poniża co wywyższa. Ono degraduje mnie w moim charakterze członka zbiorowości, ale zarazem osobiście wywyższa mnie ponad zbiorowość: oto nie dałem się oszukać; jestem zdolny osądzić własne umieszczenie w świecie; umiem zdać sobie sprawę z mojej sytuacji; jestem przeto człowiekiem pełnowartościowym. (Nawiasem mówiąc, wtedy dopiero moglibyście *bez zastrzeżeń* pokochać Polskę – bo już by nie mogła odebrać wam wartości). ↓

„Mój" człowiek

Ujmują mnie na ogół jako jedną więcej walkę ze społeczeństwem, krytykę społeczeństwa. Zobaczmyż, czy mój człowiek nie rozsadzi tego ujęcia.

Oto pokrótce cechy mojego człowieka:

1) Człowiek stwarzany przez formę, w najgłębszym, najogólniejszym znaczeniu.

2) Człowiek jako wytwórca formy, jej niezmordowany producent.

3) Człowiek zdegradowany formą (będący zawsze „niedo" – niedokształcony, niedojrzały).

4) Człowiek zakochany w niedojrzałości.

5) Człowiek stwarzany przez Niższość i Młodszość.

6) Człowiek poddany „międzyludzkiemu", jako sile nadrzędnej, twórczej, jedynej dostępnej nam boskości.

7) Człowiek „dla" człowieka, nie znający żadnej wyższej instancji.

9) Człowiek dynamizowany ludźmi, nimi wywyższony, spotęgowany.

Te właściwości mojego człowieka na razie przychodzą mi na myśl. Chcecie to wszystko sprowadzić do jednego jedynego buntu przeciw społecznym formom bytowania?

Witold Gombrowicz i Rita Gombrowicz, Vence, 1967 r.

Zdarzają się im, poza tym, dość dziwne pretensje. Wymagają, przynajmniej niektórzy, abym im ten świat „rozwiązał" – załatwił jego tragiczne sprzeczności, zamienił go w „konstruktywny" światek. To trochę dziecinne. Ja na pewno gordyjskich węzłów życia nie rozsupłam. Moja moralność? Ależ polega ona w pierwszym rzędzie na wyrażeniu mego protestu w imię ludzkości mojej – na tej ironii, sarkazmie, które bunt mój wyrażają. A po wtóre, na wierze, iż wszystko, co nam pozwala lepiej odcyfrować prawdziwą naszą naturę i naszą sytuację w świecie, jest triumfem naszym nad naturą.

Według mnie, literatura niepoważna usiłuje rozwiązać problemy egzystencji. Literatura poważna je stawia. Problemów egzystencji nie załatwi jeden człowiek – one rozwiązują się, jeśli się rozwiązują, w ludzkości.

Literatura poważna nie jest po to, żeby ułatwiać życie, tylko żeby je utrudniać. ↔

Czasem zapominam czytając te artykuły, że jestem jednak artystą. Zaczynam wierzyć, że jestem autorem dzieła filozoficznego w kilku tomach... Ciągle tam mowa o moich „koncepcjach", nigdy prawie o mojej sztuce. ↓

Historia mego stawania się to dzieje ciągłego przystosowywania się mego do mych dzieł literackich – które zawsze zaskakiwały mnie rodząc się w sposób nieprzewidziany, jakby nie ze mnie... Do pewnego stopnia książki moje wynikają z mojego życia – ale w większej mierze życie urobiło mi się z nich i nimi. ↓

Ból

W młodości dręczyłem zwierzęta. Przypominam sobie jak w Małoszycach zabawiałem się z chłopakami wiejskimi. Siekliśmy batami żaby. Dziś boję się – oto właściwe słowo – cierpienia muchy. I ten strach z kolei mnie przerażał, jakby w tym zawierało się jakieś okropne osłabienie wobec życia, ja rzeczywiście lękam się tego, że nie mogę znieść bólu muchy. W ogóle z wiekiem dokonała się we mnie ewolucja, której tragicznego i groźnego charakteru nie chcę ukrywać, owszem, chciałbym jak najsilniej uwydatnić. I twierdzę, że jest właściwa nie tylko mnie, ale całemu memu pokoleniu.

Zanotuję jej poszczególne punkty:

1. *Dewaloryzacja śmierci.* – Śmierć staje się dla mnie coraz mniej ważna – ludzka, czy zwierzęca. Coraz trudniej mi zrozumieć osoby, dla których pozbawienie życia jest największą karą. Nie rozumiem zemsty, która zabijając znienacka wystrzałem w tył czaszki cieszy się – jakby tamten coś uczuł. Na śmierć prawie zupełnie zobojętniałem (nie mówię o własnej).

2. *Intronizacja bólu.* – Ból staje się dla mnie punktem wyjściowym egzystencji, doznaniem zasadniczym od którego wszystko się zaczyna, do którego wszystko się sprowadza. Egzystencjaliści ze swoim „życiem dla śmierci" nie zadawalają mnie, ja życie ustawiłbym tylko wobec bólu.

3. *Ból jako ból, ból sam w sobie.* – To jest najważniejsze. To jest dopiero zmiana odczuwania naprawdę groźna i okropna i olbrzymia. Polega na tym, iż coraz mniej obchodzi *kto cierpi*... Myślę, że współcześnie istnieją w tym względzie dwie szkoły. Dla ludzi dawniejszej szkoły ból kogoś z rodziny jest najokropniejszy po własnym; ból dygnitarza ważniejszy od bólu chłopa; ból chłopa ważniejszy od bólu chłopca; ból chłopca ważniejszy od bólu psa. Przebywają w ograniczonym kręgu bólu. Ale dla ludzi nowszej szkoły ból jest bólem, gdziekolwiek by się pojawił, równie straszliwy w człowieku, jak w musze, wykształciło się w nas doznanie czystego cierpienia, piekło nasze stało się uniwersalne. Mnie, na

przykład, niektórzy uważają za nieczułego, ponieważ trudno mi ukryć, że ból najbliższych nie jest bynajmniej najbliższym mi bólem. I cała moja natura jest nastawiona na odkrywanie cierpienia tamtego – niższego.

Te bogobojne rodziny – przypominam sobie z dawnych czasów – we dworze wiejskim przy podwieczorku, gwarzące poczciwie, niewinne… a na stole był lep, na lepie muchy w sytuacjach okropniejszych niż potępieńcy na obrazach średniowiecznych. To nikomu nie przeszkadzało ponieważ w zdaniu „ból muchy" akcent padał na „mucha" nie na „ból". A dzisiaj – wystarczy naflitować pokój żeby chmary drobnych istnień zaczęły się wić – i nikt się nie przejmuje.

Tak. Ale jak pogodzić to moje odkrywanie powszechnego cierpienia z tym, co zanotowałem wczoraj – z niechęcią ową do uznania świata pozaludzkiego, niższego? To jedno z najdziwniejszych rozdarć we mnie. Przeraża mnie niższa męczarnia i całe moje jestestwo jest nastawione na odkrywanie jej. A jednak lodowata nuda, senność nieomal mnie zdejmuje, gdy chcę zrównać się z tymi stworzeniami w egzystencji i próbuję przyznać im pełne prawo do istnienia. To myśl nużąca i ospała – czy dlatego że przekracza moje siły? Do czegóż więc doprowadziła mnie ewolucja, którą zawarłem w powyższych trzech punktach – mnie i wielu jak ja? Jesteśmy bardziej mętni – i bardziej niepewni wobec natury niż ludzie dawniejsi, którzy, trzeba przyznać, mieli w tym więcej od nas stylu. ↓

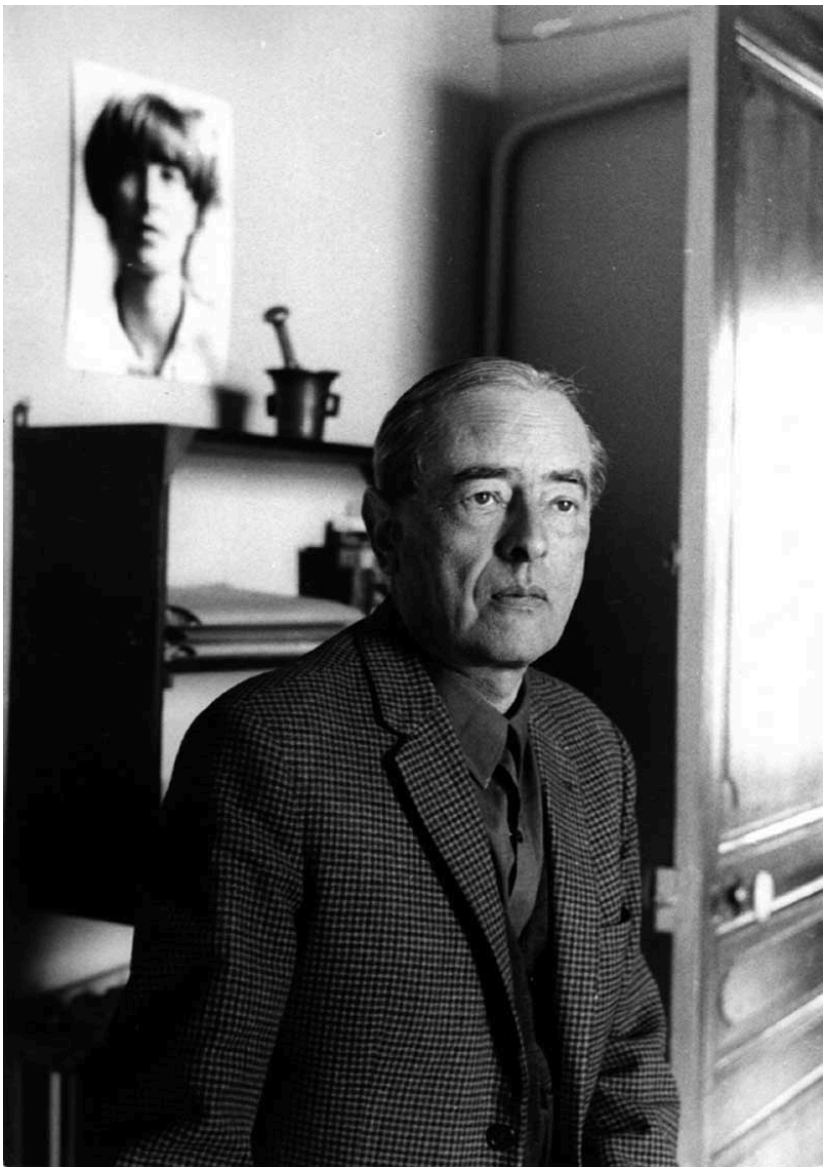

Seine (Francja), lata sześćdziesiąte XX w.

Moja suwerenność, samoistność, czy nawet lekkomyślna bezczelność, bimbanie na wszystkich, wszechstronna prowokacja i wyłączne opieranie się na sobie – to wszystko wynikło z mojej sytuacji społecznej i geograficznej. Byłem zmuszony nie liczyć się z nikim gdyż ze mną się nie liczono – urobiłem się w odosobnieniu prawie zupełnym – myślę że chyba niewielu literatów zaznało aż takiego odludzia. W przedwojennej Polsce lekceważony, zaledwie dostrzeżony – potem przywalony wojną – potem wsadzony na indeks przez reżym komunistyczny – a tu, w Argentynie, pozbawiony nawet kawiarni literackiej, nawet tej grupki

przyjaciół-artystów, na której łonie może przycupnąć, w miastach Europy, każdy cygan, nowator, awangardzista. Stałem się śmiały ponieważ nic absolutnie nie miałem do stracenia: ani honorów, ani zarobków, ani przyjaciół. Musiałem odszukać siebie i oprzeć się na sobie, ponieważ na nikim innym nie mogłem się oprzeć. Moja forma to moja samotność. ↓

Być z naturą, czy przeciw naturze? Ta myśl – że człowiek jest sprzeczny z naturą, czymś poza nią i w opozycji, wkrótce przestanie być myślą elitarną. Dotrze nawet do chłopów. Przeniknie cały rodzaj ludzki, od góry do dołu. Co wtedy? Gdy się wyczerpią ostatnie rezerwy „naturalności", te oddolne? ↓

Ilość, ilość!

Ilość! Ilość! Musiałem abdykować ze sprawiedliwości, z moralności, z ludzkości – gdyż nie mogłem sprostać ilości. Za dużo ich było. Przepraszam! Ależ to równa się stwierdzeniu, że moralność jest niemożliwa. Ni mniej ni więcej. Gdyż moralność musi być ta sama w stosunku do wszystkich, w przeciwnym razie staje się niesprawiedliwa, a więc niemoralna. Ale ta ilość, ten ogrom ilości, skoncentrował się na jednym jedynym robaku, którego już nie wybawiłem – na którym przerwałem. Dlaczego on akurat, a nie inny? Dlaczego ten jeden musi płacić za to, że ich miliony?

Litość moja, kończąca się akurat w tym momencie – nie wiadomo dlaczego akurat na tym robaku, takim samym, jak wszystkie. Jest coś nieznośnego, nie do przełknięcia, w tej nieskończoności nagle skonkretyzowanej – dlaczego akurat ten? – dlaczego ten?... W miarę rozmyślania nad tym moje samopoczucie staje się jakieś dziwne; mam wrażenie jak gdybym dysponował tylko moralnością ograniczoną... i fragmentaryczną... i arbitralną... i niesprawiedliwą... moralnością, która (nie wiem, czy to jasne) jest z natury swojej nie ciągła, ale *ziarnista*.
↓

Demokryt... Ile? Piszmy: Demokryt, 400 000

Św. Franciszek z Assyżu, 50 000 000

Kościuszko, 500 000 000

Brahms, 1 000 000 000

Gombrowicz, 2 500 000 000

Cyferki przy nazwisku mają oznaczać „horyzont ludzki" danego człowieka, czyli jak on mniej więcej wyobrażał sobie ilość ludzi w swoim czasie – jak siebie odczuwał, jako „jednego z wielu". Z ilu? Cyferki stawiam na chybił trafił... ale twierdzę, że byłoby wskazane opatrywać imiona cyferkami, aby znane było nie tylko imię, ale i „umieszczenie w ludziach".

To jest „liczba” pojedynczego człowieka, to jego „ilość”. Czy zostanę zrozumiany? Mówię, że nigdy dotąd człowiek nie podjął problemu swojej ilości. Ilość nie przeniknęła go dostatecznie. Jestem człowiekiem – tak. Ale jednym z wielu. Z ilu? Jeśli jestem jednym z dwóch miliardów to nie to samo, co gdybym był jednym z dwustu tysięcy.

Żyje w nas samotne samopoczucie Adama. Nasza filozofia jest filozofią Adamów. Sztuka jest sztuką Adamów. Dwie rzeczy mnie zdumiewają gdy się zastanawiam, jak człowiek się wyraził dotąd w sztuce: że ta wypowiedź nie rozpadła mu się na dwie fazy, będące fazami jego życia, wstępującą (młodość) i zstępującą; że nie została dość nasycona ilością. ↓

↔ Napis hańbiący na czole współczesnego człowieka „jeden z bardzo wielu” dotyka nas nawet na najwyższych szczytach, tam gdzie, zdawałoby się, nie ma tłoku. Nie ograniczyłaś się, kobieto, do płodzenia słuchaczy. Napłodziłaś twórców! Za czasów Bacha mniej było organistów, niż dziś jest Bachów – i o ambicjach przewyższających Jana Sebastiana! ↓

Najgłębsze rozdarcie człowieka, jego krwawiąca rana, to właśnie to: subiektywizm – obiektywizm. Podstawowe. Rozpaczliwe. Relacja subiekt – obiekt, czyli świadomość i przedmiot świadomości jest punktem wyjściowym myślenia filozoficznego. Wyobraźmy sobie, że świat się redukuje do jednego jedynego przedmiotu. Gdyby nie było nikogo, kto by sobie istnienie tego przedmiotu uświadomił, on by nie istniał. Świadomość jest poza wszystkim, jest ostateczna, jestem świadomy moich myśli, ciała, wrażeń, doznań, dlatego to wszystko dla mnie istnieje.

Już w zaraniu myśl rozbija się u Platona i Arystotelesa – na myśl subiektywną i obiektywną. Arystoteles poprzez Tomasza z Akwinu dosięga rozmaitymi drogami naszych czasów, a Platon poprzez św. Augustyna, poprzez Descartes’a, poprzez oślepiający wybuch Kantowskiej krytyki i z niej się wywodzącą linię idealizmu niemieckiego, poprzez Fichtego, Schellinga, Hegla, poprzez Husserlowską fenomenologię i egzystencjalizm, dochodzi do potężnego rozkwitu, większego niż za pierwszych dni. Myśl obiektywna natomiast

urzeczywistnia się dzisiaj przede wszystkim w katolicyzmie i marksizmie; ale marksizm nie jest, jak sam Marks twierdził, filozofią, a katolicyzm jest metafizyką, opartą na wierze, jest dosyć paradoksalnie subiektywnym przeświadczeniem że świat obiektywny istnieje.

Chcecie odnaleźć subiektywizm i obiektywizm w sztukach plastycznych? Spójrzcie. Czyż renesans to nie obiektywizm, barok – subiektywizm? W muzyce Beethoven subiektywny, Bach obiektywny. I jakież głowy nie wypowiadały się za subiektywizmem! Artyści, myśliciele jak Montaigne lub Nietzsche… a jeślibyście chcieli zobaczyć jak dalece to rozdwojenie nasze jest wciąż krwawiące przeczytajcie dramatyczne strony w *Bycie i Nicości* Sartre'a poświęcone dziwnemu pytaniu: czy istnieją inni ludzie oprócz mnie samego?

Mówię „problem dziwny" bo istnienie innych ludzi jest przecież najbardziej naoczną, namacalną rzeczywistością – a dla Sartre'a egzystencjalisty, ale i marksisty, ale i moralisty, było nieomal sprawą życia i śmierci uznać ową rzeczywistość. A jednak po gruntownej analizie tego problemu u Descartes'a, Kanta, Hegla, Husserla, zmuszony jest uznać, że istnienie drugiego człowieka jest nie do przyjęcia dla myślenia ścisłego, filozoficznego. A dlaczego? Gdyż jestem w ostatecznej swojej istocie, jak się rzekło, czystą świadomością, jestem podmiotem… A jeślibym przyjął, że inny człowiek też jest świadomością, to staję się w tej samej chwili obiektem dla tej cudzej świadomości, a więc rzeczą. Nie mogą istnieć dwa subiekty w myśleniu ścisłym, jeden wyklucza drugi.

Ignorantom dla których filozofia jest kupą bredni, bo nic nie rozumieją, pozwolę sobie zwrócić uwagę, że nad analogiczną sprzecznością łamią sobie głowy np. fizycy (teoria falowa i korpuskularna światła, dwoiste ujęcie elektronu, *continuum* Einsteinowskie i teoria Plancka). Wszędzie, wszędzie, najgłębsza myśl człowieka rozbija się o tę samą dwoistość interpretacji, wewnętrznie nie do pogodzenia. I dlatego człowiek jest dla siebie taką tajemnicą. ↓

Ciało

Źródła moje biją w ogrodzie, u wrót którego stoi anioł z mieczem ognistym. Nie mogę tam wejść. Nigdy się nie przedostanę. Skazany jestem na wieczyste krążenie wokół miejsca, gdzie święci się moje najprawdziwsze oczarowanie.

Nie wolno mi, bo… te źródła wstydem tryskają, jak fontanny! Ale ten nakaz wewnętrzny: zbliż się jak najbardziej do źródeł wstydu twojego! Muszę powołać do działania wszystek rozum, świadomość, dyscyplinę, wszystkie elementy formy i stylu, całą technikę, do jakiej jestem zdolny, aby zdobyć przybliżenie do tajemniczej bramy tego ogrodu, za którą kwitnie mój wstyd. Czymże, w takim razie, jest moja dojrzałość, jeśli nie jest środkiem pomocniczym, sprawą wtórną?

Wiecznie to samo! Ubierać się we wspaniały płaszcz aby móc zajść do portowej knajpy! Zażywać mądrości, dojrzałości, cnoty, aby zbliżyć się do czegoś *wręcz przeciwnego*! ↓

Osły… Kozy… Często przypominają się Włochy, lub południowe Pireneje – w ogóle Południe. ↔ Może w rozprawie mojej z tą Południową Ameryką więcej jest lęków nordyka, niż czego innego. Ten szok – zderzenie Północy z Południem, które już tyle razy dało mi się we znaki w Europie. Gdy metafizyka Północy stacza się, jak z pieca na łeb, w konkret cielesny Południa.

Nieprawda, nieprawda… i czas już wyjawić potworną zmysłowość Północy. Ja, na przykład… czyżbym był metafizyką… czyżbym nie zgadzał się na ciało?

O! Jestem śmiertelnie zakochany w ciele! Ciało jest dla mnie prawie decydujące. Żaden duch nie okupi brzydoty cielesnej i człowiek fizycznie niepociągający będzie dla mnie zawsze z rasy potworów, choćby to był sam Sokrates!… Ach, jak bardzo potrzebuję tego uświęcenia poprzez ciało! Ludzkość dzieli się dla mnie na część cieleśnie pociągającą i część odpychającą, a granica jest tak wyraźna, iż to nie przestaje mnie zdumiewać. I choć mogę kochać nawet kogoś

brzydkiego (Sokratesa), nigdy nie byłbym w stanie *kochać się* – to znaczy wciągając siebie samego w krąg oczarowania – bez pary ramion bosko cielesnych, przyciągających… obejmujących…

Chcecież ode mnie, nordyka, jeszcze jednego zwierzenia? Moja metafizyka jest po to żeby staczała się w ciało… ciągle… prawie bez wytchnienia… jest jak lawina o naturalnej skłonności ku dołowi… Duch? Powiem, że największą dumą moją, jako artysty, nie jest wcale przebywanie w królestwie Ducha, a właśnie to, że nie zerwałem mimo wszystko z ciałem; i bardziej chlubię się tym, że jestem zmysłowy, niż tym, że znam się na Duchu; i namiętność moja, grzeszność, ciemność bardziej mi są cenne niż moje światło. Jeszcze? Jeszcze wam zwierzyć to i owo? Więc powiem, że największym osiągnięciem artystycznym życia mego to nie tych kilka książek, które napisałem, a to jedynie i po prostu, że nie zerwałem z „nieślubną miłością". Ach! Gdyż być artystą to przecież oznacza być śmiertelnie zakochanym, nieuleczalnie, namiętnie, ale także dziko i bez ślubu…

„A słowo ciałem się stało"… Któż wyczerpie całą drastyczność w tym zawartą? ↓

Szedłem zaniepokojony… Bo już od dość dawna zarzuciłem był te spacery w Retiro i po Leandro Alem (o których kiedyś pisałem) – a teraz, w Santiago, znów niespodziewanie powracała ta sytuacja, najgłębsza, najistotniejsza i najboleśniejsza ze wszystkich moich: ja idący za chłopcem z gminu. Jednakże tym razem pojawiła się pewna nowa cecha tej sytuacji, mianowicie, że w grze była nie piękność i młodość, a moralność – ja szedłem uwiedziony tą *inną* uczciwością, rzetelnością, prostotą, czystością, która podkopała i zniszczyła moje uduchowienie. Szedłem za tymi jego prostymi plecami, jawnym karkiem, spokojnymi rękami! A mój niedawny triumf ulotnił się, pyf, nie ma!… Ale, witając z rozpaczą ten ponowny marsz mój w klęskę, postanowiłem, zacisnąwszy zęby, że teraz doprowadzę do rozstrzygnięcia… jakiegokolwiek… Tak dłużej być nie mogło! Trzeba z tym skończyć. I uwierzyłem, nie wiem dobrze dlaczego, może wskutek intensywności, z jaką ciało mi się narzucało, że jeśli zdołam rozwiązać fizyczny kształt zdarzenia, jeśli znajdę fizyczne rozwiązanie sytuacji, to ona doprowadzi mnie także do duchowego rozwiązania. Póki co szedłem za tym czango

w mroku, świadom, że to moje posuwanie się za nim jest przede wszystkim formułowaniem sytuacji: ja i on, ja idący za nim, ja z nim jako problem do rozwiązania…

Jakoż problem olbrzymiał… tą szczególną potęgą, jaką nabrzmiewają czasem rzeczy bez znaczenia. Już w uszach mi dudnił, w skroniach walił, ten pochód mój niespodziewany! Wiedziałem teoretycznie dlaczego ciało przede mną jest tak rzetelne, w przeciwieństwie do pokrętności, która nas, inteligentów, cechowała. Przejrzystość ciała! Rzetelność ciała! Albowiem ciało stwarzało grę potrzeb i wartości prostą, jasną, dla tego czanga wartością było to co zaspokajało jego potrzeby cielesne, zwykłe potrzeby zdrowego ciała, więc on był właściwie biernym terenem gry sił naturalnych, nie był niczym więcej jak tylko naturą – i dlatego jaśniał przede mną w mroku czysty, prosty i przejrzysty. Moralny, jak pies, jak koń! Moralny jak zwykłe zdrowie! A ja? A mnie podobni? O, my zerwaliśmy z logiką ciała i byliśmy wytworem skomplikowanych czynników, wywodzących się już nie z natury w ogóle, a ze specyficznej natury ludzkiej, my, wytwór ludzkości, produkt tej „drugiej natury", jaką jest natura człowieczeństwa. Byliśmy perwersją, wyrafinowaniem, komplikacją, byliśmy Duchem, o, nieszczęśliwi!… ale przecież nie mogłem zgodzić się na tę sytuację, że niby ja idący za nim, ja, wielbiący… to byłoby równoznaczne z plajtą… więc, odrywając się siłą, skręciłem w pierwszą uliczkę na prawo. Zerwałem łączność i teraz szedłem sam… I mówiłem sobie, roztrzęsiony: – Do diabła! Nie zapominaj kim jesteś! On jest tylko ciałem, nic nie znaczący, jeden z wielu, mierzwa! Ty – niepowtarzalny, jedyny, oryginalny, niezastąpiony!

A jednak to, że ja cieleśnie nie byłem ani tak rzetelny, ani tak przejrzysty, jak on, miało wagę do tyla decydującą, iż nadaremnie wyśpiewywałem hymny na własną cześć. One goryczą były zaprawione i woń zgnilizny unosiła się wokół. Poczułem na tej pustej ulicy, że nie da rady, że będę musiał coś zamordować, szedłem już zdecydowany na morderstwo. Musiałem zepchnąć go do rzędu zwierząt i zostać sam, w człowieczeństwie moim, nie było dopuszczalne dalsze tolerowanie podwójnej ludzkości, jego i mojej, albo ja musiałem stać się potworem, albo on – zwierzęciem, nie było innego wyjścia… Tej oczywistości

towarzyszyła inna – że nie powinienem był odchodzić od niego i pozwalać, aby on był sam, tajemnie. Postanowiłem przeto dogonić go i rozprawić się z nim. Czy nie odszedł już za daleko? Nie, było prawie pewne, że doszedłszy do parku skręcił na prawo, szedł więc ulicą równoległą do mojej – ale wyobraziłem sobie, że go doganiam i znów za nim idę... Nie, za nic! I tak samo dopadnięcie go z boku, zza rogu, nie byłoby zadawalające... wobec czego zdecydowałem przyśpieszając kroku, że wyprzedzę go i wyjdę mu naprzeciw z następnej przecznicy, twarzą w twarz... I to mnie olśniło! Ani z tyłu, ani z boku, ale naprzeciw i twarzą w twarz!

Nie za nim.

Nie z boku.

Ale naprzeciw i twarzą w twarz!

Taka była fizyczna formuła zwycięstwa. To pozwalało na atak. A mnie wojna z nim była potrzebna, bo czyniła go moim wrogiem, wyrzucała na zewnątrz. – Ruszyłem prawie biegiem i już sam ten bieg, mający jego na widoku, zmieniał sytuację na moją korzyść. Gwałtownie skręciłem. Zwolniłem kroku. Teraz szedłem ulicą o rzadkich latarniach, której jedną ścianę tworzyły wielkie, czarne, ciche drzewa parku – a on nadchodził, w sporej odległości, rozpuszczony w blaskach chybocących się świateł. Zbliżał się, a moja wrogość wyrzucała go ze mnie jak wysypkę, tam był, przede mną. Zabić. Szczerze chciałem go zabić. I zabijałem go w sobie tym, że chciałem go zabić. W pewności, że bez tego zabójstwa *nigdy nie będę mógł być moralny*. Moralność moja stała się agresywna i mordercza. Szybko malała odległość między nami, ja naturalnie nie zamierzałem „na zewnątrz" zabijać, w sobie tylko pragnąłem dokonać morderstwa na nim i byłem pewny że, jak jego zabiję to nawet w Boga uwierzę – a w każdym razie będę po stronie Boga... Była to jedna z chwil mojego życia, w której najwyraźniej zrozumiałem, że moralność jest dzika... dzika... ↓

Ze mną nigdy nic nie wiadomo. W każdej chwili mogę powiedzieć głupstwo, albo skłamać – w ogóle, wystrychnąć na dudka. Ze mną nie ma żadnej gwarancji. Jestem drań – lubię się zabawić – i gwiżdżę – gwiżdżę – gwiżdżę... na was i na moje nauczanie. ↓

Pisarz na wygnaniu

Giedroyc chciał żebym odpowiedział Cioranowi (pisarz rumuński) na jego artykuł *Dogodności i niedogodności wygnania*. Zawarłem w tej odpowiedzi mój pogląd na rolę literatury wygnanej. *Słowa Ciorana zieją piwnicznym chłodem i stęchlizną grobu, ale zanadto są małostkowe. O kim tu mowa? Kogóż należy rozumieć pod określeniem „pisarz na wygnaniu"? Adam Mickiewicz pisał książki i książki pisze pan X., owszem, wcale poprawne a także poczytne, obaj są „pisarzami" i, notabene, pisarzami na wygnaniu... ale na tym kończy się wszelkie między nimi podobieństwo.*

Rimbaud? Norwid? Kafka? Słowacki?... (rozmaite bywają wygnania). Sądzę, że żaden z nich nie przeraziłby się zbytnio tym właśnie gatunkiem piekła. Przykrą jest rzeczą nie mieć czytelników – bardzo nieprzyjemnie nie móc wydawać swoich utworów – wcale nie jest słodkie być nieznanym – wysoce niemiłe jest widzieć się pozbawionym pomocy tego mechanizmu, który wypycha na wierzch, robi propagandę i organizuje sławę... ale sztuka naładowana jest pierwiastkami samotności i samowystarczalności, znajduje ona swoje zadowolenie i swoją rację bytu w sobie samej. Ojczyzna? Przecież każdy z wybitnych, wskutek po prostu wybitności swojej, był cudzoziemcem nawet u siebie w domu. Czytelnicy? Przecież nigdy nie pisali oni „dla" czytelników, zawsze „przeciw" czytelnikom. Honory, powodzenie, rezonans, sława – przecież stali się sławni właśnie dlatego, że więcej cenili samych siebie niż swe powodzenie. ↓

Składam dank Najwyższemu, że wydobył mnie z Polski, gdy moja sytuacja literacka zaczynała się polepszać i przerzucił na ląd amerykański, w obcy język, w samotność, w świeżość anonimatu, w kraj bardziej zasobny w krowy niż w sztukę. Lód obojętności tak dobrze konserwuje dumę! ↓

Ale Miłosz!

Rodzinnej Europie (zgadzam się z Mieroszewskim) brak tego co u Arystotelesa nazywa się *quid* – brak dojścia do sedna i odpowiedzi na pytanie „o czym mowa"; a także „na czym to polega". Kiedyś tak pływałem po Paranie: świt wczesny, nie było ani nocy, ani dnia, mgły tylko i ruch wody wszechobejmujący, szumiący, czasem ukazywał się na tych odmętach jakiś przedmiot określony – deska, gałąź – ale cóż kiedy i to było zanurzone w parciu tak powszechnym, iż odbierało przytomność.

Miłosz, który jest zanurzony w Życiu i w Historii, powie, że nie ma większego kłamstwa, niż definicja, i że jedyną prawdą jest ta, której się nie obejmuje. Owszem. Tylko że... przy czytaniu Miłosza zalecam ostrożność, gdyż on jest – tak twierdzę – osobiście zainteresowany w zamazywaniu konturu.

On dla mnie zalicza się do autorów, którym osobiste życie dyktuje dzieło. Nie zawsze tak bywa. Gdyby moje życie wypadło inaczej, kto wie czy tak wiele zmieniłoby się w moich książkach. Ale Miłosz! Pomijając wiersze, cała jego literatura jest związana z jego osobistą sytuacją literacką, czyli z osobistą jego historią, tudzież historią jego czasów. Tak się złożyło powoli, że on stał się prawie oficjalnym informatorem o Wschodzie, przynajmniej polskim – cała jego dotychczasowa proza jest temu poświęcona. Nie jest to sztuka dla sztuki, jest to sztuka dla Zachodu. A stąd wynika kilka konsekwencji. Między innymi, że jeśli Miłosz dba o swój prestiż, nie może być w tych swoich informacjach płytszy od Francuzów, czy Anglików – owszem, musi być głębszy. I, między innymi, że jeśli Miłosz dba o wydajność swojego tematu, nie może pozbawiać go wielkości, lub grozy...

Tu już jasno zarysowują się pewne niebezpieczeństwa... Dodajmy do nich jeszcze jedno, wynikające z samej natury Wschodu. Wschód, mianowicie, zawsze oscylował pomiędzy krańcami i tu rządzi zasada: *tertium non datur*. Jeśli nie ujrzymy w tym straszliwej głębi, to to będzie

straszliwa płytkość. Jeśli nie – straszliwa mądrość, to okropne głupstwo. Jeśli nie wzniosłość, to płaskość. Ale dołóżmy jeszcze jedno niebezpieczeństwo, już typowo polskie, wynikające z polskiej sytuacji pośredniej, dzięki której kraj nasz jest po trosze karykaturą zarówno Wschodu jak Zachodu. Wschód polski jest Wschodem umierającym w zetknięciu z Zachodem (i *vice versa*), wobec czego „coś tu zaczyna szwankować". Wyobraźmy sobie tedy kłopoty Miłosza, gdy pisze o takim np. Tygrysie. Sęk w tym, czy ten Tygrys jest rzeczywiście tygrysem, czy też to kot miauczący i szwendający się po stromych dachach. Czy jest w nim prawdziwa zagadka, czy też to jeden więcej pijaczyna z wielkiej polskiej knajpy „Pod zdechłym psem i kotem" („Pod zdechłym Zachodem i Wschodem")?

Wzmaga kłopot miłoszowy to, że on sam jest rodem po trosze z tej knajpy. Jeden z najciekawszych dla mnie, najsubtelniejszych i nawet wzruszających aspektów jego prozy, to ten jego osobisty związek z polską tandetą – czuje się, że on przy całej swojej europejskości jest także jednym z nich... Podziwiając niedawno świetną robotę reżyserską Wajdy w filmie *Popiół i diament,* myślałem o Miłoszu i jego polskiej ojczyźnie. Jakże trudno zareferować tę „Rodzinną Europę", gdy się jest jej synem i, mimo wszystko, płynie się na jej fali, jest się objętym jej szumem, jej mgłami...

Od lewej: Witold Gombrowicz, Józef Jarema, Czesław Miłosz i Alastair Hamilton, Vence, maj 1967 r.

Ale atutem *Rodzinnej Europy* i rękojmią jej nowoczesności ma być nie co innego, jak że tutaj nie Polak pisze o Polsce i Wschodzie, tylko człowiek o Polaku w sobie i o „swojej" Europie. Taki program to prawie Husserl i prawie Descartes. Tak, tylko że oni byli filozofami i nie gardzili abstrakcją, a Miłosz-artysta i egzystencjalista boi się jej jak ognia, bo wie, że zabija sztukę. Unika więc formuł, za nic nie chce wyleźć z rzeki, aby na nią popatrzeć z brzegu, zanurza się w jej mętach, co chwila angażuje się osobiście w swój opis i wtedy przestaje być człowiekiem, staje się znowu konkretnym Miłoszem... I oto zaczyna się ekwilibrystyka tego skrupulatnego pisarza: „Czy nie zanadto siebie poniżyłem?" „Czy nie zanadto siebie wywyższyłem?" „Czy nie zanadto ich poniżyłem?" „Czy nie zanadto ich wywyższyłem?" Z fali na falę, z góry na dół, z dołu na górę – dialektyczna kołysanka. Szum. Rzeka. Historia. ↓

Spróbuję naprzód określić w paru słowach nasz moment historyczny w odróżnieniu od czasów Brzozowskiego. Otóż czas Brzozowskiego, to

okres triumfalny intelektu, gwałtownej jego ofensywy na wszystkich polach – zdawało się wtedy, iż głupota może być wypleniona upartym wysiłkiem rozumu. Sądzę, że ten napór intelektualny wzrósł w latach następnych i chyba osiągnął apogeum bezpośrednio po drugiej wojnie – gdy marksizm z jednej strony, egzystencjalizm z drugiej, wylały się na Europę jak wrzątek z kipiącego garnka (nie mówiąc o innych zaborczych ideach). Pociągnęło to za sobą niesłychane rozszerzenie horyzontów ludzi, zajmujących się myśleniem.

Jednakże... ta nieszczęsna dialektyka historii... dziś, w moim mniemaniu, ten okres się kończy i już zarysowują się czasy Wielkiego Rozczarowania. Spostrzegliśmy, że wprawdzie dawna głupota zanika ale na jej miejsce pojawia się nowa – którą właśnie intelekt rodzi, będąca jego subproduktem, głupota, niestety, intelektualna...

Zgodzi się ze mną Miłosz, przypuszczam, że ów ziemianin Brzozowskiego mniej był narażony na głupstwo, niż ludzie dzisiejsi. Światopogląd ówczesny oparty był na autorytecie, przede wszystkim Kościoła, hreczkosiej jeździł w niedzielę na mszę, a w inne dni tygodnia oddawał się niewinnym pomyślunkom w rodzaju, czy zasiać owies, czy koniczynę. Nawet osoby o bujniejszym życiu umysłowym nie brały się do filozofowania, filozofia działa się na marginesie, jak coś ważnego może, ale odległego. Dziś natomiast każdy z nas musi przemyśleć świat i życie na własny rachunek albowiem wykończyły się autorytety. Dodajmy, że inteligencję cechuje niezwykła naiwność, żyje w niej dziwna młodzieńczość, nie na darmo jest jednym z późniejszych osiągnięć ludzkości, bodaj najmłodszym... ci więc intelektualiści pełni animuszu nie tylko rozkazali: myśl sam, własną głową, nie wierz nikomu póki sam nie sprawdzisz, – ale, jakby tego było mało, zażądali by „przeżywano myśl". Bagatela! Nie tylko mam myśleć, ale w dodatku brać moją myśl na serio i sycić ją własną krwią! Potworne skutki nie dały na siebie długo czekać. Zaroiło się od myślicieli fundamentalnych, sięgających do podstaw i budujących sobie światy. Filozofia stała się obowiązkowa. Ale dostęp do tego najwyższego i najgłębszego myślenia, znaczonego wielkimi nazwiskami, nie jest przecież łatwy: i oto ugrzęźliśmy w okropnym trzęsawisku myślenia niedomyślonego, w jakimś niedotrawieniu generalnym, w mazi i błocie głębi połowicznej.

Ależ, mój sympatyczny Miłoszu, to co się dzieje dziś z intelektem i intelektualistami, to jest po prostu skandal – i mistyfikacja, jedna z największych w historii. Ten intelekt tak długo „demistyfikował", aż w końcu sam stał się narzędziem potwornego zakłamania. Wiedza i prawda od dawna już przestały być naczelną troską intelektualisty – zastąpiła je troska o to po prostu, żeby się nie dowiedziano, że on nie wie. Intelektualista, rozsadzany treściami, których sobie nie przyswoił, kluczy jak może, byle nie dać się przyłapać. Jakie są jego środki ostrożności? Formułować chytrze, żeby nie złapano za słówko. Nie wychylać nosa poza to, co jako tako się opanowało. Używać pojęć skrótowo, niby że to one są już wszystkim doskonale znane, a w gruncie rzeczy, aby nie zdradzić się z ignorancją. Dawać do zrozumienia, że się wie. Powstał kunszt specjalny zręcznego szermowania myślami nieopanowanymi z miną, jak gdyby wszystko było w największym porządku. Powstała specjalna sztuka cytowania i zażywania nazwisk. Z tysiąca nasuwających się tutaj przykładów weźmy ten tylko: jedną z najgwałtowniejszych dysput intelektualnych po wojnie była polemika, sprowokowana żądaniami Sartra, aby intelektualista „angażował się" i „wybierał". Żaden z literatów nie mógł, w praktyce, nie wypowiedzieć się *pro* lub *contra.* Ale na to, żeby postulaty Sartra z jego *Situations* mogły być zrozumiane, trzeba by wpierw pojąć jego „wolność", to zaś wymagałoby przestudiowania siedmiuset stron jego *L'Être et le Néant* (nudziarstwo), ale *L'Être et le Néant* będąc ontologią fenomenologiczną wymaga znajomości Husserla, nie mówiąc już o Heglu, nie mówiąc o Kancie... Zapytuję, ilu z tych co tezy Sartra omawiali, odważyłoby się stanąć przed komisją egzaminacyjną?

I (zważywszy pracę niestrudzoną kobiecego łona) wszystkie składniki tej maskarady muszą się mnożyć i potęgować z każdym rozpędzonym dniem. Ach, ta „towarzyskość", którą potępiał Brzozowski, przybrała nieoczekiwany aspekt... Nas tak znudziły już te prawdy ostateczne i najgłębsze, które trzeba sycić własną krwią, iż w końcu nie wiedząc, jak pogodzić nasze ziewanie z doniosłością naszego przedsięwzięcia, zaczęliśmy dbać jedynie o zachowanie pozorów.

Miłosz jest po stronie Brzozowskiego, Miłosz chce, aby inteligencja polska dogoniła Zachód. Jest tu wyrazicielem powojennego polskiego

zrywu w kierunku „europejskości” i „nowoczesności”. A ja, szlachcic-hreczkosiej panie święty starej daty, wyciągam rękę i powiadam: – Z wolna! Nie tędy droga! Po diabła wam to? Po pierwsze, nie dogonicie, gdyż formy myślenia i jego styl powoli tylko się wykształcają. Po drugie, nie warto, bo z tym więcej zawracania głowy, niż czego innego. Po trzecie, byłoby dobrze, gdybyście wzięli pod uwagę co następuje: dziś atuty są po waszej stronie; wasze powoli zaczyna być na wierzchu; to, co dotychczas było waszym wstydem, może być wprowadzone w Europę jako punkt wyjściowy zbawiennej rewizji.

Dziś, moim zdaniem, polska „letniość” ma szanse i nie powinna się wstydzić. Z przyjemnością usłyszałbym polski głos w Europie, stwierdzający pod adresem intelektu: dość, nie rozumiem, nie mogę, nie chcę. Tyle tylko, nic więcej. Szłoby nie o znalezienie drogi wyjścia, a tylko o określenie sytuacji... która dopiero potem znalazłaby swoich ludzi i swe rozwiązania. Jak najdalszy jestem od przypuszczenia, aby tymi ludźmi stać się mogli nasi dumni „klasycy”, wyniośle kręcący nosem na „nowinki”, wyświęcający „snobizmy” i delektujący się własnym „mistrzostwem” – ani nasi wykwintnisie, smakosze, sybaryci, dowcipnisie, anegdociarze – ani krzepkie chłopy, to bractwo morowe od „życia praktycznego”. Nie, żadna z tych form zwątpienia intelektualnego mi nie odpowiada. To musiałoby być zrobione szczerzej; i bardziej po europejsku; i inteligentniej. ↓

Sienkiewicz

Potężny geniusz! – i nigdy chyba nie było tak pierwszorzędnego pisarza drugorzędnego. To Homer drugiej kategorii, to Dumas Ojciec pierwszej klasy. Trudno też w dziejach literatury o przykład podobnego oczarowania narodu, bardziej magicznego wpływu na wyobraźnię mas. ↔ Ażeby zrozumieć nasz romans sekretny (gdyż kompromitujący) z Sienkiewiczem, należy dotknąć sprawy drastycznej, a mianowicie problemu „wytwarzania urody". Być urodziwym, pociągającym, ponętnym – to pragnienie nie tylko kobiety i, być może, im naród jest słabszy i bardziej zagrożony, tym dotkliwiej odczuwa potrzebę urody, która jest wezwaniem do świata: patrz, nie prześladuj mnie, kochaj! ↓ Różnica pomiędzy istotnym dążeniem do urody a kokieterią na tym polega, że w pierwszym wypadku pragniemy podobać się sobie, a w drugim wystarcza abyśmy innych oczarowali. Ale już od lat Polacy praktykowali urodę interesowną, zawsze w imię jakichś innych i wyższych racji, cóż więc dziwnego, że Mickiewicz, mimo wszystko w sporej mierze bezinteresowny i potężny, przekształcił się stopniowo w Sienkiewicza, będącego już jawną żądzą podobania się za wszelką cenę. Ten, naprzód, pragnął podobać się czytelnikowi. Po wtóre, pragnął, aby jeden Polak podobał się drugiemu Polakowi i aby naród podobał się wszystkim Polakom. Po trzecie, pragnął, aby naród podobał się innym narodom. ↔ I dlatego, mimo całą jego chwałę, nigdy dotąd nie została oddana pełna sprawiedliwość Sienkiewiczowi. Inteligencja polska rozkoszowała się nim „do poduszki", ale na gruncie oficjalnym wolała wysuwać inne nazwiska, artystów nieskończenie mniej utalentowanych ale poważniejszych, jak Żeromski lub Wyspiański... Jest to bowiem geniusz „łatwej urody". Z przerażającą skutecznością spłyca on wszystko, czego się dotknie, następuje tu swoiste pogodzenie życia z duchem, wszystkie antynomie, którymi krwawi się poważna literatura, zostają złagodzone i w rezultacie otrzymujemy powieści, które podlotki mogą czytać bez rumieńca. Gdybyśmy zapytali Sienkiewicza: – Dlaczego upiększa pan historię? Dlaczego upraszcza

pan ludzi? Dlaczego karmi pan Polaków stekiem naiwnych iluzji? Dlaczego usypia pan sumienia, tłumi pan myśl i hamuje postęp? – odpowiedź jest gotowa, zawarta w ostatnich słowach *Trylogii*: dla pokrzepienia serc. ↔ Z czego okazuje się, że punkty wyjściowe Sienkiewicza zgodne są z naszą wiekową tradycją: wszystko, co się pisze, pisze się w imię Narodu i Boga, Boga i Narodu. ↔ Nigdy znakomite powiedzenie Gide'a że „piekło literatury wybrukowane jest szlachetnymi intencjami", nie okazało się trafniejsze niż w tym wypadku... i demoniczne konsekwencje szlachetnych i szczerych – nie należy o tym wątpić – sienkiewiczowskich intencji nie dały na siebie długo czekać. Jego „piękność" stała się idealną piżamą dla tych wszystkich, którzy nie chcieli oglądać swej szpetnej nagości. ↔ I może nie dlatego, aby nie interesował tej masy Polaków uparty rewizjonizm Zachodu, wybuchający coraz nowym marksizmem, freudyzmem czy surrealizmem; ale istniała w nich pewna obawa przed rzeczywistością, gdyż w głębi ducha było im wiadomo, że ich, z Sienkiewicza poczęte, wyobrażenie o sobie jest jak pancerz Don Kiszota, którego lepiej nie wystawiać na ciosy. ↔ Potęgo sztuki! Oto pewien styl decyduje o możliwościach emocjonalnych narodu, czyniąc go głuchym i ślepym na wszystko inne, określając do tego stopnia najskrytsze jego gusty, iż 90% świata staje się mu niejadalne. ↓ A jednak! Istnienie jest rzeczą skomplikowaną. Za kulisami pierwszoplanowych zdarzeń odbywa się nieustanna praca psychiczna na dalszą obliczona metę. Życie w nas ani na chwilę nie zostało zahamowane a tylko, w tej chwili, nie może wydostać się na powierzchnię. ↔ Co więcej – nigdy nie było silniejsze nasze rozdarcie między Wschodem i Zachodem, a te dwa światy wzajemnie się niszcząc i kompromitując w polu naszego widzenia, wytwarzają w nas pustkę, którą będziemy mogli zapełnić tylko własną treścią. Prędzej czy później ukaże się nam prawdziwy diabeł i wówczas dopiero dowiemy się do jakiego Boga mamy się modlić. ↓

Jakiż sex-appeal

Tyrmand! Talent! To jak warszawska bosa dziwka w oczach wyrostka, jak tłusta warszawska kuchta w oczach uczniaka, jak k… pijana w oczach ulicznika! Brud i taniocha – a pożądane i zachwycające! Jakiż *sex-appeal* ma ta saga, na 300 procent warszawski, ten sam co niegdyś czaił się w bramach kamienic na Hożej, czy Żelaznej – ale wówczas tylko się czaił – teraz wybuchnął!

Powieść kryminalna, romans brukowy? Ależ tak, i gorzej nawet: romans z bruku zrujnowanego, z ruin i rozdołów. A jednak to lśni, tryska, brzmi, śpiewa… Romantyczny księżyc unosi się nad ruiną miasta i dochodzące z nor, jam, zaułków, mordobicia stają się – znowu! – poetyczne. Tyrmand jest najdoskonalszą kontynuacją naszej romantycznej poezji, on przejął jej pióropusz, on pisze jej ciąg dalszy, ale już na miarę nowej historii: proletariackiej. To jest zniżone do poziomu łobuza, alfonsa, grandziarza itd., ale duch ten sam. A także – ciało. To polskie grzeszne cielsko, z wszystkimi swymi zachciewajkami!

Opowieść, rzecz jasna, skłamana od a do zet – dla przyjemności czytelnika i dla przyjemności autora. Ale jakież prawdziwe i polskie to kłamstwo w gatunku wyobraźni, widzenia, w sentymencie i temperamencie. Czy wiecie co to jest, ta książka? To po prostu wódka! Ta sama wóda, która i przed wojną pozwalała w Polsce jakoś znieść życie… tyle tylko, że przed wojną popijało się z kieliszka, a dziś ciągnie się z litrowej flaszy. Ale z niej jest ta zamroczona „fantazja", bez której nadmiar plajty i bryndza zanadto zupełna byłyby nie do przełknięcia.

Przerzucając strony Tyrmanda jakbym szedł przedwojennymi ulicami, Kruczą czy też Hożą, lub może Żelazną, szlakiem naszej historii mordobitnej. I już wtedy wiedziałem, że Tyrmand jest nieunikniony! Że musi wzejść jak księżyc, romantycznie, i wybuchnąć! Właśnie to! Właśnie taka chuligańska, z ruin, z zaułków, księżycowość mordobita i trunkowa! Przypomina mi się ustęp z listu X. niedawno otrzymanego (ze Stanów): „Boże, ta Polska to ponury sen wariata! Ta

mroczność, duszność, niepewność i nuda…” A dalej: „Mnie tak śmieszy ta nowa Polsza, bo, Bogiem a prawdą, najbardziej przylgnęła do nas epoka saska i ona to największe ślady zostawiła na nas. Naród jest ciemny, endecki, zadzierżysty, chamski, leniwy, czupurny i niedowarzony, ’zytkowaty’ i ’milusiński’, a na tym wszystkim zaszczepiono kremliński komunizm. Dopiero im się musi teraz ze łbów zadurzonych kurzyć!” ↓

Literatura kapcanieje

Nie została dość uwydatniona dekadencja literata – że literatura kapcanieje z każdym rokiem, jeśli nie pod względem dzieł, to pod względem swoich ludzi. Co prawda... jeśli autentycznych kompozytorów nie doliczymy się na świecie, w jednym pokoleniu, więcej niż pięciu, czy sześciu, trudno żądać aby autentycznych pisarzy było dużo więcej. Reszta, to jest, powiedzmy, tych kilkudziesięciu panów z pierwszej kategorii nie będących duchowo na wysokości zadania, choć, owszem, znanych, uznanych, sławnych nawet i z perspektywą uzyskania po śmierci pomników, placów, ulic?... nie, oni już nie są literaturą w dobrym gatunku. Zauważmy grozę, bijącą z tego stwierdzenia. Z tym masłem sztuki rzecz tak się ma, że jeśli nie jest extra, bezwzględnie najlepszej jakości, już je czuć margaryną.

Elita literatury światowej staje się z każdym rokiem liczniejsza; ale i z każdym rokiem bardziej wątpliwa. Dzieje się tak, ponieważ technika podrabiania wyższości, jak wszystkie techniki, postępuje naprzód. Wybitność, a nawet wielkość, jest jednak do pewnego stopnia kwestią techniki – i dziś inteligentny pisarz drugiej klasy wie już wcale nieźle, co i jak w sobie zreformować żeby przedostać się do klasy pierwszej. Na przykład: lepiej abym nie był zanadto duchowy, a tylko zmysłowo-duchowy; i trzeba uruchomić w sobie antynomie; wskazana jest mgła nieokreślenia; dobra jest brutalna bezpośredniość Rimbauda, ale niektóre chwyty współczesnych Jankesów też są nie do pogardzenia, oraz, na wszelki wypadek, lepiej nie tracić z oczu pewnych recept na wielkość „obiektywną", lansowanych ostatnio we Francji. Zdyskwalifikowanie w czambuł tych technicznych zabiegów byłoby niemądre... nie, dlaczegóż ktoś nie pozbawiony iskry Bożej nie miałby świadomie urabiać siebie, posługując się doświadczeniami innych? Czyż geniusz prawdziwy nie zaczyna się jednak, prawie zawsze, od naśladowania genialności? I zdarza się, że taki podrabiany geniusz wchodzi w krew, staje się ciałem. ↔ Porównajcie jedyność ludzi z epoki Verlaine'a z dzisiejszym gronem, gdzie prawie wszyscy są do

zastąpienia. Tak się dzieje i w innych literaturach. Był czas w życiu Europy, kiedy można było zaprosić na śniadanko Nietzschego, Rimbauda, Dostojewskiego, Tołstoja, Ibsena, – ludzi niepodobnych do siebie, jakby każdy był z innej planety – jakież jednak śniadanie nie pękłoby od takiego zespołu? Dziś można by śmiało urządzić bankiet generalny dla całej elity europejskiej, odbyłby się bez zgrzytu, bez iskry.

Na takim podłożu skapcaniałym wyrasta coraz bardziej hańbiąca rola impresaria... literatura, wytrącona z ducha indywidualnego, dostaje się w ręce czynników pozaduchowych, społecznych. Nagrody. Konkursy, Akademie. Związki profesjonalne. Wydawcy. Prasa. Polityka. Kultura. Ambasady. Zjazdy. Trzeba przecież zorganizować i zmusić do funkcjonowania – funkcja i organizacja stały się pijawką, wysysającą już i tak anemiczną krew. Nie byłoby to moim zdaniem do tyla klęskowe, gdyby nacisk pochodził jedynie z zewnątrz, człowiek sztuki wie, że nie jest człowiekiem społecznym, instynktownie broni się przed zakusami profanów. Wiadomo: społeczeństwo będzie zawsze żądać od nas tego, czego nie możemy dać. Ale gorzej, że, jak się rzekło, literatura staje się coraz mniej żywa i wskutek tego traci odporność i zdolność wytwarzania antytoksyn, zdawałoby się nawet, że w niej dokonuje się jakaś selekcja na opak, o charakterze samobójczym. Nie tylko dlatego, że gorszy zaczyna rządzić i poganiać lepszym w ramach tej biurokracji (artysta, im lepszy, tym mniej ma czasu na „funkcjonowanie"), ale i dlatego, że w najlepszych element nieczysty bierze górę nad dumną nieustępliwością duszy. Brak śmiałości. Nawala stanowczość. Poczyna zanikać skłonność do decyzji ostrej, jasnej, która oczyszcza, do zbawczej krańcowości, świat robi się mętny. Nie są bezpośredni duchem, naturalni duchem, i, wobec tego, że sami coś niecoś sfabrykowali sobie tego ducha, nie są znów tak bardzo od tego aby literatura stała się funkcją, fabrykacją, produkcją – mają w sobie tę bezosobowość, która na nich z zewnątrz napiera. ↓

Dante

Teraz dopiero widzę: to najpotworniejszy poemat w literaturze światowej, który jest, strona po stronie, litanią mąk, rejestrem tortur. „Najwyższa Miłość…" To ta jego „Najwyższa Miłość" wydobywa nagle całą monstrualność tej imprezy. A też jej podłość. Dobrze, jeśli o Czyściec idzie, zgoda… jeśli owe grzechy tak szatańskiej domagały się kary, to jednak majaczy w dali blask Zbawienia. Ale Piekło?

Piekło nie jest karą. Kara wiedzie do oczyszczenia, ma swój koniec. Piekło jest torturą na wieczność i ten potępieniec ma wyć za dziesięć milionów lat, jak w tej chwili, nic nigdy się nie zmieni. Z tym nie można się pogodzić. Nasze poczucie sprawiedliwości tego nie wytrzymuje.

A on sobie wypisuje na bramie piekielnej „Stworzona jestem przez Najwyższą Miłość".

Czymże to wytłumaczyć, jeśli nie, że on ze strachu i z podłości, żeby się pochlebić!… Przerażony, drżąc ze zgrozy, zdobywa się na najwyższy hołd wobec najwyższego terroru i najwyższe okrucieństwo nazywa najwyższą miłością. Nigdy słowo „miłość" nie zostało użyte w sposób bezczelniej paradoksalny. Żadne słowo ludzkiego języka nie zostało zastosowane w sposób bezczelniej przewrotny. A to słowo jest właśnie słowem najświętszym, najdroższym. Wypada nam z rąk księga haniebna i nasze usta zranione szepczą: on nie miał prawa…

Podnoszę księgę hańbiącą, przebiegam oczami całość poematu, tak, nie ma co, cała ta piekielna katownia dymi u niego kadzidłem Najwyższej Miłości, on przyjmuje piekło, on potakuje, ba, on je uwielbia! Ależ jak to się dzieje… jak mogło się stać, żeby utwór do tyla zdeprawowany najdzikszym strachem, tak służalczy, tak sprzeczny z najistotniejszym poczuciem sprawiedliwości człowieka, mógł się przeobrazić w ciągu wieków w Księgę Budującą, w najdostojniejszy poemat?

Katolicy… przecież to wasze, *Boska Komedia*… jak wyście to w sobie załatwili?

Człowiek, w myśl doktryny Kościoła, stworzony został na obraz i podobieństwo Boga.

Co więc jest sprzeczne z naszym najgłębszym poczuciem sprawiedliwości, nie może być sprawiedliwe, ani na tym świecie, ani na tamtym.

Nie wolno artyście katolickiemu pisać wbrew sobie. Cała ta *Boska Komedia* jest w stanie grzechu śmiertelnego.

A świat katolicki ją uwielbia. ↓

Wracam do niego, choć już wielokroć o niego zatrącałem… Głupota, jakiej doświadczam – i coraz silniej, w sposób coraz bardziej upokarzający – która mnie gniecie, osłabia – bardzo się wzmogła odkąd zbliżyłem się do Paryża, najbardziej ogłupiającego z miast. Nie przypuszczam abym ja tylko czuł się w jej zasięgu; mnie się zdaje, że wszyscy biorący udział w wielkim marszu świadomości współczesnej nie zdołali zagłuszyć w sobie jej kroku towarzyszącego… jej przedzierania się zaroślami tuż, tuż… Zastanawiałem się i zastanawiam, jak ustalić Prawo, określające najzwięźlej tę sytuację specyficzną Ducha europejskiego. Nie widzę nic innego, oprócz IM MĄDRZEJ, TYM GŁUPIEJ.

W istocie: tu nie mowa o tym pewnym kontyngencie głupoty, jeszcze nie przezwyciężonej, z którą rozwój prędzej czy później się załatwi. Tu by szło o głupotę, postępującą w parze z rozumem, która z nim razem wzrasta. Spójrzcież na wszystkie festyny intelektu: te koncepcje! Te odkrycia! Perspektywy! Subtelności! Publikacje! Kongresy! Dyskusje! Instytuty! Uniwersytety! A jednak: głupio.

Muszę się zastrzec, że prawo *im mądrzej, tym głupiej*, formułuję bez odrobiny żartu. Nie, to tak naprawdę… I zasada odwrotnej proporcjonalności zdaje się dosięgać samej istoty rzeczy, albowiem coraz szlachetniejszej jakości rozumu odpowiada coraz nikczemniejsza kategoria głupstwa, to głupstwo staje się coraz bardziej ordynarne i nie dzięki czemu innemu, tylko właśnie wskutek prostactwa swojego, wymyka się coraz subtelniejszym instrumentom kontroli intelektualnej… rozum nasz za mądry by móc się obronić przeciw głupocie tak głupiej. W *episteme* zachodniej to co jest głupie, jest głupie w sposób gigantyczny – dlatego jest nie do uchwycenia. ↓ Otóż jest

ciekawe, że gdy cały nasz wysiłek duchowy na przestrzeni wieków zmierza do wyodrębnienia się z głupoty i przezwyciężenia jej, w samym łonie ludzkości głupota zdaje się współżyć z rozumem. Skład osobowy ludzkości zapewnia głupocie niepoślednią rolę. Ludzkość składa się z mężczyzn, kobiet, młodzieży i dzieci – już to jedno skazuje nas na wieczną oscylację pomiędzy rozwojem a niedorozwojem, głupota odżywa w każdym pokoleniu. I czyż ona nie jest konieczna do życia, czyż bez niej kobieta chciałaby rodzić, czy byłby możliwy rozkaz, posłuszeństwo, mechaniczna praca, czyż kolej, kopalnie, biura, fabryki, mogłyby pracować bez tej oliwy we wszystkich swoich trybach? Czyż bez lekkości, lekkomyślności głupkowatej, byłaby do wytrzymania śmierć? Kondycja ludzka? Wysiłek *episteme* zmierzający do oczyszczenia się z głupoty, nie znajduje potwierdzenia w organizacji wewnętrznej gatunku ludzkiego, gdzie raczej należałoby mówić o podziale ról: jedni wyrażać mają wyższą, drudzy niższą świadomość.

Nie, Kancie! Twoja Krytyka, choćby najbardziej ścisła i najgłębsza, w siódmych potach pisana, nie wystarczy. Siekierę złap! Złap, mówię, siekierę, wypadnij z siekierą i ciach, na prawo i lewo, dzieci i kobiety, młodzież i robotników, i w ogóle wszystkich, tak, wszystkich i wszystkich!... Tępienie głupoty nie może się odbywać tylko na papierze! Zabijać! Hę... co to ja powiedziałem? ↓

Nauka

Nauka ogłupia.

Nauka pomniejsza.

Nauka oszpeca.

Nauka paczy.

Czy scjentyfizm wyprze sztukę? Och, zupełnie nie obawiam się utraty wielbicieli! ↔

Kiedyż przejdziemy do ofensywy?

Czy w końcu będziemy mogli – artyści – zaatakować człowieka nauki w imię bardziej błyszczącego człowieczeństwa? Zaatakować – z jakiej pozycji? Jakimi środkami? Czy w ogóle jesteśmy w stanie atakować? W ostatnich dziesięcioleciach sztuka zachowywała się podle – pozwoliła sobie zaimponować, nieomal padła na kolana, przyjmowała łapczywie wszystko z ręki wroga, zabrakło jej dumy i nawet zwykłego instynktu samozachowawczego. ↓

Przewiduję, że sztuka już w najbliższych latach będzie musiała otrząsnąć się z nauki i zwrócić się przeciwko niej – to starcie nastąpi prędzej, czy później. Będzie to już bój otwarty, gdzie każda ze stron będzie miała pełną świadomość swojej racji. ↓

Że komunizm jest w teorii swojej naukowy – że te dwa światy, nauka i komunizm, są blisko spokrewnione – że więc i nauka ma tendencję komunizującą – ależ jasne, jak słońce! Tłumaczyłem niedawno profesorowi Teranowi (w Quequenie), że jeśli młodzież uniwersytecka lubi na ogół czerwień, to nie za sprawą agitatorów, a tylko wskutek swojej kultury naukowej. Czczą i wyznają wiedzę; komunizm ukazuje się im w aureoli scjentyzmu.

Pokrewieństwo – autentyczne – z przemożnym duchem nauki jest kartą atutową rewolucji w grze o podbój świata. Jeśli dopłyną do mety, to na tej naukowej fali, która wszystko zalewa. Dziwne natomiast jest zachowanie się sztuki w zimnej wojnie – jak mogła nie dostrzec, że jej

miejsce po przeciwnej stronie barykady? To naprawdę dziwi – ma ona przecież we krwi tyle antykomunizmu – nieraz łapię się na tym, że choćbym dał się pociągnąć moim, czasem silnym, sympatiom do pewnych dokonań tam, za kurtyną, jako artysta muszę być antykomunistą, czyli, innymi słowy, że mógłbym być komunistą tylko rezygnując z porcji mojego człowieczeństwa, która wyraża się w sztuce.

Rzeczywiście! Jeśli sztuka jest „czymś najbardziej osobistym", jeśli jest „własnością najbardziej prywatną, jaką można sobie wyobrazić", jeśli sztuka to osobowość, to „ja"... Spróbujcież, wyznawcy kombinatów i kołchozów, powiedzieć Szopenowi, że sonata h-moll nie jest jego. Lub że on nie jest sonatą h-moll i to w sposób najbezwzględniejszy, najdzikszy. Och, wyobrażam sobie roztańczonego pajaca artyzmu uwodzącego, zakochanego, szalejącego, spragnionego wyższości i wszystkich luksusów, nie dającego się niczym okiełznać, ująć, określić – wyobrażam sobie tego duszka niepojętego a aroganckiego pod nadzorem waszych reglamentacji, wypełniającego potulnie i pożytecznie funkcje wyznaczone. Jakież to zabawne: szał sztuki, jej pożary, na tle statecznej, wyrozumowanej moralności i całego tego „uspołecznienia". ↓

Jestem sługą

Ile stron zapisałem w ciągu mojego życia? Niecałe 3000. Jaki rezultat, jeśli idzie o mnie osobiście? ↔ Prawie się wstydzę. Moje zamachy na formę do czegóż mnie doprowadziły? Do formy właśnie. Tak długo ją rozbijałem, aż stałem się pisarzem, którego tematem jest forma – oto mój kształt i moja definicja. I dzisiaj ja, prywatny, żywy, jestem sługą tego oficjalnego Gombrowicza, tego którego zrobiłem. Mogę już tylko *dopowiadać.* Moje dawniejsze fermenty, gaffy, dysonanse, ta cała niedojrzałość męcząca… gdzież to jest? Na starość życie stało mi się łatwiejsze. Manewruję wcale zręcznie mymi sprzecznościami, głos mój się ustalił, tak, tak, mam już moje miejsce, funkcję, jestem sługą. Czyim? Gombrowicza.

Czy mój bunt dawniejszy ożyje w czyjejś młodej, zdobywczej wyobraźni? Nie wiem. Ale ja? Czy zdołam zbuntować się jeszcze raz, na stare lata, tym razem przeciw niemu, Gombrowiczowi? Wcale nie jestem tego pewny. Przemyśliwam nad rozmaitymi podstępami by wydostać się spod tej tyranii, ale choroba i wiek mnie osłabiły. Odrzucić precz Gombrowicza, skompromitować go, zniszczyć, tak, to byłoby ożywiające… ale najtrudniej walczyć z własną skorupą.

Powrócić do prapoczątku, skryć się znowu w gąszczu owej Niedojrzałości wstępnej (która, obok Formy, była i jest naczelnym moim hasłem; ale o której mało w tych dialogach, bo o tym trudno mówić, bo tego już trzeba szukać w żywym organizmie – jeśli on żywy – moich utworów artystycznych). Zbuntować się? Ale jak? Ja? Sługa? ↓

Witold Gombrowicz, willa „Alexandrine”, Vence, 1967 r.

Śmierć

Umarł nagle i zniknął tak zupełnie, jakby jakaś ręka wyjęła go spośród nas. Widziałem go jeszcze raz w trumnie, gdzie wyglądał jak rzecz natrętna, narzucająca się oczom. Przykre wrażenie.

Co pewien czas ktoś z kolegów ulatnia się w ten sposób, a wtedy wtulając głowy w ramiona, mówimy: Hm, hm… (cóż innego możemy powiedzieć?) i lekka konsternacja zawisa w powietrzu. A jednak w znakomitej większości my wszyscy, urzędnicy, jesteśmy już w trakcie umierania. Ludzie po czterdziestce, którzy wykańczają się powoli, co rok starsi o rok. Na pogrzebie myślałem: że to nie żywi żegnają nieboszczyka, ale umierający umarłego. Na cmentarzu, w jasnej południowej godzinie, te twarze napiętnowane pewną zasadniczą beznadziejnością wyglądały trupio, jak ów trup w trumnie, i każdy dźwigał siebie jak torbę wypełnioną zgonem.

Przez cały czas pogrzebu brzydota powolnej śmierci, którą nazywamy starzeniem się, ciążyła mi jak głaz i to głaz absolutny, nieunikniony, głaz *sans phrases*. Rozmyślałem też nad mistyfikacją, która temu towarzyszy. Gdyż wśród ludzi nie ma, nie może być większego przeciwieństwa jak biografia wstępująca i zstępująca, jak rozwój i dekadencja, jak człowiek po trzydziestce, który już zaczyna się kończyć i człowiek przed trzydziestką, który się rozwija. To ogień i woda, tu coś się zmienia w samej istocie człowieka. Cóż ma wspólnego młodzieniec ze starzejącym się, gdy obaj napisani są w innej tonacji? Wydawałoby się zatem, że powinny być dwa osobne języki: jeden dla tych, którym przybywa życia, drugi dla tych, którym ubywa. Ale ten kontrast został właściwie przemilczany, starzejący się udają że żyją w dalszym ciągu, nikt nie był w stanie stworzyć osobnego słowa dla ludzi wkraczających w umieranie. Przyjrzyjcie się sztuce – ona robi co może, aby zatrzeć fatalną granicę. Posłuchajcie jak rozmawiają ze sobą ci „dorośli” – ta sama mowa młodości, te same nawet żarty, to samo wdzięczenie się, zaprawione jedynie smakiem próżni i karykatury. Otóż fakt, że nasz język nie zmienia się od podstaw po przekroczeniu fatalnej granicy, że

pomiędzy pierwszymi a ostatnimi sonatami Beethovena nie ma przepaści, nie dającej się wypełnić, jest bijącym w oczy dowodem, że człowiek w swoim indywidualnym istnieniu nie może się wypowiedzieć – że jest milczeniem – że jest pozbawiony wyrazu.

Teraźniejsza myśl francuska o śmierci jest dla mnie wyjątkowo sztuczna, jak zresztą wszystkie inne mementa mori. Stanowią one jeden przykład więcej, jak dalece myśli nasze są nam obce. To wałkowanie śmierci wykazuje jedynie, że nie jesteśmy w stanie jej zasymilować; albowiem ona – gdybyśmy naprawdę wyczuli jej obecność – musiałaby odebrać nam sen i apetyt; ale nie przeszkadza nam nawet w chodzeniu do kina. A cóż dopiero mówić o śmierci katolickiej z jej czyśćcem i piekłem, wypełnionej przeczuciem bólu. Tak więc, nie przejmujemy się własnymi myślami i wydaje się jak gdyby myśl ta myślała się sama – po heglowsku – na własną rękę.

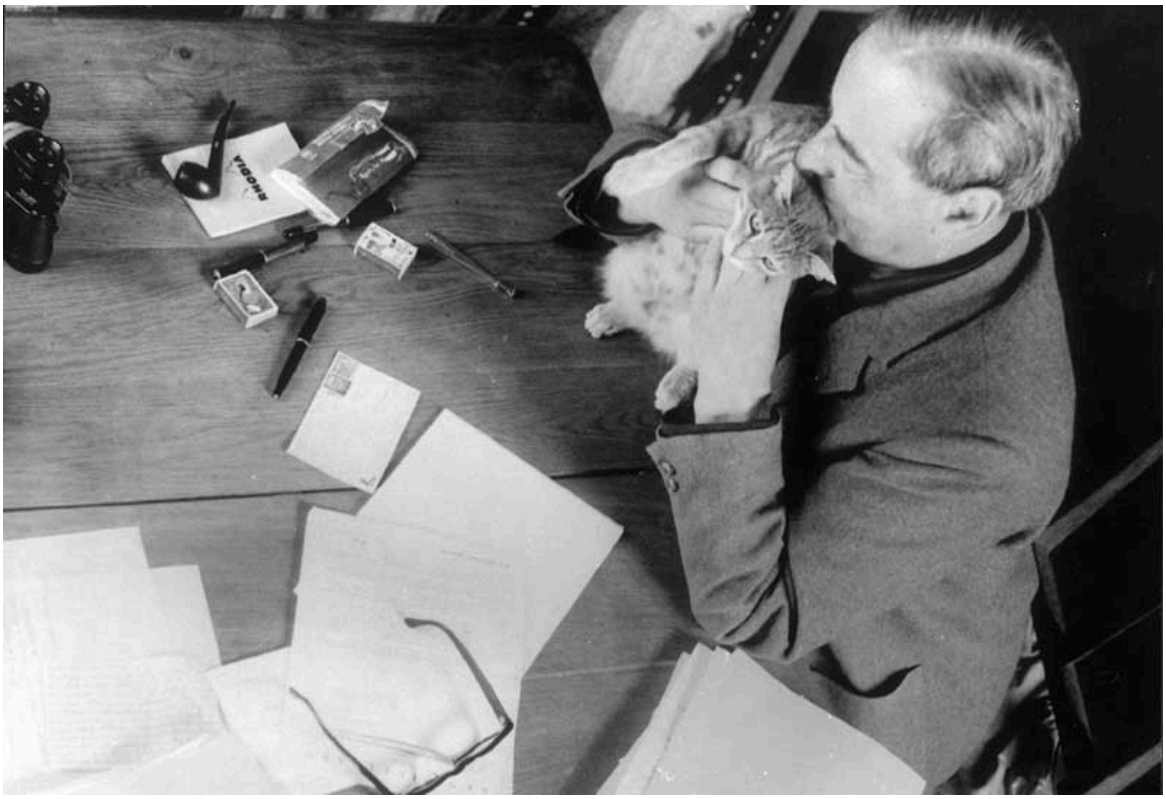

Witold Gombrowicz, Vence, 1965 r.

Więc nie wierzę, aby śmierć była właściwym problemem człowieka i uważam, że dzieło sztuki nią przejęte całkowicie, nie jest dziełem

w pełni autentycznym. Właściwa sprawa nasza, to właśnie starzenie się, owa postać śmierci, której co dzień doświadczamy. Lecz nawet nie samo starzenie się, a ta jego właściwość, że jest tak zupełnie, tak straszliwie odcięte od piękności. Nie męczy nas nasze powolne umieranie, lecz raczej to, że wdzięk życia staje się nam niedostępny. Ujrzałem na cmentarzu młodego chłopca, który przeszedł między grobami jak istota z innego świata, tajemnicza i hojnie kwitnąca, podczas gdy my byliśmy jak żebracy. Uderzyło mnie jednak, że nie odczułem naszej bezsilności jako czegoś bezwzględnie nieuniknionego.

I to odczucie natychmiast spodobało mi się we mnie. Czepiam się tylko myśli i uczuć, które mi się podobają, nie jestem zdolny pomyśleć ani odczuć niczego, co by mnie zupełnie unicestwiało. Więc i teraz poszedłem po linii tego myślenia, które przez to właśnie, że powstało ze mnie, stwarzało nadzieję. Czy naprawdę nie można już związać wieku dojrzałego z życiem i młodością? Ta sztuczność, do której coraz bardziej przyzwyczajam się w człowieku, ta *idée fixe*, która tak powoli i opornie we mnie wrasta, że przerażająca konkretność naszego kształtu nie jest jedyną możliwą, czyni mi świat elastycznym; i, gdy dawniej sądziłem, że wszystko już zostało powiedziane, dziś otaczają mnie bezmiary kombinacji idej i form, i wszystko naokoło staje się żyzne. (Tutaj chcę zaznaczyć, że z pół godziny szukałem zdań, które zjawią się poniżej. Gdyż, jak zawsze, stawiam problem, nie znając rozwiązania, opierając się tylko na intuicji, że rozwiązanie jest, dla mnie, możliwe – a na cmentarzu też nie przemyślałem sprawy do końca). Według mnie, młodość w głębi ducha nie lubi własnej piękności i przed nią się broni – otóż ta niechęć do piękności jest w niej piękniejsza niż piękność sama – i w tym zawiera się jedyna możliwość przezwyciężenia dystansu, który zabija. ↓

Odwiedziłem M. w szpitalu – kona od wielu miesięcy, coraz gruntowniej, ale, jak mówią lekarze, będzie miał konania jeszcze na dobrych parę tygodni. Leżał bez ruchu, głowa na poduszce, zjadany po kawałeczku przez śmierć, co dzień troszkę bardziej umarły. Czy, i jak bardzo, cierpiał?

W pokoju było też kilku żyjących – powiedziałbym, asystentów, bo asystowali… z minami zakłopotanymi i nie wiedzącymi co począć,

oddzieleni od tego męczennika przeświadczeniem, że nie ma rady i trzeba doczekać, aż wyciągnie kopyta. „Żyje się samemu i umiera się samemu" – myśl Pascala. Niezupełnie. Żyje się jednak w gromadzie i jeden drugiemu dopomaga, a dopiero gdy śmierć zastuka człowiek widzi, że jest sam... i sam na sam... jak te zwierzęta gasnące, od których stado oddala się w noc zimową. Dlaczego śmierć ludzka jest wciąż jeszcze, jak śmierć zwierzęca? Dlaczego agonie nasze są tak samotne i tak prymitywne? Dlaczego nie zdołaliście ucywilizować śmierci?

Pomyśleć, że ta rzecz przerażająca, agonia, grasuje wśród nas równie dzika, jak za pierwszych dni stworzenia. Niczego nie dokonano z tym w ciągu tysiącleci, nie tknięto tego dzikiego tabu! Uprawiamy telewizję i używamy kołder elektrycznych, ale umieramy dziko. Zdarza się, że nieśmiała strzykawka lekarza po kryjomu skróci męki zwiększonymi dawkami morfiny. Wstydliwy zabieg, zbyt drobny jak na olbrzymią powszechność umierania. Domagam się Domów Śmierci, gdzie każdy miałby do dyspozycji nowoczesne środki lekkiego zgonu. Gdzie można by umrzeć gładko, nie zaś rzucając się pod pociąg, lub wieszając na klamce. Gdzie człowiek znużony, zniszczony, skończony, mógłby oddać się przyjaznym ramionom specjalisty, aby mu zapewniona została śmierć bez tortury i hańby.

Dlaczego nie – zapytuję – dlaczego nie? Kto wam broni ucywilizować śmierć? Religie? Ach, ta religia... dziś zabraniająca samobójstwa, wczoraj nie mniej gromko zakazująca środków znieczulających... przedwczoraj zezwalająca na handel niewolników, gnębiąca Kopernika i Galileusza... ten Kościół potępiający z hukiem piorunowym, a wycofujący się potem dyskretnie, po cichu... jakąż macie gwarancję, że za lat kilkadziesiąt dzisiejsze potępienie samobójcy nie zmięknie i nie rozejdzie się nieznacznie po kościach? A póki co mamy umierać, jak psy, w drgawkach i rzężeniach – cierpliwie mamy czekać, ścieląc tę drogę powolną milionami konań okropnych, o czym pisze się w nekrologach „po długich i ciężkich cierpieniach"? No nie, rachunek za te „interpretacje" św. tekstów jest już za wysoki i za krwawy, i lepiej aby Kościół wyrzekł się scholastyki, zbyt arbitralnie wjeżdżającej w życie. Ostatecznie, jeśli wierzący katolicy chcą umierać ciężko – ich sprawa. Dlaczego jednak wy, ateiści, lub ludzie tylko luźnie związani

z Kościołem, nie odważycie się na coś tak prostego, jak zorganizowanie sobie śmierci? Co was peszy? Zrobiliście, co trzeba, aby bez trudności przeprowadzać się z miejsca na miejsce, gdy zmieniacie mieszkanie ale, gdy idzie o przeprowadzkę na tamten świat, chcecie, aby to odbywało się po staremu, przedwieczną metodą zdychania?

Jakież mroczne jest to niedołęstwo wasze! Pomyśleć, iż każdy z was wie doskonale: nikt z jego najbliższych nie wymknie się konaniu, chyba że spotka go nadzwyczajne szczęście śmierci nagłej i niespodziewanej; każdy zostanie stopniowo zniszczony, aż czasem oblicze jego stanie się nie do rozpoznania – i wiedząc o tym, znając ten los nieunikniony, palcem nie ruszycie aby oszczędzić sobie męki. Czegóż się obawiacie? Że zbyt wielu ludzi umknie, jeśli zanadto uchylicie furtki? Pozwólcie umierać tym, co śmierć wybierają. Nie zmuszajcie nikogo do życia niewygodą zgonu – to zbyt podle.

Szantaż, zawarty w sztucznym utrudnieniu śmierci, jest świństwem, naruszającym najcenniejszą wolność człowieczą. Gdyż moja najwyższa wolność polega na tym, iż w każdej sekundzie mogę postawić sobie hamletowskie pytanie „być, albo nie być?" – i swobodnie na nie odpowiedzieć. To życie, na które zostałem skazany, może mnie zdeptać i zhańbić z okrucieństwem bestii dzikiej, ale jest we mnie jedno wspaniałe i suwerenne urządzenie – że mogę sam siebie pozbawić życia. Jeśli zechcę, mogę nie żyć. Nie prosiłem się na świat, ale przynajmniej pozostaje mi prawo odejścia… i to jest fundament mojej wolności. A także godności (bo żyć z godnością znaczy żyć dobrowolnie). Ale fundamentalne prawo ludzkie do śmierci, z tych co to powinny być zamieszczone w konstytucji, uległo stopniowej a nieznacznej konfiskacie – na wszelki wypadek urządziliście to tak, aby było jak najtrudniej… i jak najstraszniej… aby było trudniej i straszniej, niż być powinno przy obecnym poziomie techniki. To nie tylko wyraża waszą ślepą afirmację życia, w skali już zupełnie zwierzęcej – to przede wszystkim jest wyrazem niesamowitej gruboskórności waszej, gdy idzie o ból, którego *jeszcze* nie doświadczacie, o agonię, która *jeszcze* nie jest waszą – to ta głupia lekkomyślność, z jaką się znosi umieranie, póki ono jest *jeszcze* cudzym umieraniem. Te wszystkie względy i względziki – dogmatyczne, nacjonalistyczne, życiowo-praktyczne – cała ta teoria,

cała ta praktyka, roztacza się jak ogon pawi... z dala od śmierci. Jak najdalej. ↓

Witold Gombrowicz podczas wykładów z filozofii, które notowali Dominique de Roux i Rita Gombrowicz, Vence, rezydencja Val-Clair, dwa miesiące przed śmiercią

Spis ilustracji

Antonina i Jan Gombrowiczowie z dziećmi, rodzeństwem Witolda. Od lewej: Janusz, Irena, Jerzy, Radom, ok. 1903 r. Fot. J. Grodzicki. Archiwum Muzeum Literatury w Warszawie. Repr. z książki T. Kępińskiego, *Witold Gombrowicz i świat jego młodości*, WL, Kraków 1976 – 8

Marceli Kotkowski, pradziadek autora *Ferdydurke*. Ze zbiorów Andrzeja Ścibora-Kotkowskiego. Repr. z książki A. Stawiarskiej, *Przedwojenny Gombrowicz*, WL, Kraków 2002 – 9

Zakłady Żelazne w Bodzechowie, koniec XIX w. Ze zbiorów Andrzeja Ścibora-Kotkowskiego. Repr. z książki A. Stawiarskiej, *Przedwojenny Gombrowicz*, WL, Kraków 2002 – 10

Ignacy Kotkowski, dziadek Witolda. Depozyt Muzeum Literatury w Warszawie. Repr. z książki A. Stawiarskiej, *Przedwojenny Gombrowicz*, WL, Kraków 2002 – 11

Antonina Gombrowiczowa, matka Witolda, 1900 r. Depozyt Muzeum Literatury. Repr. z książki A. Stawiarskiej, *Przedwojenny Gombrowicz*, WL, Kraków 2002 – 13

Antonina Kotkowska, matka Witolda, na rok przed ślubem z Janem Gombrowiczem, 1891 r. Archiwum Teresy Gombrowicz, depozyt Muzeum Literatury w Warszawie – 14

Witold Gombrowicz z siostrą Reną, babką Anielą Kotkowską oraz z matką Antoniną z Kotkowskich, Bodzechów, ok. 1911 r. Zbiory IBL-u w Warszawie – 16

Dwór w Małoszycach od strony parku, ok. 1919 r. Zbiory IBL-u w Warszawie – 18

Jerzy Gombrowicz, ok. 1918 r. Repr. z książki T. Kępińskiego, *Witold Gombrowicz i świat jego młodości*, WL, Kraków 1976 – 20

Janusz, najstarszy brat pisarza, jako student SGGW, 1918 r. Ze zbiorów Muzeum Literatury. Repr. z książki A. Stawiarskiej, *Przedwojenny Gombrowicz*, WL, Kraków 2002 – 22

Młody Jan Onufry Gombrowicz, ojciec Witolda. Depozyt Muzeum Literatury. Repr. z książki A. Stawiarskiej, *Przedwojenny Gombrowicz*, WL, Kraków 2002 – 25

Antoni Wasiutyński, kolega szkolny Witolda Gombrowicza – fotografia maturalna, 1922 r. Repr. z książki T. Kępińskiego, *Witold Gombrowicz i świat jego młodości*, WL, Kraków 1976 – 27

Tadeusz Kępiński, kolega szkolny Witolda Gombrowicza – fotografia maturalna, 1922 r. Repr. z książki T. Kępińskiego, *Witold Gombrowicz i świat jego młodości*, WL, Kraków 1976 – 28

Stanisław Baliński, poeta i bliski znajomy Witolda. Ze zbiorów Romana Jasińskiego. Repr. z książki A. Stawiarskiej, *Przedwojenny Gombrowicz*, WL, Kraków 2002 – 31

Antonina Gombrowiczowa, matka Witolda, lata dwudzieste XX w. Zbiory IBL-u w Warszawie – 34

Wsola, 1922 r. Pierwszy od prawej Witold, od lewej Aleksandra i Jerzy Gombrowiczowie. Depozyt Muzeum Literatury. Repr. z książki A. Stawiarskiej, *Przedwojenny Gombrowicz*, WL, Kraków 2002 – 36

Klasa V Gimnazjum Wielopolskiego, 1918 r. W rzędzie środkowym pierwszy z lewej (w krawacie) stoi Witold Gombrowicz. Repr. z książki T. Kępińskiego, *Witold Gombrowicz i świat jego młodości*, WL, Kraków 1976 – 38

Rodzeństwo Gombrowiczów: Janusz i Jerzy z żonami i dziećmi oraz Rena i Witold, ok. 1928 r. Repr. z książki T. Kępińskiego, *Witold Gombrowicz i świat jego młodości*, WL, Kraków 1974 – 44

Matka i siostra pisarza, Rena, ok. 1920 r. Własność Joanny Siedleckiej. Repr. z książki A. Stawiarskiej, *Przedwojenny Gombrowicz*, WL, Kraków 2002 – 49

Witold Gombrowicz – fotografia maturalna, 1922 r. Repr. z książki T. Kępińskiego, *Witold Gombrowicz i świat jego młodości*, WL, Kraków 1976 – 50

Witold Gombrowicz, ok. 1927 r. Repr. z książki T. Kępińskiego, *Witold Gombrowicz i świat jego młodości*, WL, Kraków 1976 – 57

Witold w okresie pobytu w Paryżu, l. 1927–1928. Ze zbiorów Biblioteki IBL PAN. Repr. z książki A. Stawiarskiej, *Przedwojenny Gombrowicz*, WL, Kraków 2002 – 58

Witold Gombrowicz z rodzicami, ok. 1930 r. Repr. z książki T. Kępińskiego, *Witold Gombrowicz i świat jego młodości*, WL, Kraków 1974 – 61

Jan Gombrowicz, ojciec Witolda, w Krynicy, ok. 1931 r. Depozyt Muzeum Literatury – 66

We Wsoli, ok. 1930 r. Pierwszy z lewej siedzi Jan Gombrowicz, za nim stoi Aleksandra Gombrowiczowa, z prawej Witold, w fotelu Teresa Gombrowicz, córka Jerzego. Repr. z książki T. Kępińskiego, *Witold Gombrowicz i świat jego młodości*, WL, Kraków 1976 – 68

Koledzy szkolni pisarza, Kazimierz Baliński i Tadeusz Kępiński, 1932 r. Repr. z książki T. Kępińskiego, *Witold Gombrowicz i świat jego młodości*, WL, Kraków 1976 – 70

Podkowa Leśna, ok. 1928 r. Od prawej: Jarosław Iwaszkiewicz, Stanisław Baliński, Roman Jasiński (poeta), Antoni Słonimski. Ze zbiorów R. Jasińskiego. Repr. z książki A. Stawiarskiej, *Przedwojenny Gombrowicz*, WL, Kraków 2002 – *72*

Bruno Schulz, *Autoportret z pieskiem*, ok. 1938 r. Repr. z książki J. Ficowskiego, *Regiony wielkiej herezji*, WL, Kraków 1975 – *75*

Stanisław Ignacy Witkiewicz, Zakopane, 1927–1928 r. Fot. J. Kępińska. Repr. z książki E. Franczak, S. Okołowicza, *Przeciw nicości*, WL, Kraków 1986 – *89*

Bruno Schulz (pierwszy od prawej) i Stanisław Ignacy Witkiewicz (na dole), Warszawa, 1936 r. Fot. Jan Kochanowski. Repr. z książki E. Franczak, S. Okołowicza, *Przeciw nicości*, WL, Kraków 1986 – *96*

Irena Gombrowiczówna, ok. 1920 r. Fot. a. n., Archiwum Teresy Gombrowicz. Depozyt Muzeum Literatury w Warszawie – *100*

Jan Onufry Gombrowicz, ojciec Witolda, około 1920 r. Ze zbiorów Biblioteki IBL PAN. Repr. z książki A. Stawiarskiej, *Przedwojenny Gombrowicz*, WL, Kraków 2002 – *115*

Janusz Gombrowicz, ok. 1920 r. Repr. z książki T. Kępińskiego, *Witold Gombrowicz i świat jego młodości*, WL, Kraków 1976 – *116*

Witold Gombrowicz, ok. 1930 r. Repr. z książki T. Kępińskiego, *Witold Gombrowicz i świat jego młodości*, WL, Kraków 1976 – *124*

Witold Gombrowicz, zdjęcie do paszportu wykonane w Warszawie w 1935 r. Repr. z książki *Tango Gombrowicz*, zebrał, przełożył i wstępem opatrzył R. Kalicki, WL, Kraków 1984 – *131*

Witold Gombrowicz, Argentyna, Tandil, 1958 r. Archiwum Teresy Gombrowicz. Depozyt Muzeum Literatury w Warszawie – *135*

Witold Gombrowicz w pokoju przy Venezuela 615, 1963 r. Repr. z książki *Tango Gombrowicz*, zebrał, przełożył i wstępem opatrzył R. Kalicki, WL, Kraków 1984 – *152*

Pożegnalna kolacja. Od lewej: M. Grinberg, W. Gombrowicz, J.R. Vilela, M. Betelú, 1936 r. Repr. z książki *Tango Gombrowicz*, zebrał, przełożył i wstępem opatrzył R. Kalicki, WL, Kraków 1984 – *154*

Witold Gombrowicz, rysunek Mariano Betelú, 1958 r. Archiwum Muzeum Literatury w Warszawie – *161*

Jerzy Giedroyc, założyciel i dyrektor wydawnictwa Instytut Literacki w Paryżu oraz pisma „Kultura”, Paryż, początek lat pięćdziesiątych XX w. Archiwum Instytutu

Literackiego. Repr. z książki R. Gombrowicz, *Gombrowicz w Europie*, WL, Kraków 1993 – *168*

Witold Gombrowicz podczas Literarisches Colloquium, Berlin, grudzień 1963 r. Fot. Léonore Mau. Repr. z książki R. Gombrowicz, *Gombrowicz w Europie*, WL, Kraków 1993 – *177*

Witold Gombrowicz w swoim mieszkaniu przy Bartningallee 11/13 w Berlinie, 16 maja 1964 r. Fot. Zuzanna Fels. Repr. z książki R. Gombrowicz, *Gombrowicz w Europie*, WL, Kraków 1993 – *181*

Witold Gombrowicz (od lewej) podczas wywiadu udzielanego Tadeuszowi Nowakowskiemu dla Radia Wolna Europa w Monachium, 22 września 1963 r. Archiwum Tadeusza Nowakowskiego. Repr. z książki R. Gombrowicz, *Gombrowicz w Europie*, WL, Kraków 1993 – *185*

Park i opactwo w Royaumont, wrzesień 1986 r. Fot. Rita Gombrowicz. Repr. z książki R. Gombrowicz, *Gombrowicz w Europie*, WL, Kraków 1993 – *189*

Witold Gombrowicz, Royaumont, czerwiec 1964 r. Fot. Janusz Odrowąż-Pieniążek/EASTNEWS – *191*

Witold i Rita Gombrowiczowie na przełęczy w Vence, w maju 1966 r. Fot. Hanne Garthe. Repr. z książki R. Gombrowicz, *Gombrowicz w Europie*, WL, Kraków 1993 – *196*

Witold Gombrowicz i jego pies Psina przy oknie jadalni, Vence, 1967 r. Fot. Sophie Bassouls. Repr. z książki R. Gombrowicz, *Gombrowicz w Europie*, WL, Kraków 1993 – *199*

Witold Gombrowicz na balkonie swojego pokoju w willi „Alexandrine", Vence, styczeń 1965 r. Fot. Bohdan Paczowski. Repr. z książki R. Gombrowicz, *Gombrowicz w Europie*, WL, Kraków 1993 – *201*

Od lewej: Józef Gombrowicz (bratanek pisarza) i jego żona Lilianne z Witoldem Gombrowiczem w Vence, 1967 r. Fot. Bohdan Paczowski. Repr. z książki R. Gombrowicz, *Gombrowicz w Europie*, WL, Kraków 1993 – *205*

Od lewej: Józef Jarema, Witold Gombrowicz, Maria Sperling i ambasador Jacques Leprette w posiadłości Jaremów „La Laterne" w Nicei, 1967 r. Fot. Rita Gombrowicz. Repr. z książki R. Gombrowicz, *Gombrowicz w Europie*, WL, Kraków 1993 – *210*

Dominique de Roux i Witold Gombrowicz na balkonie willi „Alexandrine", Vence, 1968 r. Archiwum Rity Gombrowicz – *213*

Witold Gombrowicz przy stole do pracy w willi „Alexandrine”, Vence, 1965 r. Fot. Bohdan Paczowski. Repr. z książki R. Gombrowicz, *Gombrowicz w Europie*, WL, Kraków 1993 – *215*

Witold Gombrowicz (na lewo) po przedstawieniu *Iwony, księżniczki Burgunda* w Pałacu Śródziemnomorskim w Nicei, 9 grudnia 1967 r. Archiwum Bernarda Fontaine’a. Repr. z książki R. Gombrowicz, *Gombrowicz w Europie*, WL, Kraków 1993 – *218*

Od lewej: Bohdan Paczowski, rzeźbiarz James Ritchie i Witold Gombrowicz podczas odsłonięcia rzeźby (w tyle) Jamesa Ritchiego dla domu młodzieży w Vence, jesień 1968 r. Fot. Maria Paczowska. Repr. z książki R. Gombrowicz, *Gombrowicz w Europie*, WL, Kraków 1993 – *226*

Konstanty Jeleński (od lewej) i Witold Gombrowicz nad przekładem na francuski *Operetki*, Vence, lipiec 1967 r. Fot. Bohdan Paczowski/FOTONOVA. Repr. z książki R. Gombrowicz, *Gombrowicz w Europie*, WL, Kraków 1993 – *229*

Od lewej: Witold Gombrowicz, Maria Paczowska i Jan Lenica, za nimi Sławomir Mrożek, Vence, 1965 r. Fot. Bohdan Paczowski. Repr. z książki R. Gombrowicz, *Gombrowicz w Europie*, WL, Kraków 1993 – *239*

Witold Gombrowicz z Dominikiem de Roux, Vence, 1968 r. Fot. Colin. Archiwum Muzeum Literatury w Warszawie – *252*

Witold Gombrowicz, Royaumont, czerwiec 1964 r. Fot. Janusz Odrowąż-Pieniążek/EASTNEWS – *257*

Witold Gombrowicz na balkonie swojego pokoju w willi „Alexandrine”, Vence, 1967 r. Fot. Bohdan Paczowski. Repr. z książki R. Gombrowicz, *Gombrowicz w Europie*, WL, Kraków 1993 – *276*

Witold Gombrowicz, Chiaviari (Włochy), 1965 r. Archiwum Muzeum Literatury w Warszawie – *289*

Witold Gombrowicz i Rita Gombrowicz, Vence, 1967 r. Fot. Bohdan Paczowski. Archiwum Muzeum Literatury w Warszawie – *304*

Witold Gombrowicz w Seine (Francja), lata sześćdziesiąte XX w. Fot. Jerzy Bauer. Archiwum Muzeum Literatury w Warszawie – *307*

Od lewej: Witold Gombrowicz, Józef Jarema, Czesław Miłosz i Alastair Hamilton, Vence, maj 1967 r. Fot. Oswald Malura. Repr. z książki R. Gombrowicz, *Gombrowicz w Europie*, WL, Kraków 1993 – *319*

Witold Gombrowicz, willa „Alexandrine”, Vence, 1967 r. Fot. Oswald Malura. Repr. z książki R. Gombrowicz, *Gombrowicz w Europie*, WL, Kraków 1993 – *335*

Witold Gombrowicz, Vence, 1965 r. Archiwum Muzeum Literatury w Warszawie – 337

Witold Gombrowicz podczas wykładów z filozofii, które notowali Dominique de Roux i Rita Gombrowicz, Vence, rezydencja Val-Clair, dwa miesiące przed śmiercią. Fot. Hanne Garthe. Repr. z książki R. Gombrowicz, *Gombrowicz w Europie*, WL, Kraków 1993 – 341

Nota edytorska

Wszystkie zdania znajdujące się w tej książce napisał Witold Gombrowicz, *Autobiografia pośmiertna* nie jest jednak jego kolejnym dziełem.

Książka jest antologią autobiograficznych fragmentów wybranych z kilku utworów pisarza (także w znaczeniu autobiografii duchowej). Została skomponowana jako tekst ciągły, uporządkowany chronologicznie (a w pewnym sensie narracyjnie i tematycznie). Wiele wyodrębnionych w niej rozdziałów to wprawdzie cząstki autonomiczne, jednakże niektóre rozdziały są wynikiem skrótów lub montażu różnych utworów Gombrowicza.

W celu zasygnalizowania miejsc, w których nastąpiły połączenia fragmentów oryginalnych tekstów pisarza, pochodzących z różnych jego dzieł, bądź skróty w ich obrębie, wprowadziłem do tekstu głównego dwa rodzaje znaków pełniących funkcje „sygnalizatorów" takich zmian.

Znak ↓ informuje, że w danym miejscu zmieniła się lokalizacja cytatu źródłowego i że jest ona podana w *Nocie edytorskiej*.

Znak ↔ informuje, że w obrębie cytatu opuszczono fragment tekstu Gombrowicza (słowo, zdanie lub większy fragment).

Połączenie obu znaków ↓ ↔ zastosowano w *Nocie* przy tych cytatach, gdzie zmienia się lokalizacja danego fragmentu, a ponadto w jego obrębie znajdują się opuszczenia.

Z tego względu *Autobiografia pośmiertna* – bez weryfikacji źródeł, z których stworzono poszczególne rozdziały – nie może być podstawą cytowania, w sensie filologicznym rozdziały te nie są bowiem tekstami skomponowanymi przez pisarza, lecz zostały ułożone (za pomocą skrótów lub montażu) wyłącznie na użytek tej książki. Można by więc powiedzieć, że jest to „Witolda Gombrowicza autobiografia pośmiertna jego własnymi słowami opowiedziana".

Większość tytułów poszczególnych rozdziałów została zaczerpnięta ze znajdujących się w nich sformułowań Gombrowicza.

Poniżej zamieszczamy informacje o lokalizacji cytatów składających się na tę książkę. Na oznaczenie utworów Witolda Gombrowicza, z których pochodzą cytaty, przyjęto następujące skróty:

D I	– *Dziennik 1953–1956, Dzieła*, t. VII, WL, Kraków 1989
D II	– *Dziennik 1957–1961, Dzieła*, t. VIII, WL, Kraków 1989
D III	– *Dziennik 1961–1966, Dzieła*, t. IX, WL, Kraków 1989
D IV	– *Dziennik 1967–1969, Dzieła*, t. X, WL, Kraków 1992
PWT I	– *Publicystyka, wywiady, teksty różne, Dzieła*, t. XIII, WL, Kraków 1996
PWT II	– *Publicystyka, wywiady, teksty różne, Dzieła*, t. XIV, WL, Kraków 1997
T	– *Testament. Rozmowy z Dominique de Roux*, z posłowiem J. Jarzębskiego, WL, Kraków 1996
WP	– *Wspomnienia polskie. Wędrówki po Argentynie, Dzieła*, t. XV, WL, Kraków 1996
WS	– *Walka o sławę*. T. I: *Korespondencja Witolda Gombrowicza z Józefem Wittlinem, Jarosławem Iwaszkiewiczem, Arturem Sandauerem*, WL, Kraków 1996

Kim jestem?

↓ s. 5: od „Powinienem może (...)” do „moich książek”, cyt. z: *Przedmowa do francuskiego wydania „Pornografii”*, tłum. I. Kania, PWT I, s. 292

***

↓ s. 5: od „Nic tak nie oszałamia (...)” do „jest chaosem”, cyt. z: *Fragmenty z dziennika* [listopad, grudzień 1956], PWT I, s. 22

↓ s. 5–6: od „Zimny wiatr (...)” do „do epok niepowrotnych”, D I, s. 119

↓ s. 6: od „Nie znam (...)” do „i magia”, T, s. 21

↓ s. 6: od „Moje życie (...)” do „z tego okresu”, WP, s. 4

↓ s. 6–7: od „Chyba tylko niewielu (...)” do „o inne tematy”, WP, s. 5

Rodzina

↓ s. 7: od „Pochodzę z rodziny (...)” do „były takie sobie”, T, s. 22

↓ s. 7–10: od „Moja matka z domu (...)” do „niesmacznym snobem!”, D III, s. 214 –215

↓ s. 10: od „W roku 1863 car (...)” do „ja się urodziłem”, T, s. 22

↓ s. 10–11: od „My, Gombrowicze (...)” do „o dwa lata”, WP, s. 7–8

↓ ↔ s. 11–12: od „Rzeczywiście byłem (...)” do „a potem drugą, Małoszyce”, WP, s. 7. Opuszczono koniec zdania.

↓ s. 11: od „Zacznę od tego (...)” do „a moim ojcem”, WP, s. 9

Matka

↓ s. 12–14: od „Moja matka (...)” do „przyjemne nie jest”, WP, s. 9–10. ↔ Opuszczenie po słowie „matka”.

↓ s. 14–16: od „A moja matka (...)” do „w naszym środowisku”, T, s. 23. Opuszczenie po słowach: ↔ „fobii, iluzji”, ↔ „nie rozciętymi stronami”.

↓ s. 17: od „– Nowy rozwód w rodzinie! (...)” do „zamiast jednego”, WP, s. 12

↓ s. 17: od „W końcu moja (...)” do „podwójną ilość rodziców...”, T, s. 25

↓ s. 17: od „Przypominam sobie (...)” do „wysokiej kultury”, WP, s. 12

↓ s. 17–18: od „Dyskusja o rozwodach (...)” do „w którą uderzyłem”, T, s. 25

↓ s. 18–21: od „Wojna, jaką ja (...)” do „rozpoczynał się dramat”, WP, s. 11–13. Opuszczenia po słowach: ↔ „powiedziała”, ↔ „pod jego wpływem”.

Miałem podwójne życie

↔ s. 21–22: zdania „rozpoczynał się dramat. Byłem w przyjaźni”, T, s. 13, rozdzielono śródtytułem.

↓ s. 22–23: od „Byłem w przyjaźni (...)” do „dopiero Ameryka”, WP, s. 13–14

↓ ↔ s. 23–24: od „Niewątpliwie, moja matka (...)” do „matka mi ją zabiła?”, T, s. 26–28. Opuszczenie po słowach „staję się arystokratą”.

Ojciec

↓ s. 25: „Mój ojciec? Piękny mężczyzna”, T, s. 22–23

↓ s. 25: „elegancki, «rasowy» jak to się wówczas podkreślało”, WP, s. 9

↓ ↔ s. 25: od „okazały (...)” do „ale bez przesady”, T, s. 22–23. Opuszczenie po słowach: „systematyczny, o”.

↓ s. 25: od „Doskonały wygląd (...)” do „radach i zarządach”, WP, s. 9

↓ ↔ s. 25: od „Ojciec (...)” do „w starego Gombrowicza”, WP, s. 9. Opuszczenie po słowie „Ojciec”.

↓ ↔ s. 26: od „Mój ojciec (...)” do „wdychałem szaleństwo”, T, s. 22–23. Opuszczenie po słowach „właściwą ojczyzną”.

Szkoła

↓ s. 26–28: od „Kiedy miałem lat (...)” do „dziki chichot oprawców”, WP, s. 14–15

↓ s. 28–30: od „To gimnazjum (...)” do „mój rozwój”, WP, s. 16–18

Młodość

↓ s. 31–33: od „Oddano mnie do szkoły (...)” do „Zakonspirowany”, T, s. 30–33

1918

↓ ↔ s. 34–35: od „W tych latach (...)” do „albo stajni. (...)”, WP, s. 18–19. Opuszczenie po słowie „stajni”.

↓ ↔ s. 35–39: od „– Głupiś! (...)” do „I WYSMUKŁE ŚWIERKI”, WP, s. 19–22. Opuszczenie po słowie „chichotu”.

1920

↓ s. 39: od „Gdy w roku (...)” do „ojca pieniądze”, T, s. 33

↓ s. 39–45: od „Miałem lat szesnaście (...)” do „pracy pisarskiej”, WP, s. 22–29. Opuszczenia po słowach: ↔ „rzeczywistości”, ↔ „Historię”, ↔ „kompromitację!”, ↔ „dyskwalifikowało”, ↔ „pewna myśl”, ↔ „właściwy...”

Szkoła w Polsce

↓ ↔ s. 46–47: od „W tych pierwszych latach (...)” do „będąc nie lepszy!”, WP, s. 15–16. Opuszczenie po słowie „miesięcy”.

↓ ↔ s. 47: od „My, Polacy (...)” do „na szkołę w Polsce”, WP, s. 31–32. Opuszczenie po słowie „czterdziestu”.

Twarz epoki

↓ s. 48–49: od „Kiedy pewne obyczaje (...)” do „marzycielstwem”, WP, s. 34–36. Opuszczenia po słowach: ↔ „i mogły ugryźć...”, ↔ „niesamowitym dziwactwem”, ↔ „wyrokiem śmierci” oraz ↔ na początku zdania rozpoczynającego się „Z rozkoszą...”

Matura

↔ s. 49–50: Zdania „(...) marzycielstwem. Zbliża się matura (...)” rozdzielono śródtytułem.

↓ s. 50–51: od „Zbliżała się matura (...)” do „zbyt interesujący”, WP, s. 36–37. Opuszczenia po słowach: ↔ „swędem”, ↔ „obecnej szkoły”, ↔ „leniów: prawo”.

Zabrałem się do szkicowania powieści

↓ s. 51–52: od „Pod jednym względem (...)” do „utworach artystycznych”, WP, s. 40–43. Opuszczenia po słowach: ↔ „to nie to”, ↔ „bardzo niezgrabny”, ↔ „do socjologii”, oraz ↔ na początku zdania „Pewnej nocy”.

O życiu studenckim niewiele

↔ s. 52: Zdania „(...) utworach artystycznych. O życiu studenckim (...)” rozdzielono śródtytułem.

↓ s. 52–53: od „O życiu studenckim (...)” do „od pszenicy”, WP, s. 43–44. Opuszczenia po słowach: ↔ „udziału”, ↔ „nie pojawiałem”, ↔ „naiwnościami”.

↓ s. 53: od „Kiedy byłem na (...)” do „nowej powieści”, WP, s. 47

↓ od „Po kilkumiesięcznej (...)” do „i podpaliłem”, WP, s. 50–51. Opuszczenia po słowach: ↔ „historia”, ↔ „podniecająca”.

Piłsudski – 1926

↓ s. 53–54: od „Byłem na czwartym (...)” do „odezwały się armaty”, WP, s. 51–52. Opuszczenia po słowach: ↔ „1905 roku!”, ↔ „do przełknięcia”, ↔ „wielkości”, ↔ „w sobie”.

↓ s. 54–55: od „Ten wstrząs majowy (...)” do „na nijakość”, WP, s. 53–55. ↔ Opuszczenie po słowie „wiedziałem”.

Francja 1927

↓ s. 55: od „Skończyłem studia (...)” do „Ja: – Boże!”, WP, s. 55

↓ ↔ s. 56: od „Co robić? (...)” do „dziedziczne obciążenia”, T, s. 33–34. Opuszczono początek pierwszego zdania.

↓ ↔ s. 57: od „Skończyłem studia (...)” do „się bałem”, WP, s. 55–56. Opuszczenie po słowach „nieprawdziwego zdarzenia”.

↓ s. 57: od „Jestem mistyk (...)” do „moim życiem”, T, s. 35

↓ s. 57–58: od „Pewnej nocy (...)” do „nie byłem ciekawy”, WP, s. 56

↓ s. 58–59: od „Co robić? (...)” do „szyld”, WP, s. 58–59

↓ s. 58: od „Byłem też (...)” do „zasługami kulturalnymi!”, WP, s. 63

↓ s. 59: od „Przyznajcie, że jak na (...)” do „doza ignorancji”, WP, s. 67

↓ ↔ s. 59: od „W tym czasie (...)” do „Posągi. Sale”, WP, s. 68. Opuszczono początek zdania.

↓ ↔ s. 59–60: „Twarz Giocondy (...)” do „późniejszego rozwoju”, WP, s. 70. Opuszczenia po słowach: „jakaż piękna”, „zwłaszcza plastycznej”.

↓ s. 60: od „Myślę, że (...)” do „egzystencji”, WP, s. 74

↓ s. 60: od „Moja przezorność” do „do Polski”, T, s. 35

Polska – lata trzydzieste

↓ s. 60–61: od „Polska ujrzana (...)” do „nie do pomyślenia”, WP, s. 74–75. ↔ Opuszczenie po słowach „mojej uwagi”.

↓ s. 61–63: od „Tymczasem Warszawa (...)” do „dobre w życie”, WP, s. 89–92. Opuszczenia po słowach: ↔ „w ogóle sztywność”, ↔ „ale i dusz”.

↓ s. 63–64: od „Podejrzewam, że (...)” do „za pożyczkami”, WP, s. 151

Powróciłem do pisania

↓ ↔ s. 64–65: od „Praca w sądzie (...)” do „urodziły się opowiadania”, WP, s. 78–79. Opuszczenie po słowach „coś nowego”.

↓ s. 65: od „Zaczynałem rozumieć (...)” do „ona mi podrzucała”, WP, s. 81

Śmierć ojca

↓ s. 65–68: od „W tymże roku (…)” do „swoje dobre strony”, WP, s. 101–103

Kawiarnia

↓ s. 69: od „Na Sylwestra (…)” do „tego typu uciechom”, WP, s. 104–105

↓ s. 69–73: od „Co wieczór, w okolicach (…)” do „niż obraz bywało”, WP, s. 108–111

Bruno Schulz

↓ s. 74–75: od „Rzecz dziwna (…)” do „nadzwyczajne pochwały”, WP, s. 112–113

↓ ↔ s. 75–77: od „Potem odkryłem (…)” do „się osobiście”, WP, s. 113–116. Opuszczenie po słowach „niezbyt szczęśliwe”.

↓ s. 77–78: od „O wiele bardziej (…)” do „gorętszych wielbicieli”, WP, s. 116

↓ s. 78–79: od „Trudno mówić o (…)” do „wielką przykrością”, D III, s. 8–9

↓ s. 79–80: od „Zrobiło mi się zimno (…)” do „raczyć pochwałami”, WP, s. 115

↓ s. 80: od „Wybuchnął płomieniem (…)” do „prawie sparzył”, D III, s. 9

↓ s. 80: od „A potem przybywszy(…)” do „doszło do skandalu…”, WP, s. 115

↓ ↔ s. 80–88: od „Wygłosił o *Ferdydurce* odczyt (…)” do *„z nieprawdziwego zdarzenia?”*, D III, s. 9–17. Opuszczenie po słowie „odczyt”.

Witkacy

↓ s. 88–89: od „Witkacy, jak król Lear (…)” do „wariat zbuntowany”, D III, s. 17

↓ ↔ s. 89–92: od „Jak się rzekło (…)” do „własnej indolencji”, WP, s. 116–119. Opuszczenie po słowach „do obrzydliwości”.

Było nas trzech

↓ s. 92–96: od „Było nas trzech (…)” do „jego tryumfu”, PWT II, s. 42. Opuszczenia: początek pierwszego zdania, po słowach: ↔ „Witkacy”, ↔ „w teatrze”.

↓ s. 96: od „Ten w pióropuszu (…)” do „w swoim surrealizmie”, D III, s. 17

Na beczce prochu

↓ s. 97–98: od „Ja się bałem (…)” do „pewni narodowego losu”, WP, s. 119–120

Trochę wariat, a trochę aktor

↓ s. 98–99: od „W dzisiejszej burzliwej (…)” do „bólach i kłopotach”, WP, s. 132–133

Panie i panny

↓ ↔ s. 99–103: od „Moja matka i siostra (…)” do „ich tonu”, WP, s. 135– –138. Opuszczono początek zdania.

↓ ↔ s. 103–105: od „Polska międzywojenna (…)” do „tragedii”, WP, s. 143–145. Opuszczenie po słowach „całą Europą”.

↓ ↔ s. 105: od „Wtedy napisałem (…)” do „pierwsza książka”, T. s. 35. Opuszczenie po słowie „napisałem”.

Pamiętnik z okresu dojrzewania (1933)

↓ s. 105–106: od „Próbowałem pisać (…)” do „i bardziej niewyraźna”, T, s. 29–30. ↔ Opuszczenie po słowach „sobie wyrobiłem”.

↓ s. 106: od „Ja osobiście (…)” do „sparzyłem się na nich”, WP, s. 146–147

↓ s. 106–107: od „U zarania (…)” do „decydującego”, T, s. 36–39. Opuszczenia po słowach: ↔ „Oczyszczony”, ↔ „i choroby”, ↔ „parodią

logiki”, ↔ „parodii”.

↓ s. 107: od „Wtedy też (…)” do „prędko się zniechęcił”, WP, s. 103

Ferdydurke (1937)

↓ s. 108–110: od „*Obrona osobowości* (…)” do „jakakolwiek wiara? Nie”, T, 44–52. Opuszczenia po słowach: ↔ „prywatna”, ↔ „mojej egzystencji”, ↔ „maminsynkowata”, ↔ „pozostać w ukryciu”, ↔ „na zewnątrz objawia”, ↔ „Byłem wszystkim!”, ↔ „byłem Polakiem”, ↔ „powtarzać Europę”, ↔ „Ja, niewierzący?”, ↔ „i frywolnie”.

↓ s. 110–112: od „*Ferdydurke* to (…)” do „już blisko *Pornografii*?”, PWT I, s. 292–294

Iwona, księżniczka Burgunda (1938)

↓ s. 112–113: od „Zacząłem bywać w (…)” do „podniecenie nerwowe”, T, s. 40–41. Opuszczenia po słowach: ↔ „moimi prawdami”, ↔ „*Iwona, księżniczka Burgunda*”.

↓ s. 113: od „*Iwonę* pisałem (…)” do „grozi zawaleniem!”, WP, s. 103

↓ s. 113–114: od „Tragikomiczną historię (…)” do „i ja byłem w tym…”, T, s. 42–43. ↔ Opuszczenie po słowach „ją zabija”.

Kodeks honorowy

↓ s. 114–118: od „Całe to dwudziestolecie (…)” do „prawdziwej demokracji”, WP, s. 158–161

Podróże mnie nie podniecają

↓ s. 119–120: od „Jakże mało (…)” do „się narażam”, WP, s. 161–163

↓ s. 120–121: od „A także (…)” do „niezbyt wyszukanych”, WP, s. 164–165

Niepodległość

↓ s. 121–123: od „Byłoby fatalne (…)” do „okres 1918–1939”, D I, s. 238–239

↓ s. 123–125: od „Oni jednak (…)” do „je zniszczyć”, D I, s. 247–250. Opuszczenia po słowach: ↔ „na kolanach”, ↔ „ślepego zaułka”.

↓ s. 126–130: od „Czułem się (…)” do „zrobi się sama”, D I, s. 260–264. ↔ Opuszczenie po słowach „jej niemocy”.

Wiedeń 1938

↓ s. 130: od „W roku (…)” do „porodzie *Ferdydurki*”, WP, s. 183

↓ s. 130–131: od „Ściemniało się (…)” do „do Wiednia”, WP, s. 187

Argentyna

↓ s. 131–132: od „Ja mi się (…)” do „na Warszawę”, T, s. 81–82. Opuszczenia po słowach: ↔ „odpowiednią pieczątkę”, ↔ „paru minut”.

↓ s. 132–133: od „Teraz chciałbym (…)” do „się odzywać (…)”, PWT I, s. 23

↓ s. 133: od „Wciąż mieszkałem (…)” do „za oceanem”, T, s. 82–83. Opuszczenia po słowach: ↔ „w Argentynie”, ↔ „w porządku”.

↓ s. 133–134: od „La Falda (…)” do „zaglądał w oczy”, D I, s. 149. Opuszczenia po słowach: ↔ „i zawiły”, ↔ „tak, to ja”, ↔ „przekazanej tamtemu”.

↓ s. 134–136: od „Dwieście dolarów (…)” do „własne przewiny”, T, s. 83–85. ↔ Opuszczenie po słowach „znacznie nudniejsze”.

↓ s. 136–137: od „Naraz w literackim (…)” do „z nimi wiodło”, T, s. 86–87. ↔ Opuszczenie po słowach „z szacunkiem”.

Wojna

↓ s. 140–141: od „Przez całą (…)” do „mego przedsięwzięcia”, T, s. 93–94. Opuszczenia po słowach: ↔ „Zgubiony”, ↔ „nią jestem!”

1947

↓ s. 141–142: od „W kwietniu (…)” do „pobieżnie opowiem”, PWT I, s. 23–25. Opuszczenie po słowach: ↔ „W Argentynie *Ferdydurke*”, ↔ „stuprocentowo teatralne”.

Ślub (1953)

↓ s. 142–143: od „*Ślub* zacząłem (…)” do „na przełomie epok”, T, s. 96–99. Opuszczenia po słowach: ↔ „się łatwiejsza”, ↔ „pijana i senna”, ↔ „tego ceremoniału”.

Trans-Atlantyk (1953)

↓ s. 143–145: od „Mój *Trans-Atlantyk* (…)” do „rzeczywistości”, T, s. 101–103. Opuszczenia po słowach: ↔ „do przełożenia”, ↔ „twarz ośmieszano?”

↓ s. 145–146: od „W polemice (…)” do „stwarzania Ojczyzny”, WS I, s. 49–50

↓ s. 146–147: od „Powieść i dramat (…)” do „polskiego – rozwoju”, WS I, s. 47–48

↓ s. 148: od „*Dziwna rzecz!* (…)” do „*ją stwarzać*”, D I, s. 162–163

↓ s. 148–149: od „Naród nasz (…)” do „nadążyć światu”, PWT I, s. 275. ↔ Opuszczenie po słowach „Polska się rozleci”.

↓ s. 149: od „Czy to jasne (…)” do „pewną marszrutę”, PWT I, s. 292

↓ s. 149–150: od „*Trans-Atlantyk* to (…)” do „każdej okoliczności”, PWT I, s. 317–318

↓ s. 150–151: od „Jeżeli w *Trans-Atlantyku* (…)” do „do Formy”, PWT I, s. 369–371

Mój stosunek do Polski

↓ ↔ s. 152–153: od „Mój stosunek (…)” do „posunę się dalej”, D I, s. 59–61. Opuszczenie po słowach „jej megalomanii!”

Moje obcowanie z narodem

↓ s. 154–155: od „W roku 1947-ym (…)” do „samej szkole”, PWT I, s. 25–27

Byłem poczwórnym cudzoziemcem

↓ ↔ s. 155–157: od „Nie jestem filozofem (…)” do „i z Retiro”, PWT I, s. 32–34. Opuszczenie po słowach „obywatelem świata?”

Pornografia (1960)

↓ s. 157–160: od „Pisać? (…)” do „lampa rozświetlająca”, T, s. 121–127. Opuszczenia po słowach: ↔ „Uwiedzenie”, ↔ „mojego czasu”, ↔ „*a Młodym*”, ↔ „czymś «wewnętrznym»”, ↔ „świata zewnętrznego”, ↔ „*to Niższość*”, ↔ „wiele rzeczy”, ↔ „polityką tchórza”.

↓ s. 160–162: od „Bohater tej powieści (…)” do „cząsteczka prawdy”, T, s. 132–134. ↔ Opuszczenie po słowach „kończy się nieurzeczywistnieniem”.

Borges

↓ ↔ s. 137: od „Borges i ja (…)” do „jest nieinteligentna”, T, s. 87–88. Opuszczenie po słowach „z tych najlepszych”.

↓ s. 137–138: od „Nie wątpię (…)” do „eunuchowate!”, D III, s. 82–83

Sábato

↓ ↔ s. 139: od „Znalazłem (…)” do „Asturiasa i Borgesa”, T, s. 92. Opuszczenie po słowie „Znalazłem”.

Żegnaj, Argentyno

↓ s. 163: od „Kwiecień 1963 (…)” do „finansowy”, T, s. 135

↓ s. 163–166: od „Stopa moja (...)” do „teraz, to ja?”, D III, s. 89–94. Opuszczenia po słowach: ↔ „*ex post*”, ↔ „Pustka. Próżnia”, ↔ „po statku”, ↔ „musiał *przemilczeć*?”

↓ ↔ s. 166: od „22 kwietnia 1963 (...)” do „Jesteś skończony”, T, s. 146. Opuszczenie po słowach „i czekał na mnie”.

Paryż 1963

↓ s. 166–171: od „Europa przede mną! (...)” do „Paryżowi nagość”, D III, s. 107–116. Opuszczenia po słowach: ↔ „rozproszony, rozpuszczony”, ↔ „skrupuły moralne?”, ↔ „siebie złowić”, ↔ „taka *praktyczna*...”, ↔ „wstydliwie, rozpaczliwie”.

Luwr

↓ s. 171–173: od „Hector Bianchotti (...)” do „będzie «sztuką»”, D III, s. 117–118

Berlin 1964

↓ ↔ s. 173: od „Berlin (...)” do „kilkoma wizytami”, T, s. 146. Opuszczenie po słowach „ongiś zrujnowało”.

↓ s. 173–175: od „Kilka wywiadów (...)” do „raz się uczepią”, D III, s. 140–142

Pogrążony w lękach

↓ s. 175–179: od „Zamyślony w tym (...)” do „uśmiech, ukłon...”, D III, s. 145–147

Jak Lady Macbeth

↓ s. 179–184: od „Miejsce zbrodni (...)” do „Ale... z rękami!”, D III, s. 150–154

Cała Europa wyglądała mi na konia

↓ s. 184: od „Butor był dla mnie (…)” do „Och, pustynio!”, D III, s. 170

↓ s. 184–185: od „Humor Grassa (…)” do „u marynarek”, D III, s. 177–178

↓ s. 185–186: od „Opuściłem Berlin (…)” do „w czasie pisania…”, D III, s. 181–183. Opuszczenia po słowach: ↔ „ze mnie gość”, ↔ „i przestrzeni”, ↔ „w próżni nieskończonej”.

↓ s. 186–187: od „Wytrwałem w Berlinie (…)” do „nie liczyłem na to”, T, s. 146–147

Francja 1964

↓ s. 188: od „Lecę do (…)” do „i milion zobaczę…”, D III, s. 185

Royaumont

↓ s. 189–190: od „Gdym Berlin opuścił (…)” do „gotyckość sklepień”, D III, s. 186. Opuszczenia po słowach: ↔ „Berlin opuścił”, ↔ „zmurszałą, zieloną”.

↓ s. 190: od „Że ja w (…)” do „w pełni soku”, D III, s. 189–190. ↔ Opuszczenie po słowach „wykończonym, przeminiętym”.

↓ s. 191: od „Istnieje w ludzkości (…)” do „czarującą twarz”, D III, s. 191

↓ s. 191–192: od „Ja przekorny (…)” do „naukowej…”, D III, s. 193–194

↓ s. 192–193: od „W Royaumont (…)” do „byłeś wygnany”, D III, s. 201

Czułem się młodszym

↓ s. 193: od „W Paryżu ja (…)” do „wydarzył dysonans…”, D III, s. 126

↓ s. 193–195: od „Gdy człowiek (…)” do „służby pałacowej”, D III, s. 129–130

Vence

↓ ↔ s. 195: od „Osiedliłem się w (...)” do „et de Vence”, D III, 201. Opuszczenie po słowach „w gęstwinie mimoz”.

↓ s. 195–198: od „Wstąpiliśmy wczoraj (...)” do „przybliżam do ust”, D III, s. 247–249

↓ s. 198–200: od „W sześćdziesiątym pierwszym (...)” do „Za późno”, D III, s. 202–203

↓ ↔ s. 200: od „My, artyści (...)” do „i upokorzenia”, D III, s. 206–207. Opuszczono początek zdania.

↓ s. 200: słowa: „A kuku! ”, D III, s. 225

↓ s. 201–203: od „Otóż dla mnie (...) ” do „jest pozorna”, D III, s. 232–233

Tu się żyje formą

↓ s. 203–207: od „Francja nie jest krajem (...)” do „jest podniecające”, T, s. 152–156

Przewaga abstrakcji

↓ s. 207–208: od „W plastyce epoki (...)” do „w tym poezji...”, D III, s. 132

Genet

↓ s. 208–212: od „Genet! Genet! (...)” do „jest nieosiągalna?”, D III, s. 133–136

Nouveau Roman Français

↓ s. 212–215: od „Nie jestem krytykiem (...)” do „postulat sztuki”, T, s. 141–145. Opuszczenia po słowach: ↔ „ich skrytykować”, ↔ „wobec rzeczywistości”, ↔ „dla ludzi!”, ↔ „walka, zabawa”, ↔ „to ja!”

Barthes

↓ s. 215: od „L'écriture (...)" do „im tupetu!", D III, s. 243

*„Pismo nie jest nigdy niczym ponadto niż językiem, sformalizowanym systemem (jakąś prawdą, która je pobudza); w pewnym momencie (być może w chwili naszego głębokiego kryzysu, który ma tylko taki związek z tym, o czym mówimy, że chcemy zmienić rytm wypowiedzi) język ten zawsze można zastąpić innym językiem; pisanie (w miarę upływu czasu) jest próbą znalezienia najpojemniejszego języka, który nada kształt wszystkim pozostałym". Cytat pochodzi z: *Essais critiques*. Collection „Tel Quel" aux Editions du Seuil, 1964, s. 10 (tłum. A. Wasilewska).

Sartre

↓ s. 215–216: od „Sartre, w którym (...)" do na „i dla robotników", D III, s. 78–79

↓ s. 216–220: od „Ja, w Buenos Aires (...)" do „kogoś skatalogowanego!", D III, s. 119–122

Camus

↓ ↔ s. 221: od „*L'Homme révolté* (...)" do „jak tragicznie", D I, s. 69. Opuszczenie po słowach „*L'Homme révolté*".

Polska 1963

↓ s. 221–225: od „A więc w Polsce (...)" do „albo nie rozlezie...", PWT II, s. 15–22. Opuszczenia po słowach: ↔ „szlachetnych demokratów", ↔ „tej konfrontacji".

Kosmos (1965)

↓ s. 225–229: od „Kiedy wstępowałem (…)” do „to mi odpowiada!”, T, s. 135–140. Opuszczenia po słowach: ↔ „powieści, *Kosmosu*”, ↔ „nie tak prędko”, ↔ „czytania zwykłego”, ↔ „jeden, zresztą”, ↔ „trwać długo”, ↔ „wziąć za rogi”, ↔ „podczas pisania”, ↔ „bez sceptycyzmu”, ↔ „za kulisy świata”.

Operetka (1966)

↓ s. 229–230: od „Rafą o którą (…)” do „ludzkości młodość”, T, s. 148

1968 – potwór młodości

↓ ↔ s. 230–232: od „Dla mnie młodość (…)” do „w niższość”, T, s. 128–131. Opuszczenie po słowach „w obliczu młodzieży”.

Zajrzeć za parawan

↓ s. 232–234: od „(…) Jestem po stronie (…)” do „czy z lewa”, T, s. 150–152

Duch i ciało

↓ s. 234–237: od „Nie przeraża mnie (…)” do „ten program?”, D I, s. 20–24. Opuszczenia po słowach: ↔ „ze mną stosunki”, ↔ „unikać frazesów”.

Człowiek plus człowiek

↓ s. 237–240: od „Zapewne ujmę (…)” do „siebie lekceważą”, D I, s. 34–36

Nie traćcie drogiego czasu

↓ ↔ s. 240–241: od „Ależ ja (…)” do „malować inne”, D I, s. 43–45. Opuszczenie po słowach „w Polakach”.

Bóg stał się pistoletem…

↓ ↔ s. 241–242: od „Mój ateizm (…)” do „konfrontacji ze światem”, PWT I, s. 315–316. Opuszczono początek zdania.

↓ s. 242–244: od „Poza tym (…)” do „Świętą Inkwizycją”, D I, s. 45–47

Aby drugi człowiek mnie nie ugryzł

↓ s. 244–249: od „A jednak (…)” do „możliwość porozumienia”, D I, s. 48–52

Dla kogo piszę?

↓ ↔ s. 249–250: od „Jeśli dla siebie (…)” do „o własną wybitność”, D I, s. 56–57. Opuszczenie po słowach „jestem poniżej siebie”.

Język

↓ s. 250–251: od „Język (…)” do „źle wychowanych”, D I, s. 107–108

O krytyce

↓ s. 251: od „Czy jest (…)” do „uroczyście krytyką?”, D I, s. 118

↓ s. 251–254: od „Jednakże krytyka (…)” do „mierne i nieważne”, D I, s. 121–123

↓ s. 254: od „Zarozumialec? (…)” do „jak to wybaczę?”, D II, s. 165–166

Dziennik

↓ s. 254–255: od „Dzięki Ci też (…)” do „stając mi się wrogą”, D II, s. 224. ↔ Opuszczenie po słowach „był ten”.

↓ s. 255–259: od „Ja… z moim życiem (…)” do „naprawdę nowoczesny”, T, s. 109–119. Opuszczenia po słowach: ↔ „Moje życie szare”, ↔ „Pusty sklepik”, ↔ „są zatarte”, ↔ „we mnie szukać”, ↔ „okazały się niewystarczające”, ↔ „nie miałem salonu”, ↔ „pod nogami”, ↔ „Szczerość”, ↔ „co do *Dziennika*”, ↔ „To nieefektowne!”, ↔ „agresywność wykazało”, ↔ „nie przejmował”, ↔ „pozwolić sobie na wszystko”, ↔ „wy operujecie”.

Wejdź w sferę snu

↓ s. 259–261: od „Osobom, interesującym się (…)” do „posyłam wydawcy”, D I, s. 124–126

Nazywano mnie „żydowskim królem”

↓ s. 261–262: od „Kiedy wstąpiłem (…)” do „wywody”, WP, s. 176–177

↓ ↔ s. 262–264: od „Żydzi tak swoistą (…)” do „się zachować”, WP, s. 173–175. Opuszczenie po słowach „od wieku współżyciu”.

↓ s. 265: od „Ale na dobre (…)” do „*in abstracto*”, WP, s. 177–178

↓ s. 265–267: od „Od śmierci (…)” do „szmirowaty”, WP, s. 180–181

↓ s. 267–269: od „Bezmiary zbrodni (…)” do „do zawdzięczenia”, D I, s. 126–128

↓ s. 269–270: od „A i to trzeba (…)” do „etcetera wolny!”, D I, s. 132

Dlaczego odrzucam komunizm?

↓ ↔ s. 270–273: od „Mógłbym wysunąć (…)” do „nie było ciałem”, D I, s. 133–136. Opuszczenie po słowach „poczynaniom towarzyszy?”

↓ s. 273: od „Być konkretnym (...)” do „pojedynczego człowieka”, D I, s. 141–142

↓ ↔ s. 273–275: od „Skąd więc we mnie (...)” do „pożarła jej ogon”, D I, s. 300–302. Opuszczenie po słowach „do twarzy”.

Międzyludzkie

↓ s. 275–277: od „Chciałbym uzupełnić (...)” do „nie zespoliło?”, D I, s. 303–304

Być wieśniakiem i Polakiem (ale nie zanadto)

↓ s. 277–278: od „W moich utworach (...)” do „pokurczona dusza”, D I, s. 147–148

Nasze cechy narodowe

↓ s. 279–281: od „Wiem dobrze (...)” do „wyzwala jednocześnie”, D I, s. 172–174

Młodość, piękność

↓ s. 281–284: od „Czyż piękność (...)” do „O, dystyngowana!”, D I, s. 183–186

Kobiety

↓ ↔ s. 284–287: od „Kobieta jest (...)” do „reformy kobiecości”, D I, s. 190–193. Opuszczenie po słowach „mecenasów naszych”.

Bóg

↓ s. 288: od „Męczę się (...)” do „zespolenie”, D I, s. 276–277

↓ s. 288–290: od „Polski katolicyzm (...)” do „dzieciństwo dorosłego”, D I, s. 280–281

Wy, ateiści

↓ s. 290–293: od „Dlaczego wy (...)” do „z tym co chce”, D II, s. 93–95

Polacy

↓ s. 294–296: od „Za najokropniejszą rzecz (...)” do „ale się zaciska”, D I, s. 309–312. Opuszczenia po słowach: ↔ „czeka nas dzieciństwo”, ↔ „Co zrobić ze sobą”, ↔ „Gdzie jestem?”, ↔ „było przyzwyczajonym...”

↓ s. 296–300: od „Stwierdźmy naprzód (...)” do „marksistowskich świata”, D I, s. 325–328

↓ s. 300–302: od „Nie spadła na mnie (...)” do „je ucywilizować”, D I, s. 333–335

↓ s. 302–303: od „Moje pragnienie” do „odebrać wam wartości”, D II, s. 23–24. ↔ Opuszczenie po słowach „dla rozwoju”.

„Mój” człowiek

↓ ↔ s. 303–305: od „Ujmują mnie (...)” do „o mojej sztuce”, D II, s. 11–13. Opuszczenie po słowach „żeby je utrudniać”.

↓ s. 305: od „Historia mego stawania (...)” do „z nich i nimi”, D II, s. 18

Ból

↓ s. 305–308: od „W młodości (...)” do „od nas stylu”, D II, s. 39–40

↓ s. 308: od „Moja suwerenność (...)” do „moja samotność”, D II, s. 39–42

↓ od „Być z naturą (...)” do „te oddolne?”, D II, s. 45

Ilość, ilość!

↓ s. 308–309: od „Ilość! (…)” do „ale *ziarnista*”, D II, s. 54–55

↓ s. 309–310: od „Demokryt (…)” do „nasycona ilością”

↓ ↔ s. 310: od „Napis hańbiący” do „Jana Sebastiana!”, D III, s. 49. Opuszczono początek zdania.

↓ s. 310–312: od „Najgłębsze rozdarcie (…)” do „taką tajemnicą”, D IV, s. 157–159

Ciało

↓ s. 312: od „Źródła moje (…)” do „*wręcz przeciwnego*!”, D II, s. 110

↓ ↔ s. 312–313: od „Osły… Kozy… (…)” do „w tym zawartą?”, D II, s. 123–124. Opuszczenie po słowach „w ogóle Południe”.

↓ s. 313–316: od „Szedłem zaniepokojony (…)” do „dzika… dzika…”, D II, s. 138–140

↓ s. 316: od „Ze mną nigdy (…)” do „moje nauczanie”, D II, s. 147

Pisarz na wygnaniu

↓ s. 316–317: od „Giedroyc chciał (…)” do „*swe powodzenie*”, D I, s. 64–65

↓ s. 317: od „Składam dank (…)” do „konserwuje dumę!”, D II, s. 224

Ale Miłosz!

↓ s. 317–320: od „*Rodzinnej Europie* (…)” do „Rzeka. Historia”, D II, s. 236–238

↓ s. 320–323: od „Spróbuję naprzód (…)” do „i inteligentniej”, D III, s. 57–60

Sienkiewicz

↓ s. 324: od „Potężny geniusz! (...)” do „nie prześladuj mnie, kochaj”, D I, s. 352–353. ↔ Opuszczenie po słowach „wyobraźnię mas”.

↓ s. 324–325: od „Różnica pomiędzy (...)” do „niejadalne”, D I, s. 358–362. Opuszczenia po słowach: ↔ „innym narodom”, ↔ „dla pokrzepienia serc”, ↔ „Boga i Narodu”, ↔ „szpetnej nagości”, ↔ „wystawiać na ciosy”.

↓ s. 325–326: od „A jednak! (...)” do „mamy się modlić”, D I, s. 364. ↔ Opuszczenie po słowach „na powierzchnię”.

Jakiż sex-appeal

↓ s. 326–327: od „Tyrmand! Talent! (...)” do „zadurzonych kurzyć!”, D II, s. 106–107

Literatura kapcanieje

↓ ↔ s. 327–329: od „Nie została dość (...)” do „z zewnątrz napiera”, D III, s. 75–77. Opuszczenie po słowach „staje się ciałem”.

Dante

↓ s. 330–331: od „Teraz dopiero (...)” do „ją uwielbia”, D III, s. 236–238

↓ s. 331–332: od „Wracam do niego (...)” do „nie do uchwycenia”, D III, s. 241– 242

↓ s. 332: od „Otóż jest ciekawe (...)” do „ja powiedziałem?”, D III, s. 246

Nauka

↓ ↔ s. 333: od „Nauka ogłupia (...)” do „samozachowawczego”, D II, s. 263–265. Opuszczenie po słowach „utraty wielbicieli!”

↓ s. 333: od „Przewiduję, że sztuka (...)” do „swojej racji”, D II, s. 267

↓ s. 333–334: od „Że komunizm (...)” do „tego «uspołecznienia»”, D II, s. 274–275

Jestem sługą

↓ ↔ s. 334–335: od „Ile stron (...)” do „Ja? Sługa?”, T, s. 159–160. Opuszczenie po słowach „o mnie osobiście”.

Śmierć

↓ s. 336–339: od „Umarł nagle (...)” do „dystansu, który zabija”, D I, s. 61–64

↓ s. 339–342: od „Odwiedziłem M. (...)” do „Jak najdalej”, D II, s. 107–110

W.B.

[1] Schulz został zastrzelony przez gestapowca w getcie w Drohobyczu 19 listopada 1942 r.

[2] Błąd Gombrowicza. *Iwona, księżniczka Burgunda* została opublikowana w piśmie „Skamander" 1938, nr 93–98.

[3] *Mais permettez-moi donc, cher Monsieur! Monsieur* (franc.) – za pozwoleniem szanownego pana

[4] Wszystkie francuskie nazwy potraw są parodiami:
Veau á la Crevette Sauce Moustache (franc.) – cielęcina w krewetkach z sosem z wąsów (na wąsach?)

[5] *Sautée Velay Mignonne Aspèrges…* (franc.) – cielęcina sauté przybrana owocami (ciemnoczerwona gruszka, duża czerwona brzoskwinia lub podłużna żółta śliwka), szparagi

[6] *Fricassée de Jeunes Filles en Fleur* (franc.) – potrawka z zakwitających dziewcząt (aluzja do powieści Prousta *W poszukiwaniu straconego czasu*, t. 2: *W cieniu zakwitających dziewcząt*)

[7] *un Beau Garçon rôti á la bordelaise* (franc.) – piękny chłopiec upieczony á la Bordeaux

[8] *belles manieres, élégance, distinction, esprit, bon goût* (franc.) – dobre maniery, elegancja, wykwintność, dowcip, dobry smak; [tłum. A. Wasilewska].

[9] *avenues* – (franc.) aleje

[10] *mondanité* (franc.) – tu: światowość